

Joseph Kim

Stephan Talty

Historia
pewnego chłopca
– od głodu
w Korei Północnej
po wybawienie
w Stanach
Zjednoczonych

Pod jednym niebem



Prószyński i S-ka

Joseph Kim

Stephan Talty

**Podjednym
niebem**

PRZEŁOŻYŁ
JAN HENSEL

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
UNDER THE SAME SKY

Copyright © 2015 by Joseph Kim
All rights reserved

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
© Bettmann/Corbis/Profimedia

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zolińska

Korekta
Katarzyna Kusoń
Sylwia Kozak-Śmiech

ISBN 978-83-8069-413-2

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Mojej siostrze, Bong Sook,
oraz wszystkim moim braciom i siostrom
w Korei Północnej.
Nie traćcie nigdy nadziei,
bo to dzięki niej żyjemy.*

Prolog: Funkcyjny

Drugiego dnia pobytu w Zakładzie Poprawczym Saro-cheong posłano mnie do pielenia pól ryżowych. Wyczerpująca to była praca: całymi godzinami brodziłem wśród zalanych wodą upraw i wyrywałem chwasty, dogrzebując się palcami do białych niczym larwy korzeni, ale przynajmniej ja i inni osadzeni wydostaliśmy się poza mury ośrodka. Mimo że wtedy już od ponad dwóch lat byłem bezdomny i musiałem borykać się z gangami, skorumpowaną policją i głodem, więzienie mnie przerażało. Dzień wcześniej widziałem, jak pobito nastolatka tak dotkliwie, że byłem pewien, że doznał uszkodzenia mózgu, a zmrok przyniósł krzyki dziewcząt gwałconych w sali obok. Poprawczak mieścił się w dawnej szkole, właściwie w najlepszej szkole plastycznej w Hoeryŏngu, ale teraz, podobnie jak na wielu innych obszarach miasta, zwichniętych i zdziczałych, panował tu chaos.

Około południa w spiekocie pomaszerowaliśmy z powrotem do ośrodka na obiad. Nie znałem panujących tu reguł, więc robiłem po prostu to, co pozostali, i starałem się nie wychylać. Kiedy zjedliśmy skromny przydział mamałygi, funkcyjny, szczupły nastolatek o gniewnej twarzy, wydarł się do nas:

– Macie teraz przerwę.

Patrzyłem, jak inni chłopcy położyli się i pozasypiali w ciągu dwudziestu sekund. Po tym, jak prędko wszyscy padli na podłogę, widać było, jak cenne są to chwile. Ja też słańałem się ze zmęczenia i znalazłem sobie miejsce, by przyłożyć się do snu.

Wkrótce potem zasnąłem i drzemałem wśród pozostałych. Nie wiem, ile minut upłynęło, gdy usłyszałem we śnie wołanie:

– Wstawać! Wstawać!

Otworzyłem oczy. Funkcyjny wrzeszczał na nas, stąpając pomiędzy śpiącymi, grożąc najbardziej ślamazarnym pałką – właściwie trzonkiem motyki – którą trzymał w prawej ręce. Wszyscy zaczęli szukać swoich butów, które leżały na kupce pośrodku sali. Ręce mi się trzęsły. Znalazłem jeden but, ale drugi gdzieś się zapodział. Stałem zgarbiony, przeszukując stertę pozostałego obuwia, gdy wtem coś uderzyło mnie z wielką siłą między łopatki.

– Gnoju jeden! Co się tak guzdrzesz?

Odwróciłem się i przykucnąłem z bólu. To ten funkcyjny. Zdzielił mnie pałką po kręgosłupie. Bolało jak diabli, ale udało mi się nie upaść. Wiedziałem, że okazanie słabości może tu oznaczać śmierć. Skłoniłem się funkcyjnemu, który wykrzywił twarz w radosnym uśmiechu, podczas gdy miejsce, gdzie mnie zdzielił, pulsowało bólem.

– Litości, panie – powiedziałem. – Szukam swoich butów.

Uniósł znowu kij i wrzasnął:

– Gnoju!

Walnął mnie w lewy bark, próbując złamać mi obojczyk. Miałem ochotę go zabić, ale pomyślałem, że musi mieć sprzymierzeńców wśród strażników i innych funkcyjnych i że dorwaliby mnie po zmroku.

Od tego dnia funkcyjny ciągle na mnie się wyładowywał. Później dowiedziałem się, że jego rodzice byli w Hoeryöngu wielkimi szychami, ale z jakiegoś tajemniczego powodu popadli w niełaskę. Syn został porzucony, a potem jako *Kkodzebi*, bo tak mówiło się na wszystkie bezdomne dzieci, trafił do ośrodka, gdzie dzięki dawnym rodzinnym układom został funkcyjnym pilnującym innych wychowanków. Gniewny i zgorzkniały, wyzywał się na ludziach pod lada pretekstem. A na mnie najbardziej się uwziął.

Nauczyłem się odkładać buty tak, by potem móc je łatwo znaleźć, ale funkcyjny miał to w nosie. Wyzywał mnie od gnojów i lał, ile wlezie. Czasami dostawałem kijem, kiedy indziej wymierzał mi policzki. W odpowiedzi skłaniałem tylko głowę, ale narastała we mnie złość. Ilekroć mnie spoliczkował, czułem, jak gorąca krew pali mi twarz.

Na ulicach miasta uważano, że jak na swój wiek dobrze się biję. Niektórzy nawet się mnie bali. Ale w zakładzie poprawczym traktowano ludzi jak zwierzęta, często zdarzało się, że jednego chłopaka katowało kilkunastu ludzi. Lepiej się było nie stawiać.

Pewnego dnia, po całych tygodniach takiego traktowania, funkcyjny zaszedł mnie od tyłu.

– Ej, sukinsynu – powiedział niemal jowialnie. Słyszałem rozochoconie w jego głosie, nie mógł się już doczekać, żeby dać mi w kość, dać upust frustracjom i nienawiści. Prawie jakby łaknął wyładowania na mnie tej mrocznej energii, która gromadziła się w nim od rana. Wyczuwałem, jak rozsmakowuje się w tych chwilach. Zawsze byłem wrażliwy na emocje innych, nawet wrogów.

Ale dzisiaj nie byłem w stanie znieść myśli, że mnie tknie. Obróciłem się gwałtownie.

– Czemu zawsze się mnie czepiasz? – wykrzyknąłem łamiącym się głosem.
– Zostaw mnie w spokoju, błagam. Zostaw mnie w spokoju, bo inaczej! – Już gdy to mówiłem, wiedziałem, że wystawiłem się na niebezpieczeństwo. Ale nie mogłem się już cofnąć.

Twarz funkcyjnego stężała z zaskoczenia. Potem okryła się ciemnym rumieńcem, a oczy zmrużyły się gniewnie.

– Jak śmiesz mi pyskować! – warknął niskim głosem.

Zaczęliśmy na siebie krzyczeć, podczas gdy inni chłopcy zebrali się dookoła, przyglądając się nam szeroko otwartymi oczami. Opiekun usłyszał, co się dzieje, i podbiegł do nas czym prędzej.

– Co jest? – krzyknął, odpychając chłopców na bok. – Co tak mordy drzecie?

Zanim funkcyjny zdążył otworzyć usta, szybko zabrałem głos. Opisałem, co wyprawia pod samym nosem swojego przełożonego. Opiekun wysłuchał mnie i pokiwał głową, gestem ręki uciszając wściekłego funkcyjnego. Kiedy zamilkłem, spostrzegłem, że oczy błyszczą mu radośnie.

– Tyle mi wystarczy. Postąpię sprawiedliwie! A to oznacza jedno: będziecie się bić o to, kto ma rację!

Opiekun wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Był wyraźnie znużony codziennymi obowiązkami, a teraz nadarzyła się okazja na odrobinę rozrywki.

Wiedziałem, że przegranie walki byłoby niebezpieczne. Funkcyjny miałby nade mną całkowitą władzę, a ponieważ poniżyłem go tym, że publicznie mu się postawiłem, nie miałby dla mnie zmiłowania. Postanowiłem zrobić wszystko, żeby wygrać.

Opiekun zebrał wszystkich chłopców pośrodku naszej sali. Przyglądałem się swojemu przeciwnikowi. Był większy i bardziej masywny, ale wiedziałem, że podczas gdy on wiódł w miarę wygodne życie, ja musiałem sobie radzić na ulicy. Jesteś zaprawiony w bojach, psychicznie mocniejszy, powiedziałem sobie. Nie poddawaj się.

– Dobra, zaczynajcie!

Funkcyjny i ja chwyciliśmy się za barki i ramiona, przepychając się i stękając z wysiłku. Mój przeciwnik szybko wyswobodził rękę i trafił mnie pięścią w szczękę, miażdżąc mi wargę o zęby. Poczulem w ustach smak krwi

i ogarnął mnie strach. Odepchnąłem funkcyjnego, starając się go przewrócić. Okazał się jednak silniejszy, niż się spodziewałem. Po kilku minutach zaciętych zapasów lewe kolano ugięło się pode mną i runąłem na ziemię. Funkcyjny rzucił się na mnie, zaciskając mi ręce na szyi. Turlaliśmy się wte i wewte, okładając się pięściami, stękając i sapiąc. Kątem oka spostrzegłem, że opiekunowie innych grup dołączyli do gapiów. Słyszałem brzęk butelek bimbru odstawianych na betonową posadzkę.

Po dwudziestu minutach zapasów i wymiany ciosów skóra na moich ramionach była śliska od potu. Byłem wykończony. Czułem się tak, jakby ramiona wypadły mi ze stawów i zwisały tylko na cienkich ścięgnach. Ale miałem więcej do stracenia, a zawsze byłem zawzięty w walce. Rzuciłem funkcyjnego na ziemię, wgramoliłem się na niego i siadłem na jego dyszącej piersi. Lewą ręką przytrzymałem obie jego dłonie i zacząłem okładać go pięścią po twarzy, gdy ten odwracał głowę to w prawo, to w lewo, próbując uciec od ciosów. Nie odczuwałem już gniewu ani w ogóle żadnych emocji. Byłem niczym górnik wykuwający węgiel. Nie pozostało we mnie ani krztyny nienawiści, tylko determinacja.

Łup! Rozwaliłem mu dolną wargę. I znowu. Wziąłem głęboki wdech, pochyliłem się do przodu i zacisnąłem zęby. Łup! Mocniej. Łup!!! Trysnęła krew, chlapnęła na jego policzek.

– Poddaję się! – zawołał w końcu. W grupie kibiców rozległy się wiwaty, podczas gdy inni parskali z dezaprobatą.

Sturlałem się z funkcyjnego i ległem na podłodze, dysząc ciężko.

Znowu udało mi się przetrwać.

Chciałem tylko odbyć swój wyrok i się nie wychylać, ale poprzez to zwycięstwo zwróciłem na siebie uwagę „bandyckiej braci”. Tego popołudnia dowiedziałem się, co dostanę w nagrodę. Zostałem wyznaczony na nowego funkcyjnego. Oznaczało to lepsze jedzenie i większe porcje, a także zwolnienie z konieczności harowania całymi dniami w spiekocie.

Funkcyjny, którego pobiłem, został zdegradowany do szeregowego osadzonego i od tej pory miał chodzić na pole i pleć. Jego pałkę przekazano w moje ręce, przy czym rozumiało się samo przez się, że będę jej używał, ile wlezie, z jak największą surowością.

Nie chciałem tej długiej pałki, nie chciałem być funkcyjnym, ale nie miałem wyboru. Przysiągłem sobie, że będę lepszym człowiekiem niż nastolatek, który się nade mną pastwił. Miałem nadzieję, że nie zmienię się

w brutalną bez skrupułów, podobnego do git-ludzi, którzy rządzą w ośrodku. Chciałem ocalić w sobie część siebie z czasów wolności. Ale po kilku tygodniach w poprawczaku nie brakowało już chłopaków, którzy prawdopodobnie z chęcią by mnie zamordowali. Jeszcze miesiące po tym, jak opuściłem ośrodek, te same chłopaki ścigały mnie po ulicach Hoeryŏngu z taką samą wściekłością w oczach, jaka ogarniała mnie, gdy czułem uderzenie pałki na kręgosłupie. Myślę, że byliśmy gniewni przez to, co się z nami stało, ale także za to, kim się staliśmy.

Głód w Korei Północnej odebrał życie setkom tysięcy ludzi. Mogiły niektórych wciąż widać na niskich pagórkach za Hoeryŏngiem. Ale głód dokonał także ukrytych szkód. Niszczył więzi rodzinne, jakby zanurzono je w kwasie solnym (moja rodzina była, niestety, dobrym przykładem); doprowadzał do zerwania głębokich, szczerych przyjaźni z powodu tak drobnego jak ciasto z kaszy kukurydzianej. Nawet jeśli twojemu ciału udało się przetrwać, pewnego dnia dowiadywałeś się, że twoja dusza została naznaczona w sposób, którego wcześniej nawet się nie domyślałeś.

Tak było z wieloma ludźmi, których poznałem w tamtych czasach. Tak było i ze mną.

Rozdział 1

Jako mały chłopiec byłem cichy i introwertyczny. Trudno było mi rozmawiać swobodnie z innymi, a przez to też nawiązywać przyjaźnie. Odkryłem jednak, że zostałem obdarzony czymś, co równoważyło w pewnym stopniu moją nieśmiałość, a mianowicie zdolnością odczytywania emocji ludzi bez pomocy słów. Myślę o tym darze jako o swego rodzaju chemicznym detektorze nastroju w moim mózgu, tak jakby uczucia ludzi opuszczały ich ciała jako niewidzialne cząsteczki, rozpierzchały się w powietrzu i wnikały we mnie przez pory skórne, by później trafić do mojego czujnika nastroju, który je dla mnie rozpoznawał.

W tamtych czasach moja rodzina – mój przystojny, pewny siebie ojciec, moja chorowita matka, ukochana starsza siostra Bong Sook i ja – mieszkaliśmy w ciasnym mieszkaniu „gołębniku” w Hoeryöngu, mieście znanym z białych moreli, pięknych kobiet i najlepszej gliny garncarskiej w całej Korei Północnej. Wciąż pamiętam emocje, które przyływały do mnie od moich rodziców i siostry. Mało słów, które wtedy wypowiedzieliśmy, potrafię teraz odtworzyć, tylko odcienie światła i czerni, radości i smutku.

Moja matka wydzielala ciemną energię. Często zdarzało się, że w środku dnia widywałem ją leżącą bez ruchu na swoim posłaniu. Potrafiła leżeć na macie całymi godzinami, zupełnie nieruchoma. Czemu była taka, podczas gdy matki moich kolegów zawsze się przy czymś krzątały, robiły tofu i słodkie przekąski, plotkowały głośno na klatce schodowej albo odganiały nas od swoich drzwi, nie miałem pojęcia. Powiedziała mi kiedyś wprawdzie, że kiedy była ze mną w ciąży, zapadła na pelagrę – chorobę wywołaną niedoborem witaminy B3. Na tydzień przed moimi narodzinami zjadła też rybę i mocno się zatrzała. „Sąsiadki nie sądziły, że przeżyję”, powiedziała mi matka. Nie mogłem zrozumieć, co pelagra i zatrucie rybą miały wspólnego z tym, że wylegiwała się na macie całymi godzinami wiele lat później.

Chłonałem w siebie jej smutek. Kiedy nachodził ją taki nastrój, też czułem się pozbawiony energii. Często kładłem się obok niej i zapadałem w ponury sen. W tych rzadkich chwilach, kiedy się śmiała, chciałem śmiać się razem z nią.

Prawda była taka, że moja matka była przygnębiona swoim życiem i małżeństwem, depresja wysysała z niej energię i radość życia, sprawiając, że w naszym ciasnym „gołębniku” panował czarny nastrój. Choroba, czy raczej rozczarowanie własnym życiem, sprawiała też, że matka dostawała hyzja na punkcie czystości. „Maczku – wołała do mnie, jak tylko wszedłem do domu. (Maczkciem tradycyjnie nazywało się najmłodsze dziecko i tak też zwracali się do mnie wszyscy w rodzinie). – Umyj szybko ręce!”.

Moja siostra Bong Sook miała na mnie zupełnie odwrotny wpływ. Siedem lat starsza ode mnie, urocza i nigdy nienarzekająca, zawsze rozświetlała mój czujnik nastrojów niczym promienie słońca. W tamtych latach, zanim popadłem w niełaskę u ojca, byłem oczkiem w głowie całej rodziny. Wszystko, co robiła, by sprawić mi przyjemność (a czego to nie robiła!), traktowałem jako coś należnego i oczywistego. Gdy tylko miałem ochotę na więcej ryżu, oddawała mi część swojej porcji, mówiąc: „Spójrz, tato, dałeś mi za dużo”. Kiedy wracała ze szkoły, przynosiła mi coś dobrego, lody albo cukierki, które kupowała po drodze. Kiedy miałem brudne skarpetki, to je prała. Kiedy się nudziłem, siadała ze mną i czytała mi ze swoich podręczników.

Bong Sook nie otaczano taką miłością jak mnie, młodszego chłopca. Kiedy ojciec przechodził obok i podnosił jedno z nas, żeby zrobić nam helikopter, to zawsze tym dzieckiem byłem ja. Kiedy leżąc, kładł jedno z nas na swoich nogach i unosił tak, że wydawało nam się, że latamy, tym dzieckiem też zawsze byłem ja. Kiedy rodzina kupowała nowy rower, dawano go mnie.

Ale Bong Sook nigdy mi nie zazdrościła i nie miała żadnych pretensji. Kiedy ojciec wyjeżdżał służbowo z miasta, zawsze wracał z prezentami (z zabawkowym pistoletem dla mnie, z lalką dla mojej siostry) i północnokoreańskimi landrynkami – białymi z jasnobrązowymi paskami, lepкими i pysznymi. Kiedy wyjmował z kieszeni dziesięć cukierków, ja i Bong Sook dostawaliśmy po pięć. Ale ona ich nie zjadała. Brała sobie jeden, a mnie dawała trzy, które pożerałem w szybkim tempie. Ostatnią landrynkę chowała na dzień, gdy byłem smutny. Wtedy podtykała mi ją pod sam nos i śmiała się, gdy rozrywałem papierek i wpychałem sobie cukierek do buzi.

Bong Sook robiła to bez cienia zawiści – a w każdym razie długo w to wierzyłem. Ale czy na pewno? Czy jej serce nie trzepotało od potajemnej zazdrości? Czy nie pragnęła, by ojciec choć raz wziął ją na ręce i zrobił

helikopter wśród jej śmiechów radości? Żałuję, że nie mogę jej o to teraz zapytać.

Jedno z moich pierwszych wspomnień dotyczy mundurka szkolnego siostry: biała bluzka, szkarłatnoczerwona chusta wiązana na szyi i granatowa spódnica. Bawiłem się z innymi dziećmi na dworze przy naszej klatce schodowej i pamiętam, że dużo się wokół działo: jeździły i trąbiły samochody, ludzie szli chodnikiem, przepychając się między sobą, a moi koledzy i ja śmialiśmy się i ganialiśmy w tym tłumie. A później z tej szarobrazowej mgły wyłoniło się coś w oddali, tylko zarys ciała. Jakimś sposobem wiedziałem, że to moja siostra. Mogłem mieć nie więcej niż trzy, cztery lata. Z tego zimnego i obcego świata, z natłoku tego, co nie było moją siostrą, jak za sprawą czarów wyłoniła się ona, Bong Sook. Nie posiadałem się ze szczęścia.

A mój ojciec? Dostarczał światła, całych kilowatów czystej energii. Ojciec zaszedł wysoko; dzieciństwo spędził w wiejskiej biedzie, ale został księgowym w akademii wojskowej w pobliżu Hoeryŏngu, a potem awansował na drugiego co do ważności dygnitarza państwowego w prowincji Undok. Dało mu to świetlistą wiarę w życie i wszystkie niesione przez nie możliwości. Przynajmniej przez kilka pierwszych lat mojego dzieciństwa wystarczało, by wszedł do domu, a we mnie już wzbierała nadzieja.

Ludzie tacy jak mój ojciec byli, myślę, szczególnie podatni na zawieruchy, które nas czekały. Nie sposób dowieść, że ludzie tacy częściej umierali niż cynicy czy sceptycy – gdzie w Korei Północnej można by znaleźć takie statystyki? – ale wydaje mi się, że ich udziałem był szczególnie mroczny los. Prosta wiara w życie musiała ich drogo kosztować.

Rozdział 2

Wczesną wiosną 1994 roku, kiedy miałem prawie cztery lata, rodzice postanowili wyprowadzić się z „gołębnika”. Nie płaciliśmy czynszu: znaleźmy starą kobietę, która miała dwa mieszkania i pozwoliła nam korzystać z jednego z nich, nie wiem, z jakiego powodu. Rodzice czuli się przez nią zastraszeni. Starucha często pukała do naszych drzwi i złowrogim tonem zadawała matce pytania. Matka nie była przyzwyczajona do takiego traktowania i bardzo to przeżywała. Myślę, że kobieta chciała po prostu pokazać mojej rodzinie, kto tu rządzi – kazała nawet mojemu ojcu nosić jej drewno i węgiel na opał lub wykonywać drobne prace w domu, sugerując, że gdyby okazał nieposłuszeństwo, konsekwencje byłyby poważne. Rodzice zaczęli myśleć o przeprowadzce. Chcieli przenieść się gdzieś, gdzie byłoby nas stać na własny dom.

Ja wcale nie chciałem wyjeżdżać. Uwielbiałem nasz nieduży blok. Co rano wybiegałem z mieszkania i ganiałem z garstką innych dzieciaków po naszym osiedlu, hałasując, ile dusza zapragnie. Przez większość dnia byliśmy pozostawieni sami sobie i całymi godzinami włóczyliśmy się po sąsiednich ulicach. Trzy przecznice wydawały nam się obszarem ogromnym, jakby ciągnął się dziesiątkami kilometrów, a każda następna ulica kryła wiele tajemnic, niebezpieczeństw i egzotycznych zapachów. Spotykaliśmy się na klatce schodowej i graliśmy w papier, nożyce, kamień albo wybiegaliśmy na dwór, wybieraliśmy sobie jakieś drzewo i bawiliśmy się w chowanego. W każdym zakątku naszej klatki schodowej, w brudnym, popękany beton kryły się wspomnienia. Tutaj był schodek, gdzie skrzyłem kostkę, i nie mogłem się bawić przez trzy tygodnie; na tamym schodku zjadłem chlebek poduszkowy, północnokoreański specjał, i lody, które kupiła dla mnie Bong Sook – rzadkość, bo dostałem nie jeden, ale dwa smakołyki. To był jedyny świat, jaki znałem.

Przy naszej ulicy były sklepy i punkty usługowe – wszystko, czego dusza zapragnie: fryzjer, spożywcza i lodziarnia. W naszej dzielnicy nie było bogaczy, dla których można by otworzyć luksusowe sklepy, ani też biedoty, której należałoby współczuć. O piątej po południu, kiedy zaczynał się program telewizyjny z dziennikiem informacyjnym i kreskówkami, wszyscy

biegliśmy do mieszkania jedyne go kolegi, którego rodzice zdołali nabyć telewizor. Siedzieliśmy tam w rzędzie i zajadaliśmy się prażoną kukurydzą domowej roboty i słodyczami. Mieszkańcy bloku byli ze sobą bardzo życzliwi. Wszystkie dzieci bawiły się razem, a każdy, kto miał więcej jedzenia, niż potrzebował, z radością dzielił się nim z sąsiadami.

Byliśmy wszyscy tacy sami, jedna wielka północnokoreańska rodzina, a w każdym razie tak mi się wydawało. Chciałem tam zostać.

*

Pewnego zimnego popołudnia na jesieni tego roku ojciec wrócił z pracy, pedałując szybko na rowerze. Nie mieliśmy samochodu – prawie nikogo w Korei Północnej nie było na to stać – więc rower ojca był dla nas bardzo cenny. Dostrzegłem ojca przecnicę dalej na naszej zatłoczonej ulicy, pochylonego nad kierownicą, z pociągłą i piękną twarzą – tak inną od mojej okrągłej – lśniąca od potu. Mój czujnik nastroju od razu coś wykrył: ojciec był bardzo podekscytowany.

– Chodź, Maczku – zawołał do mnie z oddali. – Jedziemy zobaczyć nowy dom. – Podniósł mnie i posadził na siodełku za swoimi plecami. I pojechaliśmy dalej, hałaśliwymi i zakorkowanymi ulicami miasta na wieś.

Ojciec uparł się, żeby wyprowadzić się z miejskiego blokowiska. Miał dobrą pracę i nienaganną reputację. Był wschodzącą gwiazdą. O ile wiedzieliśmy, Korea Północna radziła sobie dobrze pod względem gospodarczym dzięki wytężonej pracy obywateli i hojnej pomocy żywnościowej i paliwowej z Rosji. Ojciec miał trzydzieści siedem lat, był bystry, nieprzekupny i wierny państwu. Już jako dwudziestoczterolatek wstąpił do Partii Robotniczej Korei, co było nie lada osiągnięciem. Wszyscy chcieli wstąpić do partii, ale mało kogo przyjmowano, a ojciec nie miał żadnych rodzinnych koneksji, które by mu pomogły.

Przyszła więc najwyższa pora, by zbudować własny dom.

Ojciec pedałował teraz, jadąc mocnym i równym tempem ulicą, jego silne plecy napinały się przy każdym naciśnięciu pedału. Kilka przecnic dalej biegła szeroka aleja wysadzana rozłożystymi wiazami i żółtymi kwiatami, wśród których wznosiły się wysokie betonowe pomniki z wyrytymi sloganami, które ustawiono tu z zarządzenia władz państwowych. Znałem te

slogany bardzo dobrze: CZUN LI MA mignęło mi przed oczami, gdy przejeżdżaliśmy obok. Hasło mówiło: „Musimy pracować tysiącrotnie ciężiej niż inne kraje!”. Było to jedno z ulubionych powiedzonek Kim Ir Sena.

Trzymałem się koszuli ojca, żeby nie spaść. Patrzyłem na migające drzewa i budynki po bokach. Niskie bloki mieszkalne i samochody widać było coraz rzadziej, pojawili się za to wieśniacy, furmanki i woły. Wcześniej tylko raz byłem tak daleko od domu: kiedy pojechaliśmy do babci i dziadka na Nowy Rok.

Cel naszej podróży znajdował się o godzinę drogi od miasta: było to Osiedle Ósmego Lipca, nazwane tak na cześć dnia, gdy Kim Ir Sen przyjechał tu z wizytą. Wiele miejsc w Korei Północnej ma takie właśnie nazwy odnoszące się do jakiegoś zdarzenia z dalekiej przeszłości związanego z Wielkim Wodzem i jego ministrami. Im dalej jechaliśmy, tym mniejszy ruch panował na drogach. Domy, które teraz widziałem, były biednie wyglądającymi chatkami o ścianach obryzganych błotem. Ojciec niestrudzenie pedałowal na swoim starym czarnym rowerze.

Kiedy dotarliśmy na naszą działkę, ciało pod jego cienką koszulą było spocone. Odwrócił się, zdjął mnie z siodełka i postawił na ziemi. Na twarzy miał wypisane szczęście i entuzjazm. Jak dużo ten dom dla niego znaczył! Obeszliśmy posesję dookoła i dobrze się rozejrzeliśmy.

Właściwie nie było na co patrzeć. Fundamenty położono głęboko, żeby w piwnicy można było trzymać słoiki kimchi na zimę – w Korei Północnej nawet domy projektuje się z myślą o tym najświętszym z pokarmów. Mury powoli pięły się do góry. Dom składał się z dwóch izb i piwnicy. Nie miał łazienki. Jak większość Koreańczyków na Północy mieliśmy wykorzystywać do tych celów wygodkę.

Trzech czy czterech robotników mieszało zaprawę, która miała spajać pustaki. I to najbardziej ojca cieszyło: każdą ze ścian otaczało tylko powietrze. Mieliśmy uciec z bloku mieszkalnego i zamieszkać w czymś nowoczesnym i nowym. Dom ojca stał na własnych fundamentach, nie stykał się z żadną inną budowlą, samotny i samoistny.

Ojciec jął przechadzać się po maleńkiej działce, kucając od czasu do czasu, wskazując coś w fundamentach i zadając podniesionym głosem pytania. Ja tymczasem bawiłem się leżącymi luzem cegłami, ustawiając je jedne na drugich jak klocki. I wtedy coś przykuło mój wzrok. Za murami domu znajdował się pagórek. A na pagórku roilo się od kopczyków podobnych do

kopców kretów lub bobrów, tyle że większych. Wpatrywałem się w te kopce z dziwnym nerwowym rozedrganiem, które nagle zupełnie się uspokoiło.

Wiedziałem, co to za kopce. Groby.

W Korei Północnej grób jest tylko małym okrągłym kopcem ziemi, w który wetknięto drewnianą lub kamienną tabliczkę z imieniem i nazwiskiem zmarłego. Kiedy patrzyłem za dom, widziałem podnóża łańcucha górskiego, który piął się jakieś siedemset pięćdziesiąt metrów wzwyż, oznaczony wijącymi się niczym węże żyłami śniegu, które zdawały się pełzać ku dolinie. A u podnóża gór rozciągało się ogromne cmentarzysko. Nasz przyszyły dom stał tuż obok cmentarza.

Ojciec postanowił wybudować dom przy cmentarzu, pomyślałem. Czemu to zrobił? Czy on w ogóle wie, że tam są groby? Bałem się ciemności, miewałem napady paniki, gdy musiałem wyjść po ciemku do wygodki. O ile straszniejsze będzie wychodzenie w nocy za potrzebą, gdy obok będzie tyle grobów?

Znacznie straszniejsze, pomyślałem.

Ale nic nie powiedziałem. Ojciec był moim bohaterem, chciałem, żeby był szczęśliwy. Dla niego mogłem zamieszkać z umarłymi.

Podczas gdy ojciec dokonywał inspekcji, bawiłem się połamanymi cegłami i przyglądałem się, jak robotnicy kielniami kładą zaprawę. Na działce było miejsce na duże podwórko i ogród, ale byłem w stanie myśleć tylko o kolegach z bloku, których opuszczę. O nich i o cmentarzu. Ojciec wydał jeszcze kilka poleceń, po czym pojechaliśmy do domu.

Ojcu zależało na własnym domu z wielu powodów. Gdzieś w głębi duszy, jako chłopak wychowany na zabitej dechami wsi w Undok, utożsamiał posiadanie wolno stojącego domu z bogactwem i koneksjami. Teraz, gdy stał się wschodzącą gwiazdą w naszej prowincji, jego też było stać na wybudowanie takiego domu. Jak każdy ambitny człowiek chciał, aby jego sukces był widoczny.

Ale dom był także dla mojej matki.

Pamiętam, że raz, kiedy byłem bardzo mały, odwiedziliśmy moich dziadków ze strony matki. Ciotki i wujowie też tam byli, wszyscy zebrali się wokół stołu i rozmawiali o mojej matce z czasów, kiedy była młoda i uganiała się za moim ojcem prawie jak szalona, gdy oboje pracowali w tym samym kołchozie. „Ale go ganiałaś po tym biurze!” – wykrzyknął w pewnym momencie jej brat, starając się wywołać uśmiech na jej twarzy. Co się stało

z tą upartą dziewczyną, mówili, gdzie się podziała ta namiętna miłość? Zerknąłem na matkę, miała spuszczone oczy i zaciśnięte wargi. Przeniosłem spojrzenie na ojca. On też spuścił wzrok, miał zboląłą minę i czuł się wyraźnie nieswojo. Nie chciał, żeby mu przypomiano, jak ułożyło się ich życie. Matka nie ganiała już za nim. Tamto uczucie wygasło, zanim się urodziłem.

Ojciec myślał, że mama tak często choruje i jest przygnębiona dlatego, że nie ma własnego domu. Czy raczej spodziewał się, że rozwiązanie jest tak proste. Tak czy inaczej, biorąc na siebie ogromne ryzyko związane z budową domu, starał się o nią zatroszczyć. Nowy dom miał świadczyć nie tylko o tym, jak daleko ojciec zaszedł. Jestem pewien, że miał być również cichym dowodem troski. I miłości.

Mimo to już wkrótce dom na Osiedlu Ósmego Lipca miał się stać świadkiem ogromnych cierpień.

Rozdział 3

Kiedy na wiosnę się wprowadziliśmy, dom nie był jeszcze ukończony. Niejedno trzeba było jeszcze poprawić: brakowało elementów podłogi, w jednym oknie nie było szyby. Ojciec wracał wieczorami z pracy i kończył dom, śpiewając sentymentalne pieśni północnokoreańskie. Kiedy skończył, zabrał się do robienia mebli: powstały piękne szafki i komody z sosny koreańskiej. Kiedy odwiedzałem domy sąsiadów, przekonywałem się, że meble, które kupili w sklepach, nie są nawet w przybliżeniu tak ładne i solidne jak te, które wykonał mój ojciec z pomocą kilku prostych narzędzi.

Z początku wszystko szło dobrze. Bong Sook była tak dobra i cicha jak zawsze. Choroba matki jakby zelżała, a ojciec zachwycał się swoim nowym domem, jakby to był jego drugi syn. Zdołałem pogodzić się jakoś z obecnością nieboszczyków na cmentarzu. Kiedy wiał wiatr od gór, w domu słychać było żałobników. Czasami słyszałem salwę trzech wystrzałów, co oznaczało, że chowają żołnierza. Zamiast się bać, myślałem sobie wtedy: Komuś dali strzelić z karabinu! W tamtym okresie miałem hopla na punkcie broni palnej i wojska. Trzy razy, myślałem. Ale szczęściarz.

Jeśli idzie o cmentarz, to sam siebie zaskoczyłem. Zamiast zawsze prosić ojca, by wziął mnie za rękę i zaprowadził do wygodki, biegałem tam sam tuż przed pójściem spać. W świetle księżyca widać było zbocze góry i kopczyki grobów. Koreańczycy są bardzo zabobonni: wierzą w miejsca nawiedzone, w duchy i złe znaki. Nie bałem się zmarłych w grobach, lecz czasem podczas tych krótkich wycieczek, gdy poświata księżycowa kładła się na mogiłach w określony sposób, do głowy wpadała mi myśl: A co by było, gdyby nie było cię już na świecie, Maczku? Co by było, gdybyś przestał istnieć? Wtedy naprawdę zaczynałem się bać. Jeżeli lęk okazywał się zbyt trudny do zniesienia, wołałem ojca, a on brał mnie za rękę i prowadził z powrotem. Nigdy mi nie odmówił.

*

Poznawałem nowych kolegów. Mój najlepszy kumpel z Osiedla Ósmego

Lipca nazywał się Bae Hyo Sung. Mieszkał kilka domów ode mnie i bawiliśmy się razem codziennie. Głównie graliśmy w *Ddakdzi czigi*, gdzie gra się o zdobycie pięknych kwadracików składanego papieru, które wyglądają jak origami. Zupełnie nam na punkcie tej gry odbiło. Później wielu z nas darło na pojedyncze kartki swoje szkolne zeszyty – a nawet podręczniki – żeby mieć z czego zrobić kwadraciki do gry, którymi później rzucaliśmy mocno o kwadracik przeciwnika tak, by obrócił się na drugą stronę. Podarłem nawet na ten cel należący do ojca egzemplarz wspomnień Kim Ir Sena, co nie tylko wywołało jego wściekłość, ale też stanowiło przestępstwo przeciwko ustrojowi państwowemu.

Hyo Sung i ja byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu, ale on miał pewność siebie, o jakiej mogłem co najwyżej pomarzyć. Część tej śmiałości brała się być może stąd, że jego ojciec, urzędnik miejski, był olbrzymem: mierzył co najmniej metr osiemdziesiąt, co czyniło go bodaj najwyższym człowiekiem, jakiego znałem. Jego mama, która była miła i rozmowna, wyglądała przy mężu jak karlica.

Pełne przechwałek gadki kumpla działały na mnie elektryzująco. Zaczynałem się zmieniać z posłusznego chłopca, którym matka chwaliła się koleżankom na ulicy.

Tamtego roku poszedłem do przedszkola i poznałem swoich pierwszych szkolnych kolegów, a także pierwszy raz zetknąłem się z dziećmi, które odnosiły się do mnie wrogo. W Korei Północnej, kiedy się idzie do szkoły, uczeń nie jest oceniany pod względem postępów w nauce, lecz ze względu na to, jak dobrze umie się bić. Dosłownie. Mogę wam powiedzieć, kto był numerem jeden wśród chłopców w mojej pierwszej klasie, a także kto był numerem siedem, a liczby te odnoszą się tylko do jednego: jak dobrze umiesz się bić w ocenie kolegów klasowych. Szkoły same zachęcają do takiego myślenia: na przykład kiedy ktoś nie przyjdzie na lekcje, nauczycielka nie dzwoni bynajmniej do rodziców, by zapytać o powody nieobecności (po pierwsze, nie ma telefonów). Zamiast tego wysyła grupę najtęższych chłopaków, żeby przywołali dzieciaka do porządku za pomocą krzyku. Czasami posłańcy biją nawet ucznia tak długo, aż ten zgodzi się przyjść do szkoły. Nie wiem, skąd ta mania bitności i krzepy się bierze. Może odpowiedzialność za to ponosi historia mojego kraju, która pełna jest bólu i ucisku.

W przedszkolu na żadną przemoc nie pozwalano, ale wiedziałem, że już za

rok większe dzieciaki będą mierzyły mnie wzrokiem, oceniając moje zdolności do bitki. W przedszkolu otrzymałem też swoje pierwsze przezwisko poza domem: Gang Duk Gee – tak nazywała się postać z filmów szpiegowskich, które wszyscy oglądaliśmy. Gang Duk Gee był szpiegiem południowokoreańskim, więc przezywanie kogoś jego imieniem było okropną obelgą. Później, w podstawówce, dopracowałem się przezwiska tylko odrobinę lepszego: Yeok Do San. Odnosiło się ono do koreańsko-japońskiego mistrza zapasów i oznaczało tyle, co „grubas”. Ale wcale nie byłem gruby. Wszystko przez moją krągłą twarz, odziedziczoną po matce.

Tak czy inaczej, wiedziałem, że będę się musiał bić przez swoje przezwiska. Było to nieuniknione.

*

W przedszkolu dowiedziałem się więcej o Kim Ir Senie. Oczywiście wiedziałem sporo o Wielkim Wodzu, jeszcze zanim zacząłem się uczyć. Był naszym dziadkiem, miał magiczne moce, był najmądrzejszym człowiekiem na świecie i często latał nad wsiami, pilnując wszystkich swoich dzieci. Jak wszystkie rodziny w Korei Północnej, tak też i nasza miała na ścianie kapliczkę poświęconą Wielkiemu Wodzowi i jego żonie. Pierwszą czynnością, jaką mój ojciec wykonywał co rano, jeszcze przed umyciem się i zjedzeniem śniadania, było wzięcie kawałka sukna i pieczołowite odkurzenie obu ich portretów. Kim Ir Sen był bardzo przystojny, od jego twarzy bił olśniewający blask pełen dobra, jego oczy były łagodne i pełne stanowczości zarazem.

Można było trafić do kolonii karnej za dopuszczenie, by portret Kim Ir Sena się zakurzył, albo za umieszczenie podobizny Wielkiego Wodza za pękniętym szkłem. Lecz mój ojciec czyścił te obrazy nie ze strachu, ale ze szczerzej czci.

Przedszkole odmieniło moje spojrzenie na Wielkiego Wodza. W pierwszych dniach zajęć nasi wychowawcy, o twarzach poważnych i nieruchomych, pokazali nam zestaw rysunków. Zgromadziliśmy się wokół, aby się im jak najlepiej przyjrzeć: grupa żołnierzy amerykańskich o dużych oczach, jeszcze większych nosach i błyskających białych zębach dźgała Koreańczyków bagnetami ostrymi jak brzytwa. Obraz był tak przerażający,

że myślałem, że zemdleję. Ale uważałem się już za żołnierza i nie odwróciłem wzroku. Z zapartym tchem słuchałem nauczycielki, która wyjaśniała, że Amerykanie przybyli do naszej ojczyzny, by mordować Koreańczyków tylko dlatego, że sprawiało im to przyjemność. Amerykanie uwielbiali zabijać koreańskie dzieci.

Przebiegł mnie dreszcz strachu. Jako fizyczny wstrząs odczułem to, że na świecie są tacy ludzie. Wiedzieliśmy, że Amerykanie są źli. W filmach szpiegowskich to zawsze oni albo Japończycy usiłowali wykraść tajemnice Korei Północnej, ale teraz zobaczyłem dowód na to, jak bardzo są w rzeczywistości okropni. Nauczycielka pokazała nam nowy obrazek, ostatni w pliku. Zamrugąłem z niedowierzaniem. Amerykańscy żołnierze wpychali ciężarne Koreanki do pomieszczenia wypełnionego ogniem. Wpatrywałem się w rysunek, gdy nauczycielka wyjaśniała, że Amerykanie uwielbiają piec Koreańczyków żywcem albo zamykać ich w komorach gazowych. Komory gazowe zabijały szybciej.

Łzy stanęły mi w oczach.

Jedynymi ludźmi, którzy powstrzymali Amerykanów przed atakami na nasz kraj, powiedziała nauczycielka, byli Kim Ir Sen i żołnierze Korei Północnej. Pokiwałem głową. Wielki Wódz dokonał znacznie więcej, niż do tej pory wiedziałem. Tamtego wieczoru po powrocie do domu popatrzyłem na portrety Kim Ir Sena i jego żony wiszące na ścianie.

Od tego dnia kłaniałem się im ze szczerym szacunkiem.

*

Tamtego lata Hyo Sung i ja zostaliśmy tajnymi agentami. Wyrzuciliśmy nasze łuki i strzały do śmieci i zaczęliśmy błagać swoich ojców o pistolety. Tata zawsze kupował zabawki, o które prosiłem, ale teraz popatrzył na mnie dziwnie.

– Rzeczy są teraz droższe niż kiedyś – powiedział ścisłym głosem – ale wystrugam ci pistolety z drewna. Co ty na to?

Zrobiło mi się gorąco z irytacji. Czemu ojciec nie mógł zarobić więcej pieniędzy, żeby kupić mi zabawkowe pistolety? Zacząłem narzekać, ale wystarczyło jedno spojrzenie na ojca, żebym umilkł. Dostrzegłem w nim smutek, którego wcześniej nie było. Martwi się czymś, pomyślałem. Ciekawe

czym.

Ojciec dotrzymał słowa. Dostarczał mi mnóstwa ręcznie struganych pistoletów, rewolwerów i karabinów. Sam miał kolekcję starej broni, którą zbierał od znajomych, i robił mi zabawki na ich wzór. Wszyscy chcieli się ze mną kolegować. Kiedy ojciec wystrugał mi pistolet, który z pomocą gumki wystrzeliwał małe kamyki, moi koledzy o mało nie umarli z zazdrości.

Byłem fajłapą, wiecznie się potykałem i przewracałem o wystające korzenie drzew i dziury w ziemi. Albo chowałem sobie pistolecik do kieszeni jak bandyta i uderzałem nim o framugę drzwi, gdy biegłem do swojego pokoju, roztrzaskując zabawkę na kawałki. Utrata broni napawała mnie wielkim smutkiem.

Ilekczość mi się to zdarzyło, biegłem do ojca i prosiłem: „A mógłbyś...?”. Z początku tylko się śmiał i zabierał się do strugania nowej zabawki. Ale w końcu zdenerwowała go moja niesamowita umiejętność psucia wszystkiego, czego się tknąłem, i dał mi zabawkę pozbawioną szczegółów – tylko kawałek drewna w kształcie pistoletu. Spojrzałem na topornie wykonaną zabawkę. To była kara za moją beztroskę i bezmyślność. Smuciłem się przez jakiś czas, ale nawet najgorszy pistolet wystrugany przez ojca był lepszy od zabawek, które mieli moi koledzy.

Uwielbiałem te pistolety i karabiny. Spałem z nimi, a gdy budziłem się rano, natychmiast sięgałem po swoją najnowszą sztukę broni. Kiedy dotykałem gładkiego drewna, ogarniał mnie błogi spokój. Byłem pewien, że kiedy dorosnę, zostanę szpiegiem albo żołnierzem, który będzie bronił ojczyzny przed ludźmi z wielkimi nochalami.

Byłem wielkim patriotą. Wierzyłem, że Kim Ir Sen troszczy się o mnie i moją rodzinę. Wszyscy wierzyliśmy. Dlatego tak trudno było nam się pogodzić z tym, co miało wkrótce nadejść.

Rozdział 4

Hyo Sung i ja uwielbialiśmy ganiać za ważkami. Jako chłopiec z miasta byłem zafascynowany ich ciemnymi połyskliwymi skrzydełkami. Polowaliśmy na nie każdego dnia. Owady najbardziej lubiły przysiądać na zielonych łodygach kukurydzy rosnącej na polach obok naszych domów. Ważki obsiadały górne części łodyg i brzęczały w upale. Podkradaliśmy się do nich od tyłu i łapaliśmy je w dłonie. Robiliśmy sobie nawet specjalny sprzęt łowiecki, coś w rodzaju rakiety tenisowej z łodyg kukurydzy i pajęczyn pośrodku. Kiedy machało się tą „siatką” w brzęczącym powietrzu i złapała się któraś z ważek, mówiliśmy, że jest naszym więźniem.

Tuż przed cmentarzem blisko naszego domu biegł kanał irygacyjny, który zaopatrywał pola w wodę. Biegaliśmy wzdłuż tego rowu, ścigając szczególnie piękne okazy, i zapuszczaliśmy się daleko od domów, w góry po prawej stronie, podczas gdy nad ich zaokrąglonymi barkami sączyły się promienie słońca. Dopóki świeciło słońce, biegaliśmy i skakaliśmy, i ganialiśmy naszą zwierzynę.

Pewnego letniego dnia Hyo Sung i inni nasi koledzy przerwali się na łapanie żab, które znajdowaliśmy w kanale nawadniającym. Woda nie była zbyt głęboka, może na trzydzieści centymetrów, ale kanał ciągnął się w nieskończoność. Mimo że tamtego lata chodziłem wzdłuż niego całymi kilometrami w poszukiwaniu zielonych żab, nigdy nie dotarłem do jego końca.

W miejscu, gdzie przez stalowe rury przebiegał pod drogą, nurt wody stawał się znacznie silniejszy. Pewnego upalnego czerwcowego dnia, gdy mój kolega Chul Min z dwoma innymi kumplami polowali na żaby, nagle Chul Min wskoczył do rowu, bo zobaczył siedzącą na kamieniu ropuchę. Nurt był bardzo silny, Chul Min stracił oparcie i wkrótce płynął już porwany przez wartki potok, wołając o pomoc. Pognałem za nim, serce waliło mi jak młotem. Wiedziałem, że Chul Min nie umie pływać, a gdyby wpadł do jednej z rur, utknąłby pod drogą. Kiedy dopłynął do wlotu jednej z nich, złapał się jej brzegu i wrzasnął:

– Pomocy! Pomocy! – Woda oblewała mu twarz, wykrzywając jej rysy. Nie wiedziałem, co robić.

Pobiegłem na najbliższe pole. Chwyciłem łodygę kukurydzy i wyrwałem ją z ziemi. Pobiegłem z powrotem do Chul Mina. Widzieliśmy, jak rwący prąd ściąga go pod powierzchnię, słyszeliśmy głośne ssanie wpadającego do rury wiru. Na obrośniętym trawą brzegu wsunąłem część łodygi do wody i zawołałem:

– Złap się tego!

Chul Min wyciągnął jedną rękę, próbując chwycić się łodygi. Za trzecim razem udało mu się ją złapać, ciągnęliśmy go tak długo, aż bolały nas plecy. Woda z szumem oddała nam go i tułów jego drobnego ciała legł na trawie, podczas gdy nogami wciąż tkwił w wodzie. Żył.

Wtedy po raz pierwszy poczułem bliskość śmierci. A moi koledzy i ja zdołaliśmy ją przechytryć. Czułem się wspaniale.

Tego dnia wszyscy sąsiedzi nazywali nas bohaterami. Kiedy usłyszeli, co zrobiliśmy, wychodzili nawet z domów i bili nam brawo, jakbyśmy byli żołnierzami wracającymi z wojny. Na całym osiedlu stałem się sławny jako chłopiec, który uratował Chul Mina za pomocą łodygi kukurydzy.

*

Obiad jedliśmy latem o piątej po południu. Rodzice wysyłali Bong Sook, żeby sprowadziła mnie do domu. Czasami uciekałem jej, bo zabawa w wojnę wciągnęła mnie tak bardzo, że ani myślałem o jedzeniu. „Ale teraz moja kolej, żeby łapać szpiegów!” – protestowałem. Błagałem ją o chociaż kilka dodatkowych minut. Kiedy indziej szedłem z nią do domu, licząc po cichu na *kko Dżang Dduk*, rodzaj naleśnika kukurydzianego, który był moją ulubioną potrawą. Dla mnie te gorące naleśniki oznaczały bezpieczeństwo – oznaczały miłość.

Aby zrobić *kko Dżang Dduk*, matka brała mąkę kukurydzianą i dodawała sacharynę (cukru w Hoeryöngu prawie nie znano), trochę sody oczyszczonej i wodę, zagniatając z tych składników gęste ciasto. W międzyczasie w osobnym garnku gotowała biały ryż. Po trzydziestu minutach ryż był prawie gotowy – cała woda z garnka już wyparowała. Matka dzieliła wtedy ciasto i formowała z niego okrągłe placki, a następnie wkładała je do garnka z ryżem, przyklejając każdy placek do ścianki. Po dziesięciu minutach naleśniki były gotowe. Przepis był więc prosty, ale naleśniki łatwo było

zepsuć: jeśli włożyło się je do garnka, zanim woda się wygotowała, wychodziły mokre.

Pewnego lipcowego dnia tamtego roku bawiłem się z kolegami, gdy usłyszałem wołanie Bong Sook niosące się przez pola: „Maaacz-kuuuu!”. Spojrzałem na słońce, stało na niebie jeszcze za wysoko na to, by mogło chodzić o obiad. Pożegnałem się z kolegami i ruszyłem do domu.

Kiedy mijałem domy przy naszej ulicy, zauważyłem, że każdy z nielicznych telewizorów u sąsiadów był włączony. Było to wprost wstrząsające. Zwykle państwowe programy telewizyjne rozpoczynały się dopiero o piątej po południu, a do tej pory można było obejrzeć tylko „wojnę mrówek”. Ale teraz ze wszystkich domów z telewizorami słyszałem jeden i ten sam głos. A ulice, które powinny były być pełne ludzi śpieszących do domu na obiad, były puste. To było dziwne, miałem złe przeczucia. Co się stało?

Kiedy wszedłem do domu, matka łkała, zasłaniając dłońmi usta. Właściwie nie było w tym nic nadzwyczajnego. Moja matka płakała przed telewizorem cały czas. Ledwie zdążyła doczekać końca napisów początkowych, a łzy już spływały jej po policzkach.

Wstyd było na nią patrzeć. Często obserwowałem ją kątem oka i myślałem: Proszę, nie płacz dzisiaj. Czemu nie mogła poczekać na jakąś smutną scenę, przy której popłakałby się jeszcze ktoś inny? Wtedy nie wyglądałoby to tak dziwnie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że cały czas była po prostu smutna i przygnębiona, a filmy wydobywały po prostu emocje, które skrywała przez cały dzień.

Teraz jednak jej oczy były zaczerwienione, a ręce drżały. I wtedy spojrzałem na Bong Sook – zawsze radosną Bong Sook – i zrozumiałem, że stało się coś strasznie złego. Twarz mojej siostry była wykrzywiona, a z jej ust wydobywał się żałosny jęk.

Był 8 lipca 1994 roku. Dzień śmierci Kim Ir Sena.

Spojrzałem na ekran telewizora, na maszerujących żołnierzy i tłumy ludzi płaczących na ulicach Pjongjangu. Nigdy nie widziałem, żeby ludzie płakali tak gwałtownie, trzęsąc się przy tym i uderzając dłońmi w piersi. Bałem się.

Tamtego wieczoru niebo zdawało się ciemniejsze niż zwykle. Chmury zakryły księżyc i podnóża gór zniknęły w czerni. Zaczęło padać – rześista, dudniąca ulewa, od której ulice zamieniły się w kałuże błota. Zewsząd było słychać płacz ludzi, płacz z telewizorów, płacz w moim domu, a na dworze

deszczu. Wierzyliśmy, że ziemia oplakuje w ten sposób naszego Wielkiego Wodza.

Życie się zatrzymało. Nie mogłem spotykać się z kolegami i polować na ważki ani nawet wychodzić na dwór. Nazajutrz opuściliśmy dom tylko raz – wybraliśmy się pod pomnik pierwszej żony Kim Ir Sena, Kim Dzong Suk, który stał na pięknym placu pośrodku Hoeryŏngu. Wokół posągu zebrało się wielu ludzi, wielu z nich w tradycyjnych koreańskich strojach, że nie można było wepchnąć się w tłum głębiej niż na dziesięć metrów. Ludzie kładli pod pomnikiem kwiaty i zalewali się łzami. Poczucie śmiertelności pełzało w tłumie niczym wąż, udzielając się kolejnym osobom. Jego natężenie okazało się dla mojego czujnika emocji przytłaczające. Wybuchnąłem płaczem, ściskając matkę za rękę.

Możliwe, że część ludzi w tłumie roniła łzy na niby, ale dziecko nie zdaje sobie z takich rzeczy sprawy. Nie wiem nawet, dlaczego właściwie płakałem; żałobny nastrój był tak silny, że wepchnął się do mojego serca. Powoli posuwaliśmy się naprzód i wreszcie, we łzach, ukląknęliśmy na schodach u stóp pomnika razem z mamą i siostrą. Posąg stał teraz w morzu kwiatów, zdawał się unosić na ich kolorowych płatkach.

Bez Wielkiego Wodza świat stał się straszniejszy. Odczuwałem jego nieobecność tak jak nawigator, który stracił z oczu Gwiazdę Polarną. Kto się teraz nami zaopiekuje?

Rozdział 5

Głód przybył następnego roku. To nie było tak, że pewnego dnia zdjęliśmy z garnka pokrywkę i nie znaleźliśmy tam nawet ziarnka ryżu. Przeciwnie, wszystko znikało powoli, jakby wyparowywało. Nie było Internetu ani wiadomości telewizyjnych, ani rozdzwaniających się telefonów, które ostrzegłyby nas przed nadciągającym nieszczęściem. Później niektórzy nazywali tę klęskę głodu *Gonan-eui haenggun*, „Marszem Cierpienia”, co było rządowym hasłem propagandowym, które miało znaczyć, że życie jest teraz trudne, ale nadejdą lepsze czasy. Władzom zależało też na tym, żebyśmy uwierzyli, że zapasy zboża nie zniknęły z winy rządzących i że wszyscy cierpią tak samo. Później dowiedziałem się, że to kłamstwo.

Koreańczycy z Północy nigdy nie nazywali głodu „Marszem Cierpienia”. W ogóle nie nadaliśmy mu nazwy. Był jak ciężka, trująca mgła, która wdziera się do ust, zanim zdążysz wydać okrzyk ostrzeżenia.

Nie wiedzieliśmy, że Rosja przestała przysyłać Korei Północnej żywność i nawozy, całe tony żywności i nawozów, które pomagały utrzymać kraj przez wiele lat. Związek Radziecki rozpadł się w 1991 roku. Rosja, która wyłoniła się na skutek tego procesu, miała mało pieniędzy i nie była już zainteresowana wspieraniem tych nielicznych reżimów komunistycznych, które pozostały jeszcze na świecie, Kuby czy Korei Północnej. Mimo propagandy władz, która kładła nacisk na Ideę Dżucze, czyli samowystarczalności, to dzięki bratniej pomocy Związku Radzieckiego naród północnokoreański utrzymywał się przy życiu.

Co gorsza, w 1995 roku Koreę Północną nawiedziły monsunowe ulewy, które wypłukały najbardziej żyzne warstwy gleby i zniszczyły tysiące hektarów upraw. Katastrofalna polityka władz, by uprawiać tylko część ziemi rolnej, wywołała ogromne cierpienia. Rząd, teraz pod kierownictwem Kim Dzong Ila, zareagował serią kampanii patriotycznych. Mieszkańców miast zmuszano do wyjazdów na wieś, gdzie trudzili się, pracując w polu, od świtu do zmroku. Zaczęto namawiać: „Jedźmy dwa posiłki dziennie!”. Ale korupcja i rozpad systemu gospodarczego skazywały te wszystkie wysiłki na niepowodzenie. Nie było prywatnego rynku, gdzie można by było kupić ryż lub tofu; władze państwowe były jedynym źródłem żywności. A z miesiąca

na miesiąc ilość jedzenia, jaką dystrybuowano, gwałtownie się kurczyła.

Mój ojciec, jak się okazało, wybrał fatalny moment na wybudowanie swego wymarzonego domu. Gospodarka Korei Północnej znajdowała się na skraju ruiny.

Pierwszy znak katastrofy, jaki zauważyłem, nadszedł pod koniec 1995 roku i nie miał nic wspólnego z klęską nieurodzaju ani z niczym równie oczywistym, lecz wiązał się z filmem animowanym. Serial nosił tytuł *Chłopiec generał*, a jego akcja osadzona była w 50 roku p.n.e. Otóż pewnego dnia zwykły chłopiec budzi się i odkrywa, że zmienił się w superbohatera. Lata w powietrzu, strzela z łuku i jeździ konno, jakby urodził się w siodle. Moi koledzy i ja zwariowaliśmy na punkcie tej kreskówki. Wdrapywaliśmy się na drewniane płotki, które oddzielały nasze podwórka, i skakaliśmy z nich, wołając, że jesteśmy chłopcem generałem – hop! i „ajjjiiii!”. Nasze mrozące krew okrzyki niosły się wśród wzgórz.

Rozumie się więc samo przez się, że nigdy nie przegapiłem ulubionego programu. Pewnej zwyczajnej środy, gdy siadłem przed telewizorem i prawie unosiłem się w powietrzu z ekscytacji, że zaraz obejrzę najnowszy odcinek, obraz falował i w ogóle nie było dźwięku. Nie słyszałem nawet piosenki z czołówki.

Gdzieś w prowincji telewizyjna stacja przekaźnikowa nie otrzymywała dość prądu. Byłem wstrząśnięty. Zacząłem wymyślać w głowie dialogi z filmu, obserwując poruszające się wargi bohaterów i wyobrażając sobie, o czym dana postać może mówić. To było straszne. Moje dialogi nie miały sensu! Zdenerwowałem się tak bardzo, że miałem ochotę roztrzaskać telewizor o podłogę.

– Tato – zawołałem – co się stało z telewizorem?

Ojciec podszedł i spróbował lepiej ustawić antenę, ale nic to nie dało. Stał przez chwilę w milczeniu, a potem westchnął. Mój czujnik emocji wykrył coś nieznanego w jego wyrazie twarzy, ale zignorowałem sygnał. Cały odcinek *Chłopca generała* mi uciekał! Gapiłem się w ekran z niemym przerażeniem. Byłem mocno zirytowany. Jak dorośli mogli pozwolić, żeby coś takiego spotkało naszego bohatera narodowego?

Zacząłem zauważać inne sprawy. Przerwy w zasilaniu, które zdarzały się zawsze, stawały się coraz straszniejsze. Nagle światła w naszym zakątku Osiedla Ósmego Lipca po prostu gasły i widzieliśmy tylko to, co wydobywała z mroku poświata księżycy: linie dachów, kopczyki grobów na

górkim zboczu.

Potem zniknęły naleśniki kukurydziane mojej matki. Ostatni raz zrobiła je w następne lato i nigdy więcej nie zaszczyciły już naszego stołu. Nie pytałem jej, kiedy znowu będziemy je jedli. Gdzieś w głębi wyczuwałem, że to niedobra pora na drażnienie tematu.

Nawet skromny makaron kukurydziany – podstawa naszej diety – stał się rzadkością. Bong Sook zawsze „najadała się” pierwsza i resztę makaronu ze swojego talerza zsuwała na mój, a ja opychałem się nim łakomie, ale tak naprawdę nikt nie kończył posiłku z pełnym brzuchem. Domowy chleb, który matka uwielbiała piec, nie roztaczał już wokół swego cudownego drożdżowego aromatu. Tamtej jesieni opuścił nas biały ryż. Jakikolwiek rodzaj mięsa stał się wkrótce odległym wspomnieniem, a samo pojęcie przekąski, czegoś, co je się tylko dlatego, że się lubi, zmieniło się w smutny żart.

Przy braku warzyw i stresie związanym z niemożnością nakarmienia własnych dzieci choroba matki wróciła. Kiedy wracałem ze szkoły, zastawałem ją leżącą na podłodze, jej oczy były jak dwie czarne kreski. Niedożywienie zaczęło wpływać na funkcjonowanie jej mózgu. Ciągłe skarżyła się ojcu, że słyszy, jak coś porusza się w ścianach.

Ojciec zbywał jej lęki wzruszeniem ramion. Ale matka upierała się, że gdy ja bawiłem się na dworze, a Bong Sook była w szkole, zaczynały się hałasy – skrobanie, szelesty, tajemnicze piski. Czy były to myszy? Czy może nowy dom osiadał?

Wreszcie, gdy hałasy nie przestawały jej prześladować, ojciec wyjawiał jej sekret. Podczas budowy domu razem z robotnikami natknął się pod fundamentami na coś, czego nie powinno być tam być. Na kości.

Kiedy ojciec i robotnicy wykopywali piwnicę na kimchi, odkryli na głębokości półtora metra części ludzkich szkieletów. Możliwe, że władze przejęły ziemię cmentarza i nigdy nie zadano sobie trudu, by usunąć mogiły. Może kości zostały wymyte z gór przez deszcze wiele lat wcześniej i od tego czasu okryły się warstwą ziemi. Ale ojciec bał się, że utraci swój wymarzony dom, i dlatego nic nie powiedział.

Jego rewelacje mocno wstrząsnęły matką.

– To przez te kości choruję! – naczyczała na ojca. – Zmarli muszą spoczywać w spokoju. Chcą znaleźć drogę do swojego domu!

Rodzice byli zupełnie zagubieni. Najpierw głód, teraz duchy straszące

w domu. Oba doświadczenia wykraczały poza ich niewielką wiedzę o świecie. Władze nie mogły pomóc, sąsiedzi też nie. Dlatego też rodzice poszli do *miszin*.

Miszin to szaman, postać, która była częścią kultury koreańskiej od tysiącleci. Mimo że władze surowo tępiły wszelkie przejawy dawnych wierzeń, każda większa wioska wciąż miała jedną osobę, zwykle kobietę, która była gotowa wkroczyć w świat duchów w czyimś imieniu, za drobną opłatą. Tak więc pewnego wieczoru rodzice poszli na spotkanie z miejscową wiedźmą. Musieli poprosić ją o wykonanie *bhang toh*, o wyprowadzenie zagubionego ducha.

Kiedy matka i ojciec wrócili do domu, ich nastrój wyraźnie się zmienił. Byli radosni. Gdy tylko przekroczyli próg, zabrali się do przygotowywania pysznego posiłku: białego ryżu z jajkami i smażoną wieprzowiną – i to w dużych ilościach. Cierpieliśmy już wtedy napady głodu, doznając tej drapiącej, bolesnej łapczywości, która szarpie w żołądku i gnieździ się niczym coś złowrogiego w zwojach kiszek. Nie posiadałem się więc ze szczęścia, gdy zobaczyłem, że gotują. Biały ryż! Soczyste mięso! Gdzie to kupili? Zapach wieprzowiny był niczym potężny eliksir, a ja spijałem go z radością. Kiedy jednak nadeszła północ, rodzice nałożyli wszystkie te smakowitości do glinianego garnka, który nakryli następnie najlepszą chustą matki i postawili w kącie domu.

Po chwili oszołomionego milczenia zacząłem wyć. Głośno. Chciałem zjeść te jajka i biały ryż. Rodzice uciszyli mnie i wyjaśnili, że jedzenie zostało przygotowane po to, żeby duch gnieźdzący się w naszych ścianach opuścił dom. Pomyślałem, że to idiotyczne. Upłynęło dużo czasu, zanim zasnąłem, niepokieszony.

Rodzice odprawili podobny rytuał trzy razy w ciągu kilku miesięcy, wykonując instrukcje *miszin* co do joty. Za drugim i trzecim razem do ciepłego jedzenia w garnku dołożyli jeszcze banknoty. Uznałem, że ten duch musi być bardzo ważny, skoro nie dość, że go karmią, to jeszcze dają mu gotówkę. Po ustawieniu garnka w kącie wszyscy szliśmy spać.

Nazajutrz rano garnka nie było, za każdym razem. Rodzice nie kryli satysfakcji. Można nawet powiedzieć, że rytuał zadziałał. Po zniknięciu trzeciego garnka matka przestała słyszeć w domu dziwne hałasy. Rodzice wierzyli, że duch wyszedł ze ścian i zabrał jedzenie, a *miszin* zaprowadziła biedną duszę z powrotem do krainy umarłych. Zbiednieliśmy wprawdzie, ale

nie nawiedzały nas żadne straszysła.

Co tak naprawdę się stało? Może to był sąsiaz, który zapraęnął ryzu i pieniędzy za darmo. Może sama szamanka przychodziła w środku nocy, żeby zabrać garnek tak, aby jej klienci byli zadowoleni, a także po to, by skorzystać z rzadkiej okazji i najeść się do syta.

Zawsze zastanawiała mnie sprawa tych kości i *miszin*. Czy matka rzeczywiście słyszała w ścianach jakieś hałas? Czy też może umysł ostrzegał ją przed czymś? Czasem myślę, że przewidywała nadejście wielkiego głodu, a głosy w głowie mówiły jej, że nadchodzi katastrofa.

Duch odszedł, ale szamanka nie mogła nic poradzić na głód, który teraz nam towarzyszył i sprawiał, że robiliśmy się drażliwi i senni. Chciałem zapytać rodziców, co się dzieje – czemu zniknęło całe jedzenie? – lecz twoga w ich oczach mnie powstrzymywała.

Dodawaliśmy coraz więcej wody do zupy zbożowej. Kiedy zboże się skończyło, dorzucaliśmy do garnka mniszki lekarskie i ziele, aby dodać zupie smaku i treści. Pewnego dnia w naszych miskach pojawiło się coś kolczastego. Z początku nie zdawałem sobie sprawy z tego, co to takiego, lecz przyjrzawszy się uważnie, uświadomiłem sobie, że to soja. Nie nasiona soi, które były smaczne, trochę jak orzeszki ziemne, lecz łodygi samej rośliny. Matka poszła na pobliskie wzgórza i wróciła z tymi suchymi badyłami, ugotowała je i podała nam do jedzenia. Mój mózg, choć wariował z braku pożywienia, powiedział: To jest kompletne obrzydlistwo.

Wziąłem łodygę i włożyłem do ust. Ociekała wodą i wystarczyło na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, że będzie smakować okropnie. Zacząłem przeżuwać jeden koniec.

– To paskudztwo!

– Jedz – powiedział ściszym głosem ojciec. Nie spojrzał na mnie. Był teraz osowiały i markotny, nie to, co kiedyś. Pewność siebie, która biła od niego jeszcze rok temu, zniknęła.

Nie chciałem tego jeść. Roślina miała na łodydze drobne kolce i smakowała tak, jak musiał smakować beton. Czułem, jak zielsko zsuwa mi się w głąb przełyku, drapiąc gardło. Myślałem, że zwymiotuję, lecz w końcu udało mi się zjeść jedną łodygę.

Ciało wie, kiedy je coś, co nie jest jedzeniem. Człowiek czuje się wtedy tak, jakby coś obcego trafiło do żołądka. Przez pewien czas ma się wrażenie pełnego brzucha, ale czuć, że żadne składniki odżywcze nie płyną do rąk

i nóg, że nie ma tłuszczu, który mile polectałyby kubki smakowe. Jest tylko namoczony badył, który leży na żołądku niczym ołowiana kula.

To gorsze niż głodowanie, pomyślałem. Ale oczywiście nie miałem racji.

Rozdział 6

Nie tylko my cierpieliśmy. Pewnego wieczoru podsłuchałem rozmowę rodziców. (Nasz dom był za mały na to, by cokolwiek można było zachować w tajemnicy). Dziadek naszego sąsiada zmarł poprzedniego dnia z głodu.

Nie znałem tego dziadka, jego imię nie wywoływało w mojej głowie skojarzeń z żadną twarzą. Ale ta wiadomość mnie przeraziła. Nie wiedziałem, że komuś może się skończyć jedzenie i ten ktoś może przez to umrzeć. Ten nowy fakt – że głód prowadzi do śmierci – był dla mnie wstrząsający.

W pierwszych miesiącach głodu ludzie zaczęli panikować. Nie wiedzieli, co robić. Tak jakby byli dziećmi, które obudziły się pewnego dnia i odkryły, że ich rodzice zniknęli z całym ryżem bez wieści. Ludzie w Hoeryöngu byli zagubieni i niespokojni, lecz bali się także, że matka i ojciec ich porzucili. Krzyczeć w państwie totalitarnym, że komuś zmarł z głodu brat czy ojciec, oznacza oskarżać rząd o poważne przestępstwo: Czemu władze na to pozwoliły? *Inminban*, miejscowy hufiec kobiet, który zgłaszał władzom tych, którzy sprawiali kłopoty, miał oko na nas wszystkich. Gdyby któraś z tych kobiet usłyszała, jak skarżysz się na brak jedzenia, mógłbyś narobić sobie poważnych problemów. Tak więc ludzie trzymali język za zębami.

Nie mieliśmy też tej pociechy, by winić złego Boga, ponieważ Bóg w Korei Północnej nie istniał. Musieliśmy przełknąć nasz strach i jakoś żyć. Beznadzieja, którą kiedyś dostrzegłem w twarzy matki, teraz dotknęła nas wszystkich. Sączyła się do naszych domostw niczym ciężki gaz. Nasze twarze nabrały ostrych rysów i apatycznego wyrazu.

Zdarzało mi się przyłapać rodziców na tym, jak spoglądają na Bong Sook i na mnie z trwogą w oczach. Z początku wydawało mi się to dziwne, lecz z biegiem czasu zrozumiałem, że obserwują nas, szukając oznak wygłodzenia. Nie przejmowali się tym, że sami mogliby umrzeć. Najbardziej bali się tego, że nie uda im się nas nakarmić.

Kiedy głód ogarnął Hoeryŏng, moi rodzice coraz częściej się kłócili. Nigdy nie odnosili się do siebie ze szczególną tkliwością. W Korei Północnej nie ma zwyczaju, by przytulać małżonka lub dzieci i mówić: „Kocham cię”. Małżeństwo, które od początku było dość wątle, stało się kruche i łamliwe, kiedy ta straszna katastrofa, która wystawiała na ciężką próbę nawet najmocniejsze więzi międzyludzkie, na nas spadła. Miłość matki i ojca drżała od niej w posadach.

Rodzice kłócili się o jedzenie. Trudno było im skrywać zmartwienia i strach w dwuizbowym domu. „Ale nic nam już nie zostało! – słyszałem, jak matka krzyczy na ojca. – Dlaczego nie weźmiesz pożyczki ze swojego zakładu pracy tak jak inni mężczyźni?”. Jedną z cech, która sprawiła, że matka zakochała się w moim ojcu, był jego idealizm. Ojciec był kryształowo uczciwy. W przeciwieństwie do wielu innych nie brał łapówek, nie kradł jedzenia i nie wykorzystywał pieniędzy zakładu pracy. W tamtych czasach korupcja była w Korei Północnej tak powszechna, że nawet jej tak nie nazywano: takie było po prostu życie. Ale ojciec chciał iść przez życie z podniesionym czołem.

W tym ciasnym domku, gdy ojciec wracał z pracy wycieńczony i szary na twarzy, mama wpadała w furję. To ona musiała słuchać, jak skamlemy z głodu. To ona musiała chodzić po wzgórzach i rwać paskudne chwasty, a później udawać, że są dobre dla jej rodziny. Kiedy więc ojciec stawał w drzwiach z pustymi rękami, matka wydzierała się: „Poświęcasz życie swoich własnych dzieci!”.

Mój czujnik nastroju chłonał niezadowolenie i irytację matki. Czemu ojciec nie przynosił do domu worków ryżu? Był przecież ważną osobistością. Nie dostrzegałem, że tata jest zupełnie nieprzystosowany do życia w zdziczałym świecie Korei Północnej, że jego wiara w przywództwo w Pjongjangu jest jego straszliwym przekleństwem. W jego pojęciu Korea Północna dała mu szansę na zrobienie kariery, nie mógł więc ukraść z jej skarbcza ani grosza.

Mojej matki i mnie wcale to nie obchodziło. (Bong Sook nigdy nie okazała ojcu gniewu). Narastała we mnie wściekłość. Umieraliśmy.

Dzień po każdej awanturze z domu coś zniknęło. Najpierw poszły ubrania: matka sprzedała nawet suknię, w której wyszła za mąż; ślubnego garnituru ojca także trzeba się było pozbyć. Wiedziałem, że matka sprzedaje te rzeczy na targu, żebyśmy mieli za co żyć.

Chudliśmy coraz bardziej. Gałki oczne wyłaziły nam z oczodołów,

a w każdym razie takie odnosiliśmy wrażenie. Nasze twarze robiły się po prostu coraz chudsze. Nie mieliśmy sił na zabawę, czytanie książek czy cokolwiek innego.

Bong Sook nie musiała już szukać mnie na dworze i wołać na obiad. Na godzinę, nim matka postawiła nasze stare garnki na ogniu, lub jeszcze wcześniej, siadałem przycupnięty przy zimnym palenisku, czekając na jedzenie. Kiwałem się jak w letargu, patrząc, jak przygotowuje posiłek z zielska, jakie udało jej się akurat zerwać.

*

Pewnego wieczoru rodzice wrócili ze spaceru do miasta bardzo podekscytowani.

– Dzieci! W przyszłym miesiącu będzie lepiej – oznajmili. – Zarobimy mnóstwo pieniędzy!

Bong Sook klasnęła w dłonie.

– Jak wspaniale!

– Skąd wiecie? – zapytałem sceptycznie.

– *Miszin* nam powiedziała! – odrzekł ojciec.

Miałem dopiero pięć lat, ale żal ścisnął mi serce. Nawet ja zdawałem sobie sprawę z tego, że szamanka mówi ludziom tylko to, co pragną usłyszeć. Ale rodzice nie posiadali się z radości. Całą noc gadali o tym, co kupią, gdy zacznie spływać gotówka. Zachowywali się tak, jakby pieniądze zostały już zarobione. Najtrudniejsze zadanie polegało teraz na tym, by zdecydować się, jak je wydać.

Kiedy pod względem finansowym robiło się ciężko, rodzice często szukali pomocy u wiedźmy. Nieodmiennie słyszeli od niej dobre wieści: „Za dwa miesiące nadejdą najlepsze dni waszego życia!”, „Za trzy miesiące nigdy więcej nie będziecie się musieli martwić o pieniądze!”. Wiedziony tym optymizmem ojciec podejmował złe decyzje. Zwykle tak trzeźwo myślący i rozsądny, dawał się omotać marzeniami matki. Rozpaczliwie pragnął zapewnić nam utrzymanie i ulegał fałszywym nadziejom. Kiedy matka prosiła o pożyczkę pieniędzy z zakładu pracy, aby sfinansować jej najnowszy plan, wcale na nią nie wrzeszczał. Brał pożyczkę. Czyż szamanka nie wywróżyła, że będzie z tego zarobek?

Dwa miesiące później ojciec prosił matkę o zwrot pożyczki. Matka nie miała pieniędzy. Coś poszło nie tak z interesem, który próbowała akurat rozkręcić. Wtedy ojciec dostawał szału.

Działo się tak zawsze, gdy sytuacja w domu stawała się rozpaczliwa. Rodził się nowy plan, była wizyta u *miszin*, entuzjazm, dwa miesiące oczekiwania, publiczne upokorzenie, a potem straszliwe awantury. Za każdym razem ojciec popadał w coraz większe długi, a jego małżeństwo cierpiało wskutek kolejnego ciosu. Mieliśmy mniej pieniędzy na kupno jedzenia, a żebra sterczały nam coraz bardziej pod skórą.

Kiedy dochodziło do takiej katastrofy, sytuację pogarszało poczucie, że rodzice dali się wystrychnąć na dudka. Jak mogli znowu nabrać się na te same banialuki? Mimo to nie było żadnej innej instancji, do której mogliby się zwrócić. Za miesiąc matka szła do nowej *miszin*, a ojciec, z początku niechętnie słuchając o obiecanych bogactwach, ostatecznie dawał się namówić. A później w domu rozlegały się wrzaski: „Gdzie są pieniądze?!”.

Byli zagubieni jak małe dzieci.

Nawet w tak młodym wieku wiedziałem, że jestem inny niż rodzice. Oni byli łatwowierni. Ojciec wierzył w wartość ciężkiej pracy i we władze Korei Północnej. Matka wierzyła, że zbije na swoich interesach majątek. Oboje zdawali się na łut szczęścia. Gdyby w Korei Północnej istniały kasyna, rodzice byłiby ich najczęstszymi bywalcami.

Ale ja? Nie wierzyłem w szczęście ani w cuda. Rodzice skutecznie mnie z tego wyleczyli. Zawsze czułem, że jeśli się czegoś chce, to trzeba samemu się o to wystarać.

*

Obiad składał się teraz z jednego czy dwóch kęsów kukurydzy, wodnistej zupy z mniszka lekarskiego i raz czy dwa razy z tych szorstkich liści soi, które drażniły mi gardło, gdy je przelykałem. Płakałem zrozpaczony, zastanawiając się, co dzieje się na tym świecie, że musimy tak cierpieć.

Aby dodać sobie otuchy, wspominałem pyszne potrawy, które jadłem w przeszłości, rozpamiętywałem chwile, gdy moje wargi po raz ostatni dotknęły kawałka *kko Džang Dduk*. W zwolnionym tempie odtwarzałem w myślach każdy aksamitnie kremowy kęs.

Te dni jeszcze kiedyś wrócą, myślałem sobie. I dla tych, którzy mieli dużo szczęścia, tak się stało. Ale moja rodzina nigdy nie grzeszyła zbytym szczęściem w takich sprawach.

Rozdział 7

Wiosną 1996 roku byliśmy na krawędzi śmierci. Głód pustoszył naszą wieś, wielu naszych znajomych utraciło babcię, ciotki, synów czy kuzynów. Groby wyrastały na zboczu za naszym domem, jakby góra dostała wysypki. Tamtej jesieni wypadał pierwszy rok mojego przedszkola (w Korei Północnej przedszkole obejmuje dwa lata), ale nauczyłem się mało. Nie miałem siły, żeby się skupić. Zdawało się, jakby większość naszej energii koncentrowała się na walce z głodem.

Jedliśmy po dwa posiłki dziennie, a potem tylko jeden – głównie z zielska, które z trudem przełykaliśmy. W końcu rodzice przyznali, że nie zbieramy dość, by się wyżywić. Matka postanowiła pojechać po pomoc do swojej rodziny w Kang Suh, miasta oddalonego o ponad osiemset kilometrów. Ojcu łatwiej będzie wykarmić trzy gęby, powiedziała nam, zamiast czterech. Opuściła nas bez żadnych ceremonii i poszła na pociąg. Bardzo za nią tęskniłem.

Mimo że zostało nas tylko troje do wykarmienia, wszyscy coraz bardziej podupadaliśmy na siłach. Bywało, że przez cały dzień wypijaliśmy jedynie po kilka łyków wody, a potem zapadaliśmy w niespokojny sen. Ojciec zaczął się martwić, że umrzemy w domu z głodu i nikt się o tym nawet nie dowie.

– Jedziemy do domu mojego brata – oznajmił pewnego dnia mojej siostrze i mnie. Jak trudna musiała to być dla niego decyzja! Dopiero teraz w pełni zdaję sobie z tego sprawę. Błaganie krewnych o jedzenie oznaczało, że nie potrafił zapewnić bytu własnej rodzinie.

Mimo wszystko byłem podekscytowany. Wycieczka pociągiem! Moje umiłowanie podróży, dworców kolejowych i pomalowanych na zielono pociągów elektrycznych przeważało nad wszelkimi myślami o głodzie, który nieustannie wysysał ze mnie siły. Bong Sook i ja zapakowaliśmy swoje ubrania do nylonowych toreb, które mieliśmy zabrać w podróż, a ojciec kupił bilety na jeden z pociągów, które wywoziły całe prowincje ludzi szukających jedzenia na południu.

Jechaliśmy do Haeju, miasta położonego niedaleko Pjongjangu, gdzie w dużym domu mieszkał mój stryj, żołnierz wojsk Korei Północnej w stopniu majora. Stryj był w naszej rodzinie postacią legendarną, karierę

swoją zawdzięczał sile swojej ujmującej osobowości. Kiedy był dowódcą plutonu, wiele lat wcześniej, wywarł na swoich młodych żołnierzach – w większości należących do elity – tak wielkie wrażenie, że pociągnęli go za sobą, gdy pieli się coraz wyżej w hierarchii. Teraz żył sobie jak pączek w maśle.

Nie było możliwości, by uprzedzić stryja o naszym przyjeździe. Musieliśmy liczyć na jego dobroduszne usposobienie. Na pewno człowiek tak zacny nie odprawiłby nas nigdy z kwitkiem. Gdyby jednak nam odmówił, nieopodal było Kang Suh – miasto, gdzie u swoich krewnych zatrzymała się moja matka.

Na południu, wierzyłem, czeka nasze zbawienie. Zacząłem wplatać Haeju i wielki dom stryja w marzenia, które snułem na jawie. Będzie tam jedzenie. Całe fury jedzenia.

*

W dniu wyjazdu w dławiącym skwarze poszliśmy na dworzec. Rozkład jazdy przestał już obowiązywać; przy tyłu przerwach w dostawach prądu pociągi po prostu zjawiały się, kiedy mogły. Na dworcu czekały setki ludzi, którzy siedzieli na ławkach lub leżeli na trawie, wachlując się, milczący i zagubieni. Ledwie zwracałem na nich uwagę, nie mogłem się doczekać wyjazdu. Spodziewaliśmy się, że do zmroku znajdziemy się w wagonie.

Siedzieliśmy na betonowej płycie peronu, strzegąc swych nielicznych bagaży. Po kilku godzinach w tłumie zrobiło się poruszenie. Za zakrętem nitki torów biegnących na południe pojawił się pociąg. Ale było w nim coś dziwnego. Pociąg wyglądał na zdezelowany i zniekształcony – zamiast opływowych walcowatych wagonów, do których byłem przyzwyczajony, sunęło ku nam coś rozdętego i koślawego. Zdałem sobie sprawę, że to rozdęcie to tak naprawdę ludzie, którzy obsiedli dachy i wisieli za powybijanymi oknami wagonów. Ścisnęło mnie w żołądku. Pociąg wyglądał strasznie, dziwnie chaotycznie. Czemu tym ludziom pozwolono obsiąść całą lokomotywę? Gdzie byli konduktorzy i kierownik pociągu?

Wszyscy na Zachodzie mówią o opresyjnym, ingerującym w każdy szczegół życia reżimie Korei Północnej, ale to, co wtedy przeżyłem, było dla dziecka znacznie bardziej przerażające, a był to kompletny brak

jakiegokolwiek władzy. Dziecko pragnie, by ktoś sprawował w świecie władzę i utrzymywał ład. Ale widok pociągu świadczył o tym, że ludzie, którzy mieli pilnować porządku, poddali się dyktatowi masy. Nikt nie narzucał już i nie egzekwował żadnych reguł.

Lokomotywa zatrzymała się z ciężkim sapnięciem i ludzie wokół mnie ruszyli do przodu, wydając z siebie gremialny wrzask. Na widok jedynej drogi ucieczki przed głodem ludzie dostali jakiejś hysterii. „Czekałam tyle dni!” – wykrzyknęła kobieta obok mnie i ludzie zaczęli przepychać się obok, pomagając sobie pięściami. Pochwyciła mnie wzbierająca fala, która niosła mnie w stronę pociągu, gdy szarpałem się i wiłem bezsilnie. Wołałem do ojca, ale był za bardzo zajęty torowaniem sobie drogi do drzwi. Ze wszystkich sił starałem się trzymać ręki Bong Sook. Ludzie szarpali się teraz i skakali innym na plecy, czerwoni na twarzach i przeklinający paskudnie. Ojciec też się bił, ale z dwojgiem dzieci nie miał szans w starciu z żołnierzami i samotnymi mężczyznami. W końcu pociąg ruszył bez nas, pozostawiając za sobą łkania kobiet, którym nie udało się wsiąść. Zobaczyłem rozpacz na twarzy ojca. Może jednak zwlekaliśmy zbyt długo.

Nadjeżdżały kolejne pociągi, jeden lub dwa dziennie, czasem w odstępie godziny czy dwóch, lecz za każdym razem powtarzała się ta sama historia. Zdawało się, jakby cała północ kraju naraz rzuciła się do ucieczki. Spaliśmy pod dworcem, szukając wzdłuż torów czegokolwiek, co nadawałoby się do jedzenia. Drugiego dnia ojciec sprzedał swoje ulubione pióro wieczne za kawałek chleba kukurydzianego. Co rusz nad kociołkami z gotowanym zielskiem wybuchały zawzięte bójki, z wrywaniem włosów włącznie.

Pewnego dnia zobaczyłem mężczyznę niosącego na plecach zwłoki, które najwyraźniej wypadły z przejeżdżającego pociągu. Wyglądały inaczej niż trupy, które widziałem do tej pory. Górna połowa, z głową włącznie, była zwęglona i czarna. Nieboszczyk wyglądał, jakby nosił jakiś dziwaczny kostium: zupełnie normalne nogi odziane w beżowe spodnie i czarne, znoszone buty i czarna jak węgiel połowa ciała, równo od pasa w górę.

– Tato, co się stało? – spytałem, gdy zrobiło mi się słabo.

Ojciec spojrział na zwłoki.

– Pewnie jechał na dachu wagonu. Musiał zawadzić o przewód zasilający trakcji.

Wpatrywałem się w mężczyznę niosącego trupa tak długo, aż zniknął w rozstępującym się tłumie.

Trzeciego dnia, gdy tylko ujrzelśmy pociąg na zakręcie, ojciec, zdając sobie sprawę z tego, że zostanie na dworcu oznacza śmierć, przedarł się do najbliższych otwartych drzwi, ciągnąc za sobą moją siostrę i mnie. Czułem, jakby za chwilę ramię miało mi wyskoczyć ze stawu, lecz jakimś sposobem udało mi się nie puścić ręki Bong Sook, która trzymała mnie przy swoim boku, przedzierając się przez tłum.

Przecisnęliśmy się do drzwi wśród sapiących i przepychających się łokciami ludzi. Ojciec złapał się metalowego uchwyty na zewnętrznej ścianie wagonu i wciągnął nas do środka. Udało nam się.

Pociąg ruszył. Rozpaczliwe krzyki tych, którzy się nie załapali, ucichły wkrótce, zagłuszone stukotem kół o stalowe szyny.

W wagonie nie sposób było uciec od tłoku. Przecisnęliśmy się w stronę miejsc siedzących, ale te dawno już były zajęte, więc musieliśmy stać albo kucać, podtrzymywani w pionie przez ciała innych pasażerów. Tylko szczęściarzom udawało się postawić stopy na podłodze, a nie na ciałach chorych lub zemdlonych. Ci, których wypchnięto z wagonów, wdrapywali się na dach, z przewodami sieci trakcyjnej tuż nad głowami.

Podróż do Haeju trwała zwykle trzy dni – odbywaliśmy ją już wcześniej, gdy jechaliśmy z wizytą do krewnych matki. Teraz jednak pociąg zdawał się snuć bez celu niczym wąż zamroczony upalnym słońcem. Przerwy w zasilaniu zdarzały się bardzo często, a wtedy skład zatrzymywał się z żalosnym przeciągłym jękiem. Często czekaliśmy cały dzień lub dłużej, aż włączą znowu prąd.

Nie było miejsca na to, żebyśmy mogli się z Bong Sook bawić, a nie wzięliśmy żadnych książek, które pomogłyby nam znieść jakoś podróż. Tkwiłszy w klaustrofobicznym ścisku, upchnięci wśród bezliku spoconych, niemytych ciał.

– Pociąg tak strasznie się wlecze – powiedział ojciec, kręcąc głową. – Mam nadzieję, że starczy nam jedzenia.

Pasażerowie byli ludźmi takimi jak my, ani bogaczami, ani biedakami – też opuścili swoje domy, wiedzeni nadzieją i pogłóskami. „Na południu jest jedzenie – powiedziała nam jedna kobieta. – Moi kuzyni nas przyjmą”. Tak naprawdę jednak nie mogła tego wiedzieć. Znajdowała się w takiej samej sytuacji jak my: podróż na południe była dla niej jedynym wyjściem.

Zamiast czytać czy się bawić, obserwowałem innych pasażerów. Byli dla mnie jak postaci z filmu i przyglądałem się im godzinami. Pierwszym, co

zwróciło moją uwagę, było to, że głód zmienił wielu ludzi w złodziei. Widziałem gospodynie domowe, które prawdopodobnie nigdy w życiu niczego nie ukradły, lecz teraz ukradkiem sięgały po jedzenie współpasażerów. Dzieci wyczekiwały, aż starsi mężczyźni zasną, a potem przetrząsały ich kieszenie. Korytarzem przeciskali się ludzie o krwawiących nosach i zadrapanych twarzach – przegrani w jakiejś bójce o ochłapy jedzenia.

Wśród podróżnych panował ponury nastrój. Zupełnie inny niż beztroska, jaką pamiętałem z poprzednich wycieczek pociągiem. Podróż zawsze kojarzyła mi się z radosnym oczekiwaniem: u jej kresu czekali krewni, kuzyni i ciotki, prezenty i jedzenie. Ale teraz jechaliśmy do stryja, żeby zebrać. Wszystko było zupełnie inne. Ludzie zasypiali wsparci o czyjeś ramie i budzili się, stwierdzając, że towarzysz podróży zmarł w nocy i trzeba go wyciągać spośród stłoczonych ciał. Wyobrażam sobie, że tak musiały wyglądać podróże pociągiem w Ameryce w czasach wielkiego kryzysu. Choć Bong Sook i ja byliśmy tylko dziećmi, nie mogliśmy nie dostrzec ciemnej rozpacz na twarzach współpasażerów.

Pociąg sunął na południe, mijając na wprost wyludnione wioski, a my kołysaliśmy się razem z nim, wyglądając milcząco przez okna wagonu. Nie było właściwie nic do powiedzenia. Ludzie leżeli pokodem, zbyt osłabieni, by podnieść głowy po smakowite kąski jedzenia, innych wynoszono na pola po obu stronach torów i pozostawiano tam na śmierć. Kiedy mijaliśmy dworce i stacje, widziałem całe stosy trupów – ludzi, którzy nie doczekali się na pociąg i wyzionęli ducha w obezwładniającej spiekocie. Kiedy przejeżdżaliśmy przez takie stacje, smród gnijących zwłok wdzierał się w nozdrza, ale miał on przynajmniej tę jedną zaletę, że przez czas, gdy go wdychaliśmy, tłumiał uczucie głodu.

A mimo to pociąg nie dotarł do Haeju. Minęły trzy dni, cztery, cały tydzień. Zdawało się, jakby miasto po prostu zniknęło albo jakby maszynista nie mógł znaleźć do niego drogi.

Po dziesięciu dniach wciąż nie dotarliśmy do celu. Ścisk w pociągu stawał się niebezpieczny. Przy każdym postoju do wagonów wpychało się coraz więcej ludzi uciekających z dotkniętych głodem terenów kraju.

Rozdział 8

Pociąg sunął po torach, pokonując ostatni etap podróży do Haeju. Mijaliśmy gospodarstwa rolne z uprawami ryżu i kukurydzy, na twarzach miejscowych widać było szok, gdy spostrzegali mizernych, niedożywionych ludzi w wybitych oknach wagonów. Po trzech tygodniach ojciec rozpoznał dworzec Haeju i – wycieńczeni, lecz radośni – przepchnęliśmy się do wyjścia.

Było tuż po północy i lał deszcz. Musieliśmy pokonać jeszcze prawie dziesięć kilometrów, a nie można się było tam dostać inaczej niż na piechotę. Zamroczony od upału i bólu, szedłem i szedłem, i myślałem, że ta droga nigdy się nie skończy. Dla mojego ojca marsz musiał być dużo gorszy, bo choć nie przyszło mi to wtedy do głowy, stryj mógł nas nie wpuścić do domu. Ojciec zdawał sobie jednak sprawę z tego, że jedzenia wszędzie brakuje i że niekoniecznie zostaniemy powitani z otwartymi ramionami.

Kiedy znaleźliśmy dom, podbiegliśmy do drzwi i zapukaliśmy. Miałem wrażenie, że padnę nieprzytomny na ziemię, jeśli za chwilę nam nie otworzą. Wreszcie w drzwiach stanął mój stryj, patrząc na nas zszokowany i zaskoczony. Miał na sobie sportowe ubranie, które wyglądało na zagraniczne i nowe. Jego twarz rozjaśniła radość i otworzył nam drzwi na oścież.

– Bracie, wejdz – powiedział.

Jedliśmy tamtej nocy jak królowie. Owoce morza, makaron, biały ryż. Napychaliśmy sobie brzuchy i się śmialiśmy. To był istny raj. Przed pójściem spać marzyłem, żebyśmy nigdy stamtąd nie odeszli.

Spotkałem się ponownie z moimi dwoma kuzynami. Razem z nimi poznawałem sąsiedztwo. Zjadłem swoją pierwszą jeżynę. Mój starszy kuzyn – był księciem naszej rodziny, bystry, przystojny i z przeznaczoną karierą wojskowego – wziął mnie i pokazał cały dom, a gdy weszliśmy do kuchni, z dumą zaprezentował ogromną blaszaną skrzynię zwaną lodówką. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego na oczy. Mój stryj naprawdę był wybrańcem losu.

Po raz pierwszy zobaczyłem ocean. Wszystko na południu zdawało się większe, bogatsze i szczęśliwsze.

*

Po spędzeniu tygodnia u stryja pojechaliśmy do Kang Suh, gdzie ojciec zostawił nas u krewnych matki, po czym wyruszył z powrotem do domu, do Hoeryŏngu. W Kang Suh czekała nas niespodzianka.

Nie widzieliśmy matki od kilku miesięcy, a przez ten czas stało się z nią coś dziwnego. Później często się nad tym zastanawiałem: Co takiego naopowiadali mojej mamie wujowie i ciotki? Skutkowało to ogromnymi zmianami w naszym życiu, bólem i chaosem. Czy powiedzieli jej, że nie jest dawną sobą? Czy zachęcili ją do tego, żeby postawiła się mojemu ojcu? Czy wypowiadali się o nim pogardliwie za to, że nie umiał zadbać o byt swojej rodziny?

Cokolwiek spowodowało tę zmianę, matka była teraz inną osobą. Przybrała trochę na wadze i ubierała się lepiej niż przedtem. Nosiła teraz buty na wysokim obcasie, modne, obcisłe spodnie i bluzki w jaskrawych kolorach, które wyglądały na sprowadzane z Chin. Najwyraźniej rodzina dobrze się nią zaopiekowała. Lecz najbardziej wstrząsająca zmiana zaszła w jej osobowości.

Jakimś sposobem moja chorowita matka przeobraziła się w kobietę dynamit. Przez kilka pierwszych tygodni rozmawiała z nami więcej niż przedtem przez całe lata. Mama zawsze była bystra – ciągle czytała, głównie książki o zdrowiu i żywieniu oraz filozofię – ale teraz dzieliła się okruchami wiedzy, które chowała w sobie przez wszystkie te lata. „Przestań jeść, kiedy poczujesz, że masz ochotę na jeszcze jedną łyżkę ryżu” – powiedziała mi raz mama, co przyjąłem jako ostrzeżenie: Jeśli uwiedzie cię żądza władzy, nigdy nie będziesz zadowolony i zniszczysz sobie życie. Zabawne, że akurat to powiedzonko najbardziej utkwilo mi w pamięci. Ona sama miała wkrótce je zlekceważyć, co wywołało straszliwe skutki.

Matka zawsze zostawiała większość ważnych rodzinnych decyzji mojemu ojcu, zgodnie z północnokoreańską tradycją. Teraz jednak była wygadana, ambitna, pełna entuzjazmu dla możliwości, jakie niesie życie. Tak się cieszyłem, że nie jest już taka smutna i płaczliwa, ale ledwie rozpoznawałem kobietę, w którą się zmieniła.

Kiedy zjawiała się przed drzwiami mojego wujka, była chudą, cierpiącą na depresję trzydziestodziewięciolatką, która uciekała przed głodem

i nieudanym małżeństwem. Żeby dać jej jakieś zajęcie, wuj, który prowadził fabryczkę produkującą rozmaite przedmioty gospodarstwa domowego, przekazał w jej ręce nadmiar towarów, które miał na stanie. Były wśród nich, jeśli dobrze pamiętam, ołówki, okulary przeciwsłoneczne i inne drobne przedmioty codziennego użytku. W okresie zapaści gospodarczej te rzeczy obrastały tylko kurzem w pobliskim magazynie.

Matka nie widziała jednak w tych ołówkach i okularach przedmiotów bez wartości. Ujrzała w nich swoje zbawienie. Głód i prawie zupełne załamanie się państwowego systemu zarządzania, które mu towarzyszyło, dały mojej mamie szansę, na jaką czekała przez całe życie. Przed katastrofą prowadzenie własnej działalności gospodarczej było zakazane. Ale gdy kraj stanął na krawędzi całkowitego rozpadu, Kim Dzong Il i jego ministrowie postanowili zezwolić na odrobinę prywatnej przedsiębiorczości, aby ocalić choć część obywateli. Moja matka skorzystała z okazji.

Zastanawiam się, czy dostrzegła kiedykolwiek ironię tego wszystkiego: katastrofa, która groziła zagładą wszystkim, których kochała, jednocześnie przyniosła jej wyzwolenie. Myślę, że nie. W pracującym na podwyższonych obrotach mózgu mojej matki nie było miejsca na takie refleksje. Usiłowała nas przecież ocalić.

Mama wzięła te rzeczy z magazynu w Kang Suh i ruszyła w podróż po wiejskich prowincjach, gdzie ludzie nie mieli możliwości kupić takich towarów. Sprzedawała je, chodząc od drzwi do drzwi lub na wiejskich targach, z nie najgorszym zyskiem. Podróżowała, poznawała nowych ludzi, odnajdywała się w roli kobiety przedsiębiorcy. Była tak niezależna jak nigdy w całym swoim życiu. Na podstawie tego, czego dowiedziałem się później, jestem przekonany, że marzyła o zdobyciu bajecznych bogactw, o przekuciu marnych dochodów ze sprzedaży okularów przeciwsłonecznych i ołówków na coraz większe zyski.

Moja matka była marzycielką. Była też, jak się okazało, okropną bizneswoman.

Po kolejnym wyjeździe za miasto, gdzie udało jej się spieniężyć zakurzony, nieznajdujący nabywcy towar z magazynów wujka, mama pomyślała sobie: Czemu miałabym wyjeżdżać stąd z pustymi rękami, kiedy mogę wrócić do Kang Suh z wyjątkowymi produktami ze wsi? Sprzedam je w mieście i podwoję swoje zyski. Za zarobione wony kupiła więc przedmioty miejscowego rękodzieła i przywiozła je do Kang Suh.

Tutaj jednak jej plan nie wypalił. Nie udało jej się sprzedać towaru. Mama musiała wyprosić u wujka następną partię rzeczy z magazynu i zacząć od nowa. Nie obyło się bez napięć: wujek dopytywał się, co się stało z pieniędzmi za pierwszą partię towaru. Matka broniła swojego planu z zaopatrzeniem się na wsi w nowy towar. Wujek powiedział jej, że postąpiła po prostu głupio. Wyrafinowani mieszkańcy Kang Suh nie chcieli kupować wiejskiego rękodzieła. Ale moja matka połknęła bakcyła przedsiębiorczości i nie zamierzała rezygnować.

– Zawsze chciała mieć więcej! – biadolił nam wujek.

*

Krążyliśmy między krewnymi matki a domem mojego stryja tak, by nie obciążać nadmiernie żadnej z rodzin. Podczas jednej z takich podróży, gdy siedzieliśmy w wysokiej trawie przy dworcu w Kang Suh i czekaliśmy na następny pociąg, matka wyjęła trzy ogórki, które kupiła, i podała po jednym Bong Sook i mnie. Przeżuwaliliśmy grube zielone warzywo, rozkoszując się sokiem spływającym nam do gardeł. Ten chłodny gorzkawy płyn był tak orzeźwiający. Zjedliśmy ogórki aż po gorzkie końcówki, które były niejadalne, i zaczęliśmy się rozglądać, gdzie by je wyrzucić.

W tłumie podróżnych zauważyłem niepozorną trzydziestoparoletnią kobietę, która nas obserwowała. Miała niemowlę przytroczone do piersi, bardzo małe i milczące. Kobieta zwróciła się do naszej matki i poprosiła o końcówki ogórków.

– Te? – zdziwiła się matka. – Ale ich nie należy jeść.

– Dla mojego ojca – wyjaśniła kobieta. – Jesteśmy gotowi wziąć cokolwiek. – Mama kiwnęła głową i zebraliśmy wszystkie sześć końcówek. Kobieta skłoniła się lekko, gdy wysypałem je na jej dłoń. Przyglądałem się, jak odeszła kilka metrów i zbliżyła się do kogoś, kto leżał w trawie. Poszedłem za nią.

Po kilku krokach zobaczyłem staruszkę z szaro-czerwoną wstęgą i jasnozłotą pięcioramienną gwiazdą na błękitnym tle, otoczoną kręgiem i złocistymi promieniami, które sugerowały mocno bijące światło. Znałem ten medal z niezliczonych filmów, które oglądałem: był to Order Bohatera Republiki i przez wiele lat (do 1972 roku, gdy zastąpił go Order Kim Ir Sena)

stanowił najwyższe odznaczenie, na jakie mógł zasłużyć obywatel Korei Północnej. Jego kawalerami byli tylko ci, którzy dokonali jakichś wyjątkowo heroicznych czynów podczas wojny koreańskiej.

Wpatrywałem się w medal z wielkim podziwem. Po raz pierwszy widziałem go w prawdziwym życiu. Potem przeniosłem wzrok na twarz staruszka, gdy córka odchyliła mu głowę i próbowała nakarmić go końcówkami ogórków. Wszystkie je wypluł. Może miał kłopoty z trawieniem. A może był po prostu zmęczony długą podróżą.

Order Bohatera Republiki zapewniał zwykle szacunek i wygodne życie. Wiedział to nawet siedmiolatek. Starzec i ja patrzyliśmy na siebie. Oddychał tak płytko jak ryba, która przez pomyłkę wyskoczyła na brzeg. Jeżeli Bohater Republiki może umrzeć, pomyślałem, jakie szanse przeżycia mamy Bong Sook, mama i ja?

Rozdział 9

Od naszej pierwszej wizyty z ojcem w domu stryja atmosfera wyraźnie się zmieniła. Podczas kolacji pierwszego dnia po naszym przyjeździe, po tym, jak ojciec zostawił nas i pojechał do domu, mój czujnik zarejestrował coś nowego. Wśród członków rodziny stryja zacząłem dostrzegać niepokój. Oczy mojej młodej stryjenki, tak przyjazne podczas naszej poprzedniej wizyty, teraz czujnie obserwowały każdą chochlę zupy, którą ojciec nalewał do misek Bong Sook i mojej. Były to oczy rachujące, oczy zazdrosne. Ofuknęła moich kuzynów, gdy poprosili o dokładkę:

– Czemu jecie tak dużo ryżu? – Wiedziałem, że nie jest zła na nich, tylko na Bong Sook, moją matkę i na mnie, na nasze brzuchy, które pragnęły jedzenia jej rodziny.

Brakowało mi słów na wyrażenie tego, co czułem, lecz nagle zrozumiałem: Stryjenka chce, żebyśmy sobie poszli.

Nazajutrz stryjek podszedł do nas, gdy bawiliśmy się na podwórku, i zapytał, czy mamy ochotę pójść nazbierać jagód.

– Tak! – wykrzyknąłem. Nie jadłem jagód od ostatniej wizyty u stryjostwa. Uśmiechnął się i poszedł do kuchni. – Żono, masz dla nas kubki, żebyśmy mogli nazbierać jagód?

Obróciła się do niego gwałtownie.

– Po co wam jagody? Zbierzecie wszystkie i nie zostawicie nic dla nas?

Byłem małym chłopcem, zawsze hołubionym, moje potrzeby stawiano na pierwszym miejscu. Teraz poczułem się boleśnie niechciany. Wręcz znienawidzony.

Nie rozumiałem tego. Chciałem odejść, ale odejście oznaczało głodowanie. Zostaliśmy jeszcze sześć, siedem dni, zanim ruszyliśmy dalej.

Wiedziałem wtedy, że panika, którą widziałem w pociągu, rozlała się po całej Korei Północnej. Nie tylko państwo abdykowało i przestało spełniać swoje funkcje. Podobnie stało się z rodziną. Pokrewieństwo znaczyło teraz mało lub nic. Nie było takiej siły na ziemi, która mogłaby powstrzymać głód.

Czułem się starszy, niż byłem. Chaos wokół mnie był tak potężny, że jego fale zdawały się przytłaczać mój czujnik nastrojów. Odczuwałem go, czy tego chciałem, czy nie.

*

W sierpniu wróciliśmy do domu w Hoeryöngu. Ojciec powitał nas na stacji. Jego twarz rozpromieniła się radośnie i uściskał nas czule. To była pierwsza nasza rozłąka i jego głos przepełniało szczęście, gdy wymawiał nasze imiona.

Nastrój w naszym małym domku na uboczu poprawił się pomimo głodu ssącego nas w żołądkach. Matka miała teraz tysiąc i jeden pomysłów na ocalenie nas od głodu. Miała kupować cukierki w fabryce i sprzedawać je na obszarach wiejskich. Miała kupować kukurydzę, robić z niej kluski i sprzedawać z dużym zyskiem na targu w mieście. Czasami jej plany były tak skomplikowane, że gubiłem wątek, starając się je zrozumieć.

Mama zaczęła jeździć na północ kraju, aby robić tam interesy. Nie wracała całymi tygodniami. Czasami mówiła, że wróci szesnastego dnia miesiąca, ale nie wracała aż do dwudziestego ósmego. Z początku ojciec cieszył się z jej odzyskanej witalności i energii, wkrótce jednak zacząłem wyczuwać narastające napięcie. Nikt nic nie mówił, a przynajmniej ja i Bong Sook niczego nie usłyszeliśmy, ale to było tak, jakbyśmy siedzieli w samolocie, który wzbija się coraz wyżej. Ciśnienie w uszach robi się coraz większe. Mój czujnik nastrojów zbliżał się do stanu alarmowego.

Do jesieni 1996 roku marzenia rodziców zaczęły walić się w gruzy, a oni sami wyładowywali złość jedno na drugim. Ojciec pożyczył pieniądze na sfinansowanie planów matki, czym sprzeniewierzył się własnym ideałom, a ona go zdradziła. Jej nowym domowym przewiskiem stało się „złodziejka”. Matka nie pozostawała ojcu dłużna i z pretensją w głosie pytała, czemu nie jest w stanie nas wyżywić. Jej depresja wróciła.

Czasami kłócili się przez całą noc. Trudno mi było bawić się lub czytać z Bong Sook książki. Siostra i ja zawsze byliśmy podminowani, bo w każdej chwili mogło dojść do kolejnej awantury.

Pewnej nocy ojciec zupełnie stracił głowę i podczas sprzeczki o pieniądze zaczął bić mamę. Najpierw zdzielił ją otwartą dłonią w nos tak mocno, że padła na podłogę. Potem zaczął okładać ją pięścią, mruczając i stękając, niezdolny już do tego, by mówić po ludzku.

Siostra i ja patrzyliśmy na to, tuląc się do siebie. Krzyczeliśmy, żeby przestał, lecz jego przystojna twarz była jak maska, kamienna maska gniewu.

Rozdział 10

Teraz cały czas byliśmy głodni. Zupa, z odrobiną zboża lub kukurydzy, utrzymywała nas przy życiu, ale rozpaczliwie łaknęliśmy czegoś bardziej pożywnego. Próbowaliśmy jeść dzikie rośliny i liście malin, które były niesamowicie gorzkie i trzeba je było popijać wodą. Ojciec, którego płaca pozostawała bez zmian, nie mógł kupić niczego na rynku, ponieważ ceny skoczyły tak wysoko, że znalazły się poza zasięgiem ludzi pracujących. Nasze ciała marniały, a tępy nóż głodu wbijał się nam w żołądki.

Pewnej nocy usłyszałem, jak rodzice szepczą coś w drugim końcu izby. Słyszałem rozpacz w ich głosach i zdałem sobie sprawę, że rozmawiają o sprzedaży domu i wprowadzeniu się do opuszczonego biura, gdzie kiedyś pracował ojciec. Przedsiębiorstwa nie było już stać na wypłaty dla mojego ojca i innych pracowników, więc ludzie brali, co mogli: kradli sprzęt lub towary z magazynu i sprzedawali je za psi grosz.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Wolno stojący dom był wielką radością mojego ojca. Czerpał taką dumę z tego, że własnoręcznie wykonał każdy mebel w jego wnętrzu, każdą framugę i deskę podłogową. Czułem jego smutek we własnej piersi.

Rodzice zaczęli rozpowiadać, że są skłonni sprzedać dom i czekają na oferty. W Korei Północnej nie było pośredników w handlu nieruchomościami ani rubryki „Na sprzedaż” w gazetach. Trzeba było rozgłaszać taką wiadomość bezpośrednio, ustnie. Dlatego też rodzice mówili o tym znajomym i sąsiadom, a ojciec dawnym kolegom z pracy. Nie wydaje mi się, żeby wspominali o jakiejś cenie; rozumiało się samo przez się, że przyjmą prawie każdą ofertę.

Myśl zarobienia pieniędzy na sprzedaży domu dała rodzicom nadzieję. Niestety, wszyscy inni wpadli na ten sam pomysł. Ludzie byli gotowi, wręcz chętni do tego, by stać się bezdomnymi, jeśli miałoby to oznaczać, że przetrwają kolejny miesiąc. Sprzedawali ze swoich domów, co tylko mogli, i przeprowadzali się do zabitych dechami opuszczonych biur lub fabryk albo po prostu biwakowali na polach. Nagle na rynku znalazło się mnóstwo domów na sprzedaż.

Nikogo nie było stać na zakup całego naszego domu, nawet za worek kaszy

kukurydzianej. Już po dziesięciu dniach ojciec podzielił dom na pół i jedną część sprzedał młodemu małżeństwu. Dom miał dwie izby, a teraz dwa jednopokojowe mieszkania. Nowi współwłaściciele byli przed trzydziestką i dopiero na początku wspólnego życia. Cena, jaką zapłacili, wystarczyła nam na zakup kaszy kukurydzianej, którą jedliśmy przez siedem czy osiem dni. Chociaż sprzedaż połowy domu musiała być dla ojca druzgocącym przeżyciem, nigdy nie odnosił się do tej pary młodych z goryczą. Właściwie stali się naszymi przyjaciółmi. Odwiedzaliśmy ich w ich połówce domu i dzieliliśmy z nimi posiłki. Czuliśmy się z tym trochę dziwnie, ale jeśli wziąć pod uwagę, że na łąkach porośniętych dzikimi trawami koczowały całe rodziny bezdomnych, ta dziwność była i tak lepsza niż los, który spotkał innych.

*

Mimo wszystko głód nie dawał nam spokoju. Zdarzały się dni, gdy za cały posiłek musiała nam starczyć garstka grzybów w wodzie. Postanowiliśmy więc pojechać do mojej babki ze strony matki – mieliśmy nadzieję, że tam znajdziemy pożywienie.

Zwykle moja matka planowałaby taką podróż całymi miesiącami, ponieważ tyle czasu potrzeba było na powiadomienie osoby, którą chciało się odwiedzić, o swoim przybyciu, a przecież trzeba było jeszcze kupić bilety na pociąg i uprzedzić szkołę, że dzieci nie będą uczęszczały na lekcje. Ale nasze życie nie było już normalne, o planie dnia decydowało to, co trzeba było zrobić, by zdobyć jedzenie na ten dzień. To przerażające, jak tego rodzaju decyzje zapadały w noc wyjazdu, w chwili paniki.

Ojciec oznajmił, że zostanie w domu. Rodzice dawali do zrozumienia, że ojciec musi pracować, ale wiedziałem, że po prostu znowu chcą się rozstać. Dodatkowa gęba do wykarmienia nie byłaby w domu babki mile widziana, zresztą duma nie pozwalała ojcu zjawić się u teściowej jako nędzarz bez środków do życia.

Rankiem, gdy mieliśmy wyjechać, matka postawiła nasze torby przy drzwiach wejściowych, po jednej dużej dla każdego z nas. Ojciec przyglądał się nam z rękami splecionymi za plecami i twarzą poznaczoną zmarszczkami smutku. Aż do ostatniej chwili byłem spokojny, lecz kiedy się zegnaliśmy,

poczułem, jak oblewa mnie fala lęku.

– Ale... co będzie, jeżeli nigdy tu nie wrócimy? – powiedziałem do matki. – Co, jeśli umrzemy po drodze?

Nie wiem, czemu powiedziałem coś tak okropnego. Może to przez tofu lub gotowane jajko, które każda rodzina powinna była zjeść przed podróżą. (Jajka toczą się szybko, co znaczy, że podróż przebiegnie sprawnie, a tofu jest idealnie kwadratowe, co oznacza, że wszystko ułoży się zgodnie z planem). Nie mieliśmy ani jajka, ani tofu, więc denerwowałem się i wyrwało mi się to pytanie dotyczące śmierci.

Mama wybuchnęła:

– Zwariowałaś? Czemu opowiadasz takie rzeczy?

Spojrzałem na nią, wstrząśnięty gniewem w jej głosie. Ale nic w tej podróży nie układało się tak, jak powinno. Zwykle jedzie się w najlepszym ubraniu, a przed wyjściem z domu je się coś ciepłego. W naszym przypadku było inaczej. Dobre ubrania dawno już sprzedaliśmy i mieliśmy na sobie jedyne odzienie, jakie nam pozostało; sam ubrałem się w ciemny płaszcz, ciemne spodnie i przybrudzoną, zszarzałą od wielokrotnego prania białą koszulę. Szczerze mówiąc, wyglądaliśmy jak włóczędzy.

Na stacji na pociąg czekały tłumy. Matce udało się wcisnąć nas do drugiego pociągu z kolei – kiedy chciała, potrafiła być waleczna i nieustępliwa. Nie było gdzie usiąść, więc staliśmy ściśnięci z innymi pasażerami.

Głupota, którą powiedziałem przed wyjściem z domu, natychmiast okazała się klątwą. Kiedy pociąg ruszył ślamazarnie po torach, wagon zachybotał się i komuś upadła ciężka walizka – akurat na moją stopę.

– Auuuu! – zawyłem. Czułem się tak, jakby kości w mojej stopie zostały zmiażdżone. Matka obsobaczyła mężczyznę z walizką, ale przez tłum w wagonie ledwie mogła mnie dosięgnąć. Nie mogłem nawet rozmasować sobie nogi, bo było za mało miejsca. Wyłem tylko i płakałem, podczas gdy inni pasażerowie patrzyli na mnie z obojętnymi minami.

Przejazd powinien być trwać godzinę, góra dwie godziny. Dotarliśmy na miejsce po sześciu i przepchnęliśmy się przez masę ciał na peron dworca Hokseung.

Po peronach hulał wiatr i nagle zrobiło mi się zimno. Podczas poprzednich wizyt czekaliśmy na pociąg pośpieszny, który wysadzał nas bardzo blisko domu babci. Teraz jednak stwierdziliśmy, że na peronie nikt nie czeka.

– Ten pociąg już tu nie jeździ – powiedział nam jakiś staruszek.

Matka spojrzała na niego zaniepokojona.

– Co? Ale musimy się dostać do Undok.

– To lepiej zacznijcie maszerować.

Dom babki znajdował się o kilka godzin drogi na piechotę od stacji. Matka spochmurniała, wzięła nasze torby i wyszła ze stacji. Bong Sook i ja ruszyliśmy za nią, ja kulejąc na jedną nogę.

– Mamo, jestem głodny – powiedziałem. Przy stacji biegła ulica prywatnych domów, które były jednocześnie jadłodajniami. W jednym z domów sprzedawano zupę i kimchi z rzodkiewek, a w następnym kukurydzą i pieczywo. Zatrzymaliśmy się w jednym z nich i kupiliśmy miskę zupy z kimchi, a także parę przystawek z ziemniaków. Stanęliśmy na drodze i jedliśmy: jedzenie było przepyszne, na powierzchni zupy pływały oczka tłuszczu.

Po dwóch minutach nic już nie zostało. Poczuliśmy się raźniej i ruszyliśmy w długi marsz. Dotarliśmy do domu babci około północy i gdy szliśmy ścieżką do drzwi, słyszeliśmy grający telewizor. W zagrodzie babki były dwa domy: duży, gdzie mieszkali ciotka i wuj, i drugi, znacznie mniejszy, gdzie mieszkała babcia. Mieliśmy nadzieję, że znajdzie się tu dość jedzenia, by nas nakarmić.

Zapukaliśmy do drzwi dużego domu. Ciotka i wuj wpuścili nas do środka. Wycieńczeni padliśmy na maty. Nazajutrz rano powitała nas babcia, w jej wyrazie twarzy miłość mieszała się z niespokojną troską. Babcia była trochę po osiemdziesiątce, przygarbiona i chudsza, niż ją zapamiętałem.

Matka opowiadała babci o podróży: o ścisiku w wagonach, o powolnym pociągu, o miejscowej linii, która nie jest już obsługiwana, o jedzeniu z restauracyjki, dzięki któremu mieliśmy siłę iść.

Babcia nagle zamarła.

– Do której jadłodajni wstąpiliście? – spytała.

– Do drugiej z kolei, patrząc od strony stacji – wyjaśniła mama. – A co?

W wyrazie twarzy babci mieszały się teraz strach i odraza. Bong Sook i ja popatrzyliśmy po sobie. Czy nie powinniśmy byli czegoś jeść?

Matka i babcia zniknęły w innym pokoju, gdzie coś sobie szeptały.

– Bong Sook, co się dzieje? – zapytałem.

– Nie wiem – powiedziała. – Idź pobawić się z kuzynami.

Chętnie poszedłbym się bawić, ale reakcja babci wciąż nie dawała mi spokoju. Pobiegłem szukać kuzynów.

Upłynęło kilka dni, zanim sprawa się wydała.

Otóż od miesięcy krążyły plotki o jednej z jadłodajni przy stacji. Mówiło się, że właściciele porywają bezdomnych i podróżnych i ich zabijają. Rąbali ich ciała na kawałki i odzierali z mięsa, które dodawali do zupy.

– Która to jadłodajnia? – zapytałem od razu.

– Niektórzy mówią, że czwarta od stacji – powiedziała kuzynka, czujnie obserwując moją reakcję. – A inni, że... druga.

Przewróciło mi się w żołądku.

– Kuzynie – zapytała – jakiego kształtu były oczka tłuszczu?

Czułem się tak, jakby język pokryło mi tłuste futro. Zjadłem ludzkie mięso? Jeśli tak, to byłem teraz ludożercą. A co gorsza, dobrze pamiętałem, że zupa bardzo mi smakowała.

– Jakiego kształtu? – powtórzyła kuzynka.

– Czy to ważne?

Popatrzyła na mnie tak, jakby nie widziała już dla mnie nadziei.

– Kiedy gotuje się mięso, tłuszcz wypływa na powierzchnię.

– Tak, tak – powiedziałem. – Wiem.

– Dobrze – powiedziała kuzynka. – Ale czy to były kółka, czy trójkąty?

– A co to za pytanie?

Zmarszczyła niecierpliwie brwi.

– Tłuszcz wieprzowy, wołowy czy kurzy tworzy kółka – oświadczyła, jakby recytowała jakieś słynne prawo nauki, na przykład prawo powszechnego ciężenia. – A tłuszcz z człowieka...

– Trójkąty?

– Tak – potwierdziła. – Trójkąty.

Łamałem sobie głowę, próbując przypomnieć sobie, jak wyglądały oczka tłuszczu w zupie. Widziałem w pamięci ciężką drewnianą miskę i kilka klusek kukurydzianych pływających w mętym wywarze. Widziałem drobne kawałki jarzyn i drobiny żółtawego tłuszczu na powierzchni. Lecz bez względu na to, jak mocno zaciskałem powieki, za żadne skarby nie mogłem sobie przypomnieć ich kształtu.

Kiedy zobaczyłem się z Bong Sook, po cichu rozmawialiśmy o zupie, którą zjedliśmy tamtego dnia.

– Jesteś pewna, że nie było tam żadnych trójkącików? – spytałem.

– Nie – powiedziała. – Nie było żadnych.

Ale prawda jest taka, że nie pamiętaliśmy. Bywało, że mówiłem sobie

w duchu: Kto wie, czy o tych kólkach i trójkątach to w ogóle prawda? Ale północnym Koreańczykom pozostały tylko zabobony, plotki i ludzkie gadanie. Nie można było zwrócić się do żadnego autorytetu czy instytucji, która orzekłaby, czy zjadło się ludzkie mięso, czy nie.

Rozdział 11

Spędziłem z babcią wiele smutnych godzin. Podobnie jak mój ojciec lubiła opowiadać historie, lecz były one zupełnie inne niż pokrzepiające i zawsze kończące się dobrze opowieści taty. Historie babci były podszyte melancholią. Większość koncentrowała się wokół tego, jak podczas japońskiej okupacji naszego kraju na początku XX wieku jej ojciec sprzedał ją zamożnej rodzinie, gdy miała zaledwie trzynaście lat.

Okazało się, że mój pradziadek był alkoholikiem, który sprzedał własne dzieci, by móc sobie kupić butelkę bimbru. Babcia została służącą w wielkim domu, lecz rodzina właścicieli, choć gnała ją do ciężkiej pracy, dawała jej tylko dwa skromne posiłki dziennie, ledwie tyle, by mogła przeżyć. Kiedy posyłali ją nad rzekę z koszem brudnych ubrań, który niosła na głowie, biegła do podnóży pobliskich gór, gdzie rozpaczliwie szukała jeżyn, którymi mogłaby się najeść. Kiedy zebrała ich dość, by przestało kręcić jej się w głowie z głodu, wracała do domu, zachowując małą porcję ryżu, którym karmili ją bogaci właściciele. I co robiła z tym ryżem? Dawała go swojemu ojcu.

Zawsze zastanawiałem się, czemu babcia to robiła. Z miłości czy raczej ze strachu? Czy ojciec zmuszał ją do oddawania tej skromnej racji ryżu? Chciałbym wierzyć, że robiła to dlatego, że była osobą szlachetną i próbowała ocalić człowieka, który sprzedał ją tak, jakby była rzeczą. Jak na ironię, opowiadała mi te historie przy posiłkach złożonych z ryżu i zupy, które były tak skromne, że jedzenia starczało na trzy kęsy.

Mimo że miała tak mało, ledwie tyle, by przetrwać, babcia zawsze dawała mi łyżkę swojego ryżu albo parę łyków zupy, jednocześnie opowiadając mi swoje historie. Kiedy przełykałem jedzenie, myślałem o jej życiu, tak pełnym goryczy i niedostatku przez cały czas, i o tym, że teraz też jest głodna.

– Maczku – powiedziała mi – okupacja japońska była straszna, ale wtedy mieliśmy więcej do jedzenia niż teraz. Jak to możliwe?

Docierało do nas coraz więcej pogłosek o sierotach porywanych i zjadanych przez wygłodniałych wieśniaków. Małym sierotom zwanym *Kkodzebi* (wędrowne jaskółki), tym wytworom klęski głodu, które w ciemnych łachmanach snuły się po przydrożnych targowiskach niczym widma, doradzano, by nie sypiały na otwartych przestrzeniach, aby nie narazić się na porwanie i zjedzenie. Miastowi przestrzegali nas przed kupowaniem mięsa (jakby było nas na nie stać!) nieznanego pochodzenia. Zdarzały się udokumentowane przypadki, że rodzice zjadali swoje nowo narodzone dzieci. Po kraju rozprzestrzeniało się zbiorowe szaleństwo.

Wkrótce po tym, jak przyjechaliśmy do babci, nadeszły wiadomości, że władze aresztowały właścicieli jednej z jadłodajni przy stacji za serwowanie ludzkiego mięsa. Ale nie było żadnych gazet ani oficjalnych biuletynów informacyjnych, więc nie wiedzieliśmy, w którym z domów mieściła się ta trefna restauracyjka. Niektórzy mówili, że w pierwszym, inni, że w piątym, jeszcze inni, że w drugim.

Była to zła wróżba, która zaciążyła na naszym pobycie u babci.

*

Przez pierwszy tydzień karmiono nas dobrze: kaszą kukurydzianą, ryżem, zupą i przystawkami, takimi jak kimchi z rzodkiewki. Cały dzień czekałem na główny posiłek. Pewnego razu wuj wrócił z pracy i zobaczył, że leżę na podłodze.

– Zamiast siedzieć po próznicy w domu – powiedział – może posprzątałbyś izby albo narąbał drewna na opał? Jeśli to zrobisz, staniesz się bardziej lubiany i łatwiej ci będzie przetrwać.

Mówił to ciepłym, serdecznym głosem; starał się mi pomóc. Tamtego dnia porąbałem mnóstwo drewna, za co ciotka podziękowała mi z szerokim uśmiechem. Wszystko układało się dobrze.

Ale z początkiem drugiego tygodnia mój czujnik nastroju wychwycił zmianę: serdeczność i gościnność wyparowały. Wtedy jedliśmy już prawie wyłącznie zupy, ryż zniknął. Ciotka pracowała w kolchozie, a wuj w kopalni węgla i oboje dostawali żywność jako wynagrodzenie, ale władze nie podwyższały racji żywnościowych tylko dlatego, że do kogoś przyjechała trójka krewnych.

Zawsze zaczynało się przy stole obiadowym. W pewnym momencie ciotka fukała na starszą córkę:

– Czemu tak dużo jesz?

Bong Sook i ja schylaliśmy głowy. Wiedzieliśmy, że tak naprawdę mówi do nas: Czemu tu jesteście? Nie widzicie, że ledwie mogę nakarmić własne dzieci? Trudno było przełknąć cokolwiek po usłyszeniu czegoś takiego.

Z każdym upływającym dniem mama stawała się coraz bardziej spięta. Tak dużo miała na głowie. Czemu tu byliśmy? Czemu nie umiała zapewnić bytu własnym dzieciom? Jej twarz robiła się coraz bardziej napięta i blada. Zdawało się, jakby moja dawna matka – ta, którą znałem, zanim wyjechała do Kang Suh – wróciła.

Robiłem się coraz bardziej głodny. Ból rozdrapywał mi żołądek. Miałem wrażenie, jakby w całym organizmie nie zostało już ani odrobiny tłuszczu do spalenia i głód atakował mięśnie, co potęgowało ból.

Pewnego ranka, gdy ciotka i wuj poszli do pracy, a kuzyni do szkoły, zostaliśmy z Bong Sook sami w dużym domu. Po godzinie nie mogłem już wytrzymać.

Spojrzałem na gliniany garnek z zupą, którą cała rodzina miała zjeść tego dnia na obiad.

– Zjem tylko kilka łyżeczek – powiedziałem do Bong Sook.

– Nie, Maczku. Wiesz, że nie wolno.

– No to tylko jedną. Jedną jedyną.

Bong Sook pokręciła smutno głową.

– Nie wolno ci. Ciocia się zorientuje.

– Ale, Bong Sook! – jęknąłem. Była nieugięta. Więc poczekałem, aż zamknęła oczy – to zasypialiśmy, to się budziliśmy jak starcy – a później poszedłem do kuchni. Garnek był przykryty talerzem. Uniosłem go, zanurzyłem chochlę i czym prędzej wypłem łyżkę zupy. A potem jeszcze dwie.

Poczułem, jak moje ciało rozkwita. To uczucie zadowolenia, słodczy, które rozlało się po moich kościach. Rozpaczliwie pragnąłem jeść dalej, ale wiedziałem, że doprowadziłoby to do katastrofy. Odłożyłem chochlę i nakryłem garnek talerzem.

Po południu ciotka wróciła do domu i natychmiast poszła do kuchni, żeby zająć się przygotowaniem obiadu. Kilka sekund później stanęła w drzwiach do dużego pokoju i utkwiała we mnie wzrok. Twarz miała zarumienioną, oczy

ogromne i wilgotne. Posłała mi jadowite spojrzenie, spojrzenie, które mówiło: „Nie lepszy niż złodziej!”. Spuściłem oczy. Ale wciąż byłem głodny.

Ciotka nie mogła nic powiedzieć. Zdawało się, jakbyśmy wszyscy dławili się tymi niewypowiedzianymi słowami. Następnego dnia wujek podszedł do mnie i zapytał:

– Jakie plany ma twoja matka?

– Nie wiem, wujku.

– Co zamierza zrobić? Czy twój ojciec zbiera pieniądze, podczas gdy was nie ma w domu? Maczku, jaki jest ich plan?

Czemu rozmawiał akurat ze mną? Rodzice dopiero na dzień przed wyjazdem oznajmili mi, że jedziemy do babci! Czyżby myślał, że wszyscy jesteśmy w jakiejś zmowie?

– Naprawdę nie rozumiem – powiedział, wybałuszając oczy. – Czuję się, jakbym się dusił.

Wreszcie matka nie mogła tego dłużej znieść. Postarała się o pracę. Nie była to jednak prawdziwa praca, tylko kolejny zwariowany plan, jak nas wyżywić. Kupowała mąkę kukurydzianą z młyna i sprzedawała ją na ulicy – nie robiła nawet makaronu – w nadziei, że zarobi jeden won na każdej sprzedaży. Po zarobieniu dostatecznej ilości pieniędzy miała zamiar kupować makaron kukurydziany i przynosić go nam do domu.

Ale na targu było bardzo niewiele ludzi, których stać było na mąkę kukurydzianą, i wielokrotnie wracała do domu bez niczego. Kiedy się tak zdarzało, jej twarz przypominała glinianą maskę, zastygniętą w wyrazie pełnym nadziei. Bardzo starała się sprawiać wrażenie osoby wierzącej w dobrą przyszłość. Ale wysiłki były niepotrzebne, bo i tak wyczuwałem jej wzrastające napięcie i rozpacz. Kiedy zwierzała się Bong Sook ze swoich kłopotów, potem obie nosiły te gliniane maski. Smuciło mnie, że nie chcą powiedzieć mi, co się dzieje, ale w jakiejś mierze wołałem o niczym nie wiedzieć.

*

Był jeden dzień, gdy piętno biedy odczułem szczególnie boleśnie. Moja mama miała cztery siostry i trzech braci. Druga co do starszeństwa siostra,

którą nazywaliśmy starszą ciotką, radziła sobie dobrze nawet podczas powszechnego głodu. Jej syn służył w policji, a policjanci zawsze umieli się urządzać – czy to poprzez łapówkarstwo, czy korupcję. Pewnego dnia mama i nasza młodsza ciotka (młodsza siostra mamy) zostały zaproszone na przyjęcie urodzinowe do syna starszej ciotki, policjanta. Były tym bardzo podekscytowane, nie widziały mojej starszej ciotki od wielu miesięcy, a poza tym tego dnia nie musiały się martwić o nakarmienie swoich dzieci. Gospodarze zapewniali mnóstwo jedzenia.

Kiedy idzie się do kogoś w gości, nawet do krewnych, nie można się zjawić z pustymi rękami. Tak więc mama bardzo ciężko pracowała po to, by ugotować moją ulubioną potrawę: jeden jedyny naleśnik kukurydziany. Poszła na targ z ostatnimi kilkoma wonami i targowała się tak długo, aż kupiła tyle mąki, ile się tylko dało, po czym wróciła do domu, zrobiła ciasto na naleśnika i ugotowała go na parze. Jeden naleśnik był wszystkim, na co było ją stać. Zapakowała go w papier woskowany i wyruszyliśmy na przyjęcie – szło się tam godzinę.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, oszołomił mnie widok tłumu wspaniałych gości. Tylu ludzi, tak pięknie ubranych! Policijni oficjele nosili garnitury z wysoko gatunkowej wełny, ze spodniami zaprasowanymi w równy kant. Żony dyrektorów miały pomalowane usta i piękne, zwiewne suknie. Weszliśmy do domu, ja w swojej poplamionej białej koszuli i ciemnych spodniach, a matka i ciotka w znoszonych butach i wiejskim przyodziewku.

Kiedy matka wręczyła starszej ciotce swój naleśnik, ona nawet na niego nie spojrzała. Zwykle gospodarz uśmiecha się i dziękuje za to, co się przyniosło, lecz starsza ciotka nie rozpakowała nawet papieru woskowego, żeby zobaczyć, co przynieśliśmy. Jej wyraz twarzy nie zmienił się ani na chwilę – patrzyła na nas z lodowatą obojętnością, gdy przekazała naleśnik jednemu ze swoich dzieci. Widziałem po jej minie, że się nas wstydzi – wstydzi się, że ma takich ubogich krewnych, którzy zjawili się w skromnych ubraniach roboczych w eleganckim towarzystwie lokalnych funkcjonariuszy państwowych. Patrzyliśmy, jak zanieśli naleśnik do kuchni, jak najdalej od prezentów i potraw przyniesionych przez innych gości. Zauważyłem, jak kark mojej matki oblał czerwony rumieniec. Szybko odwróciła głowę, wbijając spojrzenie w podłogę.

Pod jednym względem przyjęcie nas nie zawiodło: jedzenia rzeczywiście było w bród. Siedliśmy w kącie pokoju i staraliśmy się nie robić z siebie

przedstawienia, gdy smakowaliśmy potrawy, których nie jedliśmy od miesięcy, jeśli nie lat. Pyszne, dobrze ukiszone kimchi z przyprawami i rybą! Smażona wieprzowina! Żeberka wołowe! Opróżnialiśmy zawartość swoich talerzy i czekaliśmy kilka minut przed wzięciem dokładki, żeby sprawić wrażenie, jakbyśmy w każdej chwili mogli przestać się objadać.

Moja młodsza ciocia siedziała razem z nami i przyglądała się gościom. Była na skraju płaczu. „Jak możesz traktować nas w ten sposób?” – szeptała raczej z żalu niż w złości, zwracając się do starszej siostry, która znajdowała się na drugim końcu pokoju. Nikt nie pofatygował się do nas, by zapytać, co u nas słychać i czy smakuje nam jedzenie. Starsza ciotka i inni członkowie jej rodziny starannie nas omijali, choć widzieliśmy, jak krążą wśród gości i rozmawiają z bardziej eleganckim towarzystwem. Mnie to właściwie nie ruszyło – jedzenie i smakowite zapachy unoszące się wokół wprowadziły mnie w stan błogiej radości i nie obchodziło mnie, co myślą sobie inni – ale matka i młodsza ciotka były niepokieszone. Niezdarnie obgryzałem żeberka i czekałem, aż podadzą następne danie. Jakby mojej matce mało było przykrości, kiedy opuszczaliśmy przyjęcie, starsza ciotka oddała nam naleśnik kukurydziany, który przynieśliśmy w prezencie.

Matka przyjęła go, złożyła ukłon i odwróciła się bez słowa do drzwi. W drodze do domu żal młodszej ciotki zmienił się w złość.

– Jak oni śmia! – krzyczała. Teraz Bong Sook i ja też czuliśmy się zawstyżeni.

Wieczór był zimny, a ja nie miałem ciepłej kurtki. Matka wzięła mnie na plecy, a Bong Sook szła obok nas. Czułem, jak mama płacze: próbowała zdławić w gardle łkanie, a ja opierałem głowę o jej bark.

Po latach rodzina mojej młodszej ciotki bardzo się wzbogaciła. Jej mąż miał krewnych w Chinach i po wielu próbach udało mu się dostać wizę, żeby ich odwiedzić. Dzięki temu mógł przywieźć z Chin rzeczy, które sprzedał z dużym zyskiem. Ich dochody skoczyły gwałtownie w górę. Już wkrótce moja starsza ciotka zjawiała się u nich w domu, łąsa na prezenty, i ani słowem nie zająknęła się o przyjęciu, na którym nas tak upokorzyła.

Moja starsza ciotka nie miała wstydu. Na swojej drodze spotkałem więcej takich osób.

Rozdział 12

Kiedy zbliżały się moje szóste urodziny, zauważyłem, że matka robi się coraz bardziej przygnębiona. Wciąż byłem dzieckiem i liczyłem, że w ten szczególny dzień dostanę coś wyjątkowego: może jakiś drobny prezent albo coś dobrego do jedzenia. Marzyłem o jajkach na twardo, o puszystym ryżu i skwierczącej wieprzowinie. Matka na pewno coś przygotuje, myślałem.

Kiedy jednak nadszedł dzień moich urodzin, nie różnił się niczym od innych. Na śniadanie dostaliśmy tę samą wodnistą papkę, co zawsze, i nic nie wskazywało na to, by później miało mnie czekać coś lepszego. Matka nie zawołała: „Zostaw sobie trochę miejsca na później!”. W żaden sposób nie zasugerowała, że przygotowano dla mnie coś wyjątkowego. Starłem się nie dać tego po sobie poznać, ale byłem zawiedziony, że moich urodzin nie uczczono nawet najdrobniejszym prezentem. Położyłem się na swojej macie i próbowałem zapaść w drzemkę.

Bong Sook była zdenerwowana, widziałem to po niej. Miała zafrasowaną minę i długo wpatrywała się w kafelkową podłogę. Wreszcie wstała bez słowa i wybiegła za drzwi. Uznałem, że poszła na spacer, choć w okolicy nie było niczego wartego zobaczenia: tylko pola, po których niesły się odgłosy rąbanego przez wieśniaków drewna. Ale półtorej godziny później drzwi się otworzyły i Bong Sook weszła, niosąc coś za plecami.

Usiadłem po turecku na swojej macie, a ona zbliżyła się i pokazała mi, co ma w rękach. W każdej dłoni trzymała ciastko ryżowe posypane czymś białym. Przyjrzałem się uważniej. Sacharyna! Ślinka mi pociekła.

Bong Sook wcisnęła mi ciastka w dłoń.

– Wszystkiego najlepszego, Maczku!

Powstrzymałem się przed pożarciem ciastek na tyle długo, by zadać jedno pytanie:

– Ale jak?

Bong Sook pokręciła radośnie głową, aż zafalowały jej kruczoczarne włosy.

– Nie przejmuj się tym.

Czy poczęstowałem Bong Sook choć kawałkiem ciastka? Nie jestem pewien; pamiętam tylko tę niemal narkotyczną rozkosz, którą wywołała

sacharyna w moich kubeczkach smakowych. Byłem przeszczęśliwy. Dla mnie słodycz, zupełnie dosłownie, równała się miłości. Oznaczała, że moje urodziny wciąż są ważne dla kogoś oprócz mnie. Pożarłem ciastka łąpczywie, a potem zebrałem palcami okruszki i je też zjadłem.

Moje szczęście trwało jeszcze dwie czy trzy chwile, nim nad głową Bong Sook rozpuściła się burza. Kiedy podczas głodu niespodziewanie przynosisz coś do jedzenia, wszyscy natychmiast robią się bardzo podejrzliwi. Gdzie to chowałeś? Lub co sprzedałeś, by to zdobyć, skoro nie mamy już nic?

Bong Sook, jak się okazało, zrobiła coś nieprzemyślanego. Pobiegła do ogródka i wykopała część ziemniaków babci, dzięki którym mieliśmy przetrwać zimę. Potem poszła na targ, wymieniła je na sacharynę, po czym część sacharyny sprzedała w zamian za dwa ciastka.

Innymi słowy, mój prezent był kradziony. Co gorsza, moje urodziny miały nas w przyszłości drogo kosztować pod względem cennych utraconych kalorii.

Babcia zrobiła mojej siostrze awanturę. Po raz pierwszy widziałem, by Bong Sook zachowała się nieposłusznie wobec starszych. Pozostała jednak nieskruszona. Kiedy babcia wrzeszczała na nią, a matka patrzyła na to ze zbolaną miną, siostra patrzyła na mnie tak, jakby mówiła: „Cieszę się, że to zrobiłam. Naprawdę”.

Matka, znów w depresji, zaczęła się paranoicznie lękać, że ktoś porwie Bong Sook albo mnie. Opowieści o kanibalizmie wryły jej się głęboko w umysł.

– Maczku, jak ktoś zaproponuje ci cukierki, nigdzie z nim nie idź. Słyszysz? Ludzie mogą ci proponować jedzenie, jeśli pójdziesz z nimi do ich domów, ale ja ci zabraniam! – Powtarzała to prawie codziennie i nie pozwalała nam już chodzić samym do miasteczka.

Spoglądałem tylko na nią i kiwałem głową.

– Dobrze, mam – mówiłem. Niepotrzebnie przywiązywała do tego taką wagę. I tak słyszeliśmy mnóstwo przerażających opowieści od naszych krewnych, którzy z niekłamaną przyjemnością zdawali się karmić nas krwawymi historiami. Jedna była o kobietach na targu, które sprzedawały własne dzieci. Zjawiały się z czwórka i sprzedawały jedno, zwykle to najstarsze. Zarobione pieniądze natychmiast wydawały na kukurydzę, którą napychały usta pozostałych dzieci, a jednocześnie krzyczały: „Tak mi przykro”, gdy kupiec oddalał się z nieszczęsnym synem lub córką.

Wtedy nie dawałem tym opowieściom wiary, mimo że wielu ludzi klęło się, że są prawdziwe (i teraz wierzę, że takie rzeczy się zdarzały). Nie wątpiłem, że ludzie mogli sprzedawać własne dzieci. Ale kluczowe było pytanie, kto je, na litość boską, kupował?

Nie była to jedyna historia, która okazała się prawdziwa.

– Słyszałaś o rębajle? – zapytała mnie starsza kuzynka. – Bezdomne dzieci znikają na targu. Co się z nimi działo, nikt nie wiedział. Aż pewnemu chłopcu udało się uciec i powiedział ludziom, że jeden z miejscowych mężczyzn oferuje *Kkodzebi* jedzenie, jeśli zgodzą się pójść z nim do domu. Dzieci, które z nim poszły, znikają bez wieści. Było ich bez liku! Wreszcie miejscowi wdarli się do jego domu, aby zbadać sprawę. I wiesz, co zobaczyli?

Zaprzeczyłem.

– Głowy. I stopy. Głowy miały stare łachmany wepchnięte w usta. A w kąciku znaleźli siekiere brudną od krwi i kawałków mózgu.

Starałem się zachowywać nonszalancko, jakby to nie było dla mnie nic nowego, ale zacząłem trząść się na całym ciele. Byłem przerażony. Bong Sook i ja nie byliśmy jeszcze bezdomni, ale od bezdomności dzielił nas tylko jeden krok. Wystarczyło, żebyśmy stracili matkę, a wtedy na pewno wyładowalibyśmy na ulicy. Wiedziałem już, że krewnym żyje się zbyt ciężko, by mogli nas przygarnąć.

– Czemu tylko bezdomne dzieci? – spytałem.

Kuzynka zrobiła minę.

– Bo nie mają rodziców, którzy by ich szukali! Musisz myśleć jak rębajło.

*

Bywało, że Bong Sook i ja leżeliśmy na matach i gapiliśmy się w sufit, marząc o potrawach, które kiedyś jedliśmy: o kremowych naleśnikach kukurydzianych, o tym czy innym kimchi, o skwierczącej marynowanej wieprzowinie. Uwielbiałem te wspominki. Uważałem, że jestem w stanie rozkoszować się smakiem naleśników bardziej dogłębnie i pełniej niż wtedy, gdy rzeczywiście je jadłem, ponieważ każdy kęs rozciągał się w moich myślach do dwóch czy trzech minut. Kiedy jednak przestawałem marzyć, głód stawał się jeszcze bardziej dotkliwy.

Ciotka wracała do domu i gotowała dokładnie takie same naleśniki jak moja mama. Niestety, było ich za mało, by mogło starczyć dla wszystkich. Z ciężkim sercem dawała więc je swoim dzieciom w tajemnicy przede mną i Bong Sook. Ale czuliśmy zapach kukurydzy, gdy ciocia ucierała ją na proszek i potem, gdy gotowała je na parze. Co za tortury! A nasi kuzyni, jak to dzieci, po zjedzeniu naleśników przychodzili z radosnym błyskiem w oku i mówili:

– Ale pyszne były dzisiaj naleśniki! Niebo w gębie, nie?

– Jeszcze jak. Myślę, że dzisiaj wyszły smaczniejsze niż kiedykolwiek.

I przez cały ten czas patrzyli na Bong Sook i na mnie.

Nic nie mówiłem. Myślałem sobie: Gdybym był na waszym miejscu, zostawiłbym wam parę gryzów. Ale moi kuzyni nie mieli takich odruchów. Zajadali się tylko swoimi naleśnikami i przekąskami, które matka kupowała im w sklepie. Nienawidziłem ich. Miałem ochotę wyrwać naleśnika z rąk młodszego kuzyna i zjeść go nieśpiesznie na jego oczach. Miałem wprawę w tego rodzaju wojnie nerwów. W końcu prawie tak samo postępowaliśmy z moim przyjacielem Hyo Sungiem, kiedy graliśmy o piękne kawałki składanego papieru. Ale wydawało mi się, że zabawa taka jest bardziej okrutna, gdy stawką nie są zabawki, lecz samo życie.

*

Kiedy czuliśmy się na siłach, Bong Sook i ja szliśmy w góry, żeby poszukać czegoś do jedzenia. Tutaj, w Undok, rośliny były inne niż te, które znaleźliśmy z rodzinnych stron, na przykład dziwnie wyglądające jadalne grzyby o szerokich falujących kapeluszach. Tylko w ten sposób mogliśmy przyczynić się do wyżywienia rodziny, więc łączyliśmy zgięci w pole, szukając czegoś szczególnie soczystego i smacznego.

– Czego powinniśmy szukać? – zapytałem siostrę.

– Wszystkiego, co jadają króliki – odpowiedziała Bong Sook.

– Ale królików już nie ma, Bong Sook. Ludzie wszystkie zjedli.

– No to szukaj tego, co jadły, kiedy wciąż tu były.

Stałem jak wryty.

– Wtedy nigdy nie zwracałem na nie uwagi. Byłem za bardzo zajęty zabawą. Powiedz mi, proszę.

Więc Bong Sook pokazała mi, czego powinienem szukać, i znalazłem trochę mniszków lekarskich i kilka roślin jadalnych. Przynieśliśmy je do domu, a matka ugotowała z nich potrawkę. Moi kuzyni, z brzuchami pełnymi smaczniejszego jedzenia, pokręcili tylko głową, gdy moja matka zapytała, czy chcą spróbować jej kuchni.

To poczucie, że nie jesteśmy mile widziani, było powietrzem, którym Bong Sook i ja codziennie oddychaliśmy. Po raz pierwszy w życiu żałowałem, że nie mogę wyłączyć swojego czujnika nastroju. Wolałbym nie odczuwać niczego.

Rozdział 13

Ów niezwykle pobyt u babci trwał przez pierwszą połowę 1997 roku. W lecie przyjechał po nas ojciec. Nadeszła pora, byśmy spróbowali swoich sił w rolnictwie.

Rok czy dwa lata wcześniej – gdy zaczął się głód – Kim Dzong Il wprowadził nową politykę, która miała ocalić ludność: rolnictwo „prywatne”. Decydenci zdali sobie sprawę, że nie mogą pozwolić na szerzący się głód, bo wkrótce stracą wszystkich obywateli. Jestem przekonany, że takimi właśnie kierowali się motywami: jeśli wszyscy wymrą, to kim będziemy rządzić?

Jeden z największych problemów Kim Dzong Ila i jego ministrów polegał na tym, że głód zabijał całe rolnictwo w kraju. Kiedy Bong Sook i ja chodziliśmy zbierać jedzenie w górach, mijaliśmy gospodarstwa rolne. Widzieliśmy pola, które leżały odłogiem, albo takie, gdzie chwasty zagłuszyły uprawy kapusty czy papryki. Robotnicy rolni mieli za mało sił, by pracować w polu, powymierali albo razem ze swoimi rodzinami uciekli za chlebem do miasta. Mijaliśmy rzędy łączonych domów „harmonijkowych”, gdzie w oknach nie widziało się ani jednej twarzy. W tak dramatycznych warunkach coraz mniej ziemi uprawiano i coraz mniej żywności trafiało na rynek.

Rząd wymyślił plan. Część ziemi rolnej postanowiono przekazać przedsiębiorstwom i pozwolić im ją uprawiać. Każdy pracownik miał otrzymać małą działkę, gdzie mógłby uprawiać kukurydzę, fasolkę szparagową, rzodkiewki, papryki i ogórki.

Reforma rzeczywiście ocaliła mnóstwo rodzin. Ocaliła moją, przynajmniej na pewien czas.

Tamtego lata ojciec, Bong Sook i ja (matka znowu wyjechała do swoich krewnych) wyruszyliśmy na przyznaną nam działkę, która znajdowała się około dwu i pół godziny marszu od naszego domu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, własnoręcznie oczyściliśmy pole. Była to ciężka harówka: wyrywanie bujnie rosnących chwastów, usuwanie kamieni i spulchnianie ziemi motyką. Pod koniec dnia wyczerpani wracaliśmy do domu, ale wreszcie mieliśmy w sercach odrobinę nadziei. Pracowaliśmy tak wiele dni, wracając po to, by obsiać ziemię i porządnie podlać grządki.

W środku lata poszliśmy na działkę i już tam zostaliśmy. W domu nie było jedzenia, więc rozbiliśmy obozowisko przy szumiących polach, żywiąc się bakłazanami, fasolką szparagową i paprykami, gdy czekaliśmy na główne zbiory kukurydzy, które miały się zacząć w połowie sierpnia. Ojciec zbudował prowizoryczny szałas z porzuconej folii i desek i spaliśmy obok naszego gospodarstwa.

Mieliśmy tylko tyle bakłazanów i fasolki, że starczyło nam ich na kilka dni. Pozostało nam jedynie polowanie na żaby, wielki smakołyk na tutejszej wsi. Kiedy pierwszy raz przybyliśmy, słyszeliśmy ich głośny rechot w strumykach wśród topól i jesionów. Ale wkrótce po tym, jak wraz z innymi rolnikami amatorami rozpoczęliśmy wielkie łowy, w zaroślach zaległa martwa cisza. Pewnego wieczoru kolega ojca, który dostał działkę nieopodal, odwiedził nasze gospodarstwo i widząc mnie, przybrał zmartwiony wyraz twarzy.

– Maczku – powiedział. – Nie mogę znaleźć swojej żaby numer pięć. Widziałeś ją może?

Byłem przerażony. Żaby mają numery? Byłem przekonany, że pożarłem własność tego człowieka. Kolega taty oczywiście żartował i wybuchnął śmiechem, gdy zobaczył moją zdumioną minę. Wiedział, że zjedliśmy każdą żabę, którą udało nam się złapać. Piekliśmy je nad ogniskiem przed naszym szałasem. Dzięki temu pożywnemu białku mieliśmy siłę do pracy przez cały dzień.

Później przyszła kolej na koniki polne, które łapaliśmy w ręce, gdy skakały przez trawy w upalne popołudnia. Nabijałem je na cienkie patyczki i opiekałem nad ogniem. Kiedy robiły się brązowe, wyciągałem je i dmuchałem, aż trochę ostygły. Wgryzałem się w ich chrupiące mięso. Pycha. Zjadałem nawet łebki. Czasami częstowałem nimi Bong Sook, ale nie przepadała za mięsem i wszystko to napawało ją obrzydzeniem.

No a w końcu zasmakowałem tego, co ostatecznie ocaliło mi życie: złodziejstwa. Kraść zacząłem właśnie podczas naszej pierwszej przygody z rolnictwem. Uważałem się za spryciarza, a przynajmniej taki zawsze chciałem być, jak mój przyjaciel Hyo Sung. Zdałem sobie sprawę, że jeśli wszyscy troje zaczniemy jeść wczesną kukurydzę, nasze plony starczą na jeden, góra dwa miesiące. Zostałoby nam bardzo mało zapasów na jesień i zimą.

Uznałem, że nie tkniemy naszej kukurydzy. Zamierzałem zaspokoić nasze

potrzeby żywieniowe, kradnąc z innych pól. Kiedy oznajmiłem to ojcu, wyglądał na smutnego. Spodziewałem się, że powie coś w rodzaju: „Synu, kradzież jest niewłaściwym postępowaniem”, ale milczał. Kiedy patrzył, jak wymykam się tej pierwszej nocy z naszego szałas, starałem się wyczytać coś w jego oczach. Czy wstydził się, że jego syn został złodziejem? Dzisiaj rozumiem, że zadawanie tego pytania wiąże się z błędnym założeniem, że Korea Północna była normalnym krajem. Pod koniec lat 90. moralność po prostu tam nie istniała. Mój ojciec był wysoce moralnym człowiekiem, ale co moralnego jest w przyglądaniu się, jak twoje własne dzieci chodzą głodne?

Kiedy słońce schowało się za wzgórzami, pobiegłem piaszczystą drogą przy naszej działce, oddalając się coraz bardziej od naszego gospodarstwa. Ojciec poprosił, żebym kradł z państwowych pól, a nie z tych, które należały do poszczególnych rodzin – był to jego ostatni bastion obrony moralności. Przestrzegł mnie też, żebym nie brał niczego zwłaszcza z pól sąsiadujących z naszymi, bo te należały do jego kolegów z pracy: znał ich rodziny i twarze ich dzieci. Miałem nie odbierać jedzenia żadnemu z nich. Ale nieco dalej rozciągały się pola należące do agencji państwowych lub przekazane innym zakładom pracy. Miłosierdzie mojego ojca na nie się nie rozciągało.

Serce biło mi jak szalone. Truchtałem drogą przez jakieś piętnaście minut, a potem wykonałem ostry skręt i wbiegłem w rzędy kukurydzy. Już po kilku metrach w głąb uprawy zacząłem wykręcać kolby, odrywając je od łodyg. Nie byłem zbyt przebiegłym złodziejem, nie nabyłem jeszcze takiej techniki, jaką rozwinąłem później, kiedy to stałem się tak bliski zawodowstwa, jak to tylko było możliwe w Korei Północnej.

Przed głodem uważaliśmy, że surowa kukurydza jest niejadalna. Nikt by jej nie tknął. Ale teraz byłem tak głodny, że zjadłem dwie kolby od razu na polu, rozrywając zieloną okrywę i zagłębiając zęby w chrupiących, soczystych ziarnach po ten pierwszy pyszny kęs. Zjadłem tak cały rząd ziaren, od góry do dołu. Mówiliśmy, że jedzenie kukurydzy w ten sposób to granie na harmonijce, bo tak właśnie wyglądało.

Rozpiąłem koszulę, zostawiając dwa dolne guziki zapięte. Potem zacząłem obrywać kolejne kolby i wciskać je pod ubranie. Liście były szorstkie i drapały mi skórę, ale za bardzo bałem się, że ktoś mnie nakryje, żeby się tym przejmować. Kiedy zebrałem około piętnastu kaczanów, zapiąłem z powrotem guziki, wróciłem na drogę i pobiegłem do naszego obozowiska.

Wróciłem do szałas z koszulą wypchaną tak, jakbym był jakimś potworem

z ogromną klatką piersiową. Starannie rozpiąłem guziki i kolby posypały się z łoskotem na ziemię. Ojciec nic nie powiedział, ale zarówno on, jak i moja siostra wzięli ze stosu po pękatej kolbie, ugotowali je i zaczęli „grać na harmonijce”. Patrzyłem na nich z radością. Nie byłem już rozpieszczonym młodszym synem. Pomagałem swojej rodzinie przetrwać. Kradzież, pomyślałem, była zwycięstwem. Była życiem.

Popełniałem jednak błędy. Pewnej bezksiężycowej nocy wymknąłem się z szałas i zacząłem szukać pola, z którego mógłbym coś ukraść. Staralem się nigdy nie kraść z jednego pola dwa razy, dlatego nigdy nie biegłem drogą tyle samo czasu. Tamtego wieczoru szybko skręciłem na końcu długiego łąnu i skręcałem jeszcze dwa razy, zanim znalazłem obiecujące pole, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Wbiegłem między kukurydze, zagrałem na harmonijce i uciekłem z pełną koszulą. Za każdym razem, gdy kukurydza zaszeleściła, byłem pewien, że to gospodarz idzie zatłuc mnie pałką. Brak poświaty pogarszał jeszcze sprawę, w polu kukurydzy widzi się tylko na metr, półtora metra przed sobą, a każdy szum zdaje się zagłuszać nadejście dwunastu chłopów. Cały czas musiałem się mieć na baczności.

Wreszcie uciekłem na drogę i pobiegłem na bosaka, bojąc się obejrzeć za siebie. Dotarłem do szałas i wyładowałem kukurydzę. Ojciec i Bong Sook zjedli. Potem ojciec poprosił, żebym opisał trasę na pole, które obrobiłem. Opisałem mu ją, gdy przeżuwał resztki swojej kukurydzy.

Popatrzył na mnie.

– Synu – powiedział – to nasze pole.

Kręciłem i kluczyłem tak długo, że ostatecznie okradłem z kukurydzy nas samych. Czułem się paskudnie.

W drugim czy trzecim tygodniu kariery złodzieja kukurydzy trafiłem na pole około pół kilometra od naszego gospodarstwa i zabrałem się jak zwykle do roboty. Ogryzałem właśnie drugą kolbę kukurydzy, gdy kątem oka zobaczyłem jakiś ruch po prawej. Odwróciłem głowę. Coś szeleściło w kukurydzy, rośliny kołysały się jedna po drugiej.

Coś się zbliża, pomyślałem. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że to jakiś dziki zwierz. W Korei Północnej są lisy, leopardy i dziki, lecz oczywiście do tamtej pory większość z nich prawie całkiem wytrzebiono.

Więc co to jest?

Przerwałem jedzenie, trzymając kolbę przy ustach, jakbym mógł się za nią schować.

Łodygi pół metra przede mną rozchyliły się i stanęła między nimi kobieta, która dyszała ciężko. Wyglądała jak olbrzymka, wyższa niż łąn kukurydzy, w długich spodniach i obuwiu roboczym na nogach. (Strach prawdopodobnie sprawił, że urosła w moich oczach – z perspektywy czasu myślę, że była po prostu średniego wzrostu). Rozdziawiłem usta, ale bałem się za bardzo, by się odezwać. Myślałem, że kobieta zbije mnie, zadźga nożem albo sam nie wiem. Zamiast tego wpatrywała się we mnie tylko i powoli zdałem sobie sprawę, że jej oczy nie wyrażają gniewu ani złości. Były raczej smutne.

– Ile masz lat? – spytała półgłosem.

– Sie... siedem – wyjąkałem.

Odnosiłem dziwne wrażenie, że nie widzi mnie, że jej oczy patrzą na inną postać. Spuściła wzrok.

– Idź do domu – powiedziała. – I nigdy tu nie wracaj.

Upuściłem niedojedzoną kolbę kukurydzy i uciekłem.

Od tamtej pory często o tym dniu myślałem. Coś podobnego zdarzyło mi się nieraz: dorosły patrzył na mnie bez słowa i z niewyjaśnionych powodów unikałem kary. Może miało to związek z tym, że rzadko udawało mi się wykapać, więc twarz miałem tak umorusaną, że widać było tylko oczy. Brud sprawiał, że wszystkie północnokoreańskie dzieci w podobnym wieku wyglądały tak samo.

Zawsze odnosiłem wrażenie, że tamta kobieta zobaczyła we mnie kogoś znajomego, kto umarł. Syna? Siostrzeńca? Gdzieś tam był mały chłopiec, którego zabrakło na tym świecie. I zrobiło jej się mnie żal, gdy zobaczyła dziecko tak głodne, że jadło surową kukurydzę.

Głód wkrótce miał mnie zmusić do włóczęgi po wsiach Korei Północnej. W tym czasie nigdy nie zobaczyłem żadnego z prześladowanych duchów, o których tyle słyszałem. Mój los okazał się inny: miałem stać się widmem dla innych ludzi.

Rozdział 14

Po powrocie do domu wszystko znowu zaczęło się sypać. Kukurydza, którą zaoszczędziliśmy, skończyła się wcześniej, niż mogliśmy sobie wyobrazić. Zmusiło to nas do sprzedania drugiej połowy domu i przeniesienia się do Manyangu, dzielnicy bliższej centrum Hoeryŏngu, gdzie znajdował się zakład, w którym ojciec poprzednio pracował. Zakład został opuszczony, gdy gospodarka się załamała. Mogliśmy teraz zamieszkać w dawnych biurach ojca.

Musiałem zostawić ważki i Hyo Sunga. Pożegnałem się z nim przed jego domem. Szczerze mówiąc, nie smuciłem się zbyt, że się rozstajemy. Nigdy nie zrozumiałem, jakim sposobem udawało mu się mnie ogrywać do tego stopnia, że zawsze pozbawiał mnie wszystkich kwadracików origami, i bardzo mnie to irytowało. Nie wiedziałem, czy teraz, gdy nasze życie zmieniło się tak niewyobrażalnie, jeszcze kiedykolwiek zobaczę się z Hyo Sungiem.

Kiedy nasza rodzina pierwszy raz znalazła się w naszym nowym domu, miałem ochotę odwrócić się i wiać. Budynek wcale nie wyglądał na dom. Był długi i harmonijkowy, ciemny i bez szyb w oknach. Wyglądał na opuszczony. Po wejściu naszym oczom ukazał się bałagan: wszędzie brud, walające się części rowerowe, wygięte gwoździe i stare narzędzia na podłodze. Przed załamaniem się gospodarki mieścił się tu warsztat napraw rowerów i obuwia. Na podłodze nie było miejsca do spania. Nie było też kuchni. Co gorsza, ten zrujnowany budynek był napakowany ludźmi. Z każdych drzwi patrzyły na nas po trzy, cztery pary oczu, a z okien wyglądały kolejne. Czułem dławiący ucisk w piersi, klaustrofobię zmieszaną z poniżeniem i strachem. Spojrzałem na ojca żałośnie. Jak można było mieszkać w takim miejscu? Umknął wzrokiem.

Tata natychmiast wziął się do pracy. Zebrał kawałki drewna i zbił z nich prowizoryczne łóżka dla naszej czwórki. Wytrzasnął skądś małego grilla i rozpałił ogień. Matka przykucnęła nad płonącym chrustem, gotując kociołek wody ze strumyka. Nasza część budynku miała cztery pokoje, co stanowiło zmianę na lepsze, i lubiłem wałęsać się po tej ogromnej przestrzeni. Ale było to miejsce dla desperatów. Prawdziwe domy mieszkalne stały tyłem do

ruchliwej drogi gruntowej, która przebiegała pięć metrów dalej, dzięki czemu mieszkańcy mieli trochę więcej prywatności i spokoju. Nasz dom, podobnie jak inne budynki handlowe, miał okna i drzwi na samą ulicę. Kiedy obok przejeżdżały samochody, w nasze drzwi leciały tumany kurzu. A przechodnie mogli gapić się w nasze okna, jakbyśmy byli na sprzedaż.

Moim priorytetem było, oczywiście, znalezienie nowego przyjaciela. I tutaj mi się poszczęściło. Kim Il mieszkał może dwie minuty spacerem ode mnie. Żeby go poznać, musiałem poczekać do jesieni, kiedy zaczęła się szkoła, ale było warto. Kim Il miał osiem lat, tak samo jak ja, i szybko staliśmy się nierozłączni. W przeciwieństwie do Hyo Sunga lubiłem go bez żadnych zastrzeżeń. Jego rodzina była niezwykła. Matka była tak wysoka i jasnoskóra, że mówiliśmy na nią „Rosjanka”, a ojciec miał motocykl, czyli pojazd bardzo egzotyczny. Rodzina Kim Ila należała bodaj do najbogatszych w Manyangu.

Kim Il był wysoki i silny. Bił się prawie najlepiej w szkole – był drugi. Z początku ja byłem najgorszy – czterdziesty z czterdziestu. Mój sposób mówienia, ubiór, a nawet fryzura zdradzały mnie jako chłopaka ze wsi. Chyba w pierwszą bójkę wdałem się już pierwszego dnia szkoły.

Ale miałem też szczęście: matka Kim Ila prowadziła popularną restaurację z najsmaczniejszą kuchnią koreańską w promieniu stu kilometrów. Kiedy tylko Kimowi i mnie zaburczało w brzuchach, szliśmy tam coś przekąsić. Jego mama uśmiechała się na mój widok i od razu przygotowywała moje ulubione danie, naleśniki kukurydziane, a do tego przystawki z mięsa wieprzowego i ryż. Kim Il był jedynakiem i jego rodzice traktowali mnie jak swojego drugiego syna. W Korei Północnej dzielenie się jedzeniem znaczy coś więcej niż na Zachodzie, zwłaszcza w ciężkich czasach. Znaczą: jesteś jednym z nas. Byłem bardzo wzruszony tym, że tak mnie traktowali.

Kim Il i ja spędzaliśmy razem całe dni, włączając się, gadając i się bawiąc. Do tego czasu udawanie szpiegów już nam się znudziło. Szpiegdy przestali być fajni, bo byliśmy na tego typu zabawy już zbyt duzi i chcieliśmy robić coś, co wiązałoby się z prawdziwym niebezpieczeństwem. Graliśmy więc w *jeon czy dzi* z użyciem dziwnego metalu, który znajdowaliśmy koło naszych domów i który dawał się wyginać w różne kształty, gwiazdki czy zwierzęta. Kładliśmy naszego metalowego wilka czy rybę na środku głównej drogi. Potem szybko graliśmy w papier, nożyce, kamień, a ten, kto przegrał, musiał wbiec na ulicę i zabrać rybę, uskakując przed rozpędzonymi samochodami.

Stawałem się coraz silniejszy i odważniejszy. Nie wiem, czy kryło się to we mnie od początku, czy po prostu chciałem przetrwać.

*

Nie sposób przecenić pokrzepienia, jakie w tych trudnych czasach w Korei Północnej dawały filmy. Były jedyną rzeczą, na którą warto było czekać. Koreańczycy z Północy są uzależnieni od filmów, nawet Amerykanie nie są tak spragnieni tej rozrywki jak my. Nawet w najbardziej zapadłych miejscinach są kina, a każdy zna kogoś, kto ma w domu telewizor. Kiedy nadchodziła pora na film, za piętnaście dziewiąta, ulice się wyludniały. Przerywano gotowanie, wszelkie prace domowe, rozmowy, pielienie grządek. Oglądaliśmy te same filmy na okrągło. Później słuchaliśmy jeszcze, jak ludzie z sąsiedztwa opowiadają fabułę, mimo że widzieliśmy film na własne oczy.

Filmy były naszym marzeniem i naszym narkotykiem. Nigdy tak naprawdę nie nasiąknęłam propagandą państwową za pośrednictwem radia czy gazet. Głównym narzędziem indoktrynacji w Manyangu były wysokie na trzy metry tablice betonowe z wrytymi na nich hasłami. Wymyślono je specjalnie na potrzeby kraju, gdzie często następowały przerwy w dostawie prądu. Nawet gdy padało zasilanie i nie było radia i telewizji, tablice cały czas przypominały nam, że powinniśmy być wdzięczni swojej socjalistycznej ojczyźnie. Slogany wryte w betonie mówiły też, co działo się w stolicy.

Jedno z haseł głosiło: „Będę bronił swojego wódza, nawet gdybym miał poświęcić własne życie!”. Inne mówiło: „Żeby wygrać, musisz biec dziesięć razy szybciej niż inni!”. To ostatnie odnosiło się do czasów tuż po zakończeniu wojny koreańskiej, kiedy cały kraj był zniszczony. Świat nie wierzył, że uboga Korea Północna może dogonić bardziej rozwinięte kraje w Europie czy gdzie indziej. Hasło to oznaczało, że jeśli amerykański kapitalista pracuje jedną godzinę, my będziemy pracować dziesięć. Miało to mówić, że północnych Koreańczyków stać na wszystko.

Zawsze lubiłem to hasło, ale gdy nadszedł głód, widok tablic i monumentów wywoływał we mnie gorycz. Aby wybudować te głupie pomniki, rząd żądał od głodujących rodzin, by przekazywały w darze na ten cel miedź, stal lub cement. Musieliśmy poświęcić swoje garnki i patelnie dla

chwały Kim Dzong Ila, a jeśli ktoś żadnego nie miał, musiał tracić drogocenny czas na poszukiwanie złomu, podczas gdy mógłby polować wtedy na żaby. Niekiedy trzeba było wręcz sprzedać jedzenie lub jakieś cenne przedmioty, żeby coś dać państwowemu poborcy, gdy ten zapuka do drzwi. Często widywałem ludzi grzebiących w hałdach śmieci na wysypiskach podmiejskich, by znaleźć nakazaną ilość metalu. W międzyczasie ich dzieci czekały w domu, na wpół martwe z głodu. Kiedy widziałem coś takiego, dłonie z bezsilnego gniewu zwierzały mi się w pięści.

A filmy? Poddawałem się ich wpływowi bez zastrzeżeń.

Fabuły wielu z moich ulubionych filmów toczyły się w czasach japońskiej okupacji Korei. Przekonywały nas, że zamożne rodziny w Korei Północnej traktowały swoją służbę jak psy, a nawet pomagały japońskim okupantom uciskającym Koreę, podczas gdy Kim Ir Sen i wieśniacy walczyli, by wypędzić najeźdźców z ojczyzny. Filmy pokazywały, czemu nasz system społeczny jest najlepszy: bogacze zasłużyli sobie na swój marny los tym, że zdradzili własny naród. Ludność wiejska walczyła z szaleńczą odwagą, by dać nam wolność. Nic dziwnego, że zasłużyła sobie na nagrodę.

Jeden film animowany szczególnie utkwił mi w pamięci. Zamożnego właściciela ziemskiego nachodzi nagle ochota na truskawki. Rozkazuje więc swemu wiernemu słudze, aby ten poszedł w góry i mu je przyniósł. (Nie chce czekać na dostawę truskawek z targu, gdzie może ich sobie kupić, ile dusza zapagnie). Jest późna zima i sługa wie, że w górach nie ma żadnych truskawek, ale i tak tam idzie i cały dzień szuka owoców dla swego pana. Nie znajduje jednak ani jednego krzaczka i wieczorem wraca do pana z pustymi rękami. Wściekły właściciel ziemski bije go i chłoscze tak mocno, że sługa umiera. Nazajutrz w góry zostaje wysłana młoda córka sługi: teraz ona ma przynieść truskawki. I mimo że jest środek zimy, udaje jej się znaleźć jedną roślinę, a na niej pojedynczą dojrzałą truskawkę, tak czerwoną na tle białego śniegu, że zdaje się lśnić niczym rubin. Dziewczyna przynosi truskawkę człowiekowi, który zabił jej ojca.

Była to popularna legenda w Korei Północnej, a miały z niej płynąć dwie nauki. Po pierwsze, że zachcianki bogaczy są nierealistyczne i podszyte okrucieństwem, tak nierealistyczne jak żądanie owoców lata w środku zimy. Po drugie, że przywiązanie dziecka do rodziców, jeśli jest dostatecznie silne, może zdziałać cuda. Wierzyliśmy, że więź między północnokoreańskimi rodzicami i dziećmi jest mocniejsza niż na zgniłym Zachodzie, gdzie młodzi

wyrzucają starzejących się rodziców do domów opieki jak zmurszałe drewno.

Dzięki takim filmom czułem się wdzięczny losowi, że mieszkam w Korei Północnej. Co więcej, byłem gotów umrzeć za swój kraj. Pomimo trudności, z jakimi musieliśmy sobie radzić, byliśmy i tak w lepszym położeniu niż ta dzicz w Korei Południowej.

*

Nasz patriotyzm został wkrótce wystawiony na ciężką próbę. Nowy dom nie przyniósł nam szczęścia. Głód nie ustępował i wkrótce w Manyangu musieliśmy zrobić to samo, co zrobiliśmy na Osiedlu Ósmego Lipca. W 1998 roku sprzedaliśmy pół swojego domu. Tym razem, dzięki temu, że mieszkaliśmy znacznie bliżej centrum miasta, jedzenia, które stanowiło zapłatę, starczyło na miesiąc. Przenieśliśmy swoje rzeczy do dwóch pozostałych pokoi i uważaliśmy się za szczęściarzy.

Myśleliśmy, że tak będziemy żyć już do końca: z dnia na dzień, z pustym żołądkiem, niedożywieni, często z zawrotami głowy i słabi. Ale przynajmniej żyliśmy.

Moja rodzina przetrwała pierwszą falę głodu.

Rozdział 15

Rok 2000 okazał się „dobrym rokiem”, przynajmniej w porównaniu z tym, co było przedtem i potem. Na rynku pojawiło się więcej żywności. Ceny spadły. Moja rodzina stopniowo brała się znowu w garść. Głód, przynajmniej u nas, ustąpił.

Ojciec znalazł nową pracę, jako księgowy w zakładzie naprawiającym telewizory i inne urządzenia domowe. Powoli kupowaliśmy nowe rzeczy: ubrania, garnki i patelnie. Coraz rzadziej słyszałem opowieści o zwłokach leżących rankiem pod drzwiami naszych sąsiadów, rzadziej również dochodziło do przerw w dostawie prądu. Co najważniejsze z mojego punktu widzenia, kupiliśmy telewizor. Było to jedno z najbardziej radosnych wydarzeń moich chłopięcych lat.

Co wieczór niektóre rodziny z sąsiedztwa przychodziły do nas oglądać telewizję. Goście zaczynali się zjawiać piętnaście po ósmej, żeby zająć dobre miejsca i pogadać o tym, co może się wydarzyć w ich ulubionych serialach. Za piętnaście dziewiąta, kiedy puszczano czy to film, czy to chińską operę mydlaną, wśród widzów nie brakowało też moich szkolnych kolegów i koleżanek. Byłem po trosze tyranem: jeśli chłopiec lub dziewczyna nie odnosił się do mnie dobrze danego dnia, mówiłem: „Yejoon, nie przychodź do mnie wieczorem na telewizję”. Co za straszliwa kara! Było robienie ust w ciup i błagalne prośby, lecz ja zawsze pozostawałem nieugięty. Następnego dnia zawsze byli dla mnie słodcy jak miód.

Moja rodzina jadła teraz tofu i kukurydzę z odrobiną białego ryżu, a także króliki – króliki łatwo było hodować, a rozmnażały się jak szalone. Moje ulubione naleśniki kukurydziane znów trafiały na nasz stół. Moja wdzięczność nie znała granic; kiedy matka pierwszy raz znowu je podała, zaklinałem się, że nigdy jeszcze nie były tak smaczne.

Głód nie prześladował już mojej rodziny, więc wszystko powinno być dobrze nam się układać. Przetrwaliśmy klęskę, która odebrała życie setkom tysięcy ludzi i o mało nie zniszczyła kraju. Ale życie rządzi się innymi prawami. Kiedy jakiś problem – nawet śmierć! – znika, inny natychmiast śpieszy, by zająć jego miejsce. I wkrótce taki kłopot zjawił się w naszym domostwie w Manyangu: moje oceny.

W Korei Północnej skala ocen zaczyna się od jedynki (niedostatecznej), a kończy na piątce (bardzo dobrej). W szkole zawsze dostawałem pały i dwójce, tylko z wuefu byłem najlepszy w klasie. Byłem po prostu strasznym uczniem. Nie umiem tak naprawdę wyjaśnić swojego braku motywacji. Przez kilka poprzednich lat nauka wydawała się bezsensowna, ale nie wiem, w jakiej mierze moje złe stopnie wiązały się z głodem. Na pewno jakiś wpływ miał. Poprzednie trzy lata sprawiły, że skupiałem uwagę tylko na następnych dwudziestu czterech godzinach i nie wybiegałem myślami nigdzie dalej. Liczyło się tylko pytanie: co zjem na następny posiłek?

Podczas lat głodu opuściłem sporo zajęć lekcyjnych, miałem usprawiedliwione nieobecności, żeby szukać pożywienia, lub brałem udział w pracach społecznych, sadzenia roślin w kryzysowym ogrodzie warzywnym. Ale nie mogę zwalić swoich jedynek i dwójek wyłącznie na głód. Stawałem się coraz bardziej buntowniczy. Głód tylko przyspieszył ten proces.

Interesowały mnie inne sprawy niż szkoła: zdobywanie szacunku poprzez bójki z silniejszymi chłopakami, którzy uwzięli się na mnie, bo byłem „chamem ze wsi”. Często musiałem się bronić więcej niż raz dziennie, walcząc w kurzu na szkolnym podwórku, podczas gdy moi koledzy z klasy – koneserzy sztuki – przyglądali się, jak przyjmuję ciosy i jak oddaję. Wszyscy w szkole znali się od pierwszej klasy – oprócz mnie. Chciałem być akceptowany, lubiany. Dobre stopnie by mi tego nie dały.

Zwłaszcza jeden chłopak dręczył mnie tamtego roku. Nazywał się Jung Choon Hyuk. Był niewiele wyższy ode mnie, ale był niebezpiecznym, podstępny przeciwnikiem w walce. Choon Hyuk nie był zbyt lubiany, kiedy dołączyłem do klasy. Myślę, że dostrzegł swoją szansę na awans w rankingach, a przy okazji mógł się powyżywać na chłopaku ze wsi. Jak spuszczę temu nowemu łomot, musiał sobie pomyśleć, może inni bardziej mnie polubią.

I rzeczywiście spuścił mi łomot, wielokrotnie. Tamtej jesieni i zimy biliśmy się dwadzieścia razy, a ja zawsze przegrywałem. Był to dla mnie straszny zawód, ale jeszcze gorzej znosili to moi nieliczni nowi koledzy, którzy kibicowali mi gorąco tylko po to, by za każdym razem widzieć, jak kończę, leżąc na ziemi jak długi. To były paskudne bójki, Choon Hyuk próbował wydrapać mi oczy i rozcinał mi policzki. Ja też rozdrapywałem mu twarz palcami i pod koniec obaj byliśmy zakrwawieni i brudni. Ale bez względu na

to, jak bardzo się starałem, i bez względu na rady dotyczące techniki, których mi udzielali – „Bij go przedramieniem, nie pięścią!”, „Kopnij go w jaja!” – nigdy nie wyszedłem z walki zwycięsko.

W związku z tym bałem się chodzić do szkoły. Lekcje mnie nudziły, a za rogiem zawsze czaił się Choon Hyuk, licząc na kolejne zwycięstwo. Nie chciałem tam przebywać.

Mój ojciec bardzo się tym martwił. Jako chłopiec przeżył epidemię, która niemal wytępiła całą jego rodzinę. Stracił prawie wszystkich braci i siostry. Ale zamiast dać się pokonać tej tragedii, uczył się pilnie i stopniowo wykuł sobie drogę z wiejskiej biedy, awansując i stając się człowiekiem godnym szacunku.

Ojciec raz po raz starał się przekonać mnie do czytania podręczników, ale nie widziałem w tym sensu. Czuł się zawiedziony moim postępowaniem. Byłem jego jedynym synem. Chciał, żeby jego życie stało się fundamentem dla moich osiągnięć, jeszcze większych niż jego. Mawiał do mnie: „Och, Maczku, nie mogę się doczekać dnia, kiedy podjedziesz pod moje drzwi swoim dużym samochodem, a jak wyjdę ci na powitanie, wręczysz mi dużą torbę ryb”. Tylko ważni i potężni mieli w Korei Północnej samochody, a ryby były na Północy smakołykiem zupełnie nie na naszą kieszeń. Tak właśnie wyobrażał mnie sobie za dwadzieścia lat: jako ważną osobistość w rządzie, jako generała lub dyplomatę. Jestem przekonany, że głód tylko podsycił jego marzenia, abym stał się członkiem elity, kimś, komu głód nigdy nie jest straszny.

Ale sam widziałem to inaczej: ojciec przez tyle lat służył ojczyźnie – był członkiem partii od dwudziestego czwartego roku życia! – i co z tego miał? Rodzinę, która ledwie uniknęła śmierci głodowej. Kiedy nadeszła klęska głodu, władze porzuciły go, pozostawiły samemu sobie najwierniejszego ze swych sług.

Zawodziłem go. Ale w 2000 roku zacząłem odnosić sukcesy na polu, które liczyło się dla mnie samego. Podrosłem kilka centymetrów i nabrałem około pięciu kilogramów wagi, i umiałem teraz mocno przywalić. Zacząłem trenować, aby przygotować się na bójki z Choon Hyukiem: wstawałem wcześniej rano i przebiegałem kilka ładnych kilometrów, podczas gdy słońce dopiero wznosiło się nad wzgórze. Przekupiłem starszego chłopaka, Lee Hyeon Chula, żeby nauczył mnie sztuk walki. Był ze dwa czy trzy lata starszy ode mnie, uczył się najlepiej w swojej klasie – i najlepiej się bił.

Przekupiłem go tym, że naprawiłem mu kijki narciarskie, których używaliśmy do odpychania się na sankach, gdy zjeżdżaliśmy ze zboczy pagórków w środku zimy. W zamian Hyeon Chul pokazał mi swoje chwyt w walce wręcz (słynął z tego, że podczas wstępnej szarpaniny, która rozpoczynała każdą bójkę, przerzucał przeciwnika przez głowę) i nauczył mnie, jak skutecznie kopać przeciwnika, nawet gdy się leży na ziemi. Wkrótce staliśmy się dobrymi kumplami, a po szkole zaczęła krążyć plotka, że jesteśmy tak naprawdę kuzynami – plotka, której bynajmniej nie zamierzałem dementować. To oznaczało, że nikt nie ośmieliłby się już wcinać w moje bójki, bo to groziło odwetem ze strony Hyeon Chula.

Ale kumpłowanie się z nim wiązało się także z nowymi zagrożeniami. Pamiętam, jak pewnego dnia poszedłem z kolegami popływać w pobliskiej rzece. Później, gdy szliśmy do domu drogą gruntową, śmialiśmy się i marzyliśmy o tym, co zjemy na kolację, nagle z przeciwnej strony nadszedł największy wróg Hyeon Chula. Kiedy się do nas zbliżył, podniósł mnie jak worek ryżu i trzasnął o ziemię, po czym poszedł sobie dalej, jakby nic się nie stało.

Mimo tego bolesnego incydentu moja pozycja wyraźnie się poprawiała. Nic jednak nie pomogło mi tak jak chwila, gdy wreszcie udało mi się pokonać Choon Hyuka.

Była to kolejna paskudna bójka pełna nieczystych zagrań. Po piętnastu minutach czułem się tak, jakby żebra połamały mi się i kłuły mi płuca. Usta miałem pełne piachu, do oczu wlewała mi się krew. Po trzydziestu minutach podniosłem się po etapie drapieżnej kotłowaniny na ziemi i stwierdziłem, że Choon Hyuk się nie podniósł. Co więcej, płakał. Ramiona miałem jak z ołowiu, gdy kumple podbiegli do mnie i unieśli je wysoko w górę. Czułem tylko ulgę, ale moi koledzy nie posiadali się ze szczęścia. Ich długofalowa inwestycja we mnie jako bitnego kumpla wreszcie się opłaciła.

To był jeden z rzadkich dobrych dni w szkole. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale lekcje, jakie pobierałem w tych szkolnych bójkach, miały się okazać znacznie bardziej przydatne niż ta znikoma wiedza z geometrii, którą wyniosłem ze szkolnej ławy. Bójki o wiele lepiej przygotowały mnie do tego, co czekało mnie w przyszłości.

Rozdział 16

Wdawanie się w bójki nie było moją jedyną wadą. Miałem również inne złe nawyki, które trapiły mojego ojca. Lubiłem na przykład hazard. W szkole razem z innymi chłopakami graliśmy o gwoździe. Pewnego dnia wróciłem do domu z kieszeniami wypchanymi wygraną. Miałem niesamowity fart i nie mogłem się doczekać, żeby pochwalić się ojcu, jak tylko ten wróci do domu. On jednak spojrzał na mnie srogo.

– Nie powinienes uprawiać hazardu – powiedział, ale on też się podekscytował, gdy wysypałem swoją wygraną na jego szerokie dłonie. Uśmiechnął się i spojrzał ciepło na stosik czarnych gwoździ. – Ale patrz, jak dobrze ci poszło! Mamy tyle gwoździ, że możemy zacząć myśleć o zrobieniu dobudówki do domu. Odłóż je do mojej skrzynki z narzędziami, a kiedy nadejdzie pora, to będą pierwsze gwoździe, których użyję.

Ojciec zawsze miał hopla na punkcie domów. Uważał je za swoje największe osiągnięcie. A jego jedyny syn? Ze mnie nie był tak dumny nawet w przybliżeniu.

Tak bardzo ucieszyłem się z tego, że ojciec wreszcie jest ze mnie dumny, że oczywiście, gdy wróciłem do szkoły, wbrew zakazowi grałem dalej. I oczywiście przegrałem, i wtedy – rzecz jasna – pożyczałem gwoździe od innych chłopców, żeby grać dalej w nadziei, że wygram tyle, że starczy na całą dobudówkę, o której ojciec tak marzył. I oczywiście moja zła passa ciągnęła się dalej, nie mogłem wygrać ani jednej rundy, aż wreszcie wróciłem wieczorem do domu mocno zadłużony. W przeliczeniu na pieniądze było to może dwadzieścia czy trzydzieści centów – suma tak drobna, że aż śmieszna. Ale tamtej nocy, gdy nikogo nie było w pobliżu, otworzyłem skrzynkę z narzędziami ojca, pełną jego młotków i kluczy płaskich, i ukradłem gwoździe, które mu wcześniej dałem. Zrobiłem to, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, co będzie, jeśli ojciec się dowie.

Kiedy zauważył zniknięcie gwoździ, wcale na mnie nie nakrzyczał ani nie dał mi lania – właściwie, w przeciwieństwie do wielu północnokoreańskich ojców, nie bił mnie nigdy. Ale wyraz jego twarzy był dla mnie jeszcze gorszą karą niż lanie. Było to zdumienie i głęboki żal. Jego oczy mówiły: „Co ja takiego zrobiłem, że zasłużyłem sobie na takiego syna?”

*

Moim największym błędem tamtego roku było wzięcie pożyczki od jednego ze szkolnych kolegów, który – o czym wcześniej nie wiedziałem – okazał się okropnym kutwą. Pewnego dnia moi dwaj dobrzy kumple wybierali się do spożywcza. Byłem zupełnie bez kasy, ale też chciałem pójść. Pożyczyłem więc pięć wonów od starszego chłopaka, którego nie znałem zbyt dobrze. Nie miałem pojęcia, że strasznie się wścieka, jeśli od razu nie spłaca mu się dług. Później dowiedziałem się, że nie ma ojca i jest znany ze swojej gburowatości. Niestety, przekonałem się o tym bardzo boleśnie.

Kiedy nazajutrz nie zwróciłem wierzycielowi pieniędzy, chłopak zjawił się pod moim domem, wrzeszcząc:

– Ojczy Kima, oddawaj dziesięć wonów! – Dodał sto procent odsetek w ciągu dwudziestu czterech godzin! I nie chciał odejść, darł się tak, że wszyscy słyszeli, że jestem mu winien pieniądze.

Ja akurat bawiłem się gdzieś poza domem. Ojciec wyszedł za drzwi, żeby uciszyć chłopaka, i wdali się w bójkę na naszym podwórku. Wreszcie wierzyciel odszedł bez pieniędzy. Ale ojciec czuł się głęboko poniżony całym tym wydarzeniem.

Kiedy wróciłem tamtego dnia do domu, powiedział do mnie:

– Nie jesteś już moim synem.

Te słowa! Jakże mnie zraniły! Nie wiedziałem, co powiedzieć. Położyłem się na macie i płakałem tak długo, aż zasnąłem. Nazajutrz rano, gdy szedłem do szkoły, te słowa rozbrzmiewały mi w głowie raz za razem: „nie jesteś już moim synem... nie jesteś już moim synem... nie jesteś już...”. Takich słów nie można było cofnąć. Czułem się jak sierota, niezrozumiany i niechciany.

Pomimo rozczarowania i wstydu ojca nie znalazłem w sobie dość motywacji, by zacząć się uczyć lub skończyć z hazardem. Może i czasem poprawiałem się na tydzień lub dwa, ślęcząc wieczorem nad podręcznikami, żeby ojciec widział, że się staram, ale żadna trwała zmiana nie nastąpiła. Po prostu nie widziałem sensu w nauce, a im bardziej ojciec nalegał na dobre stopnie, tym bardziej się buntowałem. Miałem zostać żołnierzem walczącym o Koreę Północną – po co mi była trygonometria? Nadal uczyłem się źle.

*

Na szczęście rodzice mieli Bong Sook. Uczyła się dobrze, była zorganizowana i staranna. Bong Sook nigdy nie sprawiała rodzicom żadnych kłopotów. Nawet w najgorszych czasach umiała pozostać radosna. Inne nastolatki się buntowały. Potrafiły zapyskować: „Czemu muszę iść pracować w polu, zamiast bawić się z koleżankami?”. Moja siostra nigdy się nie skarżyła. W domu z trzema uparciuchami była jedyną osobą, która przyjmowała to, co przynosiło jej życie.

Wracam pamięcią do tamtych dni i zastanawiam się, co działo się w głowie tej dobrej, ładnej dziewczyny. Jakie miała marzenia? Kim chciała zostać? (Przypuszczam, że nauczycielką, ale tylko zgaduję, bo nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy). Czy podkochiwała się w którymś z chłopaków w szkole? Kto jej się podobał? Komu podobała się ona? Do dzisiaj prześladuje mnie myśl, że nic o tych sprawach nie wiem.

Nie znałem nawet tytułu ulubionej książki Bong Sook. Wybór miała mocno ograniczony, w naszym domu większość książek dotyczyła komunistycznej Partii Pracy Korei. Podobnie jak wszyscy nasi znajomi mieliśmy komplet wspomnień Kim Ir Sena. To było osiem tomów, a Bong Sook lubiła szczególnie ten, w którym Wielki Wódz opisywał walki przeciwko Japończykom w Mandżurii. Było tam wiele scen bitewnych, wartka fabuła i ilustracje przedstawiające Kim Ir Sena i jego towarzyszy roznoszących wrogów na bagnietach. Czy wszystko to było prawdą, czy zmyśleniem, to już zupełnie inna historia.

Bong Sook czytywała mi fragmenty z któregoś z tomów. Wiele wieczorów spędziłem z głową na jej kolanach, gdy leżałem na podgrzewanej podłodze naszego domu i słuchałem jej łagodnego głosu. Życie Kim Ir Sena obfitowało w dramatyczne i widowiskowe sceny i w kółko prosiłem, by czytała mi nasze ulubione rozdziały. W pewnym momencie, gdy Japończycy zaczęli jeszcze surowiej tępić koreańskich powstańców, Kim Ir Sen został zmuszony do ucieczki do Chin:

Unikając czujnego wzroku policyjnych oczu, zszedłem z przystani promowej do Jul-mok. Rzeka Yalu Jiang była tam zamrznięta i mogłem przejść przez nią na drugi brzeg. Rzeka była w tym miejscu szeroka na niecałe trzy metry (...). Stopy nie chciały jednak wejść na lód, ponieważ było możliwe, że już nigdy więcej nie poczuję pod nimi koreańskiej ziemi.

Odwróciłem się, podniosłem leżący pod nogami kamyczek i ścisnąłem go w dłoni. Chciałem zabrać część Korei ze sobą (...). Tamta chwila nad Yalu Jiang była jedną z najboleśniejszych w moim życiu.

Uwielbiałem takie sceny. Ale teraz zadaję sobie pytanie: Czy były to również ulubione rozdziały Bong Sook? Czy może czytała mi je tylko dlatego, że ja je lubiłem?

Nie wiem, w którym miejscu kończyła się jej miłość do mnie, a gdzie zaczynała się prawdziwa Bong Sook. Była dla mnie tym, czym słońce dla trawy.

Żałuję, że byłem wobec niej tak samolubny. Nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby zadać sobie pytanie: „Czy ona naprawdę chce prać dzisiaj moje skarpetki?” albo „Czemu Bong Sook dzieli się ze mną swoim jedzeniem?”. Byłem chłopcem. Jej rola polegała po prostu na tym, by mi usługiwać. W każdym razie tak mi się wydawało.

*

Naszą jedyną rozrywką w te długie wieczory były opowieści mojego ojca. Umiał wspaniale opowiadać. Zaczynał swoje historie wtedy, gdy światło mrugało wieczorem i gasło, i nie było można nic robić, tylko leżeć na matach i gapić się w pomalowany na biało sufit nad naszymi głowami. Ojciec mówił barytonem i ten jego głos zabierał nas od naszych zmartwień w podróż do miejsc dalekich od Manyangu.

Jedna z moich ulubionych opowieści była o tym, jak Kim Ir Sen wracał z wizyty w Moskwie. Wielki Wódz miał w zwyczaju okrążyć lotnisko trzy razy przed wylądowaniem, aby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Kiedy pewnego popołudnia leciał z powrotem do Pjongjangu, zamachowcy zaplanowali, że zestrzelą jego samolot jakimś pociskiem raketowym. Kiedy maszyna zbliżała się do miasta, Kim Ir Sen, który siedział w głębi kabiny, rozkazał pilotowi, aby wykonał tylko dwa okrążenia. Zamachowcy, którzy czekali z odpaleniem rakiety na trzecie okrążenie, stracili swoją szansę, a Wielki Wódz wylądował bezpiecznie.

– Skąd on to wiedział? – zapytałem ojca. A on tylko uśmiechnął się do mnie i uniósł brwi. Wielki Wódz był wyjątkowym człowiekiem, który ocalił

Koreę Północną przed jarzmem niewoli. Udaremnienie zamachu było dla niego jak splunięcie. Ale teraz już nie żył, przypominałem sobie. Takie cuda odeszły w przeszłość.

Najbardziej lubiłem jednak słuchać o czasach, gdy tata służył w Siłach Specjalnych Korei Północnej. Opowiadał nam, jak jako osiemnastoletni chłopak on i jego towarzysze broni dostali rozkaz, aby wyciąć przerębłę w zamarznętej rzece. Potem zdjęli mundury, zanurkowali w odrętwiająco zimnej wodzie i przepłynęli na określoną odległość po to, by wykuć drugą przerębłę bagnetami, tym razem od spodu! Innym razem, podczas ćwiczeń spadochronowych, instruktorzy powiedzieli, że jeśli jego spadochron splącze się ze spadochronem innego żołnierza, jeden ze skoczków powinien odciąć linki swojego spadochronu i ponieść śmierć, by ocalić towarzysza.

– To, co kazano nam robić, było bardzo trudne, ale też ekscytujące – mówił tata głosem przepełnionym nostalgią. – Podczas szkolenia jeden cukierek musiał mi wystarczyć na czterdzieści kilometrów marszu!

Odchodząc z wojska, ojciec podpisał zobowiązanie, że w życiu cywilnym nigdy nie wykorzysta umiejętności nabytych podczas służby. Potraktował tę przysięgę tak poważnie, że nie chciał mnie nawet uczyć, jak się bić. Dał mi w tej dziedzinie tylko jedną radę: „Nigdy nie zamykaj oczu”, ponieważ to pokazuje, że się boisz, a na dodatek źle wpływa na celność twoich ciosów. Zawsze o tym pamiętałem.

Kiedy tata opowiadał te historie, w wyobraźni przenosiliśmy się na pokład samolotu Sił Powietrznych Korei Północnej lub dołączaliśmy do maszerujących po górach w ciemności żołnierzy, którzy prawie zasypiali na stojąco. Jego opowieści dodawały nam odwagi, nie byliśmy już chorymi i wygłodniałymi stworzeniami, lecz towarzyszami tych dzielnych żołnierzy. Kiedy słyszałem głos ojca w naszym ciemnym domu, czułem się tak, jakby oplatały mnie jego ramiona i jakby z moim krajem wszystko było w porządku.

Już niedługo miałem za tymi wieczorami mocno zatęsknić.

Rozdział 17

Jesienią 2000 roku nasz „dobry rok” – tak naprawdę było to tylko sześć miesięcy – dobiegł nagle końca. Inflacja znowu wystrzeliła w górę i za kilogram ryżu, który przedtem kosztował czterdzieści, pięćdziesiąt wonów, teraz trzeba było zapłacić dwieście wonów. Reszta kraju powoli dochodziła do siebie, ale mój ojciec poważnie się rozchorował. Głód mocno odbił się na jego zdrowiu i ojciec zapadł na marskość wątroby (mimo że nigdy zbyt nie pił). Wróciliśmy na nasze „gospodarstwo rolne” na wsi, dwie i pół godziny drogi na piechotę. Do tego czasu zrozumieliśmy, czemu władze pozbyły się tej ziemi: pola rozciągały się u podnóży góry, gdzie drzewa zostały wypalone, a ziemia nie była zbyt żyzna. Rok po roku pole dawało coraz mniejszy plon. Najpierw jedliśmy fasolę szparagową i pierwszą kukurydzę, którą zbierało się około 15 sierpnia, kiedy to wypada koreańskie święto niepodległości. Ale wkrótce potem wróciliśmy do Manyangu, gdzie klepaliśmy biedę. Głód wrócił do naszego domostwa, a był niczym zwierzę, które urosło i nabrało sił. Zaczął nas pożerać.

Atmosfera w domu była bardziej ponura niż kiedykolwiek. Mama brała pożyczki i nie była w stanie ich spłacić. Nie było ryżu ani zboża. Żywiliśmy się chwastami i dzikimi trawami z łąk na pograniczu gór. Ojciec ostrzegwał nas przed grzybami. Bał się, że będziemy tak głodni, że nie starczy nam sił, by przynieść je do domu, gdzie mógłby je obejrzeć, i że zjemy grzyb, który okaże się trujący. Słyszeliśmy o całych rodzinach, które znajdowano martwe przy garnkach z obiadem, gdzie w letniej wodzie wciąż pływały trujące grzyby.

Głód wysysał z nas energię. Weszliśmy w rodzaj częściowego zaciemnienia, w etap niszczącego powoli głodu. Umysł jest częściowo odrętwiały, ale brzuch ciągle boli, a każdy dzień jest niczym drut rozpięty między jednym a drugim: kiedy przewód rozżarza się na czerwono, ból szarpący brzuch jest prawie nie do zniesienia i chce ci się wyć. Umysł zwraca się przeciwko tobie, wyświetlając przed twoimi oczami obrazy sutych posiłków. Kiedy przewód się schładza, popadasz w rodzaj letargu. Łatwo się irytujesz. Serce bije ci słabo i szybko.

Mijały tygodnie, Bong Sook wyglądała coraz mizerniej i słabiej. Siedziała

na swojej macie tak chwiejnie, jakby miała się zaraz przewrócić. Pewnego dnia matka poprosiła ją, aby podała jej talerz liści kapusty, które miała zamiar wrzucić do zupy. Talerz leżał na stole półtora metra od Bong Sook. Siostra odwróciła się, żeby wstać, ale ręce i nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i dźwignąwszy się tylko o kilka centymetrów, opadła z powrotem na matę. Potem próbowała się czołgać, ale ciało znowu okazało się za słabe: lewe ramię ugięło się i Bong Sook legła na macie jak budynek, który częściowo się zawalił. Kiedy się pochyliła, nie miała siły znowu się wyprostować, siedziała więc dalej pochylona.

Wtedy pierwszy raz ujrzałem trwogę w jej oczach. Bong Sook popatrzyła najpierw na mnie, a potem na matkę i ojca. Jej oczy zdawały się krzyczeć ze strachu: „Co się dzieje? – wołały. – Czemu moje ciało tak dziwnie się zachowuje? Co to znaczy?”.

Rodzice dźwignęli się i pomogli jej wstać. Nie mogłem się ruszyć. Miałem wrażenie, jakbym oglądał to wszystko w rozedrganym powietrzu. Więc tak to się odbywa, pomyślałem. A potem znajduje się takie rodziny martwe. Gdyby rodzicom zabrakło tych resztek sił, patrzylibyśmy tylko, jak padamy jedni po drugich nieprzytomni, i ledwie zdawalibyśmy sobie sprawę z tego, że to rzeczywistość, a nie sen. Byliśmy już nad samą przepaścią.

Pelagra matki wróciła z pełną mocą, a ojciec z tygodnia na tydzień rozchorowywał się coraz bardziej. Głód sprawił, że brzuch mu się rozdał, a choroba wywoływała intensywny, kłujący ból, któremu towarzyszyło ciemnienie skóry. Ciało w okolicach wątroby było rozognione, gdy sam organ rozdymał się i włóknił. Nie mieliśmy pieniędzy na lekarza, więc postawiono mu tylko wstępną diagnozę, nie został poddany leczeniu i nigdy nie dowiedzieliśmy się, jakie były przyczyny choroby. Ale rodzice bardzo martwili się tym, że oboje są chorzy i osłabieni. Bali się, że Bong Sook i ja skończymy jako *Kkodzebi*.

*

Pewnego dnia ojciec wrócił z pracy do domu bardzo podekscytowany.
– Powinniśmy pójść nad rzekę – powiedział. – Kolega mówił mi, że są tam drobne ślimaki, które można ugotować i zjeść. W rzece jest ich pełno!
Nigdy wcześniej nie braliśmy pod uwagę ślimaków jako jedzenia. Ale myśl

o mięsie, czyli o czymś, czego nie jedliśmy od długich miesięcy, okazała się zbyt kusząca. Wszyscy zaczęliśmy marzyć o tym nowym egzotycznym daniu: jak mogło smakować – jak drobne krewetki, jędrne i pyszne, a może jak ryby morskie, słonawe i krzepiące?

W weekend ojciec i ja wybraliśmy się nad rzekę z pustymi wiaderkami. Nie zastanawiałem się wcześniej nad tym, co miał na myśli, mówiąc „rzeka”. Ale właśnie tam chodziłem z kolegami popływać. Było lato, więc prawie na pewno spotkałbym ich nad wodą. Miałem nadzieję, że mnie nie zobaczą. Byłoby mi tak bardzo wstyd.

Niepotrzebnie się jednak martwiłem. Ojciec zaprowadził mnie w inne miejsce, gdzie woda była płytsza niż tam, gdzie się kąpaliśmy. I stwierdziliśmy, że kolega taty mówił prawdę. Wszędzie, na wszystkich kamieniach i głazach, które leżały na dnie rzeki, siedziały ślimaki. Zaczęliśmy je zbierać. Macałem palcami po omszałych powierzchniach, aż natrafiałem na skorupkę ślimaka. Odrywałem go i wrzucałem do wiadra. Wkrótce ciemnoszare żyjątka zaczęły grzechotać w kubelku. Pomyślałem o uczcie, która nas czekała.

Okolo czwartej po południu udaliśmy się z naszym zbiorem do domu. Matka stała już przy drzwiach i wzięła od nas wiadro. Podczas gdy ojciec i ja poszliśmy się odświeżyć, umyła ślimaki i wrzuciła je do kociołka z wodą, która grzała się już nad paleniskiem. Dorzuciła opału do ognia i wkrótce ślimaki zaczęły wyłazić ze skorupki, próbując uciec od gorąca. Spojrzałem na ojca. Skinął głową, więc wziąłem jedną muszelkę. Była taka mała. Trzymając ją między kciukiem i palcem wskazującym, wyssałem ślimaka.

– Ojcie! – zawołałem. – Smakuje paskudnie!

Bo rzeczywiście, ślimak był oślizgły i szlamowaty.

Ojciec popatrzył na mnie surowo.

– Jedz mimo wszystko.

Zamknąłem oczy i przełknąłem z obrzydzeniem mięso.

– Mamy chociaż sól?

Matka pokręciła głową. Sól była dla nas niedosiężnym luksusem. Rozczarowanie smakiem ślimaków szybko ustąpiło zwykłej żarłoczności i zjedliśmy je wszystkie. Pomyślałem: Nic dziwnego, że kolega ojca powiedział mu o nich. Są obrzydliwe. Ale jadłem je tak długo, aż myślałem, że się porzygam.

Z ulic zaczęły znikać psy. Przed głodem widywało się je na łańcuchach

przed domami w Hoeryŏngu i stojące na podwórkach budy. Psy jadły ochłapy i pilnowały dobytku. Ale gdy nadszedł głód, na ulicach nie można już było uświadczyć ani jednego psa.

Później przyszła pora na szczury. Pamiętam jedną dziewczynkę, Oon Hwa, której ojciec zastawiał pułapki na szczury na placu targowym, a to, co udało mu się złapać, zanosił do domu na obiad. Wyśmiewaliśmy się z niej, mówiąc:
– Jej stary zre szczury! Ona pewnie też!

Ale teraz gryzonie stały się poszukiwanym rarytasem, choć moi kumple nigdy nie przyznali się, że kiedykolwiek posmakowali szczurzego mięsa.

Wiosną 2001 roku zdawało się, że wysychają źródła nawet najpośledniejszego rodzaju jedzenia i nic już nie zostało. Ojciec zwolnił się z pracy, co oznaczało, że utraciliśmy gospodarstwo rolne, które mogłoby nas zaopatrywać w pożywienie. Rodzice często się teraz kłócili, ojciec raz na jakiś czas wyrzucał matkę z domu, zwykle po tym, jak się przyznała, że straciła pieniądze z najnowszej pożyczki, którą udało mu się dla niej zorganizować. Pewnego dnia, gdy nie widziałem jej już od tygodnia, szedłem do szkoły, kiedy zobaczyłem ją przy drodze. Przywołała mnie gestem, jej twarz wykrzywiało cierpienie, oczy przepełniał smutek.

– Maczku – powiedziała – weź to.

Jakimś sposobem udało jej się wytrzasnąć skądś pieniądze na nową parę butów, które wepchnęła mi do plecaka, a także na dziesięć cukierków. Dwa z nich zjadłem od razu, a resztę schowałem do kieszeni. Matka uściskała mnie i odszedłem, a ona została zapłakana sama.

W tamtym okresie serce krwawiło mi z żalu. Nie mogłem pojąć, dlaczego matka nie może razem z nami mieszkać.

Synów i matki łączy w koreańskiej kulturze silna więź. Ojciec opowiadał mi kiedyś taką baśń: W czasach głodu przed setkami lat był syn, którego nie było już dłużej stać na karmienie własnej matki, więc wziął ją sobie na plecy i zaniósł na górę, gdzie zamierzał zostawić ją na śmierć. Matka wiedziała, co syn robi, ale nie powiedziała nic, póki nie zbliżyli się do góry, kiedy to wreszcie się odezwała: „Synu – rzekła spokojnie – odrywałam gałązki z drzew i rzucałam je na drogę za nami. Kiedy mnie już zostawisz, idź ich śladem do domu, a nie zabłądzisz”.

W końcu, tamtej wiosny, moja matka wyjechała z Hoeryŏngu na południe, by zamieszkać w domu jednej ze swoich sióstr. Myślę, że z radością zostawiła ojca i ciągle napięcie, które towarzyszyło ich wspólnemu życiu.

Zastanawiam się, jak wyglądałoby małżeństwo rodziców, gdyby nie było głodu, stresu związanego ze świadomością, że nie ma się niczego, czym można by nakarmić własne dzieci. Czy wtedy by im się udało? Czy byłiby szczęśliwi? Czy pęknięcia, które ich rozdzieliły, były skutkiem życia w Korei Północnej? Czy może ich przyczyną były wady osobiste, zarodki rozkładu, które tkwiły głęboko w ich związku od samego początku?

*

Kiedy nadeszło lato, cała nasza trójka, która pozostała w Manyangu, miała nadzieję, że żniwa przyniosą nam ulgę. Zamiast tego jednak głód stał się jeszcze bardziej dotkliwy. Bez pracy ojciec nie miał pieniędzy na zakup jedzenia. Coraz bardziej się martwił. Czy dotrzemy do jesiennych żniw na naszym spłachetku pola? Odkąd został sam, bez mojej matki, odpowiedzialność za ocalenie nas jeszcze bardziej mu ciążyła.

Bong Sook i ja całe dni spędzaliśmy w górach, wybieraliśmy się tam jeszcze przed pierwszym brzaskiem. Tą samą drogą, co my, szli ledwie widoczni w ciemnościach ludzie niosący w dłoniach puste torby. Byli to wieśniacy, którzy udawali się na te same wzgórza w nadziei, że uda im się znaleźć coś na wieczorny posiłek. Aby wędrówka mniej się nam przykrzyła, Bong Sook opowiadała mi rozmaite historie albo rozmawialiśmy o dobrych czasach, kiedy mogliśmy kupić sobie jakąś przekąskę, jak tylko mieliśmy na to ochotę, i o niedzielach, gdy telewizję zaczynano emitować o dziewiątej rano, a my cały dzień siedzieliśmy w domu, zajadaliśmy się ciastkami kukurydzianymi i oglądaliśmy filmy. Takie wspominki poprawiały nam na pewien czas humor.

Pracowaliśmy przez całe przedpołudnie, potem około południa robiliśmy sobie przerwę i przekąszaliśmy to, co akurat ze sobą przynieśliśmy – jakieś korzonki czy resztki z poprzedniej nocy, jeżeli takie zostały. Wszystkie rośliny jadalne, na które natrafiliśmy, wrzucaliśmy do plastikowej siatki. Zwykle siatkę udawało nam się zapełnić po dziesięciu godzinach zbierania. Zbliżała się północ, gdy ruszaliśmy z powrotem do domu, by lec na naszych matach.

Pewnego dnia, gdy szliśmy w góry tuż po świcie, zobaczyłem z przodu wieśniaczkę, która niosła niemowlę przytroczone do pleców. Dzięki temu

kobieta mogła zbierać zieleninę bez konieczności kładzenia dziecka za każdym razem na ziemi. Zauważyłem, że malec trzyma coś w dłoniach: chrupki kukurydziane. Skąd, do licha, udało jej się je wytrzasnąć? – zastanawiałem się. Natychmiast ogarnęła mnie dzika ochota, żeby wyrwać smakołyki z rąk dziecka i samemu je pożreć.

Głód to poniżenie. Ale głód to także zło.

W końcu, po kilku miesiącach, w górach nic już nie zostało. Kiedy powiedzieliśmy o tym ojcu, ten pokiwał powoli głową. Wyglądał, jakby się gwałtownie zestarzał: twarz miał pomarszczoną, grzbiet już nie tak prosty jak kiedyś. Skórę miał żółtą od chorej wątroby, a brzuch wydęty jak u kobiety w ciąży.

Nie było już nic do zrobienia, nic do sprzedania. Żar, który lał się z nieba, przeciskał się przez sufit i zdawało się, jakby w domu nie było już tlenu.

Całe dni to budziłem się, to zapadałem w delirium, z którego nie chciałem się ocknąć. Im byliśmy słabsi, tym mniej straszna wydawała się śmierć.

Rozdział 18

Podczas gdy nasza rodzina zapadała się coraz głębiej i głębiej, starsi ludzie z sąsiedztwa zatrzymywali mnie na ulicy i mówili: „Masz cudowną siostrę. Powinieneś być za nią wdzięczny!”. Musiałem już chyba stać się do tego czasu dość zubożniałym i gruboskórnym, bo pamiętam, jak moi rozmówcy czekali, aż zgodzę się z nimi z całego serca, lecz ja tylko gapiałem się na nich ze skrzywioną miną. Czemu po prostu nie pilnują swojego nosa? Co ich obchodzi, czy moja siostra jest zła, czy dobra? Przecież i tak głodujemy, myślałem sobie. Może było to podszyte wyrzutami sumienia, że Bong Sook robiła dla nas tak dużo, a ja tak mało.

Nie umiałem łapać zwierząt. Do robienia interesów się nie nadawałem. Mój mózg nie był w stanie wymyślić żadnych sposobów na zdobycie pożywienia. Większa jego część pozostawała w stanie uśpienia, wyłączona na skutek niedożywienia. Byłem zredukowany do żołądka.

A starsi ludzie z sąsiedztwa podziwiali Bong Sook tak bardzo, ponieważ wymyśliła sposób, jak nas ocalić. Przejęła pomysł po naszej matce: kupowała i sprzedawała makaron, aby pomóc nam przetrwać. I przynajmniej na początku okazała się znacznie lepszym przedsiębiorcą niż mama. Staruszki z sąsiedztwa co rusz spotykały ją na ulicy, gdy jeździła rowerem tu i tam w poszukiwaniu jedzenia, którym można by nakarmić naszą rodzinę.

Co wieczór Bong Sook brała stary rower ojca i wybierała się na miejscowy targ po kukurydzę. Kupowała dziesięć kilo i jechała do pobliskiej fabryki, gdzie w pocie czoła męła ziarna na mąkę, z której wyrabiała makaron. Do ciasta dodawało się wodę, dzięki czemu z dwudziestu kilogramów kukurydzy uzyskiwała dwadzieścia dwa kilogramy makaronu, który pakowała do foliowych toreb, aby nie wysychał. Nazajutrz rano wstawiała, ubierała się, myła twarz i ładowała makaron na czarny zdezelowany rower ustawiony przed domem. Później jechała ze dwie godziny za miasto, daleko na wieś, w najodleglejsze zakątki Korei Północnej. Później pukała do drzwi rolników i pytała: „Może kupicie państwo makaronu kukurydzianego na dzisiaj?”.

Ludzie na wsi mieli ograniczony dostęp do świeżego makaronu i płacili jej po kilka wonów za garść. Czasami rolnicy nie mieli gotówki i płacili jej

kukurydzą. Ona dawała im kilo makaronu, a w zamian dostawała tysiąc sto gramów ziaren kukurydzy.

Jej zysk był mały. A całe przedsięwzięcie, jak wcześniej, ku swojej irytacji, przekonała się nasza matka, obarczone było sporym ryzykiem. Jeżeli nie sprzedało się całego makaronu pierwszego dnia, zaczynał wysychać, co oznaczało, że Bong Sook musiała dawać kupcom więcej makaronu w kilogramie. Im dłużej makaron pozostawał niesprzedany, tym bardziej tracił na wadze i tym mniej Bong Sook mogła zarobić.

Sama podróż daleko na wieś też obfitowała w niebezpieczeństwa. Dziewczyny z makaronem były często napastowane. Pamiętam, jak jedna dostała kamieniem w głowę, a gdy się ocknęła, cały jej makaron zniknął. Inna została zgwałcona w pobliżu Hoeryŏngu, a słyszałem też o tym, że dziewczyny bito dotkliwie, gdy odmawiały oddania swojego towaru. Na wsi było mało policjantów, a żołnierze, którzy odeszli do cywila i nie mogli znaleźć pracy, odziani w stare mundury, trudnili się rabunkiem. Niby jakie szanse miały dziewczyny takie jak moja siostra w konfrontacji z takimi zbirami tak daleko od domu, gdzie nikt nie wiedział nawet, jak się nazywają?

Tamtej zimy obudziłem się pewnego ranka i zobaczyłem wpatrzone we mnie wielkie brązowe oczy Bong Sook w szarym mroku. Na dworze wiał wiatr. Czasami zdawał się szczególnie zimny i świszczął tak, jakby próbował przepiłować drzwi i wedrzeć się do środka. Położyłem głowę z powrotem na macie i poczułem, jak ciepło obmywa mi policzki i całą twarz.

– Maczku? – powiedziała siostra.

– Tak?

– Poleżę jeszcze dziesięć minut.

Pokiwałem głową i popatrzyliśmy na siebie w milczeniu. Wystarczało mi, że jest mi ciepło, że Bong Sook jest obok i że nie muszę iść do szkoły. Pomyślałem o długim dniu, który mnie czekał: cały dzień bezczynnego siedzenia w domu. Nie miałem siły wyjść na dwór i się bawić.

– Wolałabym zostać w domu – powiedziała Bong Sook.

Wpatrywałem się w nią bez słowa. Wyznanie brzmiało zupełnie niezwykle w jej ustach: nigdy nie skarżyła się na swoje życie. Zatkąło mnie, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Chciałem powiedzieć: „Nie idź. Zostań ze mną i pogadamy o dawnych czasach”. Ale gdyby nie poszła, skończyłoby się na tym, że sami zjedlibyśmy makaron i Bong Sook nie miałaby towaru na sprzedaż.

Dziesięć minut minęło. Jej oczy były takie smutne. Miałem świadomość, że nawet podczas naszej krótkiej rozmowy makaron zaczyna wysychać.

– Jeszcze pięć minut – powiedziała.

– Jeszcze pięć minut – powtórzyłem. Nie wiedziałem, jak dodać siostrze otuchy. Nie byłem w takich sprawach zbyt dobry. Ciągle marzyłem tylko, że mam gdzieś ukryte pieniądze, których starczyłoby na zakup kukurydzy na cały miesiąc – wyobrażałem sobie, że jestem bogatym kupcem z tysiącami wonów w portfelu. Coraz częściej moje poprzednie marzenia o zostaniu szpiegiem albo bohaterskim żołnierzem były wypierane przez marzenia o tym, jak robię rodzinie niespodziankę, przywożąc całe fury jedzenia. Dzięki temu mógłbym zatrzymać Bong Sook przy sobie i sprowadzić matkę z powrotem do naszego domu.

Pięć minut później Bong Sook dźwignęła się z podłogi, krzywiąc się z bólu w stawach, który zdawał się zawsze towarzyszyć długiemu głodowaniu, a potem się ubrała. Wkrótce wyszła, a ja usłyszałem ze swojej maty odgłosy jej rozklekotanego roweru, gdy odjeżdżała. Wyobrażałem sobie, jak pedałuje po wiejskich drogach, a kosze z makaronem podskakują po obu bokach tylnego koła. Miałem nadzieję, że wkrótce wróci do domu z torbą pełną kukurydzy.

Rozdział 19

Ojciec opowiadał nam swoje cudowne historie nawet w najmroczniejszych dniach głodu. O Kim Ir Senie i jego bitwach z Japończykami. O swoich przygodach w wojsku. Ale późną wiosną 2001 roku tematyka jego opowiadań zaczęła się zmieniać. Historie o Kim Ir Senie zniknęły, by już nigdy nie powrócić. Teraz ojciec brał mnie wieczorem na bok, nawet gdy wciąż był jeszcze prąd, i opowiadał mi o obrzędach pogrzebowych Korei.

Żałoba w Korei Północnej to skomplikowana sprawa: każdy musi odgrywać swoją rolę dokładnie według wytycznych, aby osoba zmarła przeniosła się na tamten świat bez utraty honoru. W tej ceremonii bardzo ważną funkcję pełni najstarszy syn. Jest mianowicie *sangdzu*, kimś w rodzaju mistrza ceremonii. *Sangdzu* musi poprowadzić wszystkie odrębne rytuały, bo inaczej duch zmarłego rodzica poczuje się osamotniony w chwili przejścia w zaświaty.

Ojciec szczegółowo opisywał każdy etap żałoby, powtarzając swoje nauki w następne wieczory.

– Najpierw ciało kładzie się w linii prostej – mówił. – Trzeba okryć je białym całunem. Jeśli uda się znaleźć coś, co posłużyłoby za parawan zasłaniający zwłoki przed ludźmi wchodzącymi do domu, to dobrze.

Przed tym parawanem staje *sangdzu* ze zdjęciem zmarłej osoby, podczas gdy na stoliku obok palą się kadzidła. W dawnych czasach *sangdzu* byłby odziany w tradycyjny koreański strój, przy czym każdy region miał własną jego odmianę – na przykład w Andongu był to długi płaszcz wiązany pasem, uszyty z najprzedniejszego płótna, który nazywa się *top'o* – lecz w 2001 roku nie sposób było zdobyć coś takiego. Musiał nam więc wystarczyć jakikolwiek czarny płaszcz z czarną wstążką lub opaską na ramię. *Sangdzu* nie wolno opuszczać boku zmarłego, chyba że po to, by skorzystać z toalety. Jest strażnikiem zmarłej osoby, nie może jej zostawić. Rysem szczególnym kultury koreańskiej jest to, że *sangdzu* nie tylko stoi na straży, ale też pokutuje za to, że dał rodzicowi umrzeć.

– To jest pierwszy dzień – powiedział ojciec. Słuchałem go i zupełnie nie dziwiło mnie, że opowiada mi o tych sprawach. Przejście od przygód i wyczynów północnokoreańskich żołnierzy do sposobu, w jaki należy

układać kadzidła, było płynne. Nie widziałem powodu do zmartwień: był to tylko jeszcze jeden niemiły temat, który ojciec przemieniał swoją opowieścią w coś cudownego.

– Drugiego dnia ciało się myje, ubiera i układa do trumny. – Potem opisał całą złożoność tego obrzędu. Część z jego nauk zapomniałem, ale było tego naprawdę mnóstwo. *Sangdzu* musi, oczywiście, nadzorować każdą z tych czynności. Potem zakłada na zdjęcie zmarłego czarną wstążkę i siada obok trumny na macie z szorstkiego materiału. Szorstkość maty – to akurat pamiętam – stanowi element jego pokuty.

Teraz zjawiają się goście. Kłaniają się zdjęciu, później zaś kłaniają się *sangdzu*, który odwzajemnia ukłon. Wedle dawniejszego obyczaju *sangdzu* nie odzywał się ani słowem przez cały drugi dzień uroczystości żałobnych – zgrzeszył, a ciało w trumnie o tym grzechu zaświadcza, w związku z czym musi odpokutować – współcześnie jednak wolno mu podziękować gościom za oddanie szacunku zmarłemu. W poprzednich latach żałobnicy zostawiali kopertę wypełnioną pieniędzmi, teraz jednak ludzie nie mieli nawet dość pieniędzy dla żywych, a co dopiero mówić o umarłych.

Trzeciego dnia trumnę niesie się na cmentarz, a *sangdzu* prowadzi pochód, wciąż trzymając w dłoniach zdjęcie zmarłego. W miejscu pochówku *sangdzu* opowiada o życiu swojej zmarłej matki lub ojca, a inni żałobnicy, jeśli mają ochotę, mogą podzielić się z resztą swoimi wspomnieniami o dobroci i serdeczności zmarłej osoby. Kiedy trumnę opuszcza się na linach w głąb grobu, *sangdzu* rzuca na jej wieko trzy garście ziemi. Potem grób się zakopuje, formując mały kopczyk, w który wbija się niedużą kamienną tablicę z napisem mówiącym, kogo tu pochowano.

Kiedyś na trzy lata po śmierci bliskiego *sangdzu* wycofywał się z normalnego życia, nie mógł wziąć ślubu ani uprawiać seksu, aby w ten sposób odkupić winę za to, że dopuścił do śmierci ukochanej osoby. Obecnie już po kilku dniach wolno mu wrócić do świata.

Teraz jest dla mnie oczywiste, że ojciec przygotowywał mnie na swoją śmierć, powierzając mi wiedzę o tym, co muszę uczynić później. Przyznaję, że wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jak powiedziałem, tata umiał sprawić, że wszystko, o czym opowiadał, nabierało magii: jego głos działał jak czary. Okazałem się jednak marnym uczniem i jak zawsze istotna nauka mi umknęła.

Ojciec powiedział mi również, jak rozpoznać, czy dana osoba rzeczywiście

umarła. Kiedy żywy człowiek leży na podłodze, powiedział, jeśli wsuniesz dłoń w zagłębienie jego pleców, z łatwością ci się to uda. Kiedy jednak człowiek jest martwy, nie uda ci się wcisnąć tam ręki. Był to dziwny fakt, ale ojciec często raczył mnie takimi osobliwymi ciekawostkami.

Zastanawiam się teraz, czy wyobrażając sobie własną śmierć tak szczegółowo, znajdował w tym ulgę. Może czuł się tak, jakby brał udział we własnym pogrzebie, co musiało mieć swój powab – świadomość, że nawet w czasach głodu, kiedy tyle z tego, co w życiu cenił, zniknęło, stare zwyczaje przetrwają. Podejrzewam, że opisywał wszystko tak dokładnie dlatego, że nie byłem zbyt uważnym dzieckiem. W gruncie rzeczy mówił mi: Synu, zapomnij na chwilę o swojej dzikiej naturze i wyświadcź mi tę jedną ostatnią przysługę. Przestrzegaj obrzędu, którego mój dziad nauczył mego ojca, a mój ojciec mnie. Nie zawieź mnie, Maczku.

*

Moja matka wróciła do domu z pieniędzmi, które zarobiła podczas swoich wojaży. Zawarła jakieś znajomości w Sambongu, mieście na północ od Hoeryöngu, i prowadziła tam interesy, ale szło jej bardzo różnie. Jej zarobki nie były na tyle stabilne, by na trwałe oddalić od naszej rodziny widmo głodu.

Do jesieni 2001 roku wyczerpaliśmy wszystkie możliwości, które dawały nam szanse przetrwania. Zbieraliśmy chrust w górach za domem i sprzedawaliśmy go na targu, ale coraz mniej ludzi było stać na taki zakup. Nie mieliśmy żadnych plonów z naszego gospodarstwa rolnego. Wyprzedaliśmy się prawie ze wszystkiego, co posiadaliśmy. Konieczność wyzbycia się sprzętów domowych to dla koreańskiego mężczyzny wielki wstyd, bo oznacza przyznanie się do tego, że nie jest się w stanie utrzymać własnej rodziny, więc kiedy ojciec wynosił z domu nasze garnki, kosztowało go to wiele odwagi. Ale przemógł się i wrócił z taką ilością makaronu, że starczyło nam na kilka dni.

Potem przyszła kolej na większość naszych ubrań, później na gliniane miski, meble i nasz ukochany czarno-biały telewizor, dzięki któremu byłem kiedyś królem osiedla. Ojciec zapewnił Bong Sook i mnie, oboje zrozpaczonych tą stratą, że sprzedaje telewizor tylko po to, by kupić większy.

Większy odbiornik, oczywiście, nigdy się nie pojawił. Nie ostał się nawet zegar ścienny, który ojciec zdjął pewnego dnia i sprzedał kupcowi na targowisku w centrum Hoeryöngu. W końcu nic już nam nie zostało.

Mniej więcej w tym samym czasie dowiedzieliśmy się, że moja babka ze strony matki zmarła z wygłodzenia. Znajomy, który przyjechał z wioski mojej babci, odwiedził nas w domu i przekazał wiadomość.

Kiedy o tym usłyszałem, byłem zrozpaczony. Życie babci było tak pełne bólu. Kiedy o niej myślałem, przypominałem sobie gorzki wyraz twarzy kobiety, która nie spodziewa się po życiu niczego dobrego. Usiłowałem przypomnieć sobie, jak się uśmiecha, ale nie mogłem. Mimo wszystko pamiętałem te łyżki ryżu, którymi mnie karmiła, gdy opowiadała mi swoje historie. Kochała cię, Maczku, powiedziałem sobie. Nie ma wspanialszego dowodu miłości niż łyżka ryżu.

Matka była wstrząśnięta tą nowiną. Jej ciemna energia wypełniała dom, lecz tym razem my też się do niej dokładaliśmy, myśląc o babci umierającej z głodu, podczas gdy my nie możemy jej pomóc. Wkrótce matka oznajmiła, że znowu nas opuszcza – tym razem nie wyjedzie jednak do nikogo z krewnych (bo i kto by ją przyjął?), tylko do Chin.

Ucieczka do Chin była niebezpieczna. Gdyby człowiek dał się schwytać czy to na jednym, czy na drugim brzegu rzeki Tumen, która przepływała kilka kilometrów dalej i graniczyła z Chinami, zbiega czekało więzienie. (Chociaż mieszkańcom Hoeryöngu, z których wielu miało krewnych po drugiej stronie granicy, czasem pozwalano przebywać w przygranicznych miasteczkach chińskich, póki nie próbowali wyprawiać się w głąb kraju). Wszyscy jednak słyszeliśmy o Koreańczykach z Północy, którzy przedostali się do Chin i bajecznie się wzbogacili, a po powrocie mieli dość pieniędzy, by kupić nowy dom i przez całe lata żyć z oszczędności. Te opowieści oczywiście przemawiały mojej matce do wyobraźni. Zamierzała przekroczyć granicę i pracować lub handlować – o szczegółach mówiła dość mętnie – później zaś wrócić z walizką pieniędzy.

Kiedy mama odeszła, nie płakałem. Nie miałem pojęcia, że wybiera się do Chin, myślałem, że po prostu jedzie odwiedzić krewnych na południu, tak jak wiele razy przedtem. Nie przytuliłem się do niej, powiedziałem tylko „do zobaczenia”.

Od odejścia matki minęły już tygodnie, w domu nie było niczego do jedzenia i nie mieliśmy żadnych widoków na zdobycie pożywienia. Nadeszła

pora na środki ostateczne.

Ojciec miał daleką krewną, kuzynkę drugiego czy trzeciego stopnia, która mieszkała trzy godziny drogi pieszo od nas. Była zwyczajną wieśniaczką, o statusie społecznym znacznie niższym niż status mojego ojca. Słyszeliśmy, że tego roku ziemia jej obrodziła i dała plon większy niż ten, którego kuzynka potrzebuje do wyżywienia rodziny. Gdyby ojciec zwlekał z szukaniem pomocy choćby trochę dłużej, być może osłablibyśmy tak bardzo, że nie mielibyśmy siły o nic prosić. Ojciec bał się, że wybierze się z wizytą do krewnej i umrze po drodze, sam na poboczu, a my padniemy z głodu i nigdy nawet nie dowiemy się, co się z nim stało.

Jeśli miał zamiar pójść, musiał to zrobić teraz. Po długim zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że aby przetrwać zimę, musimy poprosić o co najmniej osiemnaście kilogramów kaszy kukurydzianej. Ojciec miał oddać kuzynce dług na wiosnę 2002 roku. Jak – tego jeszcze nie wiedział. Ale mógł liczyć na swoją reputację. Ojciec był swego rodzaju legendą, człowiekiem, który odniósł w młodym wieku sukces i dochrapał się wysokiego awansu. Jasne, że wywiązałyby się ze swojego zobowiązania.

Pamiętam chwilę, gdy opuszczał dom. Był pełen nadziei. Trzymał się prosto i biła od niego aura siły i pewności siebie, którą zawsze z nim kojarzyłem. Powiedział po prostu „do zobaczenia” i o ósmej rano wyruszył w drogę. Bong Sook i ja byczyliśmy się tego dnia, ledwie się poruszając, z tym wspaniałym poczuciem oczekiwania na posiłek tak suty i pożywny, że rozepchnie nam żołądki aż do granic wytrzymałości, a potem zaśniemy, pochrapując, syci i szczęśliwi. Byliśmy przekonani, że tacie się uda.

Wieczorem usłyszeliśmy przed domem odgłosy zbliżających się kroków. Podniosłem się do siadu w nadziei, że ujrzę, jak ojciec otwiera nogą drzwi, taszcząc po ciężkim worku kukurydzy w każdej dłoni, z szerokim uśmiechem na twarzy. Ale on wkradł się tylko chyłkiem. Nie miał serca powiedzieć nam, co usłyszał od krewnej. (Bong Sook i ja całymi godzinami zastanawialiśmy się, jaką konkretną formę przybrało okrucieństwo kuzynki. Ja wyobrażałem sobie, jak krzyczy na mojego zgnębionego ojca, stojącego u jej drzwi: „Kompletnie ci odbiło?”. Bong Sook zgadywała, że było to raczej: „Na jakim świecie żyjesz?” albo „Wracaj do domu, durniu!”). Ojciec wszedł chwiejnym krokiem do domu, prawą stronę twarzy miał sparaliżowaną, a prawe oko zdawało się ślepe, jakby dostał wylewu.

– Ojczy, co się stało? – wykrzyknęła moja siostra. Osunął się, wpadając jej

w ramiona, a ja natychmiast do niego podbiegłem. We dwoje położyliśmy go na macie.

Miałem wrażenie, jakby ojciec gwałtownie się zestarzał. Nie mógł mówić. Nie mógł ruszyć rękami, które trzymał przed sobą, jakby były poparzone. Jego stan pogorszył się w ciągu kilku sekund, odkąd przestąpił próg domu. W nocy stan się ustabilizował, ale nazajutrz ojciec był właściwie w katatonii. A trzy dni później zaczęły się wrzaski.

Bong Sook i ja nie wiedzieliśmy, co ojcu dolega. Umieliśmy rozpoznać oznaki wygłodzenia, lecz do tego dochodziły żółta skóra i straszliwy ból – objawy zwykle z głodem niekojarzone. Mieliśmy wrażenie, jakby coś weszło w jego ciało i powoli pożerało go od środka, pozostawiając w miejscu organów wewnętrznych ziejącą pustkę. Coś znacznie gorszego niż choroba.

Utrata godności. Piekący wstyd.

Wyobrażam sobie, w jakim stanie umysłu był ojciec tamtego wieczoru, gdy zbliżał się do domu z pustymi rękami, poniżony przez własną krewną. Był przekonany, że Bong Sook i ja umrzemy z głodu na jego oczach. To największy lęk, jaki go trawi – lęk, który towarzyszy mu od lat, a teraz, gdy tylko otworzy drzwi, ten straszliwy dramat rozegra się w scenach, których nie można zmienić, powstrzymać choćby na chwilę. To właśnie widzi oczami duszy: przebłyśki bliskiej przyszłości, wyniszczone głodem ciała, martwe brązowe oczy. Wierzę, że lęk nie mniej niż cokolwiek innego sparaliżował ciało mojego ojca. Kiedy wyciąga rękę po klamkę (choć może uzmysłowił to sobie już wcześniej, na drodze prowadzącej do miasta lub gdy mijał harmonijkowe domy po lewej od nas), widzi, że jego dzieci nie przeżyją.

Czy można siłą woli wprowadzić się w stan śpiączki, żeby nie widzieć tego, co ma się przed oczami? Nie wiem. Myślę, że ojcu krajało się serce i że ogarnął go rodzaj trwogi przed tym, co musiało się wkrótce stać. Czy siłą woli przyspieszył swoją śmierć, czy też po prostu jego ciało i umysł nie wytrzymały, trudno powiedzieć. Dla mnie to zresztą prawie to samo.

Tamtego wieczoru ojciec zaczął zanikać.

Rozdział 20

Zdawało się, jakby upokorzenie związane z długą pieszą wyprawą po pomoc u odległej krewnej wyzwoliło w ciele ojca wszystkie trujące substancje, które szalały teraz w jego biednym brzuchu. Cierpiał straszliwe bóle żołądka. Nieustannie wył i krzyczał. Jego brzuch wydał się jeszcze bardziej, a skóra na nim napięła się tak mocno, że była teraz lśniąca i gładka niczym tkanka blizny. Nie wiedzieliśmy, co go zabija. Brak pożywienia w ciągu ostatnich lat tak bardzo osłabił jego organizm, że zdawało się, jakby toczył się wyścig o to, co wykończy go pierwsze, głód czy marskość wątroby.

W pewnym sensie było to bez znaczenia, ponieważ nie mieliśmy lekarstwa ani na jedno, ani na drugie. Gdy zawoziło się chorego do szpitala, lekarze mówili: „Nie mamy lekarstw, zabierzcie go do domu, niech przynajmniej umrze w znajomych kątach”. Lekarze sprzedali zapewnione przez państwo leki handlarzom na czarnym rynku. Zrobili to po to, żeby przeżyć. Kiedy się więc szło do szpitala, mówili: „Idź na targ i porozmawiaj z tym czy innym handlarzem”. Wiedzieli doskonale, komu sprzedali lekarstwa. Ale na czarnym rynku leki kosztowały fortunę.

Ojciec, jakiego znałem, odszedł. Pozostało tylko ciało, znękanе, wijące się z bólu, cuchnące i tak wychudłe, że samo dotknięcie go wywoływało we mnie rozpacz. Ojciec często krzyczał całą noc, po czym tracił przytomność i zupełnie nieruchomiał. Ale nawet gdy był przytomny, nie był już tym surowym, lecz kochającym skrycie człowiekiem, którego tak dobrze znałem. Był bredzącym, umęczonym stworzeniem raz po raz wstrząsanym spazmami przeszywającego bólu. Były tak gwałtowne, że czasami bałem się, że złamię mu kręgosłup.

Wieczorami, kiedy nie byłem w stanie już znieść wrzasków ojca, wychodziłem na dwór, żeby słyszeć tylko koniki polne i szum trawy rosnącej przy drodze. Nocne niebo było w tamtych dniach moją jedyną pociechą, gwiazdy tak piękne i jasne, że miałem wrażenie, że gdybym wyciągnął rękę, oparzyłbym sobie od nich palce.

Wałęsałem się wśród harmonijkowych domów ciągnących się wzdłuż ulic. Jeżeli świecił księżyc, wpatrywałem się w jego tarczę, idąc. Wyczuwałem, że mimo ciemnych okien w domach nasi sąsiedzi nie śpią. Nikt nie mógłby

zasnąć, słysząc skowyt mojego ojca.

Niekiedy szedłem tak daleko, że wydawało się fizycznie niemożliwe, abym słyszał jego krzyki. Dwieście metrów. Trzysta. Ale towarzyszyły mi cały czas, unosząc się ponad dachami krytymi chińską pomarańczową dachówką. Niewykluczone, że sam dźwięk stawał się niesłyszalny już kilka przecznic dalej, a to, co słyszałem, było w mojej głowie. Echo cierpienia ojca. Głos wyrzutów sumienia, który mieszał się z żalem i głęboko skrywanym pragnieniem, żeby to się wreszcie skończyło, tak czy inaczej.

Kochałem ojca mocno pomimo naszych kłótni, ale czasem wołałem, żeby cierpiał w milczeniu jak inni. Wiedziałem, że w całej Korei Północnej mnóstwo jest ludzi równie bliskich śmierci jak mój ojciec. A nie brakowało też takich, którzy nie dożyją nawet świtu. Rankiem rodziny przygotowują ich zwłoki do ceremonii żałobnych, a młodzi chłopcy – ci smutnoocy i pogrążeni w bólu *sangdzu* – będą ich strzec, podczas gdy ktoś inny pójdzie kupić trumnę. Dziwnie to zabrzmiało, kiedy powiem, że zazdrościłem tym chłopcom ich nieboszczyków, ale w pewnym sensie tak właśnie było. Ich cierpienie było pełne godności, osobne i ciche. Nasze słyszała cała okolica, jak operę mydlaną z podkręconą maksymalnie głośnością telewizora, która zaczynała się codziennie około dziesiątej wieczorem. Wiedzieli, kiedy ojcu udawało się spać i kiedy ból stawał się nieznośny. A kiedy wycieńczony zapadał w nieprzytomny letarg, mogli wreszcie położyć się i wyspać.

Prawie co wieczór szedłem do minisklepiku, który należał do babki Kim Ila. Żeby wyżywić rodzinę, otworzyła sklep we własnym domu. Podchodziło się do małego przeszklonego okna od frontu i zaglądało do środka. Cały asortyment sklepiku – tubki pasty do zębów, kilka garści kukurydzy, trochę cukierków – było widać w tym kwadraciku, podświetlonym pojedynczą słabą żarówką. Jeżeli klient nie zobaczył tam tego, czego szukał, szedł dalej. Jeżeli towaru nie było widać w okienku, to babka Kim Ila go nie miała.

Zapukałem do drzwi i usłyszałem po drugiej stronie poruszenie. Kiedy szerzący się głód stał się jeszcze bardziej dotkliwy, porządni ludzie zmienili się w złodziei, tak jak ja na polach kukurydzy. Jeżeli nie pilnowało się swoich towarów na okrągło, ludzie tacy, oszalali z głodu, rozbiliby okno sklepiku, zgarnęli garść kukurydzy i natychmiast wpakowali ją sobie do ust. Dlatego babcia Kim Ila spała na podłodze sklepiku na cienkiej macie. Wkrótce rozległ się szcęk zamka i drzwi się otworzyły.

Babcia uśmiechnęła się do mnie. Wiedziała, czego chcę. Słyszała wrzaski

ojca, teraz już trochę cichsze, lecz nietracące nigdy chrapliwego, zwierzęcego tembru. Wiedziała, że odrobina jedzenia lub środek uspokajający – wstrzyknięty przez Bong Sook – uciszy go na kilka godzin, póki ból znów go nie obudzi. Wręczyłem jej tę odrobinę pieniędzy, która nam została – a którą dał nam stary przyjaciel ojca – i wziąłem fiolkę. Szedłem teraz szybciej, pchany naprzód myślą o spokoju, jaki przyniesie lekarstwo, i o własnym posłaniu na ciepłej podłodze.

Wręczałem fiolkę Bong Sook, a ona brała igłę. Po kilku minutach mogliśmy już spać – aż do pierwszego wrzasku nazajutrz.

*

Te dwa i pół miesiąca, kiedy ojciec powoli odchodził z tego świata, były najdziwniejszym okresem mojego życia. Jeden z przyjaciół ojca od czasu do czasu dawał nam drobne sumy pieniędzy, ale moja biedna siostra i tak musiała harować jak wół: wybierała się do fabryki, gdzie kupowała makaron, a później jeździła po wsiach, próbując go sprzedać, by wreszcie wrócić do domu, aby zajmować się ojcem i wyprać mi skarpetki, tak że sypiała ledwie po cztery, pięć godzin na dobę. Ja nie pracowałem i przestałem chodzić do szkoły, więc cały czas byłem przy ojcu, często wpatrując się w niego, gdy leżał w śpiączce i nie mógł się odezwać. Paraliżowało mnie bezkształtne uczucie, które często zmieniało się w dziecinny gniew lub apatię. Nie mogłem powiedzieć ojcu, jak bardzo mi go brakuje.

Siostra i ja byliśmy jedynymi osobami, które wtedy się nim opiekowały. Jeśli chodzi o krewnych, to nie było telefonów, żeby do nich zadzwonić, a poza tym zasmakowaliśmy już gorzko ich miłosierdzia.

Jeden z krewnych ojca odwiedził nas raz czy dwa. Był wujem mojego ojca, ale zawsze nazywaliśmy go małym dziadkiem. Przynosił kimchi albo kilka przystawek ze swojego domu, który znajdował się dwadzieścia minut drogi od nas. Siadał obok ojca i mówił: „Jak mogłeś mi to zrobić? Jak możesz teraz mnie opuszczać?”. W naszej kulturze uważa się niemal za zniewagę, gdy syn umrze przed ojcem lub siostrzeniec przed wujem. Mały dziadek nie robił ojcu wyrzutów, tak po prostu wyrażał swoją rozpacz.

Przez kilka pierwszych tygodni przychodziła pielęgniarka, która mieszkała o pół godziny drogi od nas, kiedy jednak poznała naszą sytuację, zaczęła

płakać bardziej niż moja siostra. W Korei Północnej pielęgniarcie lub lekarzowi, którzy zajmują się twoim najbliższym, trzeba dać posiłek, a my byliśmy na to za biedni, więc w końcu przestała pukać do naszych drzwi. Podczas ostatniej wizyty pokazała mojej siostrze, jak prawidłowo robić zastrzyki. Zauważyła, że się jej przyglądam, podeszła do mnie i położyła dłonie na moich barkach.

– Wiem, że to trudne – powiedziała mi – ale musisz dorosnąć i stać się mężczyzną.

Nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego. Gdybym dorósł, oznaczałoby to, że ojciec odszedł. Podczas gdy ja chciałem, żeby się ocknął i znowu był moim tatą, i żeby nasza rodzina w magiczny sposób złożyła się znowu w całość, jaką stanowiliśmy w dobrym roku 2000.

Zamiast tego, gdy siedziałem w domu, moje myśli dryfowały ku przeszłości. Czasami myślałem o jakichś głupotach, na przykład wyobrażałem sobie, co dzieje się w serialu północnokoreańskim, który kiedyś oglądaliśmy. Albo udawałem, że jestem tajnym agentem. W wyobraźni toczyłem wojnę z okupantami, Ameryką i Japonią, chwytalem ich szpiegów i strzelałem do nich – pif! paf! – ze swojego lśniącego czarnego pistoletu. Bawiłem się tak wiele razy jako mniejsze dziecko na wzgórzach za naszym domem na Osiedlu Ósmego Lipca.

Kiedy indziej jednak starałem się rozwikłać tajemnicę tego, jak to się stało, że ojciec i ja oddaliliśmy się od siebie tak bardzo. Dlaczego czasami tak mnie nienawidził i przestawał widzieć we mnie swojego syna. Głównie jednak błagałem ojca, żeby do mnie wrócił.

*

Pewnego słonecznego i ciepłego dnia, kilka tygodni po tym, jak pielęgniarka odwiedziła nas po raz ostatni, siedziałem w naszym pokoju i patrzyłem na wzbijające się z podłogi i tańczące w blasku drobinki kurzu, jak zwykle rozmarzony. Nie zjadłem nic na śniadanie, a Bong Sook pojechała rowerem na wieś, starając się zarobić na dzisiejszą kolację. Gdyby Bong Sook wróciła do domu z pustymi rękami, głodowy ból brzucha rozprzestrzeniłby się na kości. Głód informuje cię, że twój szkielet jest pusty w środku.

Wtem usłyszałem głos ojca, po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Chciałbym papierosa – powiedział spokojnie. Podniosłem głowę. Miałem wrażenie, jakby duch przemówił do mnie. Obejrzałem się i zobaczyłem, jak ojciec dźwiga się do siadu, uśmiecha się do mnie lekko i patrzy przytomnymi, beztroskimi oczami.

Zatkało mnie. Co się działo? Może umysł płatał mi figła, wyczarowując złudzenie ojca silnego jak dawniej, którego tak pragnąłem? Od ponad dwóch miesięcy tata nie wypowiadał się przytomnie, a teraz siedział i rozmawiał ze mną jak gdyby nigdy nic.

Popatrzył na mnie z radością i pewnością siebie w swoich brązowych oczach. To było jak przebłysk nadziei. Ojciec naprawdę siedział i mówił. W magiczny sposób ozdrowiał! W mojej głowie rozkwitło tyle wspaniałych możliwości, tyle rzeczy, które teraz wspólnie mogliśmy zrobić.

Ale najpierw – papieros. Wybiegłem na ulicę. Wszystkich pieniędzy, które mieliśmy, uzbierałoby się dość na zakup prawdziwego, fabrycznego papierosa, choć ledwo, ledwo. Ale myśli, które kołatały mi się w głowie, były znajomą przygrywką głębokiego instynktu: przetrwać, przetrwać, przede wszystkim przetrwać. Dlatego chodziłem ulicami miasta, pilnie przyglądając się trawnikom przy drodze w poszukiwaniu niedopałków. Kiedy miałem ich już cztery czy pięć, popędziłem do domu, a potem patrzyłem, jak ojciec, bardzo osłabiony, powoli rozdziera bibułki i wysypuje tytoń, tak żeby zebrało się go dość na jednego skręta. Owinął tytoń w najmniej uszkodzoną bibułkę i zapalił. Uśmiechnął się do mnie, choć wiedziałem, że ten papieros z odzysku musiał smakować okropnie.

Gdybym wiedział, co się stanie, kupiłbym mu papierosa dobrej jakości. Do dziś mam z tego powodu wyrzuty sumienia, które dręczą mnie za każdym razem, gdy mijam sklep z marlboro, camelami i lucky strike'ami. Czemu nie wyskrobałem tych kilku groszy i nie kupiłem mu świeżego papierosa wyprodukowanego w Chinach? Wypaliłby go z przyjemnością. Może nawet wyczułby, że czuwałem nad nim przez te wszystkie tygodnie, modliłem się o jego wyzdrowienie, że wieczór w wieczór biegałem mu po lekarstwo i łamałem sobie głowę nad tym, jak wyprowadzić go z tej tajemniczej choroby.

Ojciec powiedział:

– Synu, pomóż mi wyjść na dwór.

Zaprowadziłem go do drzwi, otworzyliśmy je. Była piękna pogoda, niebo

błękitne i bezchmurne. Cudowny wiosenny dzień. Staliśmy w drzwiach, przyciśnięty do ojca, czułem na ciele jego ciepło. Pomyślałem sobie: Wyzdrowieje. I co się było tak martwić, głupi smarkaczu. Czułem się jak liść na wietrze.

Tego popołudnia nie krzyczał. W nocy też nie.

Nazajutrz coś w nim zagulgotało, a z nosa i ust trysnęła ciemna ciecz. Byłem przerażony. Ojciec wpatrywał się w sufit wybałuszonymi oczami.

– Co robimy? – zawołałem do Bong Sook.

– Leć do domu małego dziadka – powiedziała siostra. – Szybko!

Popędziłem do drzwi, podczas gdy Bong Sook uklękała przy głowie ojca, kładąc ją sobie na kolanach. Kiedy biegłem, powtarzałem w myślach w kółko dwa słowa: jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie. Kiedy dotarłem do domu małego dziadka, właśnie przyjechał tam mój stryj, ten żołnierz z Haeju. Wyjaśniłem pośpiesznie, że coś złego dzieje się z tatą. Popatrzyli na mnie z przerażonymi minami i pobiegliśmy do naszego domu.

Kiedy otworzyłem drzwi, czułem już, że ojciec nie żyje. Jego twarz była czysta, z nosa i ust nie wydobywała się żadna ciecz. Ale skóra przylgnęła już trochę do kości, jak gdyby coś się ulotniło.

Bong Sook wlepiła wzrok w podłogę.

– Przestał oddychać pięć minut temu – oznajmiła ścisłym głosem.

Nigdy nie widziałem, żeby mój stryj płakał. Zawsze był spokojnym, dobrodusznym i radosnym człowiekiem. Ale teraz zaniósł się płaczem.

– Bracie, czemu nie poczekałeś pięć minut dłużej – załkał. – Właśnie przyszedłem, a ciebie nie ma!

Potem jął przeproszać ojca, że tak bardzo się spóźnił. Mały dziadek kiwał głową, ale nic nie mówił.

Siostra i ja wykonaliśmy sprawdzian, o którym opowiadał nam ojciec: spróbowaliśmy wsunąć dłoń w zagłębienie pod jego plecami. Nie udało się.

Nie wiedziałem, co robić, nie wiedziałem, co czuć. Ojciec przestał cierpieć, ale teraz musiałem żyć bez niego.

Rozdział 21

Wiedziałem na sto procent, że ojciec był w swoim czasie wspaniałym *sangdzu*. Widzę go oczami wyobraźni wyprostowanego jak struna, gdy trzyma zdjęcie swojego ojca tak pewnie, że fotografia nie drgnie nawet na milimetr. Musiał być wymagający wobec siebie i opanował cały ceremoniał w najdrobniejszych szczegółach, a odziane w żałobną czerń kobiety z pewnością rozmawiały o nim pełnym podziwu szeptem. Wierzcie mi, gdybyście pragnęli, by wasz najstarszy syn odprowadził was w dalszą drogę, trudno by wam było trafić lepiej niż na mojego ojca. Może nawet nosił konopny płaszcz.

Ja z kolei byłem *sangdzu* drugiej klasy, *sangdzu* czasów głodu. Dla mojego ojca nie było ceremonii ani pierwszego, ani drugiego dnia. Mimo to przyszło wiele osób, może nawet setki. W dniu, kiedy umarł, wróciła matka. Została aresztowana w Chinach, ale ponieważ było to jej pierwsze przestępstwo, wypuszczono ją z aresztu i pozwolono wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych.

Jako najstarszy syn starałem się, jak mogłem, ale nie udało mi się zdobyć czarnego stroju i zamiast tego założyłem mundurek szkolny, który wisiał na moim wychudzonym ciele jak na wieszaku. Wytrzepałem go i zrobiłem wszystko, żeby wyglądał jak najlepiej.

Trzymałem w rękach zdjęcie ojca i kłaniałem się ludziom, gdy ci wchodzili do domu. Nie zostawali długo, skłaniali tylko głowy przed zwłokami, potem stali przez moment przy ścianie, po czym uciekali. Pójść na stypę po człowieku, który zagłodził się na śmierć, i oczekiwać, że dostanie się coś do jedzenia, stanowi wewnętrzną sprzeczność.

Po *sangdzu* nie oczekuje się, że będzie płakał, ale była chwila, gdy nie zdołałem się już opanować. To było wtedy, gdy dwaj aparatczycy partyjni zjawili się po to, by zabrać legitymację ojca. Przez całe moje dzieciństwo dokumenty te leżały pod portretem Kim Ir Sena, pod naszą północnokoreańską kapliczką. Była to cienka książeczka podstemplowana pieczęcią partyjną. Magiczna liczba – członek Partii już od dwudziestego czwartego roku życia – znajdowała potwierdzenie w wypisanych na maszynie czarnych literach. Mój ojciec traktował tę legitymację jak wielki

skarb.

Urzednicy partyjni weszli do naszego domu, a ten starszy wziął legitymację ojca i przeczytał na głos, co było w niej napisane. Tłum słuchał w ciszy i skupieniu, z oczami utkwionymi w podłogę. Kiedy aparatczyk skończył czytać, skinął głową i wepchnął dokument do kieszeni na piersi. Wtedy właśnie wydałem z siebie niepohamowany skowyt. Łzy polały mi się z oczu. Dopiero w tym momencie ojciec przestał dla mnie być kimś żywym. Czemu nie wierzyłem własnym oczom, gdy patrzyłem na zwłoki? Może wierzyłem w partię bardziej, niż myślałem. Natura była zmienna, co rusz zmieniała zdanie. Ale Partia? Nigdy. W ten sposób uświadomiłem sobie, że ojciec już nie wróci.

Siostra i ja nie mieliśmy pieniędzy, by przewieźć zwłoki na cmentarz. Na szczęście kierownictwo jednego z zakładów pracy, w których ojciec pracował przez lata, przysłało samochód. Mój stryj, wojskowy z Haeju, był na tyle dobry, by zapłacić za trumnę.

W drodze do fabryki trumien stryj popatrzył na mnie oczami, których wyraz trudny był do rozszyfrowania, ale wyczułem w nich mnóstwo różnych smutków, w przeciwieństwie do tego jednego, który miałem w sobie.

– Biedny Maczku – powiedział. – Tego akurat dnia nie powinieneś być opuszczać boku ojca. – Powiedział to z głębokim, żalonym westchnieniem, które nazywamy *hansoom*. – W biedzie szybko się dorasta – dodał. Było to koreańskie przysłowie, które znaczy, że nawet gdy życie daje człowiekowi w kość, to przygotowuje go do przyjęcia następnego bolesnego ciosu. Stryj chciał przez to powiedzieć, że dorastam zbyt szybko. Że powinienem być jeszcze dzieckiem, ale życie mi na to nie pozwala.

Pomyślałem o tym, czego ojciec starał się mnie nauczyć o tradycyjnych obrządkach pogrzebowych w Korei Północnej. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że w tych czasach nie uda nam się uczcić go w sposób przynależny do innej epoki. Myślał o pogrzebach swojego dziadka i ojca, nie o własnym. Czy smuciło go, że nie będzie miał takiego pogrzebu? Ojciec nigdy nie skarżył się na swój los, ale myślę, że chciałby, aby te ostatnie rytuały zostały odprawione, żebyśmy wyprawili mu pożegnanie pełne dostojności.

Zamiast tego w fabryce trumien udało mi się tylko znaleźć kawałek drewna na tablicę nagrobną. Na kamień nie było nas stać. Wyryliśmy jego imię na desce i wetknęliśmy ją głęboko w ziemię przy mogile.

Moja żałoba trwała tylko dzień lub dwa. Później musiałem zająć się znowu

walką o przetrwanie.

Rozdział 22

Mały dziadek – wuj mojego ojca – był kiedyś ważną osobą w Korei Północnej. Jako ekonomista był numerem trzy w departamencie Ministerstwa Finansów w Pjongjangu. W pewnym momencie z tajemniczych powodów stracił jednak stanowisko i wkrótce przeniósł się do pracy w Domaso, państwowej agencji handlu detalicznego, która zajmowała się dystrybucją rozmaitych towarów – garnków i patelni, kuchenek gazowych i tym podobnych. Pomimo degradacji mały dziadek pozostał wierny partii i państwu i przypuszczam, że można by go nazwać służbistą. Był wysoki, miał zaczesywane do tyłu siwe włosy i oczy o świdrującym, władczym spojrzeniu. Miał urok dyplomaty i potrafił namówić prawie każdego do prawie wszystkiego. Raz opowiadał mi, że gdy jako przedstawiciel rządu był z wizytą w Związku Radzieckim, namówił Rosjan do wzniesienia i spełnienia toastu za zdrowie Kim Ir Sena – był to pierwszy taki przypadek na oficjalnym przyjęciu.

Jako dziecko widywałem małego dziadka dosyć często. Odwiedzaliśmy go w święta i na jego urodziny, kiedy to deklamowałem mu swoje życzenia, po czym jak najprędzej biegłem oglądać telewizję (na pierwszym, o ile mi wiadomo, odbiorniku telewizyjnym w naszej rodzinie). To ze względu na małego dziadka mój ojciec przeprowadził się z Undok do klitki w bloku w Hoeryŏngu – żeby być blisko niego i skorzystać z jego koneksji. Mały dziadek był wybitnie inteligentny. Skończył osiem klas podstawówki, ale nie było go stać na naukę w szkole średniej. Zamiast tego odczekał do ukończenia osiemnastego roku życia, po czym wstąpił do wojska i wziął udział w wojnie koreańskiej. Był tak bystry, że po zakończeniu wojny przeskoczył etap szkoły średniej i poszedł od razu na studia. Nigdy nie słyszałem, by czegoś takiego dokonał ktokolwiek inny.

Jako mały chłopiec uwielbiałem małego dziadka. A przynajmniej tak mi się wydawało. Jego osoba przynależała do tej części mojego dzieciństwa, którą wspominałem jako okres dobry i szczęśliwy, sprzed głodu, i te ciepłe pozytywne uczucia przenosiłem także na samego małego dziadka. Jego głęboki głos zawsze budził we mnie lęk. Drgałem ze strachu za każdym razem, gdy go usłyszałem.

Inteligentny i zimny – te dwa słowa opisują małego dziadka najlepiej. I do tego dumny z chłodu swojego serca. Raz powiedział mi: „W normalnym życiu można być romantykiem. Ale w ekonomii trzeba kierować się chłodnym umysłem”. Lubił tę maksymę tak bardzo, że czasami zapominał o „ekonomii” i stosował ją do całego życia.

*

Po pogrzebie matka, Bong Sook i ja musieliśmy się wyprowadzić z naszego domu. Przyjaciół ojca, ten, który dawał nam od czasu do czasu trochę pieniędzy, gdy ojciec nie mógł już pracować, oznajmił nam, że przejmuje nasze mieszkanie w ramach rekompensaty. Matka i Bong Sook uważały, że to okrutne z jego strony, ale ja nie miałem do niego pretensji. Wydał na nas swoją gotówkę, a teraz odbierał, co jego. Byłem mu wdzięczny, że pożyczył nam pieniądze, za które mogliśmy kupić aspirynę i odrobinę jedzenia, tak aby ostatnie dni życia ojca były bardziej znośne.

Przez kilka ostatnich dni w domu zastanawialiśmy się, co teraz pocniemy. Właśnie wtedy odwiedził nas mały dziadek.

– Możecie zamieszkać u mnie – powiedział matce.

Byliśmy zaskoczeni i trochę zdziwieni propozycją, ale przyjęliśmy ją z wdzięcznością. Spakowaliśmy swoje rzeczy – mieściły się w niedużej torbie – i ruszyliśmy z małym dziadkiem do jego dużego domu w Hoeryöngu, w ładnej części miasta, ze stojącymi w sporej odległości od siebie domami jednorodzinnymi. Szczęście się do nas uśmiechnęło, myśleliśmy: Taki dom w tak trudnych czasach. Był to najlepszy dom, w jakim zdarzyło nam się zamieszkać.

Mały dziadek i jego żona mieli dorosłe dzieci, które zdążyły się usamodzielnąć, więc mieli cały dom tylko dla siebie. Mały dziadek przeszedł na emeryturę dziesięć lat wcześniej i odłożył dość pieniędzy, by starczyło na resztę życia. A przynajmniej tak mu się zdawało. Teraz jednak galopująca inflacja pożerała jego oszczędności. Mimo to mieliśmy co jeść i mogliśmy odetchnąć z ulgą. Mały dziadek był dla mnie miły, pozwalał mi nawet jeździć na swoim rowerze, co w tamtych czasach dużo znaczyło. Własny rower sprzedaliśmy dawno temu.

Często nawiedzały mnie wywołujące smutek i ból wspomnienia o ojcu.

Kiedy bawiłem się na podwórku przed domem małego dziadka, zapomniałem na chwilę, że nie żyje, a potem coś mi go przypomniało i docierało to do mnie: Ach tak, przecież odszedł, i zaczynałem płakać.

Już po kilku dniach, jak się wprowadziliśmy, mały dziadek zaczął niepokoić się o stan swoich oszczędności.

– Co teraz zamierzasz począć? – zapytał pewnego ranka moją matkę. – Jak zamierzasz się utrzymywać?

Matka była zdumiona. Co niby mogła zrobić? Pracy nie było i nikt nie miał pieniędzy. Ludzie porzucali swoje dzieci, bo nie mogli ich nakarmić.

– Nie wiem, mały dziadku.

Ten zmarszczył brwi.

– Słuchaj, mam pomysł – powiedział łagodnym głosem. – Zabierz Bong Sook do Chin i tam zamieszkajcie.

Matka miała własny rozum i myślała niezależnie, ale mieszkaliśmy przecież w domu małego dziadka. Z pewnością uznała więc, że nie może mu się sprzeciwiać. Stała tylko w milczeniu ze spuszczonego wzrokiem i pokiwała lekko głową.

– Pewnie martwisz się o Maczka – podjął mały dziadek, widząc jej wahanie. – Nie przejmuj się. Ja się nim zaopiekuję. Wysyłaj mi tylko co miesiąc trochę pieniędzy, jak już się urządzisz, rzecz jasna. W Chinach łatwo dużo zarobić.

Nie zdawałem sobie z tego wtedy sprawy, ale ta właśnie chwila miała decydujący wpływ na to, jak dalej potoczyło się moje życie. Ona właśnie, znacznie bardziej niż sama śmierć mojego ojca. Ojciec nie mógł nas już ochronić, głód zabrał mu życie, tak jak zabrał je dziesiątkom tysięcy innych nieszczęśników. Jego bracia i siostry też nie mogli się nami zaopiekować, bo prawie wszyscy członkowie jego rodziny zmarli podczas zarazy, kiedy był jeszcze chłopcem. Mały dziadek i stryj z Haeju byli moimi jedynymi krewnymi ze strony ojca. To niesamowite, kiedy się pomyśli, że nasz los został przesądzony, zanim się urodziłem, kiedy maleńki wirus zdziesiątkował mieszkańców wioski, gdzie ojciec mieszkał jako dziecko.

Matka i mały dziadek szybko doszli do porozumienia. Gdyby skończyły się nam pieniądze, matka miała zabrać Bong Sook do Chin. Tam miały pracować i wysyłać co miesiąc drobną część swoich zarobków do małego dziadka jako zapłatę za moje utrzymanie w Hoeryöngu. Po zaoszczędzeniu dostatecznej ilości pieniędzy miały wrócić i kupić dla nas nowy dom. Nie zastanawiałem

się nad tym, w jaki sposób matka i siostra miałyby zarobić te bająnskie sumy. Chiny były dla mnie krainą, gdzie nikt nigdy nie chodzi z pustym brzuchem i gdzie ludzie mają zawsze wszystko, czego im trzeba. Nie byłem zupełnie naiwny, nie wierzyłem, że ulice są brukowane złotem czy że gotówka spada z nieba. Ale wierzyłem, że są tam pieniądze, więcej pieniędzy, niż widzieliśmy w całym swoim życiu.

Gdyby nadszedł czas opuszczenia Korei, matka i siostra udałyby się do Sambongu, dwie godziny podróży na północ, a tam zatrudniłyby pośrednika. Pośrednik znał niektórych z żołnierzy regularnie patrolujących rzekę Tumen i przekupiłby jednego z nich, by matka i siostra mogły pod osłoną nocy przekroczyć granicę. Mimo wszystko wyprawa była straszna i niebezpieczna. Wielu innych żołnierzy mogło je zatrzymać lub nawet otworzyć do nich ogień. Ale i tak było to najbezpieczniejsze rozwiązanie.

W międzyczasie matka, aby nas utrzymać, zajęła się przemytem ryb. Wielu Chińczyków uważało, że ryby zza koreańskiej granicy smakują lepiej, w związku z czym północnokoreańskie ryby były w chińskich miastach chodliwym towarem. Moja matka zaczęła kupować ryby na targu w Hoeryöngu, po czym przemycała je na drugi brzeg rzeki. Przedostawała się nawet do przygranicznych miasteczek, aby negocjować transakcje.

– Chiny nie są takie, jak mówią nasze władze – opowiedziała nam po powrocie, a ja wyczułem narastającą w niej nadzieję. – Chińczycy są znacznie bogatsi niż północni Koreańczycy i chętnie płacą za bardziej wyrafinowany smak.

Matka zarabiała sporo pieniędzy. Codziennie jedliśmy biały ryż, a matka nosiła się z myślą o kupieniu mi roweru – roweru produkcji japońskiej! – żebyśmy nie musieli jeździć na rowerze małego dziadka. Mama chętnie szastała groszem, zupełnie inaczej niż ojciec, który był bardzo oszczędny.

Radziliśmy sobie znakomicie, więc wyprawdzka do Chin została odłożona na nieokreśloną przyszłość. Nie żyliśmy już w ciągłym strachu. Nabrałem ciała i przybrałem na wadze. Miałem nadzieję, że matka wreszcie nauczyła się, jak odnieść sukces, i że nie będzie musiała zabrać Bong Sook do Chin. Im dłużej mieszkaliśmy wszyscy razem, tym więcej miałem nadziei.

Zawsze jednak gdzieś w środku tlił się strach, że jedyna prawdziwa rodzina, jaka mi pozostała, zostanie mi odebrana.

Rozdział 23

Mniej więcej w tym właśnie czasie w krótkich odstępach odkryłem palenie, dziewczyny i modę. W Korei Północnej, gdzie ludzie rzadko przejmują się tym, by dożyć sędziwego wieku, i umilają sobie życie dymkiem tak często, jak to tylko możliwe, łatwo było wciągnąć się w palenie papierosów. Moi kumple i ja kojarzyliśmy palenie z dorosłością. Kupowaliśmy tanie północnokoreańskie papierosy na sztuki i wypalaliśmy je do samego końca, aż popiół parzył nam palce. Kiedy wciągaliśmy dym w płuca, zanosiliśmy się kaszlem, jakbyśmy robili to od lat.

Potem przyszedł czas na dziewczyny i modę. Te dwa odkrycia wiązały się ze sobą dość ściśle. Pewnego dnia oświadczyłem matce, że chcę mieć nowy płaszcz do szkoły, czarny, jakościowo lepszy od tego, który zapewniała sama szkoła. Na czarnym płaszczu mniej byłoby widać błoto, które bryzgało mi na ubranie, gdy chodziłem niebrukowanymi ulicami Hoeryŏngu. Wyglądałbym schludniej, bardziej elegancko, tak jak chłopcy z bogatych domów, którzy kupowali ubrania w Chinach, choćby były to tylko podróbki. Nieustannie wierciłem matce dziurę w brzuchu. Bardzo chciałem też dostać nowe buty – zawsze zresztą lubiłem czyste, nowe obuwie, do tego stopnia, że gdy ojciec kupował mi buty, mówiłem mu: „Nie muszę jeść dzisiaj kolacji. To mi wystarczy!” – ale płaszcz był najważniejszy.

Musiałem dobrze się prezentować, żeby robić wrażenie na dzieciakach w szkole, na przykład na Hyae Mi, najbystrzejszej dziewczynie w klasie, o owalnej buzi, której urodzie nie mogłem się oprzeć. Kiedy patrzyłem na Hyae Mi, pragnąłem być razem z nią, rozśmieszać ją swoimi dowcipami. Porządne ubranie według mnie stanowiło pierwszy warunek ściągnięcia na mnie jej uwagi.

Wreszcie matka kupiła mi ten wełniany płaszcz, a ja z dumą nosiłem go do szkoły. Codziennie przed szkołą szczotkowałem teraz spodnie i glansowałem jedyną parę butów wizytowych. Chyba stawałem się po prostu typowym nastolatkiem.

Kilka tygodni później, po mojej transformacji, Hyae Mi szepnęła mi na ucho, że chce mi coś dać. Nazajutrz wcisnęła mi w dłoń mały przedmiot, zimny i gładki w dotyku. Spojrzałem na prezent. Była to jaskrawa plastikowa

figurka, jakaś zabawka. Dziewczyna musiała ją chyba ukraść młodszemu bratu. Nie potrzebowałem nowej zabawki, ale figurka dużo dla mnie znaczyła, ponieważ dostałem ją od Hyae Mi. Przez całą drogę do domu mocno ścisnąłem ją w dłoni.

Od tego dnia, kiedy przygotowywałem się do szkoły, zakładając nowy czarny płaszcz i mundurek, który matka kupiła mi na targu, przepełniała mnie duma. Świadomość, że Hyae Mi też się ubiera i myśli przy tym o mnie, uderzała mi do głowy i odurzała. Ból związany ze śmiercią ojca trochę zelżał.

*

Oczywiście, jak to z moją matką, dobre czasy musiały się skończyć. Przypuszczam, że znowu przeinwestowała i została z towarem, którego nie mogła sprzedać. W ciągu czterech miesięcy straciła tyle pieniędzy, że nie miała za co kupować rzeczy w Chinach. Tym razem zabrakło mojego ojca, który spłaciłby jej długi. Znowu nosiła przyklejoną do twarzy maskę fałszywej pewności siebie, a ja posmutniałem, bo miałem świadomość, że idą złe czasy.

A mały dziadek? Na pomoc z jego strony nie można było liczyć. Matka za bardzo się go bała, by poprosić o pożyczkę. Poszła do jego pokoju i powiedziała, że zabiera Bong Sook do Chin. Ustalili dzień wyprawy na wczesną jesień. Dwunastego września – w dniu, gdy tradycyjnie odwiedza się groby zmarłych – matka, Bong Sook i ja poszliśmy na grób ojca. Wszystkich nas trawiła melancholia, a Bong Sook płakała przy mogile ojca tak bardzo, że łkania wstrząsały całym jej ciałem. Myślałem, że wciąż oplakuje tatę.

Czemu mój czujnik nastroju, z którego byłem tak bardzo dumny, nie odpowiedział mi rzeczywistego powodu jej łez? Nie wyczułem niczego dziwnego, lecz Bong Sook wyraźnie myślała o swojej przyszłości. Cierpiała, a ja byłem na to ślepy i głuchy. Ciągle mam do siebie o to pretensje – że raz po raz oznaki jej bólu umykały mojej uwagi.

*

Po wizycie na cmentarzu pojechaliśmy do Sambongu, dwie godziny

pociągiem na północ od Hoeryŏngu. W Sambongu mieszkała pośredniczka. Zatrzymaliśmy się u niej w domu, a matka przygotowywała się do przejścia przez granicę. W Sambongu jest wzgórze, które wznosi się nad całą okolicą. Kiedy wejdzie się na jego szczyt i spojrzy na południowy zachód, na drugi brzeg Tumen, można zobaczyć drugi pagórek po chińskiej stronie. Tuż za nim, widoczne tylko z tego miejsca, rozciąga się chińskie miasto Kai San. Na dzień przed planowanym przekroczeniem granicy matka zabrała mnie i siostrę na spacer i weszliśmy na sam szczyt wzgórza.

Matka osłoniła ręką oczy, wpatrując się w horyzont. Wreszcie znalazła to, czego szukała, i wskazała nam to coś palcem.

– Widzicie tamten dom?

Powietrze w Sambongu było przejrzyste – nie zanieczyszczała go praca żadnych zakładów przemysłowych. Widać było wyraźnie poszczególne ulice, kształty większych budynków, a nawet jakim typem dachówek pokryto dachy.

– Gdzie? – zapytałem.

– Tamten, jednopiętrowy, z jasnego kamienia, kryty ciemnopomarańczową dachówką.

– Tak! – powiedziałem. – Kto tam mieszka? Znasz tych ludzi?

– W domu tym mieszkają dwaj mężczyźni – powiedziała matka. – Jeden ma osiemdziesiąt lat, a drugi tylko pięćdziesiąt. Dobrze ich znam, zatrzymywałam się w ich domu. Gdyby coś mi się stało, oni będą wiedzieć, gdzie jestem.

Popatrzyłem na nią z podziwem. Nie miałem pojęcia, że matka zawarła znajomości po drugiej stronie rzeki. (Później dowiedziałem się, że pięćdziesięcioletni mężczyzna był partnerem północnokoreańskiej pośredniczki i sprzedawał wszystko, co ta przynosiła mu z koreańskiej strony granicy). Posiadanie znajomości w Chinach to było coś – duże ryzyko, a jednocześnie duża szansa. Nabrałem do matki większego szacunku: przeprowadziła się przez rzekę, brodząc w lodowatej wodzie, i nawiązała kontakty w zagranicznym mieście. Imponujące.

– A za tym domem mieszka bardzo dobra kobieta – podjęła matka. –

Nazywa się Cho Hee. Jest dla mnie jak druga matka. Tak się nawet do niej zwracam. – Matka sprzątała u Cho Hee w domu i słuchała jej opowieści. Córka tej starszej kobiety pracowała w dalekim mieście, więc Cho Hee praktycznie zaadoptowała moją matkę.

Podobnie jak ojciec z opowieściami o *sangdzu*, matka miała powód, by zaprowadzić nas na szczyt tego wzgórza, ale stało się to dla mnie jasne dopiero później. Wtedy zrozumiałem rzeczywisty sens tego leniwego popołudniowego spaceru.

Matka i Bong Sook przygotowywały się do zaplanowanej na następny wieczór wyprawy. Patrzyłem, jak się pakują, i myślałem, że to tylko jedna z wielu podobnych podróży, które moja rodzina musiała odbyć, żeby przetrwać. Kiedy nadeszła pora pożegnania, staliśmy w przedpokoju domu pośredniczki. Bong Sook miała na sobie ciemnoczerwony sweter, a włosy spięte w kucyk. Nie pamiętam, jak ubrała się matka.

– Do widzenia, Maczku – powiedziała Bong Sook.

Myślałem, że zobaczę ją znowu za kilka tygodni, góra za dwa miesiące. W Chinach zarobi mnóstwo pieniędzy i wróci. Byłem więc spokojny i nierozemocjonowany.

– Cześć – powiedziałem.

Pamiętam chwilę tuż przed tym, gdy się odwróciła i odeszła. W mojej pamięci jej twarz jest ciemna, podobnie jak przestrzeń wokół jej głowy – tak jakby ktoś zamazał wszystko grubym ołówkiem. Nie widzę jej rysów, zaciemnione jest wszystko oprócz kształtu jej głowy. Nie potrafię powiedzieć, jak wyglądała jej twarz, czy miała w oczach łzy. Czy rozumiała, co się tak naprawdę dzieje?

Moje wspomnienia są przesycone smutkiem i poczuciem nadciągającego nieszczęścia, lecz mój czujnik nastroju był wyłączony. Wielokrotnie żegnałem się z członkami rodziny, ten raz nie wydawał się wyjątkowy.

Powiedziałem matce, że życzę im bezpiecznej podróży, i się odwróciłem.

Rozdział 24

Zostałem w Sambongu jeszcze dwa tygodnie, do chwili, gdy mama przysłała pierwsze pieniądze. Było to sześćset juań. Po opłaceniu pośredniczki wyruszyłem do Hoeryŏngu z czterystoma juańmi w kieszeni. Nigdy nie miałem przy sobie aż tylu pieniędzy; wystarczyłoby ich na podstawowe wyżywienie przez cztery miesiące. Kiedy dotarłem do domu małego dziadka, przekazałem mu plik banknotów. Był zadowolony.

Mały dziadek zwykle zostawiał mnie w spokoju. Wróciłem do szkoły i bawiłem się z kolegami. Czyściłem szczotką swój ciemny płaszcz za każdym razem, gdy ochlapał się błotem, i pucowałem, jak umiałem, swoje stare buty. Podkochiwałem się w dziewczynach i znowu zapalałem miłością do filmów.

Miałem teraz dwanaście lat, byłem prawie nastolatkiem. Moim życiem byli rówieśnicy. Starłem się nie myśleć zbyt często o matce czy Bong Sook, obawiając się smutku, który zasnułby moje serce. Jest mi lepiej niż większości innych dzieciaków, mówiłem sobie. Nie wolno mi się nad sobą użalać. Pewnego dnia poszedłem nad jedną z dwóch rzek przepływających obok Hoeryŏngu (nie Tumen, bo ta jako granica z Chinami była dla cywilów niedostępna), usiadłem na kamieniach i zanurzyłem stopy w wodzie. Podążyłem wzrokiem ku odległemu pagórkowi po chińskiej stronie granicy i pomyślałem o rodzinie. Na szczycie wzgórza stała pagoda w stylu japońskim, jej widok był dla mnie czymś znajomym od wczesnego dzieciństwa. Gdzieś tam daleko są Bong Sook i mama, pomyślałem. Ciekawe, co teraz robią.

*

Moja młodzięcza naiwność legła gwałtownie w gruzach, gdy władze chińskie zatrzymały moją matkę i wydały ją do Hoeryŏngu. Dowiedziałem się o tym od koleżanki, która podbiegła do mnie, gdy szedłem ulicą nieopodal targu: widziała grupę uciekinierów i przemytników, których – ze związanymi rękami – prowadzono przez miasto. (Policjanci nie zrobili

tego po to, by upokorzyć aresztantów: po prostu nie mieli samochodów, którymi mogliby ich transportować).

– Twoja matka została schwytana! – powiedziała mi koleżanka.

Targały mną sprzeczne emocje – wstyd, że matka została upokorzona, chęć jak najszybszego zobaczenia się z nią, nadzieja, że zarobiła dość pieniędzy, żeby wszystkim nam coś kupić. Ale przede wszystkim bardzo pragnąłem zapytać ją o Bong Sook.

Musieliśmy poczekać dwadzieścia dni, aż matkę zwolniono z aresztu. Ponieważ nie zapuściła się w głąb Chin, uznano ją za drobną przemytniczkę. Władze Korei Północnej dały jej tylko upomnienie. Gdyby jednak znowu ją złapano, trafiłaby do więzienia na wiele lat.

Któregoś dnia wróciłem ze szkoły i po prostu zastałem matkę w domu małego dziadka. Siedziała na podłodze i jadła miskę parującej zupy. Jej wygląd mną wstrząsnął. Włosy miała rozczochrane, kości policzkowe sterczały na wychudłej twarzy. Ubranie było brudne i cuchnęło potem. Matkę torturowano w areszcie, kazano jej siedzieć całymi godzinami po turecku i bito ją, ilekroć ruszyła się choćby o centymetr. Kiedy usiadłem obok, w ogóle mnie nie zauważyła, tylko dalej jadła żarłocznie swoją zupę.

Bong Sook nie było.

Jest wygłodniała, pomyślałem. Zawsze patrzyłem na matkę jak na swego rodzaju boginię – sądzę, że wszystkie dzieci traktują tak swoje matki. Była większa i silniejsza niż ja i zawsze obawiałem się jej humorów. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że świat mógłby ją skrzywdzić. Ale oto widziałem ją teraz tak wygłodniałą, że nie mogła mówić.

Mała babcia – żona małego dziadka – podała mi miskę z zupą, ale trudno mi ją było przełknąć. Moja matka nawet się ze mną nie przywitała, a co dopiero mówić o przytuleniu mnie czy pocałowaniu. Wyglądała na osowiałą i apatyczną, wysuszoną i pomarszczoną, wyglądała jak nędzarka. Wiadomo było powszechnie, że w więzieniach Korei Północnej karmi się osadzonych zepsutym jedzeniem.

Kiedy patrzyłem, jak jadła, zjawił się mały dziadek. Był wściekły – nigdy wcześniej nie widziałem go tak rozgniewanego. Wiedział, że marzenie o tym, że będzie mógł żyć z zarobków mojej matki, prysnęło. Trzasnął ręką w stół.

– Nie znam tej kobiety! – wykrzyknął. – Kim jesteś? Nie znam żadnej wdowy po moim siostrzeńcu!

Spojrzałem na niego wstrząśnięty. Wypierał się znajomości z moją matką,

zwalniając się tym samym z wszelkich zobowiązań do udzielenia jej pomocy.

„Mały dziadku, jak możesz tak mówić?” – chciałem zakrzyknąć. Ale bałem się go i milczałem. Miałem tyle pytań do matki: Co się stało? Gdzie jest Bong Sook? – zanim jednak zdążyłem je zadać, mały dziadek pogrzyżył wszystko w chaosie.

– Zhańbiłaś tę rodzinę! – wrzeszczał. – Musisz opuścić ten dom. I zabrać ze sobą tego nicponia, swojego syna.

Wstałem, przestępując z nogi na nogę. Mały dziadek był bardzo władczy, ale poczułem, jak dłonie zwierają mi się gniewnie w pięści. „Ale sam jej kazałeś jechać do Chin!” – chciałem krzyknąć. „Żyłeś z pieniędzy, które przysyłała!”.

Mały dziadek wybiegł jak burza z pokoju, miotając przez ramię ostatnie gniewne obelgi.

To wtedy zdałem sobie sprawę z tego, czemu wysłał moją matkę i siostrę do Chin: nie chciał pracować. To wszystko. Wiele lat wcześniej przeszedł na emeryturę, ale skończyły mu się oszczędności. Nie chciał zabierać się do nowej pracy, na przykład w polu. Mały dziadek musiał oczywiście coś jeść, a pragnął też mieszkać dalej w swoim dużym domu. Wiele osób w Hoeryŏngu postępowało podobnie, żyjąc z pracy krewnych, którzy uciekli do Chin i przysyłali im pieniądze.

Może i mały dziadek darzył nas jakąś sympatią, ale śmierć mojego ojca była dla niego przede wszystkim okazją do zrobienia dobrego interesu. A teraz dalsze interesy z nami nie rokowały już żadnych zysków.

Po tej awanturze do pokoju weszła mała babcia, która niosła coś w rękach. Jej twarz przepełniały ból i współczucie. Bardzo różniła się od męża, była osobą dobrą i cichą.

– Proszę – powiedziała do nas. – Weźcie to.

Była to nieduża torebka foliowa. W środku znajdowało się jedzenie: trochę gotowanego ryżu, zielenina, kukurydza. Mała babcia przeniosła wzrok z mojej matki na mnie. Jej oczy mówiły: „Żałuję, że nie mogę pomóc wam bardziej”. Ale nie mówiły: „Wybaczcie mu” lub „Ja się tym zajmę i wszystko naprawię”. Musieliśmy opuścić ich dom.

Tak właśnie było w Korei Północnej. Więzi pokrewieństwa i powinowactwa rwały się i pękały w obliczu głodu. Czemu nie dostrzegłem tego wcześniej, choć przecież widywałem to tak wiele razy? Czemu raz po raz karmiłem się nadzieją, że teraz będzie inaczej?

Matka i ja wyszliśmy z domu małego dziadka ze spuszczoneymi głowami.
Nie wiedzieliśmy, co robić. Co się teraz z nami stanie?

Rozdział 25

Szliśmy w stronę centrum miasta, próbując sformułować plan dalszego życia. Wreszcie miałem okazję zapytać matkę, gdzie jest Bong Sook.

– Wciąż w Chinach – odpowiedziała. – Mieszka z mężczyzną.

Pokiwałem głową bez zrozumienia. Czy to znaczyło, że znalazła sobie męża?

Później dotarło do mnie, że matka nie zabrała mojej siostry do Chin po to, żeby znalazły tam obie pracę. Zabrała ją po to, by ją w Chinach sprzedać.

W chińskich miasteczkach i wsiach położonych przy granicy z Koreą Północną brakuje młodych kobiet, które wyjechały za pracą do Szanghaju i innych ośrodków przemysłowych, a wielu rolników i drobnych przedsiębiorców szuka żon. Nie żon w zachodnim tego słowa znaczeniu – nie chodzi o związki oparte na wzajemnej miłości. Kobieta potrzebna jest po to, by gotować, sprzątać i uprawiać z mężem seks. Są to tak zwane niewolne panny młode z Korei Północnej, sprzedawane za mniej więcej tysiąc pięćset juanów (równowartość dwustu czterdziestu dolarów amerykańskich). Siedem na dziesięć osób uciekających do Chin to kobiety; osiemdziesiąt procent z nich staje się niewolnymi pannami młodymi.

To smutny los, ale nierzadki. Moja matka, która nie miała pieniędzy na wyżywienie Bong Sook, musiała czuć, że nie ma innego wyjścia. Może oddała córkę, starając się ocalić mnie. A żona niewolnica to wcale nie najgorszy los, jaki spotkać może północnokoreańskie dziewczyny. Wiele z tych, które przekraczają nielegalnie granicę prowadzone przez chińskich lub koreańskich przewodników, staje się seksualnymi niewolnicami.

Przewodnicy mówią dziewczynom, że będą dobrze zarabiały, pracując w fabryce w głębi Chin, gdzie nie zabraknie im nigdy jedzenia i pieniędzy. Zamiast tego są sprzedawane do burdeli i zmuszane do prostytucji. Często w Chinach są na początku bite przez wiele dni i więzione w pomieszczeniach bez toalety, aż wreszcie oprawcom udaje się złamać ich opór. Potem są wielokrotnie i brutalnie gwałcone. Kiedy wychodzą na miasto sprzedawać swoje ciało, zawsze pilnuje ich alfons.

Nie wiedziałem – i nadal nie wiem – jaki los spotkał Bong Sook. Zapytałem o to matkę, ale powiedziała mi tylko: „Porozmawiamy o tym później”.

W chwili, gdy mały dziadek wyrzucił nas na ulicę, a moja matka była tak zawstydzona i przygnębiona, trudno mi było ją wypytywać. Ale samo nastawienie północnych Koreańczyków do życia mnie do tego zniechęcało: świat wcześniej czy później cię skrzywdzi. Nie ma w tym niczyjej winy, takie jest po prostu życie.

Zawsze myślałem, że pewnego dnia usiądziemy i matka opowie mi wszystko, co chcę wiedzieć o siostrze. Dzień ten jednak nigdy nie nadszedł. Prawda jest taka, że matka nie wiedziała, gdzie jest jej córka. Musiała oddać ją pośrednikowi, temu pięćdziesięcioletniemu Chińczykowi w Kai Sanie, który opłacił jej przeprawę przez granicę. Nie wiedziała, gdzie Bong Sook ostatecznie trafiła.

Moja siostra odeszła. To wszystko, co można było na ten temat powiedzieć.

*

Matka postanowiła zawieźć mnie do swojej młodszej siostry do Undok – do tej samej młodszej ciotki, która przed laty wybrała się z nami na tamto pamiętne upokarzające przyjęcie urodzinowe. Podwiozła nas ciężarówka i po dwóch i pół godziny znaleźliśmy się przed jej domem. Zapukałem do drzwi ciotki o zmierzchu. Otworzyła mi i z troską wymówiła moje imię. Potem zobaczyła matkę i zaprosiła nas do środka.

Z początku ciocia okazała nam współczucie. Znalazła stare maty do spania, z których mogliśmy skorzystać, i nakarmiła nas tym, co akurat miała. Na jakiś czas byliśmy bezpieczni.

W miarę upływu dni moje stosunki z ciotką przybrały charakter czegoś w rodzaju szczenięcej miłości: jednego dnia byliśmy sobie bardzo bliscy, gadaliśmy i śmialiśmy się, a następnego gniewała się na mnie z nie wiadomo jakiego powodu. Posyłała mi jadowite spojrzenia i nie chciała ze mną rozmawiać. Oczywiście koniec końców chodziło o jedzenie. Rodzina cioci była teraz bogata jak na standardy Korei Północnej. Wujek dostał wizę i mógł pojechać w odwiedziny do krewnych w Chinach, a z podróży przywiózł telewizory, ubrania i inne towary, które następnie sprzedał z dużym zyskiem. Widziałem, że ciotka chce zatroszczyć się o moją matkę i o mnie, ale że przeżyła klęskę głodu, lęk przed śmiercią z niedożywienia nigdy jej nie opuszczał. Często dzieliła dostępne jedzenie na porcje tak małe, że wszyscy

chodziliśmy głodni. Mój brzuch rozdał się z głodu, a napięta do granic możliwości skóra stała się bolesna w dotyku.

Ja też stanąłem przed dylematem: Czy podkraść ciotce trochę białego ryżu i narazić się na jej gniew? Czy może powinienem przyjmować potulnie tylko to, co dostaję, i liczyć na to, że to wystarczy mi do przeżycia? Nie poczuwałem się do żadnej lojalności wobec ciotecznego rodzeństwa, dzieci ciotki były dla mnie tylko rywalami o dostęp do jedzenia. Tak to odczuwałem. Kierowała mną teraz taka sama bezduszność, jaką przedtem okazali mi krewni.

W końcu potrzeba jedzenia okazała się zbyt silna. Pewnego dnia, gdy ciotka poszła zbierać chrust, ukradłem surową rzepę z worka, gdzie przechowywała warzywa. Szacowałem, że mam dobrą godzinę na zjedzenie całości. Łapczywie wgryzłem się w rzepę, nie zważając na grudki ziemi, które przylgnęły do powierzchni.

Ale pięć minut po tym, jak wziąłem pierwszy kęs, ciotka nagle otworzyła drzwi. Szybko schowałem rzepę za plecami. Popatrzyliśmy na siebie.

Oczy ciotki zalśniły od łez.

– Maczku! – wykrzyknęła. – Jesteś moim siostrzeńcem! Powinieneś być mnie zapytać.

Ze spuszczonego wzrokiem oddałem jej rzepę. Czułem wstyd i złość, że się wstydzę. Przynajmniej ciocia wciąż umiała zachować się jak człowiek. Ja z kolei byłem jak wygłodniały szczur: kierował mną głód. Nie miałem skrupułów, byłem paskudny.

Bogate doświadczenie życia wśród ludzi w normalnych czasach nie było mi dane. Myśl, że większość ludzi jest dobra, o ile dostaje dość jedzenia i ma ciepłe posłanie, była mi zupełnie obca. Znałem ludzi głównie od złej strony, egoistycznych i zawistnych. Starąłem się sobie wmawiać: To tylko głód tak przez nią przemawia. To naprawdę dobra osoba. Ale nie jestem pewien, czy sam w to wierzyłem.

Nie cierpiałem, gdy ludzie zachowywali się samolubnie. Kiedy sam postępowałem egoistycznie, było jeszcze gorzej, ale trudno jest zachowywać się po ludzku, gdy nikt wokół tego nie robi. Wtedy człowiek czuje się jak frajer. Jakby dobre serce było słabością, która może kosztować człowieka życie.

Nie chciałem umierać. Pragnąłem żyć. Byłem naprawdę inny niż ojciec, który był zbyt uczciwy, by kraść.

Rozdział 26

Mąż ciotki był górnikiem. Przez lata pracował w państwowej kopalni, lecz potem doszło do załamania gospodarki. Pewnego dnia w kopalni odcięto zasilanie i zwolnieni z pracy górnicy rozleźli się po okolicy i z pomocą sprzętu zabranego z dawnego miejsca pracy zaczęli kopać w ziemi dziury na chybił trafił w poszukiwaniu węgla. Tak powstały biedaszyby, które tylko północny Koreańczyk mógłby nazwać kopalnią. Pomimo pieniędzy, które zarobił na handlu chińskim towarem, wujek wciąż pracował w kopalniach, aby utrzymać rodzinę.

Po kilku tygodniach ciotka zasugerowała, żebyśmy poszedł razem z nim i też zaczął pracować w biedaszybach, aby zarobić na swoje utrzymanie.

– Przynajmniej będziesz coś robił – powiedziała.

Zgodziłem się natychmiast. Nigdy nie miałem prawdziwej pracy, a myślałem o rozporządzaniu własnymi pieniędzmi, za które mógłbym sobie kupować przekąski i może nawet świeże ubranie, była ekscytująca.

W Korei Północnej nie ma gorszej pracy niż praca górnika. Nawet *Kkodźebi* w ostatnich stadiach wygłodzenia nie chcą schodzić do tuneli. „Poczekam jeszcze jeden dzień – mawiają. – Może poszczęści mi się dzisiaj na targu i uda mi się coś wyżebrać”, mimo że od tygodnia nie znaleźli nic do jedzenia. W pracy w kopalniach było coś ostatecznego. Śmierć z głodu jest łatwa, śmierć w kopalni jest z kolei paskudna. Wielu ludzi zostaje zasypanych żywcem, gdy zawali się chodnik, którego stropy zwykle są zabezpieczone zbyt małą liczbą podpór. Kiedy ich zwłoki wyciąga się na powierzchnię, ich usta są tak zapchane ziemią, że zdaje się, jakby padli ofiarą jakiegoś złośliwego podziemnego potwora. Biedaszyby to ostatni przystanek przed cmentarzem.

Szliśmy dwie godziny, aż dotarliśmy do wejścia szybu, gdzie zebrali się kilkunastu mężczyzn, którzy przygotowywali się do zjazdu na dół. Wujek i ja zbliżyliśmy się do górników, a on powiedział im, że chcę razem z nimi pracować. Mężczyźni przyjrzeni mi się uważnie. Pamiętam te spojrzenia bardzo dobrze: zgroza mieszała się w nich z rodzajem zdumienia.

– Ten smarkacz – powiedział jeden z górników, zwracając się do innych – przychodzi do nas?

Mężczyźni o czarnych od pyłu twarzach stwierdzili, że się pomyliłem i nie mam tu czego szukać. Kiedy nie dałem za wygraną, zaczęli mnie odganiać, ale za każdym razem wracałem. Wujek się nie wtrącał: jeśli nie byłem na tyle wytrwały, żeby wpuścili mnie do kopalni, to na pewno nie nadawałem się też do tej roboty.

Kiedy górnicy zorientowali się, że nie dam się zbyć, machnęli ręką ze zniecierpliwieniem. Skoro chcę się zabić, mówiły to ich miny, to proszę bardzo.

Wgramoliłem się do dużego metalowego wiadra i mężczyzna obsługujący ręczny mechanizm korbowy zaczął opuszczać nas pod ziemię. Szyb był tak wąski, że mogłem wyciągnąć rękę i dotknąć jego ścian, a powietrze wokół zrobiło się czarne i straszliwie gorące, jeszcze zanim dotarliśmy na sam dół. Gdy tylko dno wiadra uderzyło o twardą ziemię, jakieś sto metrów pod powierzchnią, wziąłem swoje narzędzie pracy, ciężki stalowy łom, i wysiadłem. Przygarbiłem się i podążyłem za innymi górnikiem chodnikiem wykutym w ziemi. Kiedy człowiek przede mną się zatrzymał, usłyszałem brzęk żelaza o ściany. Odwróciłem się i zacząłem walić łomem w żyłę węgla.

W kopalni nie było żadnego oświetlenia oprócz latarek przymocowanych do naszych plastikowych, zapinanych pod brodą kasków. Nie zobaczyłem ani jednego rusztowania, ani jednej belki podpierającej strop. Wolałem nie myśleć, co by ze mną było, gdyby ziemia nad nami się osunęła.

Kruszyłem węgiel, który błyskał w wąskim snopie światła z mojej latarki, przez dwanaście godzin z jedną krótką przerwą na obiad, na który składały się kluski i ciasteczko kukurydziane. Ryzykowanie życia i harowa w kopalni miały jedną zaletę: pracodawca musiał nam zapewnić porządne porcje jedzenia.

Pod koniec dnia nie czułem ramion ani tułowia. Kiedy mężczyzna obok poklepał mnie po barku, schyliłem się, zebrałem swój urobek, wrzuciłem go do dużego wiadra i zniosłem w stronę palącego się u góry światła. Czułem się tak, jakby mój duch siedł obok ciała, tak bardzo byłem wycieńczony. Kiedy wydostałem się na powierzchnię, zobaczyłem, że moja sterta węgla jest maleńka w porównaniu z tymi, które należały do innych górników. Moją dniówką był posiłek, który zjadłem, i niewielka część węgla z mojego wiadra. Zniosłem swój węgiel do domu ciotki i go zachowałem. Codziennie dokładałem do niego kolejne wiaderko, marząc o poranku, gdy pójdę na targ, sprzedam węgiel i kupię furę jedzenia dla matki, a także parę pysznych

przekąsek dla siebie. Karmiłem się tymi marzeniami całymi godzinami, zwłaszcza gdy w pocie czoła harowałem w kopalni. Czułem, że wypracowuję sobie odrobinę szczęścia.

Stało się jednak inaczej. Po kilku miesiącach ciotka przyszła do mnie i zapytała, czy mógłbym dołożyć swój węgiel do rodzinnego budżetu. Moje marzenie legło w gruzach. Pieniędzy za to, co udało mi się zebrać, byłoby niedużo, ale i tak chciała mnie ich pozbawić. Musiałem przełknąć tę gorzką pigułkę w milczeniu, ale jeszcze przez wiele dni byłem zrozpaczony i bliski łez.

Górnicy w większości byli dla mnie mili. Wiedzieli, że nie można upaść już niżej, znaleźć się w gorszym miejscu. Po kilku dniach, widząc mój żalony urobek, znaleźli mi lepszą pracę. Pokazano mi, jak obsługiwać wiatrak tłoczący tlen do kopalni. Było to przerobione koło rowerowe połączone z rurą, którą tlen wędrował w głąb szybu. Kręciłem i kręciłem tym kołem godzinami, aż straciłem czucie w prawym ramieniu. Wydawało mi się, jakby ciało kończyło mi się na prawym barku. Pierwszego dnia około drugiej po południu nieświadomie zwolniłem tempo. Czułem się, jakbym miał za chwilę zemdleć.

Nagle metalowa rura dołączona do urządzenia zaczęła dudnić. Górnicy na dole potrząsali nią, żeby dać mi znać, że dostarczam im za mało powietrza. Gdybym się nie ocknął i nie zaczął kręcić kołem szybciej, mogliby poumierać. Ostatnim wysiłkiem woli przewalczyłem ogarniającą mój umysł ciemność i zacząłem obracać koło szybciej. Kiedy słońce zaczęło chować się za horyzontem, wiadro wynurzyło się z szybu i wokół mnie zebrali się górnicy. Widziałem, że są zagniewani, ale gdy mnie ujrzeli – Bóg raczy wiedzieć, jak wtedy wyglądałem – wyraźnie złagodnieli.

– Jutro postaraj się pompować powietrze mocniej – powiedział mi wujek.

Pokiwałem głową.

Z tamtego okresu najlepiej zapamiętałem świeczki. Codziennie rano zapalaliśmy świeczkę i mocowaliśmy ją na dnie wiadra odrobiną rozgrzanego wosku, żeby się nie przewróciła. Później górnicy przywiązywali pałak wiadra do starej liny i spuszczały w głąb szybu. Płomyk stawał się coraz mniejszy i mniejszy, znikając w ciemności. Jeśli na dole nie było tlenu, nie było też pracy. Jeśli nie było pracy, rodziny górników chodziły głodne. Wielu z mężczyzn wydobywających węgiel w biedaszybie miało dzieci, które były tak niedożywione, że kilka dni bez jedzenia mogło je zabić.

Kiedy świeca pozostawała zapalona, górnicy brali swoje narzędzia i zjeżdżali na dół. Innym razem jednak płomyk pełgał i gasł i wiedzieliśmy, że nikt nie przeżyłby w kopalni, nawet przy tej odrobinie powietrza, jaką mogłem wtłoczyć przez rurę. Wtedy ogarniało nas czarne przygnębienie i w milczeniu wyciągaliśmy wiadro na powierzchnię. Nikt się nie odzywał.

Właśnie taki obraz przychodzi mi na myśl, gdy próbuję opowiedzieć o tamtych czasach w mojej ojczyźnie ludziom, którzy nigdy tam nie byli. Podstawowe składniki życia zniknęły. Moi szkolni koledzy, mój ukochany telewizor i rodzina, wszystko to zniknęło jak płomyk świeczki, pochłonięty przez ciemność. Gdybyśmy byli wtedy do tego zdolni, razem z górnikami żartowalibyśmy, że z Korei Północnej zniknął nawet tlen. Co będzie następne? Woda? Słońce?

Doświadczyłem czegoś podobnego już wcześniej, w pociągu do Haeju razem z ojcem i Bong Sook na początku wielkiego głodu. Pewnego ranka podczas tej niekończącej się podróży byłem na wpół przytomny i myśli odpływały mi w krainę marzeń, kiedy zobaczyłem, jak żołnierz północnokoreański zbudził się gwałtownie ze snu. I wrzasnął. W nocy ktoś ukradł mu kurtkę. Kilku z nas, pasażerów, obserwowało go uważnie, gdy rozglądał się gorączkowo dookoła w poszukiwaniu zaginionego munduru. Ale munduru nie było.

W normalnych czasach kradzież kurtki od munduru wojskowego byłaby nie tylko bezprawna, ale i niewyobrażalna. Umysł nigdy nie wytworzyłby myśli w rodzaju: O rany, ta kurtka wojskowa wygląda naprawdę ekstra. A co, gdybym... Kiedy tak przyglądaliśmy się żołnierzowi, niepokoił się tym, co może zrobić – może wezwie policję i oskarży nas o kradzież. Może pobije nas i porzuci przy torach, żebyśmy stali się pożywieniem dla zdziczałych psów. Podróżni zaczęli odsuwać się od niego.

Zamiast złości, na młodej twarzy żołnierza pojawił się jednak wyraz, który mogę określić tylko jako wesołość. Zaczął się śmiać, śmiać się całym ciałem. Coraz więcej ludzi budziło się i spoglądało w jego stronę. Nie wiedzieliśmy, co o tej reakcji myśleć, a jej dziwność zapadła mi w pamięć na lata.

Dopiero kiedy pracowałem w kopalni, zdałem sobie sprawę, co żołnierz czuł w tamtej chwili. Rzeczywistość, którą znał od urodzenia, zniknęła. Nie było jedzenia. Nie było też władzy. Wiele setek ludzi tłoczyło się w pociągu donikąd. A ludzie kradli mundury, zdzierając je prosto z grzbietów żołnierzy armii Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Jego śmiech zdawał

się mówić: „Nie, to nie może być prawda. Nie wierzę! Na jakim to szalonym świecie się znalazłem?”.

Tego właśnie ludzie nie rozumieją o Korei Północnej z tamtych lat. Nie „porzuciliśmy” nadziei ani jej nie „straciliśmy”. Trzymaliśmy się jej kurczowo z całych sił. Brakowało za to tych kilku cząsteczek tlenu, w którym płomyk nadziei mógłby się palić. Cały tlen wysysało to dziwne miejsce, w którym zdarzyło nam się żyć, za sprawą niewidocznych sił i czynników, których nigdy nie spotkaliśmy i z którymi nigdy nie rozmawialiśmy. Płomyk świeczki zgasł i ogarnęły nas ciemności.

W tych warunkach nadzieja wymagała nadludzkich wysiłków. Zacząłem bardziej współczuć ojcu, złamanemu przez ten kraj. Wiem teraz, że byłem dla niego zbyt surowy. Jak można się spodziewać, że ktoś będzie oddychał, kiedy nie ma powietrza?

Ciotka udzielała nam gościny przez kilka miesięcy, a potem poprosiła moją matkę i mnie, żebyśmy opuścili jej dom. W ten sposób kolejna więź w naszej rodzinie została odcięta. Kiedy pakowaliśmy swoje rzeczy, matka znowu zaczęła mówić o ucieczce do Chin.

Spodziewałem się, że wkrótce zostanę sam.

Rozdział 27

Wiosną 2003 roku byliśmy z powrotem w Hoeryŏngu. Matka zamieszkała z koleżanką, przygotowując się do kolejnej podróży do Chin. Musieliśmy się rozdzielić. Matka nie mogła się mną opiekować, właściwie byłaby dla mnie tylko ciężarem. Zostałem pozostawiony sam sobie.

Wciąż nie pojmowałem, że Bong Sook zniknęła z mojego życia i że jej los jest tak ponury. Uczepiłem się nadziei, że wyszła za jakiegoś miłego mężczyznę, który dobrze ją traktuje. Wieczorami wielokrotnie prowadziłem w wyobraźni rozmowy z tym Chińczykiem. Proszę, opiekuj się Bong Sook. Ona zasługuje na znacznie więcej dobroci, niż dało jej życie. Starsi ludzie w Manyangu mieli rację: Bong Sook była niezwykła, lecz ja zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy ją straciłem.

Kiedy przez kilka pierwszych godzin po powrocie wałęsałem się po mieście, myślałem głównie o tym dniu, kiedy ostatni raz widziałem siostrę, o tym niedbałym „cześć”, jakim pożegnałem się z Bong Sook, podczas gdy ona musiała zdawać sobie sprawę z prawdy. Czemu nie podbiegła do mnie i mnie nie przytuliła? Czemu ja jej nie przytuliłem?

Nie miałem pojęcia, że zegnamy się po raz ostatni. Teraz ta świadomość nie przestaje mnie prześladować.

Któregoś dnia, Bong Sook, powiedziałem do siebie, znowu cię znajdę.

*

Nie byłem przygotowany do życia na ulicy. Dotarliśmy do Hoeryŏngu bez dodatkowych ubrań czy pieniędzy. Miałem na sobie ten sam czarny płaszcz, który wyprosiłem u matki rok wcześniej, ten sam, którego zapragnąłem dlatego, że zakochałem się Hyae Mi.

Nie miałem już plastikowej figurki, którą dała mi Hyae Mi. Nie miałem już niczego z tamtego życia. Udało mi się ocalić tylko ten płaszcz, który był teraz tak podarty i poplamiony, że z elegancją nie miał już właściwie nic wspólnego. Ale miałem trzynaście lat, a w samodzielności było coś ekscytującego. Po raz pierwszy w życiu byłem wolny.

Przeszedłem pięć czy dziesięć kilometrów, łąząc po Hoeryŏngu i okolicach w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, ale nie znalazłem niczego. Nie wiedziałem, gdzie szukać pożywienia ani jak o nie prosić.

Tamtej nocy poszedłem pod dom małego dziadka. Tuż za jego murami znajdowało się pole kukurydzy, gdzie często słuchałem łodyg kołyszących się na wietrze z suchym szelestem charakterystycznym dla prawie dojrzałej kukurydzy. Kiedy mijałem ścieżkę prowadzącą do frontowych drzwi domu, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Mój umysł skręcił przy furtce w prawo i ruszył drogą, którą przemierzałem kiedyś tak często, choć ciało szło dalej w stronę zielonego łąnu kukurydzy. Umysł przeniknął przez frontowe drzwi i skręcił w prawo, gdzie kiedyś był mój pokój. Mój umysł napawał się ciepłem bijącym od podłogi. Przygotowywał się do snu.

Fantazja trwała tylko krótką chwilę. Wkrótce znalazłem się na polu, skryty wśród wysokich łodyg kukurydzy, i zacząłem szukać sobie legowiska na noc.

Na niebie świeciły już gwiazdy, gdy znalazłem odpowiednie miejsce w skibie suchej ziemi, która była na tyle szeroka, że idealnie mieściły się w niej moje wąskie barki. Położyłem się i poprzez kolby, z których właśnie zaczęły wyrastać jasnobrązowe wąsy, oznaka, że kukurydza dojrzewa, spojrzałem w niebo. Rośliny kołysały się nade mną, poruszane podmuchami ciepłego wiatru. Leżałem na przytulnej, ciepłej ziemi.

Dom małego dziadka stał niecałe dwieście metrów dalej. Wyobrażałem sobie, jak mały dziadek i jego żona kładą się do snu, rozmawiając ściszonymi głosami. Czy zastanawiali się, gdzie jestem? Wiedzieli, że wróciłem do miasta? Martwili się, że nie miałem tego dnia nic do jedzenia, czy może przestali o mnie myśleć wiele miesięcy wcześniej? Na pewno nie. Mały dziadek prawdopodobnie wykreślił mnie z pamięci w chwili, gdy opuściłem jego dom. Nigdy nie miewał wyrzutów sumienia ani wątpliwości.

Nie byłem jednak nieszczęśliwy. Pomyślałem: Tu jest lepiej niż na mojej starej macie do spania! Widziałem piękne gwiazdy nad sobą, uniwersalną pociechę Koreańczyków, którzy utracili dach nad głową. Byłem przyjemnie zmęczony i wkrótce usnąłem w przytulnych objęciach zaoranej ziemi.

Pierwszy wróg śpiących na gołej ziemi zjawia się około pierwszej w nocy. Człowieka przebiega wtedy dreszcz. Poprzez sen zdajesz sobie wtedy sprawę, że ogarnia cię coś obcego. Skóra zauważa to już wtedy, gdy umysł jeszcze śpi. Później budzi cię zimna rosa. Było ci ciepło, sucho i miło, a teraz cierpisz. Około drugiej otworzyłem oczy. Rzędy kukurydzy były teraz

czarne, tylko krawędzie oświetlał księżyc. Mój dobry nastrój się ulotnił. To była pierwsza chwila mojej bezdomności.

Wierciłem się i obracałem z boku na bok, starając się znowu zasnąć, ale rosa mieszała się z ziemią, tworząc warstwę błota, a moje ubranie nasiąkało wilgocią. W końcu wstałem, nie byłem w stanie dłużej spać. Moją skórę okryła cienka warstwa mokrej ziemi. Dokuczał mi głód. Około trzeciej czy czwartej nad ranem ruszyłem w stronę bazaru w centrum.

Kiedy dotarłem tam po półgodzinie, alejka, gdzie stali zwykle sprzedawcy przy swoich straganach, była zupełnie wyludniona. Ogarnęło mnie poczucie osamotnienia. Miałem wrażenie, jakbym był jedyną osobą w mieście, która nie śpi, nikt nie wie, że jestem głodny, i nikogo to nie obchodzi.

Kiedy nad wzgórzami wzeszło słońce, zaczęli napływać ludzie: kupcy, którzy rozstawiali przy drodze skromne stragany z towarami – grzebieniami, okularami przeciwsłonecznymi, zegarami, cebulą, ogórkami, kaszą kukurydzianą. Sprzedawcy zupy przychodzili, niosąc wypełnione prawie po brzegi kotły, i stawiali je ostrożnie na ziemi. Zjawili się *Kkodzebi*, drobne postaci o czarnych twarzach, odziane w wystrzępione łachmany, błagające o kęs jedzenia lub wyczekujące okazji, by coś ukraść. Nikt zdawał się nie zwracać na nich uwagi.

Zostałem tamtego dnia na targu od świtu do zmroku, niezdolny wypowiedzieć choćby słowa. Inne bezdomne dzieciaki przychodziły i stawały obok mnie. Był środek lata. Cuchnęliśmy jak zgniłe owoce.

Niektóre bezdomne dzieci wołały do kupujących: „Mogę dojeść resztkę pańskiej zupy?”. W Korei Północnej nie zebrało się o pełny posiłek. Prosiło się o niedojedzone resztki z miski po zupie, o łyk mętnej wody na dnie drewnianego kubka. Kilku *Kkodzebi* udało się namówić ludzi gotowych oddać im resztki ze swoich misek. Niedużo, tylko kilka kalorii, które starczały najwyżej na parę godzin. Reszta z nas patrzyła, jak je spijają, podczas gdy nasze grdyki drgały przy każdym ich łyku, jakbyśmy też jedli. Ale ja nic nie mówiłem, wbity w ziemię przez jakiś szczególny lęk, podczas gdy głód coraz boleśniej dawał mi się we znaki.

Gdybym poprosił o zupę, myślałem otepiały, stałbym się bezdomnym żebrakiem już na zawsze. Bałem się, że słowa prośby zadziałają jak zaklęcie zmieniające mnie z normalnego chłopca w *Kkodzebi*. W przeciwieństwie do wielu innych dzieciaków w tej zgrai, które zostały porzucone, gdy miały po cztery, pięć lat, ja znajdowałem się pod troskliwą opieką rodziców aż do

osiągnięcia wieku nastoletniego. Miałem mnóstwo szczęśliwych wspomnień i to dawało mi nadzieję.

Jednocześnie jednak przez te wspomnienia trudniej było mi uwierzyć, że jestem rzeczywiście bezdomny. I tak oto milczałem. Jak tak dalej pójdzie, myślałem sobie, na pewno się zagłodzisz.

Wieczorem, gdy wszyscy handlarze opuścili targowisko, poszedłem do domu kolegi. Pozwolił mi tam przenocować jedną noc. Nie prosiłem nawet o przedłużenie gościny – wiedziałem, że gdybym został dłużej, byłbym ciężarem. Gdy przed klęską głodu przychodziło się do znajomego w porze obiadu, gospodarze zawsze zapraszali gościa na posiłek. Ale teraz zjawianie się w czyimś domu bez zapowiedzi o tej porze uznawano za grubiaństwo. Uznawano to za próbę wymuszenia od gospodarzy czegoś do jedzenia. Było to niedopuszczalne.

Na drugi dzień wróciłem na targ, lecz wciąż nie mogłem wykrztusić z siebie ani słowa.

Przespałem się na polu kukurydzy i wróciłem na targ również trzeciego dnia. Powtarzałem sobie w myślach: Powiedz coś. Poproś o zupę, a może coś zjesz. Ale moje usta pozostały zamknięte. Wstydziłem się tego, kim się stałem. Moją twarz pokrywały warstwy ziemi i pyłu węglowego nadające jej taki kolor i połysk, że wyglądałem niczym jakaś upiorna lalka. Brudne paluchy, okryte skorupą z przydrożnego błota, wystawały mi z dziur w butach, które zaczęły gnić w deszczu i nieczystościach. Oczy zrobiły się większe, ponieważ głód napinał skórę wokół nich, a wszy leżały się w moich złachmanionych, cuchnących ubraniach.

Nie kąpałem się od tygodnia albo dwóch. Ostatni kęs jedzenia przełknąłem trzy dni wcześniej. Mimo to wciąż myślałem jak nastolatek z dosyć dostatniej rodziny, który chodzi do szkoły i podkochuje się w koleżankach. Jak chłopak, który ma opiekującego się nim ojca i siostrę, która oddaje mu swój ryż i twierdzi, że się najadła. Ale już tym chłopakiem nie byłem. Musiałem przyjąć to do wiadomości.

Popołudnie trzeciego dnia przechodziło powoli w wieczór i klientów było coraz mniej, a bóle głodowe stały się niczym noże skrobiące mi klatkę piersiową od góry do samego dołu. Przesunąłem się na sam skraj targowiska, z dala od drogi, którą koleżanki i koledzy z klasy wracali po szkole do domów. Bałem się, że spotkam kogoś znajomego. Tego pierwszego spojrzenia i rozpoznania, gdy spostrzegą mnie wśród *Kkodzebi*. Pięknej Hyae

Mi wpatrującej się we mnie z miną mówiącą: „Nie jesteś już człowiekiem, żal mi ciebie”.

Kkodzebi wokół mnie wołali:

– Czy mogę dojeść pańską zupę?

Handlarze, którzy sprzedawali zupę, makaron kukurydziany i ryż, łypali na mnie gniewnie, gdy stałem, kołysząc się lekko, przy drodze, starając się nie runąć na twarz w błoto. Wiedzieli, że na sam mój widok, że o smrodzie nie wspomnę, ich potencjalni klienci natychmiast tracili apetyt. Wszystkim klientom oferowali jedną „przechodnią” miskę, a gdyby ktoś z kupujących zobaczył, że dotknął jej *Kkodzebi*, pewnie odwróciłby się na pięcie i poszedł do innego sprzedawcy.

Nazywano nas *Kkodzebi*, „wędrowne wróble”, bo pochylaliśmy się i szukaliśmy ziarenek ryżu lub kukurydzy na ziemi. I rzeczywiście wyglądaliśmy jak ptaki, choć przypuszczam, że nie jak wróble. Raczej jak wrony lub wychudłe sępy, opadające swoją następną ofiarę z wiecznie tym samym okrzykiem.

– Mogę? Mogę? Mogę?

Nie czułem się już człowiekiem. Przez umysł istot ludzkich przewija się mnóstwo rozmaitych myśli, wiele emocji, niektóre przyjemne, inne smutne. Wędrowny wróbel ma w głowie tylko jedną myśl – jedzenie – i odczuwa tylko jedną emocję, którą można podsumować w zdaniu: „Nie chcę umierać”. Przez to traci się wszelką godność, jaką się wcześniej miało. Głód sprawia, że ludzki głos dziwnie brzmi. Oczy stają się szkliste i pozbawione głębi. Ramiona same wyciągają się do klientów na targu, napędzając im strachu, a człowiek nie może nic na to poradzić.

Wreszcie nie byłem w stanie tego dłużej wytrzymać. Pomyślałem, że jeśli nie uda mi się czegoś zjeść, może nazajutrz zabraknie mi w ogóle sił na to, by zjawić się na targu. Zacząłem rozglądać się w tłumie w poszukiwaniu kogoś, kto po długich latach głodu miałby w sobie jeszcze odrobinę bezinteresownej dobroci. Spostrzegłem mężczyznę, który wyglądał na podróżnika. Był starszy niż moi rodzice, wyraźnie wiejskiego pochodzenia, niebogaty, ale miał coś sympatycznego w twarzy. Ten człowiek wie, co znaczą trudy życia, pomyślałem. To on. Podbiegłem do niego i zawołałem:

– Czy może mi pan dać resztkę... – Mój głos był piskliwy i nerwowy. Mężczyzna spojrzał jednak na mnie tylko z obojętną miną i poszedł dalej.

Kiedy już raz się to zrobi, później jest już łatwiej. Tamtego dnia udało mi

się zjeść dwa łyki zupy. Czułem, jak letni płyn miesza się z krwią w moich żyłach, jak wzrost napięcia elektrycznego, który sprawia, że światła w domu rozbłyskują jasno, zanim zgasną.

Nawet ci, którzy dawali *Kkodzebi* swoje miski, w większości odnosili się do nich wrogo:

– Zabieraj to i jazda mi stąd! – Wpychali ci miskę w ręce tak gwałtownie, że część zupy wylewała się na ziemię, co zupełnie mijało się z celem. Kiedy klienci rozeszli się do domów, udałem się na dworzec kolejowy Hoeryõngu i przespałem się na jednej z długich drewnianych ław, z żołądkiem napełnionym może w jednej trzeciej. Później miałem się przenieść do jednej z porzuconych lokomotyw parowych, które rdzewiały na bocznych torach. Grube żelazo jej pancerza chłoneło ciepło słoneczne przez cały dzień i oddawało je w nocy, dzięki czemu nie groził mi chłód.

Byłem wdzięczny za tę odrobinę jedzenia. Czułem się jak zwycięzca. Ale wiedziałem, że dwa łyki zupy dziennie to za mało, jeśli chcę dłużej żyć. Musiałem wykazać się większym sprytem.

Rozdział 28

Chodziłem na targ codziennie, zjawiając się tuż po brzasku. Byłem zwykle jednym z pierwszych *Kkodźebi* na miejscu, lecz wkrótce dołączała do mnie cała rzesza innych. Kiedy nie zaczepiałem kupujących, przyglądałem się najbardziej skutecznym żebrakom, tym, których oczy były najbardziej przytomne i którzy mieli najwięcej energii. Stwierdziłem, że zawsze wybierają określony typ osób. Mieli strategię.

Najlepsi byli żołnierze. Ci, którzy przychodzili na targ, byli w większości oficerami, a niektórzy z nich dysponowali dodatkowym źródłem dochodu – łapówkami od tych, którzy nielegalnie przekraczali chińską granicę. Byli młodzi, wciąż idealistycznie nastawieni, wciąż dumni z Korei Północnej jak mój ojciec. Tylko około połowy żołnierzy dawało mi odrobinę jedzenia, ale to i tak było znacznie więcej, niż dostawałem od przeciętnego obywatela. Młody oficer dawał mi ostatni łyk swojej zupy ze słowami: „Weź to, biedny chłopcze”. Ilekroć zauważyłem nadchodzącego żołnierza, starałem się dobiec do niego pierwszy.

Drugie pod względem hojności były babcie. Zwykle robiły na targu zakupy dla swoich rodzin późnym rankiem. Patrzyły na mnie, gdy hałaśliwie wysiorbywałem resztki zupy, i nawet jeśli niczego nie mówiły, ich oczy były łagodne i pełne współczucia. Może miały wnuków takich jak ja. Czasem zastanawiałem się, czy dają mi zupę, której same potrzebują.

Ale nigdy nie odmawiałem posiłku. Było to nie do pomyślenia.

Po kilku tygodniach na targu orientowałem się już, od kogo najprawdopodobniej mogę coś wyżebrać. Ludzie ze wsi byli lepsi niż miastowi. Kobiety lepsze od mężczyzn (z wyjątkiem żołnierzy). Bogaci byli do luftu. Dzięki starannemu doborowi nagabywanych osób moja dzienna średnia skoczyła do czterech łyków zupy.

Ale wciąż nie zdobywałem dostatecznej ilości pożywienia. A bywało, że przez cały dzień nie udało mi się wyżebrać niczego. To nie działa. Nie przetrwam.

Czasem obserwowałem nowych *Kkodźebi*, którzy przyszli na targ i stali tylko jak ja na początku, zbyt zatrwożeni, by się odezwać i wkroczyć w nieznaną. A może wyobrażali sobie, że wystarczy siedzieć przy drodze

z udręczoną miną, a ktoś z przechodzących zlituje się i da im coś do jedzenia. Nie wiedzieli jeszcze, że to się nigdy nie zdarza. Trzeba było poprosić, inaczej czekała cię pewna śmierć.

Około drugiego tygodnia bystrzy nowicjusze zdobywali się na kradzież czegoś z wózka lub straganu. Po trzech, czterech tygodniach zawierali sojusze z innymi *Kkodźebi* i stawali się członkami bandy. Wśród bezdomnych dzieciaków na targu było jak w szkole: w pierwszych dniach zawierało się znajomość z innymi nowymi *Kkodźebi*, którzy zjawili się w tym samym czasie. Tacy kumple często trzymali się razem przez całe lata. Jedna sierota odwracała uwagę sprzedawcy lub wywoływała jakieś zamieszanie, podczas gdy reszta okradała stragan. Wymieniano się wiedzą, dopracowywano techniki.

Jak szybko wszyscy się zmienialiśmy! Byłem tym zdumiony. Z łatwością przekraczaliśmy granicę, za którą z niewinnych dzieci stawaliśmy się twardymi i cwanyimi chłopakami współpracującymi po to, by oszukiwać dobrych ludzi. A ci, którzy nie umieli się zmienić, po prostu znikali – chłopcy i dziewczyny, których zwłoki czuć było w wysokich trawach, gdy zapadał zmrok i szło się szukać miejsca do spania.

*

Kiedy człowiek jest bezdomny, potrzeba mu tak naprawdę tylko dwóch rzeczy: jedzenia i czegoś, żeby się ogrzać. Ciepło pozwala przeżyć noc, gdy temperatura spada poniżej zera. W takie noce trzeba znaleźć kryjówkę w jakimś pomieszczeniu, bo inaczej się umrze. Od czasu do czasu *Kkodźebi* zbierali się wokół ulicznych transformatorów elektrycznych, lgnąc do nich jako do źródła ciepła, ale urządzenia te były zaniedbane i stare. W mroźne noce niektóre sieroty ginęły od porażenia prądem.

Sam nigdy tak nie robiłem, za to zawsze rozglądałem się za popiołem. Gospodynie wyrzucały węgiel, który ogrzewa podłogi większości domów w Korei Północnej, na podwórze za domem. Czasami popiół był jeszcze ciepły. Jeśli zobaczyłem stos świeżego popiołu węglowego, kładłem się na nim i przykładałem policzek do powierzchni, chłonąc ciepło. Było to doświadczenie kojące, a zapach popiołu przypominał mi o naszym starym domu na Osiedlu Ósmego Lipca. Zasypiałem i śniłem o czasach, kiedy

miałem dach nad głową i ludzi, którzy mnie kochali. Jedyną wadą było to, że popiół kleił się do ciała. Właśnie w ten sposób wielu *Kkodzebi* zyskiwało swoje czarne twarze.

Ciepła potrzebowało się tylko na kilka godzin nocnych. W desperacji można było pozbierać suche gałęzie i rozpalić ognisko. Ale o jedzeniu myślało się ciągle. Jak je zdobyć, ile go będzie, jak będzie smakować.

*

Jako bezdomny stałem się kimś zupełnie innym. Po pierwsze, wstrząsem było dla mnie odkrycie, że jestem lepszym złodziejem niż żebrakiem.

Zmiana nastąpiła bardzo naturalnie. Prawie jakby moje ciało wiedziało, co robić, gdy głód osiągnie pewien poziom. Nie pamiętam żadnych wyrzutów sumienia związanych z tym, że kradzież jest zła.

Kupcy, którzy tłoczyli się na ulicy przy targowisku, stali się moimi pierwszymi ofiarami, ale nie brakowało im przemyślności, nabytej we wcześniejszych doświadczeniach związanych z *Kkodzebi*, którzy próbowali ukraść ich towar. Aby zapobiec temu, by ludzie tacy jak ja podkradali się do nich od tyłu i kradli ich ciastka, kupcy siedzieli pod samym murem z pustaków, który ciągnął się wzdłuż ulicy targowej, i stawiali swoje kosze przed sobą. Do tych handlarzy mogłem podejść tylko od przodu, a kiedy to robiłem, ich twarze wykrzywiały się gniewnie i natychmiast zaczęli krzyczeć, żebym się wynosił. Widziałem tylko smakowite ciastka i bułki w ich koszach i słyszałem nienawistne głosy, jakimi się na mnie darli. Nie dawałem się im nastraszyć.

Obserwowałem tych sprzedawców bardzo długo. Zauważyłem, że z samego rana wielu z nich stoi czujnie nad swoimi koszami, strzelając oczami na boki, gdy tylko zbliża się ktoś, kto wygląda podejrzanie. (Ja wyglądałem bardzo podejrzanie). Ale niewielu kupujących miało dość pieniędzy na zakup bułki, więc handlarze ostatecznie wpatrywali się w swoje kosze niemal bez przerwy. A to po pewnym czasie robiło się nużące. Kiedy obserwowałem oczy sprzedawców godzina po godzinie, zdałem sobie sprawę, że robią się rozmarzone i senne. Aby sprawdzić ich reakcję, przechodziłem przed ich koszami, żeby zobaczyć, czy mnie zauważą. Sprzedawcy wprawiali się w stan bliski autohipnozie. Myśleli o swoich dzieciach albo wspominali jakiś

film, który kiedyś widzieli. A to oznaczało, że mogłem podkraść się do kogoś z nich, sięgnąć po bułkę w koszu tak, żeby tego nie zauważył, i odejść, jakby nic się nie stało. Pierwszy raz, gdy to zrobiłem, serce łomotało mi triumfalnie. Przechadzałem się alejką, żując bułkę, jakbym był bogatym paniczykiem.

Kradzione bułki smakują bardziej niż te kupione. Wiem to z własnego doświadczenia.

Moja sztuczka udawała się tylko z rzadka, na ogół handlarze byli czujni. Wypracowałem więc nową technikę. Niektórzy sprzedawcy siadywali na wysokim brzegu rzeki Tumen, której piesi chodzili do centrum miasta. Rzeka przepływała prawie dwa metry poniżej, ograniczona betonowymi ścianami, które miały powstrzymać wezbrane wody podczas powodzi. Chodziłem wzdłuż rzeki, wskakiwałem do płytkiej wody, po czym szedłem samym skrajem, aż docierałem do handlarzy, którzy siedzieli odwróceny do mnie plecami, tuż za szczytem muru. Chwytałem się krawędzi muru i podciągałem do góry, aż o kilkadziesiąt centymetrów ode mnie widziałem kosze z bułkami. Potem szybko wysuwałem rękę i wyciągałem ciastko lub bułkę. Skupieni na przechodniach przed nimi, handlarze nie mieli pojęcia, że tam jestem.

Byłem dumny ze swojego sprytu. Ale przechodnie, zdumieni widokiem chłopięcej ręki pojawiającej się znikąd, w końcu zaalarmowali handlarzy, że coś się dzieje. To położyło kres mojemu procederowi.

Moja nowa profesja była ekscytująca. Uwielbiałem kraść i wkrótce stałem się jednym z najsprawniejszych złodziejasków na targu. Po raz pierwszy zacząłem patrzeć w przyszłość z nadzieją – nie na życie, jakie sobie kiedyś wyobrażałem, ale na przetrwanie.

Jak się okazało, los miał mnie wystawić jeszcze na niejedną próbę.

Rozdział 29

Po kilku miesiącach życia na własną rękę coraz bardziej opadałem z sił. Bardziej doświadczeni handlarze poznali moje sztuczki, a nowych sprzedawców żywności było na targu coraz mniej. Za to liczba *Kkodzebi* rosła z dnia na dzień. Wszyscy jedli coraz mniej. Często kładłem się do snu w jednym ze starych, zepsutych pociągów na dworcu i nie mogłem spać, bo za mocno dokuczał mi głód. Czasami przez dwa czy trzy dni nie miałem zupełnie nic w ustach.

Postanowiłem poświęcić się złodziejstwu.

W Korei Północnej były trzy miejsca, gdzie działało wielu złodziei. Jednym były dworce i stacje kolejowe. We wczesnych latach XXI wieku rząd importował podstawowe artykuły z Chin. Zboże i nawozy transportowano długimi składami zamkniętych wagonów pilnowanych przez straż ochrony kolei. Główne stacje kolejowe w Korei Północnej są od siebie bardzo oddalone, więc gdy na jedną z nich przyjeżdża pociąg, załoga często musi zrobić sobie przerwę. Kolejarze idą do wychodka albo kupić sobie coś do jedzenia w którymś ze straganów przed dworcem. Wtedy właśnie do akcji wkraczali złodzieje. Podbiegali do torów i przykucali pod wagonami, szukając czegoś, co można by zwędzić, a potem sprzedać.

Parali się tym różni ludzie: babki, ojcowie, kobiety w ciąży, starcy i osierocone dzieci. Oblegali perony i przeczesywali ziemię między torami w poszukiwaniu ziaren kukurydzy, które wysypały się z wagonów przez szpary. Pociąg zatrzymywał się na dworcu na godzinę albo dwie i w tym czasie można było zebrać garść żółtych ziaren kukurydzy, zmieszanych z ziemią i popiołem. Dołączyłem do rzeszy złodziei dworcowych raz czy dwa. Wciąż pamiętam szum krwi w uszach, gdy w cieniu wagonu ujrzałem ziarna kukurydzy podobne do rozsypanych samorodków złota. Trzeba było zbierać je błyskawicznie: każde ziarno zniknęło w ciągu kilku sekund, a mogły minąć całe dni, zanim na stacji zatrzymał się kolejny pociąg.

Składy przewożące nawóz okradało się trudniej. Nawozy chemiczne są w Korei Północnej bardzo poszukiwane i drogie, kiedy więc zdobyło się kubek nawozu, można było sprzedać go za równowartość dwóch dobrych posiłków. Pełny worek nawozu stanowił nie lada gratkę, lecz aby go zdobyć,

trzeba było narażać życie. Przyłapawszy złodzieja na gorącym uczynku, strażnicy bili go pałkami po głowie i porzucali nieprzytomnego na torach, gdzie często przejeżdżał go następny pociąg. Widywałem ludzi, którzy wdrapywali się na wagony i próbowali sforsować zamki, a kończyli skatowani przez strażników. Złodzieje spadali na tory z głuchym łoskotem.

Drugim dobrym miejscem dla złodziei jest targ i jego okolice. Tutaj królują kieszonkowcy i specjaliści od wyrywania okradanym toreb i torebek. Sam targ jest opanowany przez *Kkodźebi*, którzy tworzą coś na kształt gangu. Jeśli chcesz awansować ze zwykłego złodziejaska na kieszonkowca, musisz najpierw poprosić grupę kontrolującą targ o zgodę. Jeżeli po prostu zjawisz się któregoś dnia i świńiesz kilka wonów z kieszeni wieśniaka, inni *Kkodźebi* zaczną krzyczeć i ostrzegą twoją niedoszłą ofiarę, która prawdopodobnie zło ci skórę. Jeśli niedoszła ofiara tego nie zrobi, niezależny kieszonkowiec dostanie manto od samych *Kkodźebi*. Targ był w Korei Północnej jedynym miejscem, które należało do bezdomnych, a ci zazdrośnie strzegli swego terytorium. Zaczynało się od kradzieży główki czosnku lub pojedynczej papryki ze straganu z warzywami po to, by wymienić łup na odrobinę makaronu u sprzedawców gotowego jedzenia. (Działo to całkiem dobrze, bo handlarze nie spodziewali się nigdy, że ukradniemy surowy towar, a sprzedawcy jedzenia zawsze potrzebowali świeżych składników do swoich potraw). Potem powoli pokonywało się kolejne szczeble złodziejskiej kariery.

Trzecim dobrym miejscem do kradzieży są prywatne domy. Stos drewna na opał na balkonie w bloku. Grządką ze świeżą cebulą. Rower. Tym się właśnie zająłem po opuszczeniu targu. Zacząłem od pokryw studzienek ściekowych.

Byłem tak głodny, że musiałem ukraść coś łatwo dostępnego, byle jak najszybciej napełnić pusty brzuch. Przypomniałem sobie, że raz widziałem mnóstwo złomu w pobliżu dworca kolejowego, więc poszedłem tam, lecz do tego czasu, oczywiście, wszystko zniknęło, zabrane i sprzedane przez innych głodnych ludzi. Pomyślałem więc o pokrywach studzienek kanalizacyjnych, którymi usiane były ulice. Wiedziałem, że w skupie zawsze chętnie przyjmą złom żelazny, który właściciele sprzedawali później chińskim odlewniom. Więc czemu nie ukraść ciężkich pokryw studzienek? Przecież był to metal, który dosłownie leżał na ulicy. Postanowiłem, że jednej nocy spróbuję taką pokrywę zwędzić.

W Korei Północnej są dwa rodzaje pokryw studzienek: jedne ważą około

dwudziestu kilogramów, inne, bardziej masywne, wielkości dużego koła rowerowego, ważą ze czterdzieści kilo. Sam ważyłem wtedy około trzydziestu pięciu kilogramów, więc mogłem ukraść tylko mniejszą pokrywę. Pewnej nocy przyczałem się przy jednej z głównych ulic, poczekałem, aż opustoszała, wbiegłem na jezdnię i pochyliłem się nad pokrywą studzienki. Wsunąwszy palce w małe otwory w pokrywie, podniosłem ją i poturlałem w krzaki przy drodze.

Ale co teraz miałem z nią zrobić?

Powodem, dla którego w Hoeryöngu pozostały jeszcze jakiegokolwiek pokrywy studzienek, było to, że wszystkie stanowiły własność państwową, a za kradzież chociaż jednej z nich groziła kara śmierci w publicznej egzekucji. (Poza tym były niewiele warte, więc mało który złodziej by się na nie połasił). Gdyby policjanci złapali kogoś na kradzieży czyichś warzyw, mogliby go pobić za to, że nie dał im łapówki, ale za kradzież mienia państwowego groziło spotkanie z plutonem egzekucyjnym.

Skupy złomu nie kupowały pokryw studzienek, ich właścicielom za handel nimi również groziła kara śmierci. Trzeba było potłuc pokrywę na kawałki i dopiero wtedy spróbować ją sprzedać. Kiedy więc już ją zdobyłem, potoczyłem ją w boczną uliczkę, gdzie nie było żadnych ludzi, podniosłem ją tak wysoko, jak mogłem, i upuściłem na ziemię, gdzie rozprysła się na kilkadziesiąt kawałków. Pokrywy robiono z żelaza bardzo kiepskiej jakości, tak że nie wytrzymały, gdy rzucało się nimi pionowo. Następnie połupałem większe odłamki kamieniem na kawałki wielkości piłeczki pingpongowej. Zebrałem je wszystkie do płóciennego worka i poszedłem do punktu skupu.

Mężczyzna w skupie starannie obejrzał mój towar i popatrzył na mnie podejrzliwie. Wiedziałem, że zdał sobie sprawę z tego, że żelazo pochodzi z pokrywy studzienki, ale zawsze mógł wymieszać kawałki ode mnie z metalem z innych źródeł. Zapłacił mi dwieście pięćdziesiąt wonów, niecałą połowę wartości samego żelaza. Natychmiast pobiegłem na targ i kupiłem sobie kilo makaronu. Jedzenia starczyło mi na cały dzień.

Byłem szczęśliwy. Następnej nocy ukradłem kolejną pokrywę i rozbiłem ją na kawałki w nikłej poświacie księżyca.

Z biegiem czasu rozwinałem swoje umiejętności, kradnąc cokolwiek, co pomogłoby mi przetrwać. Papryki były drogie, a na targu można było wymienić je na kaszę lub makaron. Kiedy udawało mi się wypełnić koszulę

tymi lśnącymi zielonymi warzywami, uznawałem noc za udaną. Ale kradzież papryki jest także bardziej niebezpieczna, ponieważ rolnicy pilnują swoich upraw bardzo uważnie, a rośliny sięgają zaledwie do pasa. Nie można wbiec w pole i zacząć zrywać papryki tak, jak robi się to z kukurydzą. Każdy, kto stoi na straży, łatwo dostrzeże złodzieja w poświacie księżyca, złapie go i złoży mu skórę. Nawet jeśli nikt nie zauważy cię od razu, cały czas musisz uważać, żeby przy zrywaniu papryki nie zatrzęsł się cały krzaczek, zdradzając twoją obecność. Trzeba działać cicho i po kryjomu.

Należy wczłogać się na pole, ani razu nie zadzierając głowy ponad liście roślin. Człogasz się między rzędami krzaczków tak długo, aż przestaniesz być widoczny od strony drogi. Zupełnie po ciemku – jeśli nie świeci księżyc – macasz ostrożnie w poszukiwaniu dojrzałej papryki: odcinanie liści byłoby stratą czasu. Kiedy dotkniesz chłodnej, gładkiej skórki, szukasz ogonka. Jednym szybkim ruchem nadgarstka ukrećasz owoc, który spada ci w dłoń. Jeśli robi się to sprawnie, człowiek obserwujący wierzchołki roślin nie dostrzeże nawet najlżejszego poruszenia.

Kradzież kukurydzy na polu też nie jest łatwa. Miejsca pod koszulą lub w torbie jest mało, a kolba kukurydzy okryta wierzchnimi liśćmi jest pękata. Właściwie złodziejowi zależy na samej kolbie, ale obieranie jej jest hałaśliwe. Trzeba więc przykucnąć, odciąć kolbę, a potem nożykiem przyciąć ją u nasady, żeby liście opadły na ziemię. Ale stosowanie tej techniki ma swoją cenę: na targu wiedzą, że obrana kolba kukurydzy pochodzi z kradzieży, a poza tym jest ona mniej warta, ponieważ szybciej wysycha i traci słodycz. Kiedy jest się samotnie na polu kukurydzy, trzeba myśleć po kupiecku. Wszyscy złodzieje są w głębi duszy kapitalistami.

Zacząłem sypiać za dnia w porzuconych składach kolejowych i kraść po nocy. Hoeryöng to nieduże miasto. Po kilku tygodniach wszyscy wiedzieli, że stałem się złodziejem. Łatwo można było to wydedukować z ubrania, jakie nosiłem, z faktu, że nie mam rodziny, i z tego, że nadal żyję. Bez rodziny można było przetrwać tylko z pomocą zamożnych krewnych lub dzięki kradzieży. Innych możliwości właściwie nie było, ponieważ z samej żebraniny mogło się utrzymać przy życiu tylko kilku *Kkodzebi*.

*

Pewnego dnia postanowiłem zobaczyć, co u Kim Ila, który był moim najlepszym przyjacielem w czasach, gdy mieszkałem w Manyangu. Kiedy człowiek jest sam jak palec, w sercu odczuwa wielką pustkę i nachodzą go nagłe myśli: Ciekawe, co się dzieje z tym i tym. Przypuszczam, że odwiedzając starych znajomych, chciałem przekonać sam siebie, że wciąż jestem osobą, kimś z życiorysem, swoją własną historią. Moje życie zmieniło się tak drastycznie, że czasem musiałem dotknąć swoich wspomnień, by sprawdzić, czy są rzeczywiste.

Wiedziałem, gdzie szukać Kim Ila: w restauracji prowadzonej przez jego matkę. Była to jedyna w okolicy knajpa, gdzie serwowano koreańskie potrawy z grilla, która wciąż cieszyła się powodzeniem. Poszedłem tam, jakiś kilometr od centrum, i rzeczywiście – był tam, wysoki i władczy, oparty plecami o wybudowaną z pustaków fasadę restauracji.

Nie widziałem się z Kim Ilem od kilku lat. Wyglądało na to, że się ucieszył na mój widok, i zaczęliśmy rozmawiać o starych czasach i dawnych znajomych. Było miło. Poczułem, jak pustka w moim sercu się wypełnia. Zawsze, gdy spotykaliśmy się jako chłopcy, Kim Il zapraszał mnie do restauracji, żebym przywitał się z jego matką i żebyśmy coś zjedli. Ale teraz mijały kolejne minuty, a on wciąż mnie nie zapraszał.

Po dziesięciu minutach wyciągnąłem papierosa.

– Masz ogień?

Wiedziałem, że Kim Il nie pali. Był dobrym chłopcem. Ale miałem nadzieję, że skoro nie ma zapalniczki, zaprosi mnie do restauracji, gdzie zawsze jakiś ogień się znajdzie, a przy okazji będę mógł przywitać się z jego mamą i może także coś przekąsić. Był to oczywisty podstęp z mojej strony, ale nie miałem wyboru.

Kim Il popatrzył na mnie.

– Zaczekaj tu – powiedział i wszedł do lokalu.

Ale z ciebie spryciarz, Kim Ilu, pomyślałem. Tak dobrze poradził sobie z sytuacją! Byłem znanym złodziejem, więc nie dopuścił, żebym wszedł do restauracji, lecz zachował się tak, by jednocześnie mnie nie urazić. Rozumiałem go: Kto wie, jak nisko upadłem, odkąd widzieliśmy się ostatnim razem? Może byłem na tyle zdesperowany, by świsnąć coś wartościowego z restauracji jego matki – elegancką zapalniczkę lub leżące na stole pieniądze za czyjś posiłek. Szanowałem Kim Ila za to, że zachował się po ludzku i rozsądnie. Prawdopodobieństwo, że rzeczywiście bym coś ukradł, było

bardzo niskie – ale nie mogę powiedzieć, że zerowe, bo jak ktoś staje się złodziejem, to trudno mu się powstrzymać. Tak czy inaczej, Kim Il wolał nie ryzykować.

Ogarnął mnie smutek, zrobiło mi się żal, że w ogóle odwiedziłem starego kumpla. Czemu nasze życie tak bardzo się zmieniło? Czemu nie mogliśmy wciąż się przyjaźnić?

Ale życie Kim Ila nie zmieniło się wcale, uświadomiłem sobie z goryczą. W tamtej chwili nienawidziłem świata za to, co stało się ze mną i moją rodziną.

Kim Il wrócił z zapalniczką, pochylił się do przodu i podał mi ogień. Kiwnąłem w podziękę głową. Wiedziałem, że nigdy więcej go nie zobaczę. Nasze spotkanie okazało się bardziej bolesne, niż się spodziewałem.

Poczułem, jak moje serce wysycha, kurczy się i twardnieje. Czy przyjaźń to rzeczywiście nic? – zastanawiałem się. Czy już nigdy nie będę miał żadnego kumpla?

Rozdział 30

Policji się nie bałem. Funkcjonariusze zwykle olewali *Kkodżebi*. A kiedy nas nie ignorowali, wręcz pomagali nam kraść. Przestępcy dawali miejscowemu komendantowi karton papierosów albo trochę gotówki za to, że ich nie aresztował. Więc policjantom zależało wręcz na zawarciu znajomości ze złodziejami dobrymi w swoim fachu.

Nie, najbardziej bałem się Saro-cheongu.

Saro-cheong to Północnokoreański Wydział do spraw Młodzieży, który zajmował się młodocianymi w wieku od czternastu do dwudziestu ośmiu lat – ich opieką socjalną, edukacją szkolną i zachowaniem. W każdym dużym mieście w kraju stał duży gmach, zwykle z cegły, wysoki na cztery czy pięć pięter. Była to siedziba Saro-cheongu. Nawet gdy w wieku osiemnastu lat szło się do wojska, nadal „należało się” do tej instytucji, która po prostu wypożyczała armii młodego człowieka na określony czas. Saro-cheong był prawdziwym panem młodych ludzi.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką katastrofą byli dla urzędników Saro-cheongu *Kkodżebi*. Wydział miał za zadanie czuwać nad młodzieżą narodu i dbać o to, by jego podopieczni wyrosli na dobrych, lojalnych obywateli. Ale na ulicach miast znajdowały się tysiące młodych ludzi, którzy nie mieli rodziny ani pracy, nie pałali miłością do swojej socjalistycznej ojczyzny ani do Saro-cheongu. Dla tej instytucji byliśmy brudną, złodziejską obrazą.

Raz na jakiś czas urzędnicy Saro-cheongu robili obławę na nas, sieroty. Oczyszczali ulice z *Kkodżebi* i zaganiali nas do opuszczonych bloków mieszkalnych, gdzie nas karmili i pilnowali.

Można by pomyśleć, że było to wybawienie. Dach nad głową i jedzenie za darmo! Ale posiłki w ośrodkach Saro-cheongu były okropne: wodnista zupa lub robaczywa kasza, a porcje jednego i drugiego zawsze za małe. Wielokrotnie dzieciom nie dawano do jedzenia dość, by przeżyły, i zamykano je w pomieszczeniach z oknami zabitymi deskami, gdzie powoli umierały. Nie wolno było opuścić ośrodka i pójść na targ, żeby kupić coś dodatkowego do jedzenia. Można było spożyć tylko tyle kalorii, ile dał Saro-cheong. Organizacja powołana rzekomo przez władze do ocalenia młodzieży w rzeczywistości zmuszała do głodowania. Chodziło tylko o to, żeby

Kkodzebi zeszli wszystkim z oczu i wyzdychali.

Na ulicy miało się przynajmniej jakąś szansę na przeżycie. Kiedy więc widzieliśmy urzędnika Saro-cheongu, braliśmy nogi za pas.

Innym elementem programu wydziału do spraw młodzieży było posyłanie nas do zwyczajnych szkół. Tego bezdomne sieroty nie lubiły jeszcze bardziej niż podłego żarcia. Kiedy oficjalnie stajesz się *Kkodzebi*, to znaczy, że wylądowałeś na samym dnie. Twoje ubranie jest złachmanione i cuchnące, twarz nieumyta, włosy brudne i skołtunione, przetykane gdzieniegdzie gałązkami i źdźbłami trawy. Gdyby ktoś taki wszedł do szkoły, normalne dzieciaki potraktowałyby go jak kosmitę.

Wiedziałem o tym, bo gdy byłem w czwartej klasie, zanim ojciec poważnie się rozchorował, do szkoły przyszedł jeden *Kkodzebi*. Traktowaliśmy go okropnie. Nikt z nim nie rozmawiał. Nikt nie zapraszał go do zabawy. Najgorsze były dla niego zawody sportowe. Uczniowie czekali na te imprezy cały rok, można było brać udział w rozmaitych wyścigach, grach i zabawach. Zakładało się ubiór najbardziej zbliżony do stroju sportowego, na jaki było danego dzieciaka stać; północnokoreańskie matki oszczędzały cały rok po to, by odłożyć trochę grosza na w miarę porządne ubranie na te ważne sportowo i towarzysko okazje. Mamy przygotowywały też lub kupowały w sklepie smakołyki dla swoich pociech, aby te mogły zanieść je do szkoły i poczęstować koleżanki i kolegów.

Mały *Kkodzebi* zjawił się na pierwszych zawodach w swoich zwykłych łachmanach. Nie miał żadnych przekąsek, którymi mógłby kogokolwiek poczęstować, więc każde z nas, pozostałych dzieci, musiało nałożyć mu na talerz po łyżeczce własnego jedzenia. Chłopak wpatrywał się w ziemię, podczas gdy jego talerz wędrował po klasie, a my niechętnie dzieliliśmy się z nim swoimi smakołykami. Może wydaje się, że to nic takiego, ale większość dzieci w Korei Północnej wolałaby raczej umrzeć z głodu, niż doświadczyć takiego upokorzenia.

Wiedzieliśmy, że nasze życie to katastrofa, ale nie chcieliśmy, żeby się nad nami litowano.

Saro-cheong w Hoeryöngu nie działał z czystej dobroci serca. Jego „humanitarna” misja była pretekstem dla znacznie mniej niewinnej działalności: sprzedaży taniej siły roboczej. Jego urzędnicy zarabiali na boku, wykorzystując darmową pracę – naszą darmową pracę.

Jeżeli ktoś był za stary, by iść do szkoły, lub nawet gdy był jeszcze

w wieku szkolnym, kierownictwo domu Saro-cheongu wysyłało młodego bezdomnego na roboty. Czasami praca polegała na dokonywaniu rozmaitych napraw w siedzibie wydziału. (Jeśli kiedykolwiek zdarzy wam się zobaczyć gmach Saro-cheongu w Hoeryŏngu, wygląd jego zewnętrznych murów to w jakiejś części dzieło moich rąk. Pewnego razu przez wiele dni nosiłem beton i pomagałem zalepiać dziury w fasadzie tego koszmarnego budynku). Najczęściej jednak szło się pracować dla znajomego lub krewnego dyrektora miejscowego Saro-cheongu. Zamiast zatrudnić prawdziwych robotników, którzy oczekują prawdziwego wynagrodzenia, znajomy mówił komuś z kierownictwa wydziału: „Przyślij mi dziesięciu *Kkodźebi*”. Tydzień później to urzędnik, a nie *Kkodźebi*, otrzymuje zapłatę, podczas gdy znajomy ma przy domu nową dobudówkę.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy wyzyskiwani, lecz właściwie pojęcie „wyzysku” w Korei Północnej nie istniało. Tak po prostu urządzony był świat. Jeżeli ktoś miał pecha i wpadł podczas łapanki Saro-cheongu, to wolał pracować dla takiego „znajomego” szefa. Kiedy szło się do szkoły lub do pracy w fabryce państwowej, to zawsze w dużej grupie i pod nadzorem pięciu lub sześciu strażników. Ucieczka graniczyła z cudem. Ale członków małego, pracującego na czarno oddziału pilnował zazwyczaj tylko jeden człowiek. Szanse ucieczki stawały się znacznie większe. A gdybyś postanowił jednak popracować, posiłki podawane podczas robót na czarno były znacznie lepsze. Można było dostać nawet pełny posiłek: kawałek mięsa, trochę ryżu i jakąś jarzynę, w zależności od tego, jak zamożny i hojny okazywał się pracodawca. Państwowy wikt zawsze był taki sam: pół garści makaronu kukurydzianego lub cienka zupina, która w trzech czwartych składała się z wody.

Chętnie więc padaliśmy ofiarą wyzysku.

Czasami nasze kwatery znajdowały się na górnych piętrach starych hoteli, które Saro-cheong wynajmował, aby umieścić tam bezdomne dzieci. Opowiadano mi, że *Kkodźebi* często próbowali uciekać, spuszczać się z okien po pozwiązanych prześcieradłach. Wiem o chłopaku, który uciekając, wyskoczył z wysoko położonego okna i połamał obie nogi, a słyszałem także o chłopcach i dziewczynach, którzy ponieśli śmierć podczas prób ucieczki z wyższych pięter. Opowieści te tym bardziej przekonywały nas, ulicznych *Kkodźebi*, do tego, żeby unikać ośrodków Saro-cheongu za wszelką cenę.

*

Trzeciej czy czwartej nocy, odkąd zacząłem kraść pokrywy studzienek kanalizacyjnych, czaiłem się przy drodze na obrzeżach miasta, czekając, aż ostatni przechodnie sobie pójdą, żebym mógł ukraść pokrywę, którą obserwowałem już od kilku godzin. Kiszki grały mi marsza tak głośno, jakby w brzuchu przetaczały mi się gromy. Byłem zniecierpliwiony, ale myśl o plutonie egzekucyjnym studziła mój zapał. Na niebie jaśniał półksiężyc.

Wreszcie ulica opustoszała: ani po jednej stronie, ani po drugiej nie było żywego ducha. Wyłoniłem się z mroku, udając, że chcę przejść przez jezdnię. Wtedy właśnie w oddali dostrzegłem jakiś kształt. Była to grupka młokosów, którzy nie maszerowali do domu, tylko wyraźnie wałęsali się po mieście tak jak ja. Ścisnęło mnie w gardle. To mi się nie podobało. Ci chłopcy wyglądali tak jak ja. Jak złodzieje. Bandyty. Normalne dzieciaki pod opieką rodziców nie szwendałyby się po ulicach o pierwszej w nocy.

Tamci donikąd się nie wybierali, a żołądek burczał mi z głodu. Postanowiłem ich przeczekać. Po kilku minutach jeden z nich zauważył mnie i powiedział coś do pozostałych. Wszyscy ruszyli w moim kierunku.

Umorusane twarze, dziurawe koszule. To była na pewno jakaś banda. Wiedziałem, że poproszą mnie o szluga, a ja nie miałem ani jednego. Co oznaczało, że prawdopodobnie mnie pobiją albo ukradną mi buty. Problem polegał na tym, że dla głodnego bezdomnego pobicie jest nie tylko upokarzające, ale i niebezpieczne. Jedna złamana kość może uniemożliwić kradzieże na cały tydzień, a to mnóstwo czasu na to, by się zagłodzić.

Podeszli bliżej. Puściłem pokrywę studzienki, która opadła z hukiem na swoje miejsce. Wyprostowałem się, otrzepując ręce z błota.

Jeden niski, jeden wysoki i jeden z głupkowatą miną. Ich oczy były zimne i pogardliwe.

– Ej, bracie, masz szluga? – zapytał jeden z nich.

– Niestety nie – odparłem.

– Nie masz papierosa? – Zbliżyli się jeszcze bardziej. – Czy nie chcesz dać?

– Nie mam.

Cisza. W takich sytuacjach obowiązywał określony scenariusz, prawie tak, jakby nasze kwestie zostały zapisane w jakimś podręczniku dla bandytów. Nie mogłem uciec. Czekałem, aż dosięgnie mnie pierwszy cios.

Ich miny zrobiły się bardziej harde. Ale gdy obserwowałem tego wysokiego, coś mnie w nim uderzyło. Nie wyglądał znajomo, ale jego głos nie dawał mi spokoju.

– Hyo Sung? – odezwałem się w końcu. – To ty?

Zdziwił się, lecz po chwili jego twarz przybrała przyjazny wyraz.

– Maczek?

– Tak! – powiedziałem.

To był mój przyjaciel z dzieciństwa, ten spryciarz z Osiedla Ósmego Lipca.

Ulżyło mi. Pozostali dwaj patrzyli na nas, zastanawiając się, co jest grane.

Hyo Sung wydawał się zupełnie niepodobny do tego, jak go zapamiętałem z dzieciństwa. Włosy miał długie, kręcone i rozczochrane, wyglądały, jakby nie mył ich ani nie obcinał od miesięcy. Ubranie, które nosił, było takie jak moje: w koszuli dziury na palec, brzegi nogawek wystrzępione i przetarte od szorowania nimi po ziemi. Ale najwyraźniej robił w życiu coś innego niż ja. Nigdy nie widziałem go zebrzącego na targu ani nocującego czy to na dworcu kolejowym, czy gdziekolwiek indziej. Więc przynajmniej miał jakąś metę.

Zapytał, co robię, więc powiedziałem, że kradnę pokrywy studzienek.

– Pocięło cię czy jak? – odparł.

Zmarszczyłem brwi. Myślałem, że odnalazłem przyjaciela, a tymczasem on wyzywał mnie w obecności swoich kumpli.

– Wiem, wiem.

– Dostaniesz za to czapę – powiedział głośno Hyo Sung. Nie denerwowało go to, że kradnę, tylko że robię to tak głupio.

– Nie mam wyboru!

Hyo Sung nic nie powiedział, tylko popatrzył na mnie i pokiwał głową. Staliśmy na ulicy, patrząc jeden na drugiego, podczas gdy pozostali gapili się na nas z rozdziawionymi ustami.

– To głupota, Maczku – odezwał się wreszcie. – Ryzykujesz życie.

– Co innego mi pozostało, Hyo Sung?

Wzruszył ramionami.

– Możesz przyłączyć się do nas.

Nie wiedziałem, kim są ci „my”, lecz w skrytości ducha cieszyłem się na myśl o przynależności do grupy kumpli. Popatrzyłem na pozostałych dwóch. Ich miny nadal były niechętne, ale nie spierali się z Hyo Sungiem. Najwyraźniej mój pomysł na kradzież pokryw studzienek wcale im nie

zaimponował, ale dali swojemu kumplowi podjąć decyzję.

I tak właśnie stałem się członkiem Stowarzyszenia Redystrybucji Dóbr w Hoeryŏngu.

Rozdział 31

Stowarzyszenie było bractwem złodziei. Jego członkowie kradli najpierw na własną rękę, głównie od ludzi, którzy uchodzili w Hoeryöngu za bogatych – to znaczy od tych, którzy mieli więcej żywności, niż potrzebowali do przeżycia. To jednak wiązało się z pewnym problemem. Do domu biedaka można było się włamać właściwie gołymi rękami. W zamożnych domach były lepsze zamki, wyższe mury, większe psy. Często do włamania się do kogoś, kto posiadał rzeczy warte kradzieży, potrzebna była pomoc. No więc połączyli we trzech swoje siły pod szlachetnym sztandarem „dążenia do równowagi”. Mówili sobie, że przyczyniają się do poprawy życia w mieście poprzez zabieranie bogatym i dawanie biednym – samym sobie.

Głód zmienił normalnych ludzi w bandytów. Wkrótce dowiedziałem się, że do stowarzyszenia należy nawet matka Hyo Sunga.

Pomyślałem o propozycji Hyo Sunga. Trochę bałem się tego, z czym się wiązała. Może stowarzyszenie angażowało się w coś nagannego: porywanie bezdomnych dzieci lub haracze i wymuszenia. Skąd mogłem to wiedzieć? Kiedy spotykało się ludzi, których nie widziało się od dawna, można było mieć pewność, że głód zepsuł im charakter. Jestem pewien, że tak właśnie myślał sobie Kim Il, kiedy mnie zobaczył. Po prostu założył, że jestem przestępcą.

Dlatego się wahałem. Ale jaki właściwie miałem wybór? Hyo Sung miał rację. Byłem pewnie jedną czy dwie pokrywy studzienek od rozstrzelania.

– Dobra – powiedziałem.

Hyo Sung pokiwał głową i cały czas gadając, poszliśmy w stronę miasta.

Trzej członkowie stowarzyszenia zaprowadzili mnie do mieszkania, które zajmowali. Od samych drzwi przywitałem się z matką Hyo Sunga. Miała metr dwadzieścia wzrostu i gadała z zawrotną prędkością, tak jak ją pamiętałem. Nie zdziwiłem się zbytnio, że matkuje teraz szajce złodziejasków. Bo niby co innego mogłaby robić?

Kiedy siedliśmy do zupy, Hyo Sung opowiedział mi swoją historię. Jego ojciec, ten olbrzym, który był przyjacielem naszej rodziny na Osiedlu Ósmego Lipca, zmarł z głodu tak samo jak mój. Nasze biografie łączyły też inne podobieństwa. O dziwo, jego siostra też trafiła do Chin w tajemniczych

okolicznościach, o które wolałem się nie dopytywać. Od tamtej pory słuch po niej zaginał. Opowiedziałem mu o Bong Sook, a on wyraźnie się zasmucił.

Hyo Sung przedstawił mi pozostałych członków szajki. Był więc Moon Ho, który miał z osiemnaście, dziewiętnaście lat, niższy wzrostem niż ja, o dużych, szeroko rozstawionych oczach. Koszula na jego grzbiecie miała więcej dziur niż materiału, twarz była umorusana. Ale natychmiast zauważyłem w wyglądzie Moon Ho coś wyjątkowego. Bił od niego spokój człowieka, który wie, co robi. Wyczułem, że to on jest mózgiem organizacji. Gość ma łeb na karku, pomyślałem.

Drugi chłopak nazywał się Dae Ho. Został porzucony jako pięciolatek i o mało nie umarł z zimna pierwszej wiosny, gdy sypiał na ulicach jako *Kkodźebi*. Miał kędzierzawe włosy i podobnie jak pozostali brudną twarz, na której rysowała się zwykle przyjazna, lecz głupawa mina. Często się z niego nabijaliśmy i nigdy się nie wtrącał, gdy reszta się o coś spierała.

Dogadywałem się z Moon Ho całkiem nieźle. Czułem, że może mnie czegoś nauczyć i że podróżował w życiu więcej niż Hyo Sung. Powiedział mi, że został porzucony w młodym wieku – jako dziesięcio- czy jedenastolatek – i uświadomiłem sobie, że sporo nas łączy. Hyo Sung zawsze miał matkę, dlatego nie był tak twardy, jak Moon Ho czy ja. My dwaj musieliśmy radzić sobie sami, bo nikt inny by nam nie pomógł.

Następnego dnia poszliśmy na targ, gdzie rządziła grupa starszych nastolatków zwanych „gangsterską bracią”. To oni rozdawali tam karty. Decydowali, kto może awansować z żebraka na kieszonkowca i kto może kraść na jakim terenie. Niektóre sieroty miały pozwolenie na kradzieże tylko na targu warzywnym. Inne mogły pracować tylko w sektorze, gdzie sprzedawano artykuły gospodarstwa domowego. Jeżeli ktoś działał poza swoim rewirem, mogło mu to ujść płazem raz czy dwa. Zawsze można było powiedzieć: „Śledziłem frajera, a on przeszedł z jednego rewiru do drugiego. Co niby miałem robić? Opuścić go sobie tylko dlatego, że zachciało mu się coś zjeść?”. Taka wymówka mogła się sprawdzić kilka razy, ale gdy komuś zdarzało się robić to zbyt często, bracia gangsterzy dawali mu wycisk na oczach wszystkich.

W Hoeryŏngu pozycja „brata gangstera” oznaczała sam szczyt kariery. Każdy z nich zasłużył na swoje miejsce: czy to dzięki pobiciu trzech przeciwników naraz, czy też nie poddając się w walce, mimo że dostawali potężny łomot. Pierwsze znaczyło, że ktoś jest wyjątkowo silny, drugie, że

jest uparty i wytrwały. Jedno i drugie traktowano jako wielką zaletę.

Kiedy poszliśmy na targ zrobić zakupy, bracia gangsterzy zobaczyli Moon Ho i kiwnęli mu z szacunkiem głowami. Zauważyłem, że bandyci, którzy zawsze zachowywali się tak agresywnie, unikają wszelkiej konfrontacji z Moon Ho. Po raz pierwszy widziałem coś takiego.

– Czemu tak go unikają? – spytałem Hyo Sunga.

– Widziałeś kiedyś, jak Moon Ho się bije?

Pokręciłem głową.

– Jest niesamowicie szybki – powiedział. – I naprawdę szajbnięty.

Spędziłem na targu dużo czasu, ale nigdy nie widziałem Moon Ho w akcji. Może zresztą nigdy się nie bił. Może swoją reputację zawdzięczał temu, jak wyglądał. To jest dopiero oznaka siły, pomyślałem: zasłużyć sobie na szacunek samym wyrazem twarzy.

*

Zaczęliśmy we czterech chodzić nocami na miasto i kraść. Otwieraliśmy wytrychami drzwi do mieszkań i zabieraliśmy wszystko, co się dało: naczynia kuchenne, żywność i drewno na opał. Gdy nie mogliśmy otworzyć zamka wytrychem, po prostu go rozbijaliśmy. Pierwszej nocy przeskoczyliśmy przez płot i ogołociliśmy pole obsadzone dojrzałymi cebulami. Dae Ho stał na czatach, podczas gdy reszta z nas wrywała cebule z ziemi i pakowała je do worka. Wszystkie worki napełniliśmy w piętnaście minut. Natychmiast spostrzegłem zalety przynależności do stowarzyszenia. Gdyby właściciel wybiegł z domu, ryzyko złapania wynosiło dla każdego z nas tylko dwadzieścia pięć procent.

Po napełnieniu toreb przeskoczyliśmy przez płot i ruszyliśmy z powrotem do mieszkania na piątym piętrze, gdzie mieszkaliśmy. Tam poznałem kierownika stowarzyszenia, chudego, eleganckiego mężczyznę po trzydziestce, Yoon Chula, który był poza miastem w dniu, gdy dołączyłem do grupy. Wszyscy przekazywali swój łup Yoon Chulowi, a on w zamian dawał nam jedzenie, metę i alkohol.

Hyo Sung przedstawił Yoon Chulowi moje kwalifikacje: znałem mnóstwo ludzi na targu, byłem duży na swój wiek i przetrwałem na ulicy dwa lata. Miałem za sobą również sześć klas szkoły podstawowej, czyli więcej niż

większość sierot. W sumie byłem więc dobrym nabytkiem. Moje kwalifikacje i słowo Hyo Sunga wystarczyły, by Yoon Chul przyjął mnie do stowarzyszenia.

Każdy dzień spędzaliśmy w mieszkaniu, śpiewając piosenki i pijąc. Różnieliśmy ciągle w karty, śmialiśmy się i pokrzykiwaliśmy. Przegrany musiał wyjść i kupić północnokoreański bimber, gorzki i mocny jak diabli. Rany, jakie to było ohydztwo! Nigdy wcześniej specjalnie nie piłem, ale w stowarzyszeniu był to swego rodzaju rytuał przejścia. Kiedy Yoon Chul podawał ci kieliszek, trzeba było wypić go duszkiem. Kiedy próbowało się sączyć alkohol małymi łyżkami, szef napełniał kieliszek znowu po same brzegi i dawał ci go z uśmiechem. W złodziejskim fachu trzeba było być mężczyzną.

Musieliśmy uważać na trzy grupy ludzi: właścicieli domów, które okradaliśmy, policjantów i żołnierzy. Złodzieje z dużymi pieniędzmi (inaczej niż my) mogli przekupić policjantów, ale z żołnierzami było inaczej. Jako mały chłopiec marzyłem o tym, żeby zostać żołnierzem, i serio zastanawiałem się nad wstąpieniem do wojska, póki nie uświadomiłem sobie, że przy takiej rodzinie, jaką miałem – z siostrą, która zaginęła w Chinach, i matką znaną z parania się przemytem – nigdy nie zdołałbym zostać oficerem i dobrze zarabiać. Dziecinne marzenie o tym, że zostanę szpiegiem i będę walczył przeciwko Jankesom, legło w gruzach, pozostawiając po sobie nieokreślony smutek.

Od tamtej pory jednak reputacja wojsk Korei Północnej, tak kiedyś dobra, coraz bardziej się psuła. Znałem żołnierzy przydzielonych do służby w biednych wiejskich regionach kraju, którzy byli niedożywieni i słabi (podczas gdy ci w Pjongjangu i przy granicy z Chinami żyli często bardzo dostatnio). Było to dla mnie wstrząsające, bo wychowałem się, wierząc w slogan wypisany na betonowych tablicach: „Żołnierze najpierw!”. Teraz słyszałem historie o oddziałach złożonych z żołnierzy o wybałuszonych oczach i zapadniętych policzkach: mimo że rząd przestał ich karmić, nadal musieli maszerować i spalać kalorie tak jak w okresie dawnej chwały.

Po zwolnieniu ze służby żołnierze stawali się często rabusiami i napadali na zwykłych ludzi. Nikt nie mógł na to nic poradzić. Widywało się ich w górach lub na drogach z miasta do miasta. Urządzali blokady dróg i pobierali myto od wszystkich przejezdnych. Nieszczęśników, którzy nie mieli pieniędzy, bili kolbami karabinów. Przestaliśmy chodzić w góry po zmroku, bo nikt nie

chciał chodzić samotnie drogami. Często ludzie tam ginęli.

Tacy żołnierze mieli zwykle po osiemnaście, dziewiętnaście lat, a kołnierze mundurów wisały im luźno wokół chudych karków. W normalnym życiu byliby załośni – mógłbym rozwalić takiego gościa na miazgę. Ale bójka z żołnierzem nigdy nie kończy sprawy. Żołnierz pokonany w walce wręcz mścił się z pomocą całego swojego oddziału na całej rodzinie przeciwnika. Kiedyś noszenie oliwkowozielonego munduru z jaskrawoczerwonym kołnierzem uważano za zaszczyt. Ale podczas głodu mundury zyskały mniej pochlebną nazwę: „tygrysie skóry”.

Żołnierze byli nienasyceńi. Nauczyliśmy się ich unikać. Ale przetrwanie w Korei Północnej na wolności to niełatwe zadanie.

Rozdział 32

Odkąd stałem się bezdomny, byłem teraz po raz pierwszy szczęśliwy. W zależności od tego, jak dobrze poszło nam danego dnia, miałem co zjeść i czego się napić. Co noc miałem również dach nad głową, a także towarzystwo przyjaciela z dzieciństwa, Hyo Sunga, łbskiego Moon Ho, który mógł mnie nauczyć tajników złodziejskiego fachu, i Yoon Chula, który nauczył mnie czegoś jeszcze innego: jak być optymistą. „Jeśli będziesz wystarczająco silny mentalnie – mówił mi – będziesz w stanie przetrwać wszystko”. Miałem więcej szczęścia niż dziewięćdziesiąt pięć procent *Kkodźebi*. Nie mierzyłem w życiu ani trochę wyżej i nigdy nie myślałem o opuszczeniu Korei Północnej.

Przynależność do stowarzyszenia była jak praca na pełny etat, z wyznaczonymi godzinami. Dzień zaczynał się około ósmej wieczorem. Do wpół do dziewiątej musieliśmy zająć pozycje przy domu, który wybraliśmy dzień wcześniej. O tej porze telewizja północnokoreańska puszczała filmy fabularne i rodzime wyciskacze łez, które oglądał cały kraj. Filmy i seriale stały się jeszcze ważniejsze dla tych, którym wciąż zagrażał głód. Kiedy cały dzień spędzało się na poszukiwaniu jedzenia, z przygiętym karkiem gdzieś w górach lub na klęczkach, żebrząc na jakimś targowisku, tylko o tej jednej porze można było usiąść i trochę odpocząć. Naprawdę cały naród „wylączał się” za kwadrans dziewiąta na co najmniej godzinę. Gdyby ktoś chciał najechać Koreę Północną, powinien zaatakować właśnie o tej porze, ponieważ połowa ludności byłaby wtedy u sąsiadów z telewizorem i wszyscy czekali na początek filmu.

Trzeciej nocy, gdy poszedłem kraść z kumplami ze stowarzyszenia, poczekaliśmy na muzykę na początku opery mydlanej, po czym włamaliśmy się do czyjegoś mieszkania w bloku harmonijkowym. Zamek ustąpił po kilku mocnych uderzeniach i weszliśmy do środka. Znaleźliśmy torbę surowego ryżu i kilka drobnych warzyw. Było tam też trochę świeżo ugotowanego ryżu. Może przygotowano go na kolację nazajutrz, ale tak czy inaczej, rzuciliśmy się na niego jak wilki. Wziąłem łyżkę i pochyliłem się nad swoim talerzem – byliśmy tak pewni, że mieszkańcy jeszcze długo nie wrócą, że postanowiliśmy zjeść ryż na miejscu – ale gdy tylko zagłębiłem łyżkę

w jedzeniu, ręka zaczęła mi się trząść. Rozprostowałem i rozluźniłem palce, a później znów chwyciłem łyżkę. Nic z tego. Ręka dygotała tak gwałtownie, że ryż się rozsypywał. Musiałem znowu opuścić rękę.

Pozostali przyglądali mi się i kręcili głowami. Musieli się zastanawiać, czy rzeczywiście nadają się na członka stowarzyszenia.

To przez nerwy? Pewnie tak. Nigdy wcześniej nie byłem u nikogo w domu jako złodziej. Kradzież wciąż ciepłego ryżu z czyjegoś garnka zdawała się czymś wręcz intymnym.

Wróciliśmy do bazy i przekazaliśmy wszystkie łupy Yoon Chulowi.

Z początku miałem wątpliwości co do roli, jaką odgrywał w stowarzyszeniu. Przecież siedział sobie w mieszkaniu, podczas gdy my odwalaliśmy całą brudną robotę i narażaliśmy się na aresztowanie. Jakie ryzyko on podejmował? Powoli jednak przekonałem się do niego i zacząłem go szanować. Kiedy nadszedł głód, żona zostawiła go samego z dwójką dzieci, trzyletnim synkiem i sześciolletnią córką. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Niezwykłe wydawało się raczej to, że Yoon Chul ich nie porzucił. Tak wielu *Kkodzebi* miało żyjących rodziców, którzy pewnego dnia po prostu zostawili ich na targu, bo nie byli w stanie ich wykarmić i nie chcieli patrzeć, jak umierają z głodu. Postawa Yoon Chula była inna: „Moje dzieci przeżyją, choćbym musiał robić nie wiadomo co”. Podziwiałem go za to.

Yoon Chul nigdy nie powiedział mi, czym się zajmował, zanim został hersztem złodziei. Ale był mistrzem w swoim nowym fachu. My, złodzieje, ustalaliśmy, co ukraść, ponieważ mnóstwo zależało tu od zmiennych i nieprzewidywalnych okoliczności – kto danej nocy pozostawił swój rower zabezpieczony tylko kiepskim zamkiem, na którym polu dojrzewały właśnie plony. Ale Yoon Chul dokonywał cudów przy upłynnianiu naszych łupów za dobrą cenę. Jego sieć kontaktów była niezrównana.

*

Wmawialiśmy sobie, że dzięki nam świat odzyskuje równowagę. Jeżeli miałeś za dużo dóbr, przychodziliśmy do twojego domu i uwalnialiśmy cię od tego nadmiaru. Może brzmiało to cynicznie, ale naprawdę w to wierzyliśmy. Gdybyście nazwali nas przestępcami, rzucilibyśmy się do walki

w obronie swojego honoru. Ale w rzeczywistości nasza praca nigdy nie dorównywała naszym złudzeniom, ponieważ bogacze mieli wyższe ogrodzenia i mocniejsze zamki, które skutecznie nas zniechęcały. Ostatecznie więc okradaliśmy zwyczajnych ludzi.

Raz, gdy ukradliśmy rower, poszedłem do przyjaciela mojego ojca, który pożyczał nam pieniądze, kiedy tata umierał. Pracował przy naprawie rowerów, a zawód ten był bardzo lukratywny, ponieważ środki lokomocji bardzo się liczyły, a drogi były w opłakanym stanie. Zastałem go w jego warsztacie, gdzie unosił się przyjemny zapach gumy i smaru.

– Moi koledzy ukradli rower – powiedziałem – i odpalą mi coś, jeśli uda mi się go sprzedać. Pomoże mi pan?

Nie chciałem się przyznać, że sam stałem się złodziejem.

Przyjaciel ojca popatrzył na mnie i zobaczył wstyd w moich oczach. Pokręcił głową.

– Maczku, czasy są takie, że możesz umrzeć z głodu, zamarznąć lub zostać pobity. Śmierć jest wszędzie, więc musisz być gotowy na wszystko, co pomoże ci przetrwać. Czemu też nie zaczniesz kraść?

Pokiwałem głową. Ale w głębi duszy wciąż nie czułem się z tym dobrze. Trudno mi było pozbyć się wyrzutów sumienia, które zaszczepił we mnie ojciec tyle lat temu.

Mimo troski o moje życie przyjaciel ojca zaoferował mi tylko połowę tego, ile rower był rzeczywiście wart.

Rozdział 33

W czasie pierwszych kilku tygodni mojego członkostwa w stowarzyszeniu Moon Ho i ja zaprzyjaźniliśmy się. Ciągłe rozmawialiśmy, opowiadaliśmy sobie historie o tym, jak przeżyliśmy w Hoeryŏngu. Wkrótce też zdałem sobie sprawę, że grupa nie jest tak dobrze zżyta, jak mi się wydawało. Moon Ho kopał dołki pod Yoon Chulem.

– Czemu mamy oddawać mu sto procent wszystkiego, co ukradniemy? – powiedział do Hyo Sunga i do mnie pewnego dnia, gdy po kolejnej nocy złodziejskiej pracy wracaliśmy do domu. – Powinniśmy zatrzymywać dla siebie chociaż dziesięć procent, nie? To chyba nie jest jeszcze pazerność. Chciałbym móc kupić sobie coś na ząb, może odłożyć trochę pieniędzy na nowe buty. Ale Yoon Chul bierze wszystko! Czemu tak jest?

Stowarzyszenie było podzielone. Moon Ho chciał dostawać większą dołę. Hyo Sung chciał być lojalny – w końcu jego matka zarządzała całym przedsięwzięciem.

– Daliśmy słowo – powiedział. – Yoon Chul o nas dba. Nie możemy go kantować.

Uznałem, że najlepiej będzie zachować neutralność. Byłem wciąż nowy i ceniłem sobie przyjaźń Moon Ho. Wolałem nie robić sobie wrogów. Decydujący głos należał więc do Dae Ho, który rozmarzywszy się o przekąskach, które pamiętał z dzieciństwa – o chipsach i kwaśnych cukierkach domowej roboty – wziął stronę Moon Ho.

Wkrótce raz czy dwa razy w tygodniu zaczęliśmy chodzić do sprzedawców ulicznych i kupować rozmaite smakołyki za nasze dziesięć procent. Nawet napychając sobie gębę, Hyo Sung mamrotał: „To nie w porządku”, ale się tym nie przejmowaliśmy. Pewnego dnia postanowiłem szarpnąć się i wydać całą forszę na kawałek czekolady. Miałem wtedy piętnaście lat i jeszcze nigdy nie jadłem czekolady. Kawałek był mały, wielkości mojego kciuka, zawinięty w stary papier woskowy. Zapłaciłem kobiecie dwadzieścia wonów i wrzuciłem sobie czekoladkę do ust.

– O raju – mruknąłem, przeżuwając tę pyszność. Czekolada zdawała się płynąć mi w żyłach, powlekając je warstewką ciepłej słodyczy. Miałem ochotę na jeszcze.

Yoon Chul szybko zorientował się, że coś nie gra. Nie wiem, czy Hyo Sung powiedział coś matce, ale kilka dni później Yoon Chul poklepał mnie po ramieniu.

– Muszę spotkać się ze znajomym w Manyangu. Znasz to osiedle, nie?

– Tak – powiedziałem.

– No to chodź ze mną. Fajnie będzie mieć towarzystwo.

Dzielnica Manyang mieściła się o czterdzieści pięć minut drogi piechotą od centrum, ale nie szliśmy dłużej niż pięć minut, gdy Yoon Chul zadał mi dziwne pytanie.

– Co myślisz o Moon Ho?

Mój czujnik emocji zaczął wysyłać mi sygnał alarmowy. To nie było zwyczajne pytanie. Yoon Chul był naszym szefem. Czemu nagle zaczęło go obchodzić, co jeden z jego pracowników myśli o drugim? Musiałem się mieć na baczności.

– Co masz na myśli?

– Obserwuję go od dłuższego czasu – powiedział Yoon Chul. – Jest bardzo bystry, wiesz? Ale też bardzo chytry. Myślę, że próbuje ugrać coś dla siebie.

Zrobiło się nerwowo. Gdybym wziął stronę Yoon Chula, kumple uznałyby mnie za kabła. Gdybym natomiast opowiedział się po stronie Moon Ho, Yoon Chul mógłby to uznać za zdradę i wyrzucić mnie ze stowarzyszenia. Albo gorzej.

Nie chciałem wydawać przyjaciela, więc powiedziałem po prostu:

– Jestem nowy i chcę, żeby wszystkim nam szło jak najlepiej. Niezależnie od tego, co Moon Ho kombinuje, nadal jest naszym przyjacielem. Jeżeli go wyrzucimy, to kto zajmie jego miejsce? Jeżeli robi coś za twoimi plecami, można to naprawić.

Tego właśnie Yoon Chul sam mnie nauczył. Bądź optymistą. Szukaj pozytywnych rozwiązań i patrz w przyszłość. Przyznawałem, że owszem, trochę grzeszymy. Wszyscy bierzemy trochę łupów dla siebie. Ale to nie koniec świata. Możemy to naprawić.

Yoon Chul nie powiedział nic więcej i resztę drogi do domu jego znajomego w Manyangu przeszliśmy w milczeniu. Ale widziałem, że zastanawia się nad tym, co ode mnie usłyszał. Wydaje mi się, że uszanował to, że nie nakablowałem na Moon Ho. Nie powiedziałem tego, co chciał usłyszeć.

Nigdy więcej nie próbował już rozmawiać ze mną o Moon Ho. Nauczyłem

się tamtego dnia ważnej lekcji. Nawet jeśli życie zrobiło z ciebie przestępcę, możesz być wierny sobie. Właściwie musisz być sobie wierny.

*

Przystąpienie do stowarzyszenia było najszcześniejszym dniem mojego dotychczasowego życia. Dzięki temu zyskałem dach nad głową i wiele się nauczyłem. Jedynym źródłem smutku pozostawały wspomnienia o mojej rodzinie. Kiedy po długiej nocy wracaliśmy z łupami do mieszkania, matka Hyo Sunga otaczała syna troską, oboje śmiali się i rozmawiali. Widziałem czułość, jaka ich łączy, i tęskniłem za matką jeszcze bardziej. Przed pójściem spać marzyłem o tym, że zostanę milionerem i kupię od stryjka dom w Haeju (najwspanialszy, jaki kiedykolwiek widziałem). Wynajmę detektywów, którzy znajdą matkę i siostrę, i całą rodziną zamieszkamy w tym wielkim domu. Będziemy mogli jeść, co tylko będziemy chcieli, i całymi dniami oglądać filmy z Chin. Albo matka i Bong Sook wrócą do mnie, a ja pójdę do szkoły, w nowych ubraniach i z piękną czarną torbą na książki.

Co noc zasypiałem, myśląc o Bong Sook. Kiedyś znowu będziemy razem, mówiłem sobie w duchu. Musisz ją znaleźć, Maczku.

Rozdział 34

W stowarzyszeniu zdarzały się dobre i gorsze dni. Czasami wracaliśmy do domu bez niczego do jedzenia czy do sprzedania, więc głodowaliśmy aż do następnego wieczoru. Mimo wszystko odżywiałem się lepiej niż przez wiele miesięcy wcześniej. Przybrałem trochę na wadze, z trzydziestu pięciu do prawie czterdziestu kilogramów. Ubrania leżały na mnie jak ulał, a nie wisały jak na wieszaku. Twarz mi się zaokrągliła, a żebra przestały wystawać spod skóry.

Czułem się silniejszy. Umysł pracował w skupieniu: jedzenie, sen i praca były wszystkim, o czym pozwalałem sobie myśleć, oprócz wspomnienia Bong Sook.

Moja matka wróciła do Hoeryŏngu, nie wiedziałem o tym, i zaczęła mnie szukać. Wcześniej była w Sambongu, usiłując znaleźć pośrednika, który załatwiłby jej przejście przez granicę do Chin, lecz nikt nie zgodził się na zorganizowanie jej ucieczki. Wreszcie pewnego dnia na targu wpadła na matkę Hyo Sunga i wróciła razem z nią do naszego mieszkania. Postanowiła z nami zostać, co bardzo mnie ucieszyło. W końcu mogłem ją utrzymywać i odpłacić się jej za wiele lat starań, by mnie nakarmić. Matka Hyo Sunga powitała ją z otwartymi ramionami i obie znowu się zaprzyjaźniły. Moje życie było bliskie pełni. Brakowało tylko mojej siostry.

Pewnego popołudnia wybrałem się na targ, żeby kupić sobie coś do jedzenia, zanim zacznie się praca. Kiedy wróciłem do mieszkania, matka stała w otwartych drzwiach, jej oczy były otwarte szeroko i wystraszone.

– Przyszli po chłopaków – oznajmiła mi.

Zajrzałem w głąb mieszkania. Było puste.

– Kto?

– Policja! – powiedziała rozgorączkowanym głosem. – Maczku, musimy się stąd natychmiast wynosić, bo wrócą po ciebie.

Nie mogłem w to uwierzyć. Członkowie stowarzyszenia zostali aresztowani, każdy za swoje przestępstwa. Później dowiedziałem się, że prawdopodobnie doniósł na nas jeden z sąsiadów. Bliskie sąsiedztwo tyłu *Kkodźebi* sprawiło, że bali się o własny dobytek.

Odwróciłem się i szybko wyszedłem na klatkę schodową, matka podążyła

za mną. Zbiegliśmy po schodach, serce waliło mi jak młotem. Skąd policja się dowiedziała? Popełniliśmy jakiś błąd? Czy na ulicy czyha na mnie więcej policjantów? Ale przede wszystkim zastanawiałem się, czy pozostali zeznają na policji, że był jeszcze czwarty członek stowarzyszenia – ja.

Kiedy wyszliśmy na dwór, gdzie świeciło łagodne słońce, wszystko wyglądało normalnie. Rowerzyści, piesi, kilku *Kkodzebi* w drodze na targ. Nie spostrzegłem żadnego zaczajonego policjanta. Moje serce trochę się uspokoiło. Okazało się, że Moon Ho i pozostali nie wspomnieli o mnie policji ani słowem, za co jestem im wdzięczny po dziś dzień.

Skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy w stronę głównej ulicy.

– Dokąd pójdziemy? – spytałem matkę.

Popatrzyła na mnie, a potem odwróciła wzrok.

– W pobliżu dworca kolejowego. Znam tam kogoś, kto nas przyjmie.

Ledwie rozumiałem, co do mnie mówi. „Znała” kogoś? Co to znaczyło?

Kiedy jakąś godzinę później dotarliśmy w okolice dworca, na ładne osiedle, gdzie bloki były wykładane żółtymi lub niebieskimi płytkami – matka wreszcie przyznała się, że poznała mężczyznę. I że mieli umowę: gdyby jedno znalazło się kiedyś w kłopotach, drugie mu pomoże.

Była to „miłość z konieczności”, jak to nazywaliśmy. Miłości nie było w tym wcale, ale mężczyzna był praktycznie nowym mężem mojej mamy.

Poczułem, jak moją twarz oblewa fala gorąca. Zapałem do niej nagłym gniewem. Jak mogła znaleźć sobie faceta tak szybko po śmierci ojca? Więc tak mało dla niej znaczył? Wiedziałem, że w czasach głodu ludzie łączą się w pary z wielu powodów: żeby mieć jedzenie, schronienie, opiekę. Nie wierzę, że miłość romantyczna w ogóle istniała w tym czasie w Korei Północnej. Ale czemu akurat moja matka musiała się związać z kimś nowym?

Gorycz mieszała się u mnie z cynizmem. Mam nadzieję, że znalazła sobie jakiegoś bogatego, pomyślałem, gdy szliśmy schludnie utrzymanymi uliczkami. Może mi kupić nowe ubrania i utrzymywać mnie jak prawdziwy ojczym. Maszerowałem przed siebie, kipiąc wewnątrz ze złości. Ale po kilku minutach gniew zaczął ustępować nadziei. Nawet jeśli facet nie był bogaty, może matka znalazła kogoś o dobrym sercu i wszyscy zamieszkamy zgodnie pod jednym dachem. Nadal nie wiedziałem, gdzie jest Bong Sook, ale jeśli chciałem odzyskać rodzinę, musiałem od czegoś zacząć.

Dotarliśmy na miejsce i mój nowy ojczym otworzył nam drzwi. Był bardzo

wysoki i barczysty, o surowym wyrazie twarzy. Kiwnąłem mu głową i wszedłem do mieszkania, a matka poprosiła, żebym usiadł. Nie byłem w stanie na nią patrzeć.

Przy ojcu niczego się nie nauczyłeś, Maczku? – powiedziałem do siebie w myślach. Przecież to nie ona, tylko głód, ta cała sytuacja. Nie wolno ci jej osądzać. Mimo to nie mogłem patrzeć, jak siedzi obok swojego nowego „męża”, i nie czuć w ustach goryczy.

Natychmiast spostrzegłem, że jest to rzeczywiście „małżeństwo czasu głodu”. Nie mieli żadnego urzędowego zaświadczenia, samego ślubu ani tym bardziej wesela. Nie okazywali sobie czułości, nie dotykali się i nie uśmiechali do siebie. Ale i tak byłem zły. Czy tylko na kogoś takiego było stać moją matkę? Wysoki mężczyzna – wołałem nie wymawiać jego imienia – nie był dobrą partią. Nie miał pracy, za to opiekował się niepełnosprawną ciemnowłosą córką, która cały dzień leżała na macie do spania. Była mniej więcej w moim wieku, lecz drobna i krucha i nie mogła chodzić. Włosy zakrywały jej część twarzy, przyklejone potem do czoła. Wpatrywałem się w nią ze współczuciem i irytacją.

Mój nowy ojczym coś do mnie mówił.

– Co? – zapytałem rozdrażniony.

– Co zamierzasz zrobić? – powiedział władczym tonem. – Musisz iść i znaleźć nam coś do jedzenia.

Spojrzałem w oczy matki, miały błagalny wyraz. Widziałem, że liczy na to samo, co ja: że ktoś zatroszczy się o wszystkie jej potrzeby. Ktoś, czyli ja. Oczekiwała, że będę utrzymywał ją, wysokiego mężczyznę i jeszcze tę niepełnosprawną dziewczynę.

Poczułem się tak bezsilny, że płakać mi się chciało. Ale co mogłem zrobić? Stowarzyszenie przestało istnieć. Tamtego wieczoru poszedłem kraść na własną rękę.

Rozdział 35

Byłem teraz zdany na siebie, bez nikogo na czatach, bez żadnych wspólników. Coraz bardziej bałem się tego, że zostanę złapany. Wszystkiego wciąż brakowało: mydła, ubrań, obuwia. Niektórzy *Kkodzebi* spali z butami w ramionach, podłożonymi pod brody, po to, żeby nie ukradł ich ktoś z konkurencji. Ale widywałem coraz mniej dzieciaków, które tak robią; ich buty były tak podarte i brudne, że nikt ich nie chciał. Było to zjawisko typowe dla całej Korei Północnej. Ludzie coraz mniej zabezpieczali się przed złodziejami, bo z czego jeszcze można ich było ograbić?

Pierwszej nocy po przeprowadzce do mieszkania nowego ojczyzna szedłem ulicą nieopodal dworca kolejowego i szukałem czegoś, co mógłbym ukraść, gdy zobaczyłem blok mieszkalny za wysokim na dwa metry murem z pustaków. Było trochę po północy. Kręciłem się po okolicy już od kilku godzin, zupełnie bez powodzenia. Żyły zdawały się palić mnie z braku jedzenia. Moja matka i jej konkubent czekali na mnie wygłodniali. Kaleka dziewczyna też była głodna i jej – może tylko jej – było mi naprawdę żal.

Rozejrzałem się dookoła. Na ulicy nie było żywego ducha, tylko druty elektryczne, między którymi świszczwał wiatr, a na niebie księżyc.

No, Maczku, powiedziałem do siebie, musisz coś znaleźć.

Spostrzegłem głaz, który leżał przy murze, i wdrapałem się na niego. Chwyciłem się palcami szczytu ogrodzenia, wziąłem głęboki oddech i wciągnąłem się na górę. Starając się robić jak najmniej hałasu, stanąłem na wąskim murku i spojrzałem na najbliższy balkon. Leżały na nim, na surowym betonie, ze trzy naręcza drewna opałowego. Ale od muru do balkonu dzieliły mnie jeszcze prawie dwa metry, a gdybym źle wymierzył skok, czekał mnie upadek z dużej wysokości, od którego prawie na pewno połamałbym sobie kości.

Przebiegłem chyłkiem po murze, starając się nie ześlizgnąć. Kiedy zbliżyłem się do balkonu, podskoczyłem, złapałem się krawędzi i podciągnąłem do góry.

Natychmiast zorientowałem się, że coś jest nie tak.

– Co ty tam robisz? – usłyszałem głos z dołu.

Przykucnąłem na balkonie, nic nie mówiąc.

Znowu ten głos, tylko głośniej:

– Ej, ty, co tam robisz? Mam wezwać policję? Złaż no tutaj!

Niech to. Niech szlag trafi tych wścibskich ludzi. To nie był właściciel, tylko jakiś krewki przechodzień. Może wcześniej go okradziono i teraz chciał się zemścić. Gdybym z nim nie porozmawiał, obudziłby cały blok i dopiero miałbym problem.

– Dobra – powiedziałem i się wyprostowałem. Zeskoczyłem i wyładowałem obok niego. Miał około trzydziestu pięciu, czterdziestu lat, krępą budowę ciała i twarz wykrzywioną gniewem i zdumieniem.

– Co jest? – burknął.

Wymamrotałem coś w odpowiedzi. Bałem się.

– Co?

– Proszę mi wybaczyć ten jeden raz, obiecuję, że już nigdy tego nie zrobię – powiedziałem. Nie było sensu kłamać. Agresja biła od niego jak silna woń potu.

– Więc jesteś złodziejem! – Uderzył mnie mocno w twarz. Poczułem na skórze strużkę gorącej krwi, ale to wrażenie ciepła utonęło w bólu, który rozlał się po całym moim ciele. Mężczyzna zdawał się bić mnie wszędzie jednocześnie. Upadłem na ziemię. Okazało się, że to błąd, bo teraz zaczął mnie jeszcze kopać brudnymi buciorami. Myślałem, że rozbije mi czaszkę na miazgę.

– Błagam! – darłem się. – Błagam, nie!

Nie mogłem się podnieść. Był tak silny, że aż zastanawiałem się, skąd czerpie energię. Poczułem, jak prawe oko mi puchnie, warga nabrzmiewa jak balon. Krwawiłem w dwóch czy trzech miejscach, głównie na twarzy. Żebra bolały mnie od kopniaków, ledwie chwytalem powietrze.

Bił mnie tak chyba przez dziesięć minut, stękając i dysząc. Pod koniec nie miałem już siły osłaniać głowy, a on kopał ją bez zahamowań.

Wreszcie pochylił się nade mną i zawołał:

– Nie rób tego nigdy więcej.

Skuliłem się, czekając na kolejny kopniak. Ale facet zostawił mnie i odszedł, wyładowawszy na mnie całą złość.

Zacząłem się powoli dźwigać. Z ust poleciała mi krew. Wyplułem jej jeszcze więcej. Języki bólu paliły mi boki. Myślałem, że pogruchotał mi żebra.

Zdołałem wstać i powlokłem się do mieszkania ojczyma. Czułem, że

gdybym teraz upadł, straciłbym przytomność.

Zapukałem do drzwi, a ojczym otworzył je zamasyście. Myślałem, że powie: „Co się stało?” lub „Nic ci nie jest?”. Zamiast tego zgromił mnie wzrokiem i burknął ze zdziwieniem:

– Dlaczego wracasz z pustymi rękami?

Próbowałem wyjaśnić. O balkonie, o obcym przechodniu, o pobiciu. Ale bełkotałem, moje wargi były zbyt spuchnięte, żeby mógł zrozumieć.

Zdzielił mnie otwartą ręką w twarz.

– Jak śmiesz wracać tu z niczym – powiedział i odszedł rozniewany, gdy wciąż stałem w otwartych drzwiach.

Spod napuchniętych powiek popłynęły mi łzy. Czemu mnie uderzył? Przecież poszedłem kraść dla niego i jego córki.

Jestem pewien, że moja matka słyszała, jak zareagowałem, i było mi jej strasznie żal, ale i tak dławiło mnie poczucie niesprawiedliwości i krzywdy. Czy ktoś jeszcze był tak niekochany i niezrozumiany? Brzuch bolał mnie z głodu, a wszystkie pozostałe części ciała dołączały się do ogólnego rozzierającego bólu. Powlokłem się do pokoju i ległem na swojej macie. Łzy kapały mi na drewnianą podkładkę.

Tamtej nocy ogarnęła mnie rozpacz. Rozłąka z najbliższymi to jedno, lecz cierpienie z rąk towarzysza rodzonej matki to coś jeszcze gorszego.

Muszę coś zrobić, pomyślałem. Muszę znaleźć nowy sposób na życie.

Rozdział 36

Nazajutrz wyszedłem z mieszkania wcześniej. Chciałem spenetrować osiedla położone dalej od dworca kolejowego, w nadziei, że tam złodziejska brać jeszcze nie dotarła. Dzień wydawał się taki jak zwykle, tylko że na ulicach nie widziało się żadnych dzieci. Był jeden z tygodni wczesnego lata, gdy szkoły pustoszały, bo wszystkich uczniów wysyłano na wieś do pielienia pól soi i kukurydzy. Ponieważ od trzech lat nie chodziłem do szkoły, nie pojechałem też za miasto.

Nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, że w tych dniach ci z Saro-cheongu mieli ułatwioną robotę. Zamiast zgadywać, które dziecko chodzi do szkoły, a które nie, urzędnicy wiedzieli, drogą eliminacji, że żaden nieletni znaleziony w tych dniach na ulicy nie chodzi do szkoły, czyli należy do grupy *Kkodżebi*. Dzieci ulicy chciały wybrać się na wieś, lecz nie mogły z powodu łachmanów, w których chodziły, i nienawiści, jaką ludzie żywili do bezdomnych.

Kiedy więc szedłem chodnikiem, zbliżył się do mnie mężczyzna w garniturze. Twarz miał spokojną, niemal znudzoną. Natychmiast zrozumiałem: Saro-cheong. Zaszedł mi drogę, a gdy obejrzałem się przez prawe ramię, zauważyłem drugiego mężczyznę, który odciął mi drogę ucieczki.

– Czemu nie jesteś w szkole? – spytał spokojny mężczyzna.

– Jestem chory – powiedziałem, improwizując. Urzędnicy zostawiali chore dzieci w spokoju.

– Dobrze, to powiedz, kto jest kierownikiem działu Saro-cheongu w tym okręgu.

Każdy uczeń znał nazwisko kierownika działu. Ale ja nie chodziłem do szkoły od lat i w głowie miałem pustkę.

– To...

Pamiętałem twarz kierownika, ale nie byłem w stanie przypomnieć sobie nazwiska.

Zacukałem się tak, że nie mogłem wykrztusić ani słowa. Jeden z mężczyzn złapał mnie za ramię.

– Nie chodzisz do szkoły. Uchylasz się od obowiązku szkolnego!

„Co, do diabła”, chciałem krzyknąć. To nie tak, że nie chciałem chodzić. Po prostu nie mogłem!

Urzednicy Saro-cheongu powlekli mnie ulicą, wśród zdumionych przechodniów. Zabrali mnie do miejscowej siedziby urzędu – przysadzistego budynku z cegły – a potem przewieźli z grupą innych dzieciaków do wiejskiego ośrodka w pobliżu pól ryżowych.

Znalazłem się w starym budynku szkolnym, który przekształcono w zakład poprawczy. Trafiali tu nie tylko *Kkodzebi*, ale też inni nieletni i młodociani, którzy złamali prawo. Można było spędzić tam tylko trzy dni (na przykład za nienoszenie swojego znaczka z Kim Ir Senem) lub tydzień (za udział w ulicznej bójkę). Noszenie długich włosów, jak gwiazdorzy muzyki pop z Korei Południowej, mogło się skończyć również tygodniową odsiadką. Mój wyrok był bardziej surowy: trzy miesiące.

Budynek był długi na mniej więcej trzydzieści metrów i szeroki na dziesięć, a mieszkało w nim około stu pięćdziesięciu dziewcząt i chłopców. Znałem to miejsce z czasów, gdy mieściła się tu Szkoła Song Chun, jedna z najlepszych akademii plastycznych w Hoeryöngu, ale była to już odległa przeszłość. Kiedy wszedłem, zobaczyłem przed sobą długi główny korytarz. Wyglądał, jakby stoczono w nim bitwę wojsk pancernych: w ścianach ogromne dziury, wszędzie pokruszony tynk. Z sal dobiegały wrzaski i krzyki. To jakieś piekło, pomyślałem. Bałem się.

Podszedł do mnie jeden z „podopiecznych” zakładu i zaczął obrzucać mnie wykrzykiwanymi agresywnie pytaniami: imię i nazwisko, skąd jestem, co robiłem, zanim mnie zatrzymano? Później innym nowo przybyłym i mnie kazano się przebrać. W ośrodku nie mogliśmy nosić swoich ubrań z ulicy, ponieważ ułatwiłoby to nam ucieczkę. Miałem dobrą koszulę i bawełniane spodnie, które dostałem od mamy, ale opiekun grupy, chłopak tuż po dwudziestce, który sam odbywał tu karę, szybko mi je zabrał. Wiedziałem, że już ich nie odzyskam, bo albo zachowa je dla siebie, albo sprzeda za butelkę bimbru. W zamian otrzymałem stare łachy, które leżały porzucone w kącie, brudny mundurek szkolny, który był na mnie o wiele za duży. Znoszona granatowa marynarka zapinana na cztery guziki sięgała mi do kolan. W ten sposób urzednicy zapobiegali ucieczkom: każdy, kto pokazałby się w takich łachach poza zakładem, natychmiast zostałby uznany za zbiega.

W Zakładzie Poprawczym Saro-cheong panowała brutalność i przemoc. Pierwszego dnia pobytu widziałem, jak grupa mężczyzn otoczyła chudego

nastolatka, zupełnie tak jak kiedyś Hyo Sung i stowarzyszenie otoczyli mnie, tylko że ci faceci byli wyżsi i potężniej zbudowani. Twarz nastolatka zastygła w wyrazie panicznego lęku. Jeden z mężczyzn wrzasnął:

– Jesteś durniem?

– Tak – powiedział chłopak. – Jestem durniem.

Musiał przebywać w zakładzie od dłuższego czasu, zdałem sobie później sprawę. Wiedział, jak odpowiadać. Ale krąg wokół niego tylko się zacieśnił.

– Czemu jesteś takim durniem?

– Bo...

Poleciały na niego pięści trzymające cegły i kamienie. Usłyszałem trzask – łamanej kości? – i nastolatek padł na podłogę, jego postać zniknęła w kłębowisku nóg. Bito go bez zmiłowania. Nikt nie próbował mu pomóc. Wpatrywałem się w to z niedowierzaniem. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby katowano kogoś w taki sposób. Były to zawody, żeby przekonać się, kto uderzy najmocniej. Ulubionym celem ciosów była głowa chłopca. Okładali ją z całej siły i dostrzegłem smugę szkarłatu rozkwitającego na betonowej posadzce w pobliżu jego twarzy. Odwróciłem się. Nie chciałem widzieć krwi i tkanki mózgowej na podłodze.

Jeżeli chłopak przeżyje, pomyślałem, nigdy nie będzie już normalny.

Strażnicy stali i przyglądali się całej scenie. Wkrótce dowiedziałem się, że to nie oni tu rządzą, tylko „git-ludzie”, czyli starsi „wychowankowie”. Była to grupa mężczyzn pod trzydziestkę, którzy brutalnie wymierzali kary i wyzyskiwali młodszych kolegów.

Chłopców przetrzymywano w jednej sali, a dziewczęta w drugiej, większej, gdzie wszyscy spożywali posiłki i śpiewali wieczorami piosenki. Chłopcy spali ściśnięci jeden przy drugim na drewnianej podłodze. Wszyscy żyli i jedli wspólnie.

W ciągu dnia ciężko pracowaliśmy. Wysyłano nas do zakładu, gdzie na podwórzu leżały ogromne głazy, a nasze zadanie polegało na rozbijaniu ich na mniejsze kawałki, które z kolei rozbijaliśmy na jeszcze mniejsze, aż otrzymywaliśmy stos żwiru o średnicy ziarna kukurydzy. Ktoś sprzedawał ten żwir. Albo szliśmy do pracy w polu, gdzie przez czternaście godzin dziennie pielęgnowaliśmy uprawy ryżu.

Po kilku dniach git-ludzie orientowali się, kto jest kim wśród nowych wychowanków. Obserwowali, po kogo zgłaszał się ktoś z rodziny, a jeśli nikt taki się nie pojawił, wiedzieli, że taki dzieciak nie ma dokąd iść i nikt go nie

obroni. Takie sieroty stawały się pierwszymi ofiarami git-ludzi; nie mieliśmy nikogo, kto by się za nami wstawił lub złożył skargę, gdybyśmy zniknęli. Później dowiedziałem się, że drugiego dnia mojego pobytu w placówce moja matka przysłała mnie szukać, ale trafiła do budynku w centrum miasta, a nie tam, gdzie mnie przetrzymywano. Tamci strażnicy powiedzieli jej, że nie mają nikogo o takim imieniu wśród swoich podopiecznych. W ten sposób straciłem szansę szybkiego wyjścia na wolność.

Dzieciaków w poprawczaku było pięć razy więcej niż git-ludzi. Powinniśmy byli skrzyknąć się i ich pokonać. Ale dzieci z normalnych rodzin bały się innych wychowanków, a reszta z nas, *Kkodzebi*, za długo żyła na ulicy. Jako bezdomni nauczyliśmy się radzić sobie na własną rękę, nie ufaliśmy nikomu, nawet swoim współnikom. W związku z tym współpraca w obrębie większej grupy obcych nie wchodziła w rachubę. Git-ludzie zdawali sobie z tego sprawę. Wiedzieli, że złodzieje nie zjednoczą się w imię wspólnej sprawy.

Przebywanie w wiejskim ośrodku miało swoje zalety: świeże powietrze i fakt, że mogłem poprosić o dokładkę zupy czy makaronu i zwykle ją dostawałem. Czasami Saro-cheong wynajmował miejscową rodzinę, by ta dostarczyła nam żywność, i ci dobrzy ludzie nie żalowali nam dodatkowych porcji. Dzięki temu miałem nadzieję na przetrwanie do jutra.

Nocami jednak nawiedzało mnie wspomnienie Bong Sook. Tęsknota dokuczała mi bardziej niż głód. W czasach przynależności do stowarzyszenia widywałem jej twarz tylko we śnie, ale teraz myślałem o niej bez przerwy. Może powód był taki, że jej miłość była bezwarunkowa i krańcowo różniła się od tego, co widywałem w murach poprawczaka.

Popadałem w głęboką rozpacz, jakbym powoli zanurzał się w czarnej wodzie. Chcę ocalić rodzinę, myślałem, ale nie potrafię pomóc nawet samemu sobie.

Rozdział 37

Dzień zaczynał się o wpół do szóstej, kiedy to funkcyjni budzili nas krzykiem. Robiono nam apel na polu przed budynkiem, gdzie przez piętnaście minut śpiewaliśmy. Ponieważ wszystkim rządzą git-ludzie, o patriotycznych pieśniach można było zapomnieć. Zamiast tego śpiewaliśmy stare piosenki, których uczy się młodzież w szkole średniej. Jako *Kkodzebi* na targu, a potem złodziej upijający się z resztą stowarzyszenia, nigdy nie miałem okazji się ich nauczyć, więc poruszałem tylko bezgłośnie wargami, starając się wychwycić słowa. Bałem się, że gdybym się sypnął, dostałbym wycisk. Ale tak naprawdę git-ludzie nie potrzebowali żadnego pretekstu.

Po apelu szliśmy nad pobliską rzekę, gdzie myliśmy twarze i ręce. Po powrocie do ośrodka około wpół do siódmej jedliśmy papkę z tłuczonej kukurydzy i zupę, która składała się głównie z wody i soli. O siódmej ruszaliśmy do pracy i wracaliśmy długo po zmroku – około wpół do dziesiątej. Jedliśmy kolację i zbieraliśmy się w sali dziewcząt na *orak heh*, czyli występy muzyczne. Siedzieliśmy w dużym kole, a jeden chłopak lub dziewczyna wstawali i śpiewali, podczas gdy kilka innych osób tańczyło. Podobnie jak cała reszta występujący byli tak wyczerpani, że ledwie trzymali się na nogach i musieli podtrzymywać się nawzajem, żeby nie upaść. Każdy, kto przerwał *orak heh*, był szczerzony przez git-ludzi i bity.

Pierwszego wieczoru rozpaczliwie pragnąłem zasnąć. Czerń zasnuwała mi umysł. Bałem się jednak, że gdybym zasnął, mógłbym się już nie obudzić. Musieliśmy cały czas śpiewać dla opiekunów grupy, którzy chcieli pokazać, że akurat ich podopieczni mają najwięcej zapału. Ale przede wszystkim starsi wychowankowie chcieli pokazać, że są naszymi panami. Dlatego musieliśmy wykonywać te idiotyczne piosenki.

Byłem nieśmiały i załęczniony. Modliłem się, żeby git-ludzie nie wybrali mnie do występu. Oczywiście zostałem wybrany jako pierwszy. Wstałem, ręce mi się trzęsły, miałem sucho w ustach i paliło mnie w gardle. Nie znałem żadnych radosnych piosenek, więc zacząłem śpiewać skrzekliwie pierwsze, co przyszło mi do głowy, posępną pieśń o synu i konającej matce. Nie jestem zbyt dobrym śpiewakiem i podczas występu obserwowałem twarze git-ludzi. Z początku rozdziawili usta ze zdziwieniem, lecz wkrótce zaskoczenie

zmieniło się w gniew.

– Co to ma, kurna, być? – zawołał jeden z nich. – Nie śpiewamy tu takich piosenek. Siadaj!

Usiadłem, płoniąc się ze wstydu. Okazało się, że w poprawczaku śpiewanie smutnych piosenek było zakazane, ponieważ „zakłócało dobrą atmosferę”. To znaczy działało na wszystkich dołującąco.

Później nigdy więcej nie wybrano mnie do występu na *orak heh*, co zupełnie mi nie przeszkadzało.

*

Potem było gorzej. Następnego dnia funkcyjny z trzonkiem od motyki, chłopak, który upadł w życiu tak nisko, po raz pierwszy uderzył mnie, gdy nie mogłem znaleźć buta. Później policzkował mnie siarczyście lub walił pałką, jak tylko mnie widział. Jego agresja nie podlegała żadnej metodzie czy rytmowi. Była gwałtowna i zupełnie irracjonalna.

Tamtej nocy, gdy leżałem na podłodze i bałem się zasnąć, usłyszałem jakieś hałasy. Byli to znowu git-ludzie. Tym razem chodzili wśród młodszych wychowanków. Zmroził mnie strach, gdy uświadomiłem sobie, że łapią takich jak ja – nowo przybyłych.

Usłyszałem, jak jeden woła:

– Gdzie masz forszę? Nie pokazuj mi kieszeni, tylko gdzie schowałeś kasę?

Od każdego nowego żądali pieniędzy. Zgarnięto nas z ulicy, więc powinniśmy mieć coś przy sobie, przynajmniej kilka wonów. Jak ktoś nie miał pieniędzy, dostawał kopniaka w twarz. Kiedy się do mnie zbliżyli, widziałem w mroku ich połyskujące zęby i oczy. Czuć było od nich alkohol. Skąd go tutaj biorą? – zastanawiałem się.

– Wyskakuj z kasy – powiedział jeden z mężczyzn zblazowanym tonem.

Sięgnąłem do kieszeni. Miałem kilka wonów, które chciałem wydać na drobną przekąskę. Czyjaś ręka wyrwała mi pieniądze z dłoni.

– To wszystko?

– Tak, wszystko.

Wyczuwałem ich obecność przed sobą, niewyraźny zarys potężnych postaci. Bałem się, że zaraz z ciemności polecą na mnie pięść lub cegła. Skłoniłem głowę, myśląc: Idźcie dalej, idźcie dalej.

I wreszcie poszli.

Zupełnie nie rozumiałem panujących tu reguł. Jednej z pierwszych nocy pobytu w placówce obudziłem się o drugiej czy trzeciej nad ranem. Wstałem z maty i zobaczyłem nocnego wartownika, który pilnował śpiących.

Przeszedłem nad kilkoma chłopakami i zbliżyłem się do strażnika. Ukłoniłem się.

– Mogę skorzystać z ubikacji? – poprosiłem.

Odwrócił się i popatrzył na mnie.

– Nie – odparł spokojnie.

Odpowiedź wbiła mnie w ziemię. Pęcherz był tak pełny, że bolał. Jakie zastrzeżenia mógł mieć strażnik, że nie puścił więźnia za potrzebą? Ale nie mogłem ryzykować i pytać o powody. Położyłem się z powrotem i leżałem aż do rana, gdy ciśnienie w pęcherzu rosło do tego stopnia, że myślałem, że pęknie mi jak wyrostek robaczkowy.

Jeżeli kiedyś zostanę funkcyjnym, pomyślałem, pozwolę każdemu chłopakowi wysikać się zawsze, kiedy będzie potrzebował.

W poprawczaku nie miałem spokoju. Nawet gdy nie wchodziłem nikomu w drogę, bałem się, że funkcyjny z pałką zajdzie mnie od tyłu i znowu upokorzy. Kipiało we mnie od gniewu i nienawiści, ale co mogłem zrobić?

Byłem w potrzasku, podobnie jak cała reszta.

Rozdział 38

Po trzech tygodniach pobytu w zakładzie kazali mi się bić ze znienawidzonym funkcyjnym i zwyciężyłem. Teraz to do mnie należało przeprowadzanie pierwszych rozmów z nowo przybyłymi. „Jak się nazywasz? – pytałem ich. – Skąd jesteś? Jakie przestępstwo popełniłeś?”. Starłem się nie wpędzać ich w popłoch. Jeśli trafiali do poprawczaka po raz pierwszy, zwykle dygotali ze strachu. Zapisywałem wszystkie dane w zeszyte. Potem czytali je przełożeni grup i na tej podstawie oceniali, ile pieniędzy mogą z tych nowych wycisnąć. To była cena ich przetrwania.

Drugim moim obowiązkiem było oczywiście pilnowanie wychowanków w nocy, utrzymywanie porządku i zapobieganie ucieczkom. Musiałem czuwać przez większość dnia, więc starałem się przekimać choćby dwadzieścia minut, gdy tylko mogłem, a później zachować czujność przez całą noc. Przełożeni grup nie palili się do tej roboty – woleli spać. Ja byłem za nią wdzięczny, bo unikałem w ten sposób pobicia. Nie byłem przełożonym, ale byłem pracownikiem. Mój status się poprawił.

Nie będę kłamał: przyjemnie było mieć władzę. Chłopcy starsi ode mnie podchodzili do mnie i kłaniali mi się nisko. „Jak ci się spało, *hyung*?”, pytali (*hyung* znaczy „starszy brat”). Najczęściej w ogóle im nie odpowiadałem; zbytnią zażyłość z wychowankami wcale mi się nie opłacała. Prosilili mnie o pozwolenie, żeby skorzystać z ubikacji, a ja zwykle go udzielałem – wciąż dobrze pamiętałem, jak postąpiono ze mną – ale nie mogłem sprawiać wrażenia popychadła. Raz na jakiś czas warczałem więc: „Nie! Kładź się!” i podległy mi chłopak odchodził niepokieszony i zgnębiony. Gdyby przylgnęła do mnie łątka mięczaka, git-ludzie zaczęliby mnie gnębić. Musiałem brać przykład z innych funkcyjnych.

Przełożeni grup wyzyskiwali mnie pomimo mojej pozycji. Często wieczorem, około jedenastej, posyłali mnie do pobliskiego sklepu po coś na ząb albo do picia. Kiedy wracałem, patrzyli na mnie, jakby pierwszy raz widzieli mnie na oczy, i zaczynali bić po twarzy otwartymi dłońmi. Jeden z nich, przezywali go „Prosiak”, szczególnie lubił mi dokuczać. Miał okrągłą głowę i bardzo krótkie włosy. Jego twarz miała kształt idealnego koła – aż trudno było oderwać od niej wzrok. Ilekroć mnie zobaczył, uśmiechał się

i podchodził. Kłaniałem mu się, ale gdy się znowu wyprostowywałem, krzyczał: „Stoisz krzywo!” i wymierzał mi siarczysty policzek.

Kiedy w zakładzie poprawczym panował ponury nastrój, do bicia dołączało więcej ludzi. Pewnego razu czterech czy pięciu chłopca próbowało rozwalić mi czaszkę kopniakami. Sztuka polega na tym, żeby upaść na podłogę i osłonić głowę. Kiedy bije cię kilka osób naraz, mają mało miejsca i w końcu nudzi im się ciągle przepychanie z pozostałymi po to, by zadać dobry cios. Nie możesz pytać, czemu cię biją, bo wtedy pobiją cię dotkliwiej. Przez resztę nocy tułów i ramiona pulsowały mi bólem, a rany broczyły krwią.

Stałem na straży do świtu, wpatrując się w księżycową poświatę, która sączyła się przez dziury w dachu lub zalewała blaskiem dziedzińca, który wyglądał wtedy nieziemsko i spokojnie. Powieki opadały mi i zdawało się, jakby ktoś szeptał mi do ucha: „Śpij, śpij”. Gdyby jednak przełożeni przyłapali mnie na drzemce lub gdyby któryś z podopiecznych uciekł, dostałbym takie cięgi, że mógłbym skończyć jako kaleka. Mógłbym również stracić stanowisko i trafić z powrotem do pracy na polach. Najgorzej było między drugą a trzecią w nocy. Nie miałem kawy, która pomogłaby mi czuwać. Ledwie mogłem ustać na nogach.

Często słyszałem w nocy krzyki, straszliwe piskliwe wrzaski. Mogły oznaczać tylko jedno: któryś ze starszych chłopaków gwałcił w sali obok jedną z wychowanek. (Ofiarami gwałtów zawsze były dziewczyny. Nigdy nie słyszałem, żeby w poprawczaku wykorzystywano seksualnie chłopców). Chciałem zatkać sobie uszy, ale wiedziałem, że i tak będę słyszał ten skowyt. Zamykałem oczy i marzyłem o ucieczce.

*

Sam mogłem być tylko podczas kąpieli w pobliskiej rzece. Był to właściwie potok, który miał ze trzy metry, góra trzy i pół metra szerokości. W upalne dni zimna woda na naszych twarzach działała orzeźwiająco. Nie mieliśmy mydła ani szamponu, ale gdy mijał pierwszy wstrząs chłodu, czułem nagły przypływ energii i chęci do życia. Nic innego nie działało na mnie w ten sposób, nawet jedzenie. Kiedy miałem dość jedzenia, napychałem się nim bez opamiętania i potem bolał mnie żołądek, skurczony i przyzwyczajony do

małych porcji. Woda w rzece była niczym obietnica innego życia.

Pewnego dnia do zakładu poprawczego trafił dziesięcio- czy jedenastoletni chłopiec. Usłyszałem, że pochodzi z Undok, gdzie urodziła się moja matka, co dało mi poczucie, że łączy nas jakaś więź. Zobaczyłem, jak jest wygłodzony i słaby, spod podartej zielonej koszuli sterczały żebra. Wątpiłem, by mógł przetrwać w poprawczaku zbyt długo. Zdawało się, że nie byłby w stanie wytrzymać nawet stosunkowo łagodnego bicia.

Wziąłem go na bok i wypytałem spokojnym głosem. Rodzice porzucili go, gdy miał sześć czy siedem lat, i od tamtej pory musiał radzić sobie sam. Codziennie rano wsiadał w Undok do pociągu i zebrał o jedzenie, a potem wyskakiwał. Ale jednego razu, zanim zdążył wysiąść, pociąg ruszył ze stacji. Chłopak musiał dojechać aż do Hoeryöngu, a tam go aresztowano.

Wziąłem chłopca pod swoje skrzydła – praktycznie go adoptowałem. Pilnowałem, żeby mógł się dobrze wysypiać i żeby jadł, ile trzeba. Kucharka w zakładzie, dwudziestotrzyletnia kobieta, która była pracownicą, a nie osadzoną, bardzo mnie lubiła. Była niezwykle ładna, a ja i inny nocny strażnik, Kook Cheol, często gapiliśmy się na nią i zachwycaliśmy się jej urodą. Dziewiętnastoletni Kook Cheol, wcześniej herszt gangu żebraków na targu, był typowym *Kkodžebi*: energicznym, sprytnym i patrzącym na życie z goryczą. Kiedy miał jedenaście lat, matka zabrała go na targ i poprosiła, żeby poczekał, gdy sama pójdzie kupić mu jego ulubioną przekąskę. Czekał wiele godzin, ale matka nigdy nie wróciła. W końcu został żebrakiem i kieszonkowcem. Pałał do matki nienawiścią wręcz piekielną. „Wredna suka pewnie jest w Chinach i żyje sobie dobrze z jakimś gachem”, mawiał. Jak wiele sierot porzuconych przez rodziców lubił karmić się fantazją. Marzył, że się wzbogaci i pewnego dnia do drzwi jego willi w Hoeryöngu zapuka matka, błagając o pieniądze lub coś do jedzenia. „A ja nałożę do miski furę białego ryżu i zjem to wszystko sam na jej oczach”. Ja miałem bardzo podobne marzenie, tylko że zamiast matki występował w nim mały dziadek.

(Jak na ironię, pewnego dnia, dużo później, Kook Cheol spotkał swoją matkę. Ale zamiast dręczyć ją lub przepędzić, przygarnął ją do siebie i utrzymywał z tego, co zdobył jako kieszonkowiec, przez wiele miesięcy. Jego fantazje, podobnie jak wielu *Kkodžebi*, były tak naprawdę zamaskowanym wołaniem o miłość).

Ilekcroć piękna kucharka uśmiechała się do mnie, Kook Cheol posyłał mi gniewne spojrzenie, a ja wybuchiałem śmiechem. Ale nie szukałem miłosnych

przygód, chciałem tylko zdobyć dość pożywienia, by nakarmić wygłodzonego chłopca. Wykorzystując cały swój urok, poprosiłem więc kucharkę o dodatkowe porcje. Dziewczyna uśmiechnęła się szelmowsko i przy następnym posiłku na moim talerzu leżała cała fura papki kukurydzianej. Podzieliłem się nią z chłopcem. Zacząłem dawać mu wieczorem przekąski i pozwalałem korzystać z latryny, gdy tylko chciał.

Pewnej nocy jeden z przełożonych grupy rozkazał mi zawieźć drewno i węgiel do domu jego rodziców. Kiedy wyruszyłem z wózkiem w drogę, była trzecia nad ranem. Towarzyszyli mi mój mały podopieczny i jeszcze dwaj wychowankowie poprawczaka. Po drodze zmęczyliśmy się tak bardzo, że musieliśmy zatrzymać się na odpoczynek. Powiedziałem, że robimy sobie godzinną przerwę, położyliśmy się na ziemi w parku i pozasypialiśmy. Trawa była tak miękka pod moją głową. Park był dla mnie niczym pokój w pięciogwiazdkowym hotelu.

Kiedy się obudziłem, świeciło już słońce. Była co najmniej szósta rano. Mały chłopiec już nie spał i z uśmiechem patrzył na mijających nas przechodniów.

Rozejrzałem się dookoła. Jeden z wychowanków poprawczaka nadal spał zwinięty w kłębek na trawniku.

– Gdzie jest ten drugi? – spytałem chłopca, zrywając się z ziemi.

– Uciekł.

A to niewdzięcznik, pomyślałem. Będę miał przez niego kłopoty.

Spojrzałem na chłopca. Ten patrzył na mnie spokojnie.

– Dlaczego też nie uciekłeś? – zapytałem.

– Przecież wtedy narobiłbym ci problemów! – odpowiedział z oburzeniem.

– Jak bym mógł?!

Roześmiałem się. Wstaliśmy, obudziliśmy drugiego chłopaka i ruszyliśmy w dalszą drogę, ciągnąc wózek z opałem. Była to ciężka praca, ale cieszyłem się, że w tak koszmarnych warunkach zasłużyłem na przyjaźń choć jednej ludzkiej istoty.

Wtedy po raz pierwszy się kimś zaopiekowałem. Ochraniałem tego chłopca, bo czułem, że gdybym tego nie zrobił, pograżylibym się w nikczemności.

Nie upodobiłem się do nich, wmawiałem sobie, ani odrobinę bardziej, niż to konieczne. Nie zdawałem sobie sprawy, że będę musiał upaść znacznie niżej, nim znajdę odkupienie.

Rozdział 39

Na szczęście chłopiec odsiadywał tylko krótki wyrok. Kiedy go wypuszczono, dałem mu trochę pieniędzy i powiedziałem, żeby postarał się przetrwać i że lepsze czasy kiedyś nadejdą. Kiedy się rozstaliśmy, poczułem wielką ulgę.

Ale pograżałem się głębiej w okrucieństwie. Obowiązki strażnika nocnego okazały się trudniejsze, niż się spodziewałem. Gdyby ktoś okazał nieposłuszeństwo, a ja bym go nie ukarał, zostałbym pobity, a moje stanowisko zająłby ktoś inny – przełożony grupy jasno mi to powiedział. Tak więc biłem tych, którzy nie słuchali moich rozkazów; okładałem ich pięściami, a oni patrzyli na mnie nienawistnie. Raz zerwałem skórzaną kurtkę nowemu chłopakowi prosto z grzbietu i zachowałem ją dla siebie. Wziąłem ją, bo mi się spodobała; tego nauczyłem się na ulicach Hoeryöngu.

Przełożeni grup mieli też inny sposób zarabiania pieniędzy – a ja brałem w tym procederze udział. Dzieciaki pozbawione umiejętności przeżycia wysyłano do roboty w polu lub na budowy, ale tacy jak ja byli zatrudniani w swojej starej pracy, jako złodzieje. Zamiast trzymać nas w ciągu dnia w zakładzie poprawczym, wysyłano mnie i Kook Cheola na targ, gdzie kradliśmy. Git-ludzie wyznaczali nam sumę, którą mieliśmy zarobić każdego dnia – na przykład pięćset wonów – i którą im oddawaliśmy. Reszta była dla nas.

Zostałem teraz kieszonkowcem. Kook Cheol i *Kkodźebi* z jego szajki byli moimi nauczycielami.

Na początku pracowałem jako tycer. Kiedy zjawialiśmy się po południu na targu, zaczynałem rozglądać się w poszukiwaniu kogokolwiek, kto sprawiał wrażenie człowieka nie stąd. Rolników łatwo było odróżnić: nosili ciężkie buciory do kostki. Z kolei nastolatki ze wsi chodziły wystrojone jak na zapusty, bo tak właśnie traktowały dzień targowy. Często rozglądały się dokoła powoli, jakby miały w głowie kamerę wideo, którą nagrywają wszystko dla znajomych w rodzinnych stronach, i przyglądały się nawet małym budynkom z niekłamaną ciekawością.

Jak już znalazłem frajera, zaczynałem go obserwować. Czym się interesuje? Chce kupić nowy garnek, telewizor, radioodbiornik? Jeśli szuka

radia, to czy ogląda droższe modele (dobra wiadomość), czy te najtańsze (źle)? Trzeba wiedzieć, czym interesuje się frajer, ponieważ należy trafnie przewidzieć, gdzie znajdzie się za dwie czy trzy minuty, po to, by dać kolegom znać, jak mają się ustawić, żeby go okraść. Czy pójdzie porozmawiać z tamtym sprzedawcą, który trzyma w rękach komplet misek? Czy tylko ogląda jedno stoisko za drugim bez konkretnego celu? Klient targujący się o cenę ze sprzedawcą to roztargniony klient, a my, kieszonkowcy, tylko na takich czekaliśmy.

Najważniejsze było jednak to, żebym zorientował się, gdzie frajer trzyma pieniądze. Kiedy dowiadywałem się, gdzie ma gotówkę, klepałem się w to miejsce na swoim ciele, dając znać towarzyszom. Niektórzy chowali portfele w tylnej kieszeni spodni, ale należeli do rzadkości – nawet ludzie z Osiedla Ósmego Lipca wiedzieli, że takie pieniądze to najłatwiejszy łup dla kieszonkowców. Inni nosili wony w torebkach. Po kilku godzinach na targu przekonałem się, że około osiemdziesięciu procent Koreańczyków na Północy trzyma gotówkę w przedniej kieszeni spodni.

Po kilku dniach obserwacji sam zacząłem kraść. Ocierałem się o frajera i wsuwałem dłoń do jego kieszeni. Rozpraszał go więc zarówno sprzedawca, z którym się targowałem, jak i niegrzeczny wyrostek, który się obok niego przepychał. Zabierałem akurat to, co wpadło mi w rękę – okulary przeciwsłoneczne, klucze – i szedłem dalej.

Kook Cheol i inni byli krawcami. Nosili żyłki, ściskając je między palcami wskazującym i środkowym, gdy przechadzali się po targu, udając klientów. Kiedy spostrzegli kobietę z torbą płócienną lub torebką, podchodzili do niej, pochylając się, jakby przyglądali się towarom na straganie, i rozcinali dolną część torebki. Zanurzali dłoń i wyciągali pieniądze czy inne fanty. Niektórzy nosili nawet długie cienkie szczypce, którymi niepostrzeżenie wyciągali ludziom z kieszeni gotówkę. Często złodziej ma za grube ręce – frajer poczułby, że ktoś szpera mu w kieszeni. Tak więc doliniarz stoi z boku i trochę za ofiarą i wsuwa te długie szczypce (używane w Korei Północnej przez dentystów) do torby.

Na targu mieliśmy po swojej stronie nie tylko policję, ale także sprzedawców. Gdyby straganiarz zaczął wołać do ofiary, że ktoś ją okrada, ucierpiałby na tym jego biznes. Inni *Kkodzebi* uwzieliby się na niego. Ni stąd, ni zowąd mogłyby polecieć na niego kamienie albo stałby się celem dla wszystkich złodziei na targu, którzy ukaraliby go w ten sposób za wydanie

ich kolegi po fachu. Uważaliśmy, że kradzież jest wszystkim, co nam pozostało, naszym jedynym środkiem przetrwania, więc gdy sprzedawcy próbowali nas go pozbawić, broniliśmy się zaciekle. Ale podświadomie podejmowaliśmy decyzje o charakterze moralnym. Nigdy nie okradaliśmy na przykład kobiet w ciąży lub młodych matek z niemowlętami. Rozumiało się to po prostu samo przez się.

*

Kook Cheol i ja pomagaliśmy sobie nawzajem. Przejmowałem za niego wartę, kiedy chciał pójść pokraść na targu, a on w podzięcie przynosił mi jakąś przekąskę. Pewnego dnia poprosiłem, żeby odwzajemnił przysługę i wziął za mnie wartę, żebym mógł odwiedzić mamę. Zgodził się.

Po dwóch miesiącach w poprawczaku wyszedłem szukać matki.

Rozdział 40

Myślałem, że mama mieszka wciąż u mojego ojczyma, więc poszedłem w okolice dworca. Po drodze zobaczyłem grupę kobiet stojących wzdłuż ulicy – sprzedawały swoje ciało, by zarobić na pożywienie. Jedna z nich mnie rozpoznała i zawołała. Była starą znajomą mamy i powiedziała, że ta nie mieszka już z ojczymem. Zawróciłem więc i ruszyłem do starej mety stowarzyszenia, na wypadek gdyby tam właśnie trafiła. Wciąż miałem do niej pretensje, że tak długo nie zabrała mnie z poprawczaka, miejsca powszechnie znanego jako siedlisko zła. Krew wrzała we mnie na samą myśl o nim.

Kiedy otworzyłem drzwi mieszkania, uderzyła mnie fala stęchłego powietrza. Ujrzałem swoją matkę i mamę Hyo Sunga, które leżały na matach do spania tak, że ich głowy prawie się stykały. Miały zamknięte oczy i były nieruchome niczym kamienne posągi.

Moja matka ledwie zdołała unieść głowę, żeby na mnie spojrzeć. Jej oczy były szkliste i nieprzytomne. Znałem te objawy wygłodzenia; żadna z nich nie miała siły wstać. Rozejrzałem się po mieszkaniu w poszukiwaniu jedzenia, ale nie znalazłem niczego, nawet odrobiny kaszy kukurydzianej czy makaronu. Zjawiłem się w samą porę.

Za pieniądze, które miałem przy sobie, kupiłem trochę ciastek kukurydzianych i wróciłem do mieszkania. Mama i matka Hyo Sunga zjadły je łączywie. Po posiłku matka powiedziała mi, że nie miały nic w ustach od dwóch dni. Potem rozplakała się, jej piersią wstrząsało ciche łkanie.

– Co się stało? – spytałem.

– Właśnie niedawno miałeś urodziny, a ja nic dla ciebie nie przygotowałam.

Zupełnie zapomniałem o swoich urodzinach. Zdawało się, że zawsze wypadały w chwili największego kryzysu. Uśmiechnąłem się. Świadomość, że o nich pamiętała, sprawiła, że przestałem się gniewać.

– Nie przejmuj się – powiedziałem. – Po prostu ciesz się, że cię widzę.

Bez stowarzyszenia nie mogłem zdobyć dość pieniędzy, by wyżywić trzy osoby. Zaoszczędziłem trochę z tego, co uzyskałem ze sprzedaży kukurydzy i innych rzeczy skonfiskowanych nowym podopiecznym poprawczaka, ale szybko zdałem sobie sprawę, że to za mało. Musiałem wrócić do zakładu i znaleźć robotę. Zostawiłem matce całą swoją gotówkę i z ciężkim sercem poszedłem z powrotem do ośrodka z myślą, żeby dołączyć znowu do Kook Cheola i okradać ludzi na targu.

W końcu, po dwóch miesiącach pobytu w zakładzie, zgromadziłem dość pieniędzy, żeby przez krótki czas utrzymać nas troje przy życiu. Miałem też nadzieję, że będę w stanie utrzymać się na niezłym poziomie dzięki nowo nabytym złodziejskim umiejętnościom. Uciekłem znowu z poprawczaka i wróciłem do mieszkania stowarzyszenia. Ale teraz mieszkała tam inna rodzina. Zacząłem rozpytywać dookoła i wreszcie dowiedziałem się, że moja matka wyszła ponownie za mąż i wprowadziła się do „nowego męża”.

Znalazłem blok, w którym mieszkali, i poznałem swojego nowego ojczyma, smukłego i wesołego mężczyznę pod pięćdziesiątkę, który nazywał się Sung Min.

– O, jest wyższy, niż się spodziewałem! – Tak brzmiał jego pierwszy komentarz, gdy wszedłem w drzwi. Był sympatycznym facetem, widziałem, że moja matka jest z nim szczęśliwsza niż z moim pierwszym ojczymem.

Zjadłem posiłek złożony z zimnego makaronu kukurydzianego i kimchi z ogórka, w sam raz na upalny dzień, po czym padłem na matę i zasnąłem. Sung Min wiedział, że jestem wycieńczony, i nie próbował na siłę podtrzymać rozmowy lub pytać, kiedy zamierzam przynieść do domu pieniądze. Byłem mu za to wdzięczny, mój organizm był tak wyczerpany ciągłym napięciem, jakie panowało w poprawczaku, bezustannym strachem, jaki tam odczuwałem, że teraz po prostu odmówił mi posłuszeństwa. Spałem przez trzy dni, wstając tylko po to, żeby coś zjeść i skorzystać z ubikacji.

Kiedy się obudziłem, wspomnienia zakładu poprawczego wciąż mnie prześladowały. Jeszcze wiele miesięcy później, gdy chodziłem ulicami Hoeryŏngu, spostrzegałem starszych chłopaków, którzy podlegali mi w ośrodku. Nienawidzili każdego, kto kojarzył się z tym miejscem, z tym upokarzającym okresem ich życia, a zwłaszcza funkcyjnych. Wiedziałem, że mają mi za złe, że zachowywałem się wobec nich opryskliwie albo biłem ich, gdy nie słuchali rozkazów. Fakt, że byłem młodszy od wielu z tych, których pilnowałem, również ich wkurzał. Wołali: „Ej, pamiętasz mnie?”, a ja

natychmiast dawałem chodu, słysząc za plecami tupot ich kroków. Raz na jakiś czas ścigającym udawało się mnie dopaść i brałem w skórę.

Sung Min nie miał dość pieniędzy, by mnie utrzymywać. Tamtego lata, uciekając przed głodem, musiałem opuścić Hoeryŏng.

Rozdział 41

Poszedłem w góry. Pożywienie stało się w Korei Północnej tak cenne, że rolnicy w tych stronach wynajmowali ludzi do pilnowania upraw. Stróżom gwarantowano wyżywienie i dach nad głową aż do zakończenia żniw. Tak oto stałem się pasterzem kukurydzy, strażnikiem spieczonych słońcem pól.

Kto był moim dobrodziejem? – spytacie. Kto zabrał mnie z ulicy i zapewnił czyste górskie powietrze i mnóstwo (no, raczej nie mnóstwo, ale dość) świeżych warzyw do jedzenia? Mój mały dziadek.

Wciąż miałem do niego pretensje o to, jak potraktował moją matkę i mnie, ale takie sprawy przestają się liczyć, kiedy człowiek głoduje. Powód, dla którego my dwaj znowu się spotkaliśmy, był prosty: on potrzebował kogoś, kto popilnowałby jego upraw, a ja potrzebowałem jedzenia. Jestem pewien, że do tego czasu zdążył się dowiedzieć, że trudniłem się kradzieżą – jak inaczej bym przetrwał, brudny, prawie tego samego wzrostu, co kiedyś, ale żywy? Przypuszczam jednak, że mały dziadek nigdy nie zadał sobie tego pytania. A może wciąż liczył na to, że moja matka wyjedzie do Chin i zacznie przysyłać pieniądze, w związku z czym wolał być ze mną na dobrej stopie.

Głód potrafi zmuszać ludzi do dziwnych postępów. Nic nie jest czyste i trzeba raz po raz przyglądać się motywom, jakimi inni się kierują, by mieć nadzieję odkryć choć cząstkę tego, co się dzieje w ich głowach. Najbardziej przebiegła myśl potrafi mieszać się z nagłą chęcią ocalenia nieznajomego. Ta sama osoba, która jednego dnia przygarnęła cię z ulicy i uratowała ci życie, może następnego dnia patrzeć, jak bierzesz kawałek kurczaka, i myśleć sobie: Ten chłopak odbiera życie moim dzieciom. Wściekłość zjawia się ramię w ramię z miłosierdziem. Szczodrość i czysty egoizm nie są od siebie wcale aż tak odległe.

I tak mój mały dziadek, najbardziej jednoznacznie czarny charakter, jaki w życiu spotkałem, stawał się podczas tych letnich miesięcy, gdy dla niego pracowałem, bardziej zagadkowy.

Do czasu, gdy był gotowy mnie zatrudnić, mały dziadek zdążył już pójść w pobliskie góry i na niewielkiej działce ziemi, która do niego należała, zbudować namiot. Ciotka przygotowała mi pakunek z taką ilością jedzenia, by starczyło mi go na dwa dni, do czasu, gdy dotrę na pola i będę mógł żywić się warzywami, które rosły przy kukurydzy. W samym ciężarze pakunku wyczułem jej miłość. Było jej przykro za to, co stało się w przeszłości – nie miałem co do tego wątpliwości. Paczka była pełna smakołyków, jakich nie jadłem od wielu miesięcy.

Tamtego pierwszego lata poszedłem w góry sam, choć dręczyła mnie samotność. Nie znałem tego rejonu kraju, czyli Beock Sung Lee, godzinę drogi na południowy zachód od Hoeryŏngu. Byłem przyzwyczajony do miejskiego zgiełku, a góry okazały się ciche i ciemne. Bardzo niewielu ludzi mieszkało tu przez cały rok i nie ma tam niczego, co odciągałoby człowieka od wspomnień. Zniknęła nawet potrzeba zdobycia pożywienia: tuż pod moim nosem rosły długie grządki warzyw i mogłem najadać się do syta. Umysł, do tej pory tak bardzo zajęty walką o przetrwanie, mógł teraz snuć dowolne myśli.

Pierwszej nocy lunął deszcz. Zamknąłem namiot najlepiej, jak umiałem, i położyłem się na cienkiej plastikowej macie, którą zostawił mi mały dziadek. Po raz stutysięczny zastanawiałem się, gdzie jest siostra i co robi w tej właśnie chwili. Czy udało jej się wyjść za jakiegoś dobrodusznego Chińczyka, może jakiegoś starszego mężczyznę mieszkającego na zapadłej wsi, skąd wszystkie młode kobiety wyjechały do pracy w fabrykach? Czy jest dla niej dobry i wdzięczny za tak uroczą żonę? Wiedziałem, że byłaby wspaniałą żoną w takiej sytuacji. Po prostu przeniosłaby swoje poczucie obowiązku ze mnie na tego Chińczyka. Postrzegałem swoją siostrę w ten sposób tak długo, że właściwie nie umiałem jej sobie wyobrazić inaczej.

Takie myśli wkrótce stały się pożywką dla nadziei i fantazji. Wyobrażałem sobie coś niemożliwego: że zostaję milionerem. Ale jak mógłbym zdobyć bogactwo w kraju nękanym nędzą?

Najszybszą drogą do milionów w Korei Północnej, o ile nie piastowało się wysokich urzędów, był handel. Trzeba było przedostawać się do Chin, kupować towary i sprzedawać je z powrotem w Korei. Ale ile takich kursów pozwoliłoby się wzbogacić na północnych Koreańczykach? Mnóstwo, bez liku. Wszystko to było więc absurdalne, lecz rzeczywistość bynajmniej nie powstrzymywała mnie od podobnych szalonych fantazji.

Nie zastanawiałem się oczywiście nad tym jak, a myślałem tylko, co by było gdyby. Co by było, gdybym obudził się pewnego ranka i poczuł zapach gotowanego przez matkę jedzenia, i usłyszałbym, jak gawędzi wesoło z Bong Sook? Co by było, gdybym otworzył oczy i zobaczył, jak siostra składa swoją matę do spania, i ogarnęłoby mnie przepyszne poczucie, że mój brzuch wkrótce się zapełni naleśnikami kukurydzianymi, tyłoma, ile tylko zapagnę? Co by było, gdybym mógł zobaczyć mój świeżo wyprany szkolny mundurek, leżący na wieku naszego kufra, i wiedziałbym, że koledzy czekają na mnie w szkole, gdzie częstowałbym wszystkich nieskończonymi zapasami kupowanych w sklepie smakołyków? Wszystko kręciło się wciąż wokół jedzenia. Jedzenie miało moc zdolną sprowadzić do mnie matkę i siostrę. Mogło przywrócić mi dawnych przyjaciół i sprawić, że będziemy bezpieczni. Leżałem w namiocie, krople deszczu wpadały w słomianą strzechę, która pokrywała foliowy dach, i gubiłem się w tych myślach.

Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że kończy mi się jedzenie. Gdyby deszcz miał dalej padać, drewno zamokłoby, a to by oznaczało, że nie ma jak rozpalić ogniska, żeby cokolwiek ugotować. Zacząłem wydzielać sobie skromniejsze porcje pyszności od ciotki. Moje myśli stały się ponure i przepojone samotnością. Kiedy wychylałem głowę z namiotu, nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było żywego ducha. Tęskniłem za kumplami z targu, może nie przyjaciółmi, którym mógłbym powierzyć własne życie, ale przynajmniej kompanami, z którymi można pogadać, poplotkować i pośmiać się z jełopów ze wsi.

Kiedy obudziłem się czwartego dnia, świeciło słońce. Słysząc było świerszcze, a mokre jeszcze od deszczu kłosa kukurydzy, jaskrawozielone i lśniące w jasnym świetle, sprawiały wrażenie plastikowych atrap. Zabrałem się do pracy. Było jej sporo: trzeba było pielic ogródek, patrolować pola (raz na jakiś czas przeganiałem dzieciaki, które robiły to samo, co ja kiedyś, gdy sami uprawialiśmy z ojcem kukurydzę), chodzić do studni, która zaopatrywała w wodę całą okolicę. To było najgorsze. Racjonowałem sobie wodę, nie prałem nawet ubrań, byle tylko oszczędzić sobie długiej wyprawy z pięciolitrowym plastikowym baniakiem. Po napełnieniu był tak ciężki, że gdy wróciłem wreszcie do namiotu, zdawało mi się, że ramiona zrobiły mi się dłuższe o dziesięć centymetrów. Miałem nadzieję, że przy studni zastanę kogoś ze wsi i po raz pierwszy od wielu dni zamienię słowo z żywym człowiekiem. Ale nikogo nie było i wróciłem do namiotu, stęskniony za

domem.

*

Zawarłem tamtego lata jedną znajomość, z byłym więźniem, który pilnował gospodarstwa swojego brata – też tylko po to, żeby przeżyć, jak ja. Odsiedział trzyletni wyrok za ucieczkę do Chin, gdzie się urodził. Zasypywał mnie opowieściami o swoim pobycie w Chinach: o tym, że miał tyle pieniędzy, że pijany szwendał się po ulicach, wchodził do restauracji i zamawiał fury homarów i wołowiny, popijając to wszystko litrami piwa. Tańczył z młodymi Chinkami i chodził do kina, i oglądał po trzy filmy z rzędu, pochodzące z różnych zakątków świata. Jego opisy filmów z Bruce'em Lee wywarły na mnie takie wrażenie, że jeszcze przez wiele godzin nie mogłem myśleć o niczym innym.

Pewnego dnia mój kolega skazaniec powiedział:

– Maczku, jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w Chinach, kościoły dadzą ci pieniądze.

– Co to jest kościół? – spytałem.

Popatrzył na mnie tak zdziwiony, że na chwilę oniemiał.

– Mmm, to miejsce, gdzie czci się Boga.

Nie rozumiałem żadnego z tych pojęć – ani co to znaczy czcić, ani co to jest Bóg – więc przeszedłem od razu do tego, co najbardziej mnie zainteresowało.

– Czemu te kościoły rozdają ludziom pieniądze?

Znowu bardzo go zdziwiłem. Chyba nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał. Lekko rozchylił wargi.

– Czemu właściwie dawali mi pieniądze? – mruknął pod nosem. – Och, tak! Bo to chrześcijanie.

– Co to chrześcijanie?

– To ludzie w kościołach.

– Tak, wiem. Ale czemu chrześcijanie dają forszę nieznajomym?

Zaczął się trochę irytować.

– Bo chrześcijanie po prostu tak robią. Rozdają rozmaite rzeczy. Są inni niż normalni ludzie.

Westchnąłem.

– Nic nie kapuję.

Były więzień usiłował mi wyjaśnić, ale widziałem, że nawet on nie rozumie, co mówi. W Korei Północnej nie istniało pojęcie robienia czegoś dla innych z dobroci. Bezwarunkowa miłość była dla mnie czymś obcym. Robiło się coś ze względu na rodzinne zobowiązania, z głodu albo z chciwości, albo dlatego, że nie miało się innego wyboru. Ale to, co mi opisywał – ludzi swobodnie rozdających ciężko zarobioną kasę nieznajomym – wyglądało mi na czyste wariactwo.

Zmieniliśmy temat, ale opowieści byłego więźnia zapadły mi w pamięć. Myślałem o chrześcijanach jako o kompletnych dziwakach, niemal nie z tego świata. Chciałem ich poznać, dotknąć, przekonać się, że takie stworzenia rzeczywiście istnieją.

Wkrótce miała mi się nadarzyć taka okazja.

Rozdział 42

Przewóz nieobranej kukurydzy do miasta byłby dla małego dziadka bardzo drogi, więc do moich zadań należało również powolne zbieranie plonów, obieranie kolb kukurydzy z liści i przygotowywanie ich do transportu. Brałem łodygę kukurydzy, obrywałem kaczany, obierałem je i rzucałem na kupkę. Na koniec dnia rozkładałem je na ziemi, żeby wyschły. W okresie żniw mniej więcej raz na tydzień mały dziadek przyjeżdżał do mnie na rowerze, pakowaliśmy wysuszoną kukurydzę do worka, a on wracał z ładunkiem do miasta, żeby mieć zapasy na zimę. Przez cały sezon zebrałem ponad czterysta kilogramów kukurydzy, za które w Korei Północnej można by było dostać duże pieniądze. Ale trzeba było bardzo się napracować i spędzić wiele godzin na palącym słońcu.

Dotarłem w góry pod koniec sierpnia, ale główną część plonów mogłem zacząć zbierać dopiero pod koniec września, gdy kukurydza dojrzała. Przez cały sierpień z wytęsknieniem czekałem na żniwa, kiedy to będę mógł pójść do wsi i wymienić część plonów na inne dobra. W mieście naręcze kukurydzy kosztowało tyle, że można było kupić dwie miski makaronu. Na wsi wszyscy uprawiali kukurydzę, więc jej cena była znacznie niższa. Ale za naręcze można było kupić dziesięć cukierków i na nich właśnie mi zależało. W głębi serca wciąż byłem dzieckiem.

Kiedy nadszedł wrzesień, codziennie rano niecierpliwie szukałem na obrzeżach pola roślin, które jako bardziej wystawione na promienie słońca szybciej dojrzewały. Kiedy znalazłem kilka gotowych do zbioru, pourywałem kolby i czym prędzej zszedłem z góry, kierując się prosto do wsi.

Wmaszerowałem do sklepiku, rzuciłem kukurydzę na ladę i wyszedłem ze słodyczami. Jednego cukierka natychmiast wpakowałem do ust i mlaskając, słuchałem, jak grzechocze mi o zęby, a resztę wepchnąłem głęboko do kieszeni. Musiałem być ostrożny: droga, którą przyjeżdżał mały dziadek, przebiegała tuż obok sklepu. Ssałem cukierka, patrząc uważnie, czy w dali nie majaczy siwa głowa dziadka. Po miesiącu żywienia się wyłącznie warzywami miałem wrażenie, jakby cukierek smakował zupełnie nieziemsko. Ciało mrowiło mnie przyjemnie od cukru i od razu poprawił mi się humor.

Mały dziadek mnie wykorzystywał: nie płacił mi za dwa miesiące pracy nic, jeśli nie liczyć kukurydzy, którą jadłem. Zacząłem więc wykorzystywać jego. Zebrałem nieco kukurydzy i zachowałem dla siebie. Na samą myśl, że go okradam, robiło mi się przyjemnie. Wciąż nie mogłem mu wybaczyć tego, jak postąpił. Do mojego przedsięwzięcia zaangażowałem nawet nowego znajomego. Nie mogłem schować całej kukurydzy w pobliżu namiotu, więc poszedłem do byłego więźnia i powiedziałem: „Proszę, schowaj to dla mnie, póki się po to nie zgłoszę”. Ten znał historię mojej rodziny i nie poczuwał się do solidarności z takim cwany mieszczuchem jak mały dziadek. Zrobił więc to, o co poprosiłem.

Nie nienawidziłem małego dziadka, tak bym tego nie określił, ale wiedziałem, że traktuje mnie jak obcego. Byłem dla niego tylko trybikiem, elementem systemu gospodarczego. Nigdy nie czułem, by uznawał mnie za krewniaka. W związku z tym sam traktowałem go jak frajera na targu w Hoeryöngu.

*

Jedną z najtrudniejszych do zniesienia wad bezdomności jest ciągłe narażanie się na wstyd. Kiedy pracowałem jako złodziej lub żebrak, często zapomniałem, jak wyglądam. Nie liczyło się, jak umorusaną miałem twarz i ile dziur w koszuli ani czy w ogóle nosiłem jakieś obuwie, czy nie, ponieważ wszyscy inni dookoła płynęli tą samą łodzią. Kiedy jednak widziałem kogoś, kogo znałem z poprzedniego życia, zalewały mnie wstyd i rozpacz. Widziałem się wtedy takim, jakim oni mnie widzą, jako pół człowieka, pół padlinożernego ptaka. Kiedyś sam patrzyłem tak na innych, którzy stali się bezdomni. Nie byli już sobą. Byli jadowitymi owadami, tylko że wielkości człowieka.

Kiedy więc widziałem na mieście swoich dawnych nauczycieli, twarz piekła mnie ze wstydu. Uciekałem, żeby mnie nie zobaczyli. Tak samo z byłymi kolegami z klasy.

Na wsi zdawało mi się, że jestem niewidzialny dla innych, ale nawet w małych miasteczkach były dzieci, które chodziły do szkoły, i czasami maszerowały obok nas drogą, gdy mały dziadek i ja akurat tamtędy szliśmy. Widziałem długie rzędy uczniów w mundurkach. Niektórzy nieśli duże

czerwone flagi Korei Północnej i śpiewali pieśni patriotyczne. Kiedy mnie spostrzegali, zaczęli się gapić. Na wsi nie widuje się zbyt wielu *Kkodżebi*, bo bezdomne dzieci lgną do miast. Byłem więc wielkim dziwem.

Pewnego razu schodziliśmy z góry, ciągnąc do miasta wóz pełen kukurydzy. Jeżeli w Korei Północnej ktoś ciągnie wóz, to znaczy, że zajmuje miejsce wołu. Robią tak tylko biedacy. Jeżeli wóz ciągnie dziecko, to znaczy, że rodzina popadła w taką nędzę, że nie może sobie pozwolić nawet na to, by posłać dziecko do szkoły.

Tego dnia mijają nas więcej uczniów, którzy patrzyli na mnie ze współczuciem. Byłem ich rówieśnikiem, ale zamiast iść do szkoły, harowałem jak wół. Poczułem wstyd, który zdawał się pełzać mi po twarzy niczym robactwo. Mały dziadek spostrzegł moją reakcję, a może tylko ją wyczuł – tak wiele w Korei Północnej trzeba się raczej domyślać! – i powiedział mi coś, czego nigdy nie zapomnę.

– Wstydzisz się? – spytał.

– Oczywiście, że tak – odburknąłem.

– Nie powinieneś.

Milczeliśmy przez chwilę, oś wozu skrzypiała, gdy ciągnęliśmy go po nierównej drodze.

– Czytałem raz taką japońską książkę – odezwał się w końcu. – Bardzo dobrą książkę.

Prychnąłem. Nie miałem ochoty słuchać o żadnej książce, ani japońskiej, ani jakiegokolwiek innej. Gotowałem się wewnętrznie ze złości. „Mam pracę – chciałem krzyknąć do tych dzieci. – Jestem pasterzem! Jestem taki sam jak wy!”. Ale milczałem.

– Opowiadała o trzech złodziejach, którzy okradali ludzi na wsi – podjął mały dziadek. – Zostali schwytani i trafili do więzienia, które znajdowało się na dalekiej wyspie. Siedzieli tam przez wiele lat. Wreszcie ich wyroki dobiegły końca, wypuszczono ich, a oni wsiedli na statek handlowy i ruszyli w drogę powrotną na stały ląd. Mimo że ci złodzieje jedli trzy posiłki dziennie, podczas pobytu w więzieniu niczego się nie nauczyli: nie zapewniono im żadnych warsztatów ani kursów, w związku z tym wrócili do dawnych zwyczajów. Kradli rzeczy z kajut marynarzy, aż wreszcie zostali przyłapani. Jak myślisz, co zrobili z nimi marynarze?

Czemu on mi to opowiada? – zachodziłem w głowę.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Wyrzucili ich za burzę! I chociaż ci złodzieje całe lata spędzili na wyspie, to wiesz, że nawet nie nauczyli się pływać? Tak więc się potopili.

Spojrzałem na małego dziadka, lecz on szedł dalej z oczami zwróconymi prosto przed siebie. To była najwyraźniej puenta całej historii.

Przez lata nie doceniałem tej opowieści. Uważałem, że to banalnie prosta przypowieść o złym uczynku i karze, a trzeba wam wiedzieć, że mały dziadek lubił, gdy ludzie dostawali to, na co zasłużyli. (Wystarczy przypomnieć, ile miłosierdzia okazał mojej matce lub – skoro już o tym mowa – mnie). Ale myślę, że nie byłem w stosunku do niego sprawiedliwy. Z perspektywy czasu nie wydaje mi się osobą tak jednoznaczną, a był człowiekiem głęboko myślącym, choć oschłym i mało sympatycznym. Kiedy teraz zastanawiam się nad tą opowieścią, jestem przekonany, że próbował mi przez nią wyjaśnić, że moje żałosne położenie, odzianego w łachmany nastolatka bez domu, nie jest moją winą. Władze państwowe nie zadbały o edukację trzech złodziei ani nie zapewniły im fachu, lecz rzuciły ich z powrotem w świat, gdzie mieli tylko jedno wyjście: kraść. W najbardziej życzliwej interpretacji samej historii i powodów, dla których mi ją opowiedział, mały dziadek mówił mi więc: To nie twoja wina. Podarte ubranie i brudne, posklejane włosy to nie to, kim jesteś naprawdę. Odwagi.

Były to zupełnie niezwykle słowa jak na niego. Mały dziadek popierał rząd i partię, ale opowiadał mi wywrotowe historie o tym, jak urzędnicy państwowi nie zadbali o obywateli. Mały dziadek musiał więc być człowiekiem bardzo smutnym. Może nie czuł się też w porządku, jeśli chodzi o to, jak postąpił ze mną i moją matką.

Może nie zrozumiałem tego staruszka. Czasami wierzę, że gdzieś w głębi dręczyły go wyrzuty sumienia. Niewykluczone.

Rozdział 43

W 2004 roku skończyłem czternaście lat, a gdy nadeszły żniwa, zebraliśmy plony i zrobiliśmy zapasy na nowy rok. W Korei Północnej funkcjonuje tradycja, że w tym czasie, a ściślej 12 września, chodzi się na cmentarz i polewa alkoholem groby przodków, aby w ten sposób podziękować im za udane żniwa. Potem ze świeżo zebranej kukurydzy przygotowuje się odświętny posiłek.

Pod wieloma względami jest to okazja podobna do amerykańskiego Święta Dziękczynienia. To wielka uroczystość. Ze wszystkich zakątków kraju zjeżdża się cała rodzina; drogi są zatłoczone, bo tylu ludzi wybiera się w podróż do krewnych. Tylko bogaci jeżdżą na motocyklach, wszyscy pozostali zaś ustawieni gęsiego idą poboczem na piechotę. Kiedy już dotrą na miejsce, dzieci uciekają rodzicom i bawią się całymi godzinami ze swoimi kuzynami. Wszyscy jedzą do syta i smacznie. To było zawsze jedno z moich ulubionych świąt.

Ale tego roku 12 września przypominał mi tylko boleśnie, że nasza rodzina rozpieczętała się na cztery wiatry. Poszedłem na grób ojca sam z buteleczką samogonu, którą dał mi mały dziadek. Zgodnie z tradycją mówi się nad grobem kilka słów, na przykład: „Ojcze, jestem tu. Dziękuję ci za te wszystkie lata poświęceń”. Ale była to tylko rytualna formułka. Nie umiałem opowiedzieć niczego ze swojego życia. Mimo historii, którą usłyszałem od małego dziadka, wstydziłem się tego, kim się stałem, i czułem, że nie mam za co być wdzięczny. Nie mogłem powiedzieć tego, co naprawdę czułem: „Jestem zmęczony i nie wiem, co robić”. To by było niestosowne. Tak więc stałem milcząco przed mogiłą, wspominając chwile spędzone z rodziną, te smutne i te szczęśliwe.

Jesień nie przyniosła zmiany. Miałem tylko to, co udało mi się nakraść z pola małego dziadka. Moja matka mieszkała z obcym facetem, a siostra gdzieś w Chinach w zupełnie nieznanym warunkach. Kiedy jest się w Dzień Dziękczynienia samemu, z dala od najbliższych, bez domu, święto staje się puste i bolesne.

*

Kiedy skończyłem pracę u małego dziadka, poszedłem do mieszkania Sung Mina. Pracował teraz jako ochroniarz w szpitalu i zarabiał grosze. Raz na jakiś czas kradł z pracy pudełko gwoździ czy trochę drewna opałowego, a matka sprzedawała to na targu. Ale oboje tracili na wadze, skóra wisiała im na kościach w luźnych, wysuszonych płatach.

Sam kradłem po nocach i spałem w dzień. Pewnego ranka wróciłem do mieszkania i stwierdziłem, że matki nie ma u Sung Mina.

– Znowu została aresztowana – powiedział mi z żalem Sung Min.

Poszła na spotkanie z pośrednikiem, który miał jej pomóc przedostać się do Chin, a ten ją zadenuncjował. Moja matka siedziała teraz w areszcie w Manyangu, podejrzana o usiłowanie ucieczki z Korei Północnej.

Byłem zrozpaczony. Matka została zatrzymana już po raz trzeci. Bałem się, że władze dadzą jej teraz długi wyrok.

Znałem oczywiście Manyang. Poszedłem odwiedzić matkę i wziąłem trochę mąki kukurydzianej oraz dwie aspiryny, które specjalnie dla niej kupiłem. Strażnicy nie pozwolili mi się z nią zobaczyć, więc poprosiłem, żeby przekazali jej to, co przyniosłem. Opuściłem areszt z ciężkim sercem.

Później matka napisała do Sung Mina, że rozplakała się, gdy dostała aspirynę i usłyszała, że to ode mnie. Była wtedy poważnie chora i lekarstwo pomogło jej wyzdrowieć. Kiedy się o tym dowiedziałem, żałowałem, że nie wydałem wszystkich swoich pieniędzy i nie kupiłem jej tuzina aspiryn. Ale może nie tylko aspiryna pomogła jej odzyskać siły, lecz także świadomość, że o niej myślę.

*

Czas płynął. Żyłem na ulicy. Tamten rok zlewa mi się w serię powtarzających się bez końca czynności. Wstawałem w południe. Czekałem, aż się ściemni. Kradłem. Jadłem. Kładłem się spać. I tak dalej, i dalej, bez żadnego dnia odpoczynku. Z całych miesięcy życia właściwie nic nie pamiętam.

Nadeszło lato i mały dziadek znowu zatrudnił mnie do pilnowania kukurydzy. Po tym, jak zebraliśmy ostatnie kolby kukurydzy i zapas drewna

na opał na nadchodzącą zimę, uprzątnęliśmy obozowisko i przygotowaliśmy wszystko na przyszłoroczne siewy, mały dziadek mnie zaskoczył.

– Chcesz chodzić do szkoły? – zapytał.

– Tak, oczywiście – powiedziałem.

– To zamieszkaż u mnie.

I tyle. Ni stąd, ni zowąd zaproszono mnie do domu, z którego zostałem wygnany trzy lata wcześniej. Może wszystko to była lekcja, której mały dziadek mi udzielił: w głębi duszy nie jesteś złodziejem, jesteś uczniem, który miał w życiu pecha.

Byłem tak szczęśliwy i podekscytowany tym, że znowu będę uczniem, tym razem w przedostatniej klasie szkoły średniej. Miałem teraz piętnaście lat i nadarzyła mi się okazja powrotu w miejsce, które stało się dla mnie mglistym wspomnieniem.

Rozdział 44

Pierwszego dnia stawiłem się w szkole wczesnym rankiem. Była to ta sama placówka, gdzie uczyłem się jako dziesięciolatek: parterowy malowany budynek z białej cegły. Klasy miały duże okna z małymi kwadratowymi kwaterami, ciemnozielone ławki z żółtymi krzesłami, których farba wyblakła z biegiem lat. Poczułem się, jakbym wszedł w świat, który trwał bez żadnych zaburzeń, kiedy mnie w nim zabrakło. Zobaczyłem te same dzieci, które znałem w czwartej i piątej klasie, tych samych chłopaków, z którymi biłem się i przeżywałem rozmaite przygody przed laty, te same dziewczyny, z którymi się bawiłem (choć Hyaе Mi, moja szczenięca miłość, przeniosła się do innej szkoły). Wszystko było takie samo, jak gdybym opuścił mury budynku nie dalej niż kilka tygodni temu. Ale oczywiście było to złudzenie. Wszyscy w środku bardzo się zmieniliśmy.

Miałem na sobie nowy mundurek, granatowe spodnie i marynarkę z pięcioma guzikami. W tornistrze przyniosłem nowiutki zeszyt. I szybko odnalazłem kilku starych kumpli: Ahn Jin Hyuka, Kim Goom Hyuka i Kim Myung Ila.

Znałem tych trzech z podstawówki i wszyscy zaliczali się teraz do grupy równiachów. Dziewczyny, które znałem jako nieopierzone i nieporadne jedenastolatki o pulchnych buźkach, wyrosły na pełne wdzięku, piękne istoty. Byłem zdumiony. Zaszła w nich jakaś tajemnicza zmiana. Włosy miały uczesane, figury zaokrąglone. Nie było mnie trzy lata, więc zdawało się, jakby to wszystko nastąpiło z dnia na dzień.

Szkoła okazała się dziwna. Myung Il, który w podstawówce trochę błaznował, teraz nosił ksywkę „Siekiera”, bo podobno budził powszechny strach.

– Ale to przecież Myung Il – powiedziałem. – Wcale nie jest straszny!

Ahn również mnie zaskoczył: pewnego dnia zaczął namawiać mnie, żebyśmy się siłowali na ręce.

– Żartujesz? Ja pracowałem w polu i biłem się na ulicach – powiedziałem.

Ale wreszcie się zgodziłem i nie mogłem uwierzyć, kiedy mnie pokonał. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że on przez ostatnie cztery lata jadał do syta, podczas gdy mnie musiały wystarczyć dwa lub jeden posiłek dziennie.

Byłem wstrząśnięty, że ten chłopak jest silniejszy ode mnie.

Pierwszą lekcją, na którą poszedłem, był angielski i natychmiast wyczułem kłopoty. Znałem trzy, góra cztery słowa po angielsku: „cześć”, „okay”, „nie” i może jeszcze jedno. Moja wiedza była wiedzą dwunastolatka. Oczywiście wszyscy inni uczniowie uczęszczali do szkoły regularnie i jak tylko wszedłem, usłyszałem to dziwne szwargotanie, obco brzmiącą angielszczyznę w koreańskich ustach. W stosunku do kolegów z klasy byłem o całe lata do tyłu, a w szkołach północnokoreańskich nie ma zajęć wyrównawczych. Jak zostaniesz z tyłu, to już po tobie.

Ale pod względem towarzyskim czułem się w siódmym niebie. Mogliśmy robić wszystko, o czym moi kumple i ja marzyliśmy jako dwunastolatkiem. Kiedy po lekcjach wyszedłem na szkolne podwórko i koledzy odwrócili się w moją stronę, wszyscy trzymali w dłoniach papierosy. Też zacząłem palić, co w Korei Północnej jest oznaką dorosłości. A później flirtowaliśmy z dziewczynami.

Otoczał mnie teraz nimb tajemniczości. Wszyscy inni *Kkodzebi*, których moi koledzy znali, albo nie żyli, albo trafili w łapska Saro-cheongu, co sprawiało, że byłem w ich oczach kimś wyjątkowym. Nigdy nie naśmiewali się z tego, że byłem bezdomny: dojrzeli na tyle, by rozumieć, że nie zostałem *Kkodzebi* z wyboru.

Nie wszyscy w szkole okazali się jednak tak wyrozumiali. Kierownik Saro-cheongu w moim okręgu był jednocześnie jednym z moich nauczycieli, agresywnym facetem, który chorobliwie interesował się życiem uczniów. Był onieśmielającym typtkiem, który uwielbiał korzystać z władzy, jaką nad nami miał. Mojego czwartego dnia w szkole zobaczył mnie i podszedł.

– Więc opuściłeś targ? – zauważył z uśmiechem.

Byłem trochę zaskoczony. Facet wypominał mi, że przez trzy lata byłem bezdomnym wyrzutkiem.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Pokiwałem tylko głową.

Widziałem, że część uczniów – zwróciłem uwagę szczególnie na dwie ładne uczennice – uważnie się nam przygląda.

– Czy tym razem zamierzasz wytrwać w nauce? – zapytał donośnym głosem.

– Tak. – Skrzywiłem się boleśnie.

– Dobrze. Oby ci się udało.

Krew się we mnie zagotowała.

W szkole objąłem się tak samo jak kiedyś, ale teraz miałem bardzo dobre usprawiedliwienie tego, że sobie nie radzę. W ciągu dnia siedziałem przy piecu, który znajdował się w komórce na tyłach klasy. Tam cały dzień palił się ogień, który ogrzewał budynek (nie było bojlera ani centralnego ogrzewania). Razem z kumplami paliliśmy tam na spółkę papierosy i gadaliśmy. Wszyscy olewali naukę, bo było wiadomo, że w Korei Północnej dobre stopnie nic nie znaczą, kiedy nie ma się rodzinnych koneksji. Sąsiedztwo pieca miało tę zaletę, że ilekroć zauważyliśmy zbliżającego się nauczyciela, wydychaliśmy dym z papierosów do paleniska. Kupowaliśmy papierosy na sztuki i paliliśmy każdego na spółkę, ale czuliśmy się bardzo dorośle i zarąbiście, zresztą byliśmy uzależnieni.

Pewnego dnia nauczyciel przechodził obok komórki, a chłopak, który właśnie się zaciągnął, wlepił w niego przerażony wzrok. Zdążył wrzucić peta do paleniska, ale pozostał jeszcze jeden problem: dym, który miał w płucach. Nauczyciel wszedł do kanciapy i spojrzał na niego znacząco.

– Wydmuchnij to – polecił spokojnie nauczyciel. Nasz kumpel tylko się na niego gapił, coraz bardziej czerwieniejąc na twarzy. – Wydmuchnij...

W końcu nie wytrzymał i z głośnym stęknięciem buchnął nauczycielowi dymem prosto w twarz.

Belfer złapał mojego kumpla za kołnierz i wyprowadził na korytarz. Reszta z nas zarechotała wesoło. Ale później inni wracali na lekcje i dostawali piątki albo czwórki, podczas gdy ja byłem pewien, że na świadectwie zobaczą same żałosne trójki i dwójki.

Czy myślałem wtedy o swoim ojcu i jego umiłowaniu nauki? Owszem, ale starałem się odpychać od siebie te myśli. Tego już za dużo. Nie jestem nadczłowiekiem, mówiłem sobie. Wystarczy, że mogę się cieszyć tą odrobiną słodkiego życia, póki trwa. A na pewno nie potrwa długo, jak większość życiowych przyjemności.

I wcale się nie pomyliłem.

Rozdział 45

Po szkole ćmiliśmy papierosy z kumplami, szwendaliśmy się po ulicach lub przesiadywaliśmy w domu któregoś z nich. Do małego dziadka wracałem dopiero o północy, a on czekał na mnie z podejrzliwą miną.

– Gdzie się podziewałeś?

– Miałem dodatkowe lekcje – powiedziałem. – Musiałem zostać dłużej, żeby nadrabiać zaległości.

Kiedy skłamałem pierwszy raz, popatrzył na mnie z powątpiewaniem, ale nie zakwestionował mojej prawdomówności. Ale gdy wciąż wracałem o północy, cuchnąc dymem z papierosów, zaczął patrzeć na mnie inaczej. Wszelki ślad współczucia lub sympatii, które i wcześniej trudno było u niego dostrzec, teraz stanowczo wyparował. Najwyraźniej okazałem się kiepską inwestycją, rokującą same straty.

– Nie widzę dla ciebie nadziei – powiedział mi pewnej nocy. – Jutro musisz opuścić mój dom.

Idylla trwała tylko kilka tygodni. Dziwne: teraz zajmuje w mojej pamięci poczesne miejsce. Z tego krótkiego okresu pamiętam więcej szczegółów niż z całych lat swojego życia. Byłem znowu szczęśliwy. Spotkałem się po latach z kolegami. W oczach małego dziadka okazałem się nieudacznikiem, owszem, ale gdy po tylu latach cierpień znajdujesz znowu szczęście, chcesz się cieszyć każdą jego sekundą. I tak właśnie robiłem.

Czasami zastanawiałem się, co by się stało, gdybym traktował szkołę poważnie. Mogłem przykładać się sumiennie do nauki i podciągnąć swoje stopnie tak, że mały dziadek byłby ze mnie zadowolony i pozwoliłby mi mieszkać u niego na zawsze.

A tak wylądowałem znowu na ulicy.

*

Wróciłem do domu Sung Mina, który okazał się na tyle miły, że pozwolił mi zostać, nie prosząc o nic w zamian. Zbliżał się jednak Nowy Rok, a kiedy nadejdzie, nie powinno się mieszkać w domu z kimś, kogo się ledwie zna.

Uważa się to za niegrzeczność – prosisz kogoś prawie obcego, żeby cię nakarmił, tak jakbyście byli krewnymi. Ponieważ jednak tak zwane małżeństwo mojej matki było dla mnie wystarczającym powodem, by uznać to mieszkanie za swój dom, czekałem tam na wiadomości o jej wyroku – czy zostanie zesłana do obozu pracy.

Wciąż miałem pieniądze z kukurydzy, którą ukradłem małemu dziadkowi, i wydałem je na jedzenie dla Sung Mina. Siedzieliśmy na poddaszu, które było naszym tajnym miejscem, i graliśmy w karty – w bardzo znaną w Korei Północnej grę o nazwie 44A. Wymaga ona ogromnych umiejętności strategicznych i można całkiem się zatracić, zgłębiając rozmaite teorie i systemy, którymi obrosła. Dostaliśmy na jej punkcie obsesji, graliśmy całymi godzinami i zapraszaliśmy do gry sąsiadów. Był wśród nich taki facet, Chul Nahm, który wiele razy podróżował do Chin i przywiózł furę gotówki, i jak większość ludzi, którzy nagle się wzbogacili, natychmiast ją roztrwonił. Był zabawnym, rozrywkowym gościem, gadułą, który umiał oczarować dziewczynę w ciągu pięciu minut.

– Maczku, forsa jest jak narkotyk – mawiał mi. – Jak ją raz zdobędziesz, nigdy nie będziesz umiał wrócić do normalnego życia.

Ale teraz sam przymierał głodem tak jak reszta z nas i jadł może jeden posiłek dziennie.

Chul Nahm planował następną podróż do Chin, gdzie mieszkała jego matka. Opisywał mi potrawy, które umiała przygotować, z potrawką z wołowiny włącznie. Gotowała ją na wolnym ogniu w wielkim kotle, w którym cały czas musiała mieszać. Według jego słów mięso wydzielало tyle tłuszczu, że z kotła nie unosiła się wcale para. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Oświadczyłem Chul Nahmowi, że pojedę do Chin razem z nim. Wtedy po raz pierwszy w ogóle wziąłem pod uwagę ucieczkę z kraju.

Żyłem z dnia na dzień, bez żadnej wizji własnej przyszłości. Kiedy skończyły nam się pieniądze, poszedłem do sklepu alkoholowego, zastawiłem swoją kurtkę skórzaną, tę, którą zabrałem kiedyś chłopakowi w poprawczaku, i kupiłem trzy butelki bimbru oraz trochę tofu. Jeśli mogłem coś zjeść i pośmiać się trochę z Chul Nahmem, udawało mi się rozweselić i oddalić od siebie myśli o Bong Sook. Zamiar ucieczki do Chin falował i migotał gdzieś w dali niczym fatamorgana.

A potem Chul Nahm zniknął. Pewnego dnia poszedłem do niego i go nie

zostałem. Może nagle nadarzyła mu się okazja i zwiął za granicę. Nikt nic nie wiedział.

Na początku lutego pieniądze mi się skończyły, a i Sung Min był kompletnie spłukany. Musiałem go opuścić, bo inaczej stałbym się dla niego ciężarem. Postanowiłem wybrać się do odległego o kilka godzin drogi miasteczka, gdzie mieszkała moja daleka krewna. Nazywałem ją „ciotką z Byeck Sung” (tak nazywało się miasteczko), choć tak naprawdę była moją kuzynką czwartego stopnia. Spotkałem ją tylko raz czy dwa razy wcześniej, ale teraz wyczerpałem już wszystkie koneksje rodzinne w Hoeryöngu.

Był chłodny wiosenny dzień, z nieba lały się strugi zacinającego deszczu. Czuję się paskudnie. W trakcie marszu widziałem dzieci z rodzicami, którzy nieśli specjalne prezenty z okazji urodzin Kim Dzong Ila. Co roku, gdy wypadają jego urodziny, przez cały tydzień wszystkie dzieci poniżej dziesiątego roku życia otrzymują paczki z podarkami: w każdej są ciastka, cukierki i popcorn. Te dzieci, które dostały już swoje prezenty, niosły je z wielką dumą i podnieceniem, bo nie mogły się już doczekać zjedzenia tych wszystkich łakoci. Święto wypadało za dwa dni.

Dotarłem przed dom „ciotki” i zapukałem do drzwi. Ale jej zrobię niespodziankę, pomyślałem ponuro. Kiedy mi otworzyła, na jej twarzy odmalowało się ogromne zdumienie, ale zaprosiła mnie serdecznie do środka. Ciotka mieszkała razem z mężem i siwowłosą teściową, drobną, przygarbioną staruszką, która musiała mieć co najmniej siedemdziesiąt lat. Miała też dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, które właśnie otwierały swoje paczki prezentów, kiedy wszedłem. Poczęstowali mnie odrobiną popcornu i cukierków, a ich matka dała mi pół miski zupy ryżowej. Burczało mi w brzuchu i przyjąłem poczęstunek z wdzięcznością. Wiedziałem, jak bardzo dzieci czekają na te prezenty, a podzielenie się choć jednym cukierkiem z dalekim krewnym było wielkim poświęceniem. Kiedy uraczyliśmy się wszyscy odrobiną słodczy, ciotka odłożyła paczki na wysoką półkę, żeby były na później.

Nazajutrz rano ciotka czekała już na mnie, gdy się obudziłem. Przeczuwałem, co ma mi do powiedzenia.

– Maczku.

– Tak?

– Nie możesz tu zostać.

Spuściłem głowę. To była tylko jedna noc.

Zebrałem swoje rzeczy i wyszedłem z resztą rodziny z domu. Jej mąż wyszedł już wcześniej – może do pracy, nie pamiętam. Na rozstajach ciotka i jej dzieci pożegnały się ze mną. Pomachałem do nich i ruszyłem z powrotem do miasta. Na dworze było szaro i zimno, słońce ledwie przedzierało się przez ciężkie deszczowe chmury.

Po pięciu minutach zdałem sobie sprawę, że zapomniałem o swoich rękawiczkach. Zawróciłem i pobiegłem do domu ciotki. Śpieszyłem się tak bardzo, że otworzyłem drzwi bez pukania. I zobaczyłem, jak stara teściowa ciotki wyciąga rękę po paczki z prezentami na wysokiej półce. Było jasne, że próbuje dobrać się do cukierków i popcornu swoich wnucząt. Kiedy wszedłem, odwróciła się do mnie ze strachem.

Patrzyłem na nią wstrząśnięty, a ta podbiegła do mnie i złapała mnie za lewą rękę.

– Błagam, Maczku. Błagam, nie mów mojemu synowi!

Zabrakło mi słów. Zacząłem rozglądać się w poszukiwaniu rękawiczek. Nie wiedziałem, co robić – było mi żal staruszki.

Kobieta szarpała mnie za rękę, błagając, żebym nic nie mówił. Próbowałem się wyrwać, ale uczepiła się mnie bardzo mocno.

– Muszę opowiedzieć ci, co się stało wcześniej – powiedziała. – Maczku, proszę, pozwól, że opowiem ci tę historię.

Patrzyła na mnie okropnie zalękniona. Przestałem się wyrwać i pokiwałem głową: wysłucham, co ma mi do powiedzenia.

Spuściła głowę, nadal uczepiona mojej ręki.

– Kilka miesięcy temu przymierałam głodem, a mój wnuczek miał cukierki, które dostał na urodziny. Kiedy zostałam sama w domu, pokusa okazała się zbyt silna... jestem stara, ale też muszę coś jeść!... więc podebrałam kilka cukierków. Kiedy mój syn wrócił, zauważył, że ich brakuje, i zaczął mnie wypytować. Przyznałam się, że je zjadłam, a on dostał szału.

Staruszka podniosła na mnie wzrok. Z oczu leciały jej łzy.

– Ukochany syn, o którego tak bardzo się troszczyłam... a wiesz, co zrobił? Wziął obcęgi i próbował wyrwać mi zęby. Złapał mnie za głowę i chwycił obcęgi zębami, podczas gdy ja krzyczałam. Tak bardzo się bałam, Maczku. Proszę cię, błagam, nie mów nic mojemu synowi!

Zawróciłem do wyjścia. Pał sześć rękawiczki! Ani przez sekundę nie wątpiłem w prawdziwość jej historii. Potraktować własną matkę w ten sposób, w Korei Północnej – to było niesłychane.

Staruszka wciąż nie chciała puścić mojej ręki. Błagała mnie o coś jeszcze. Kiedy próbowałem się wyswobodzić, zdałem sobie sprawę, co mamrocze:
– Truciznę. Proszę, kup mi truciznę, żebym mogła dołączyć do męża.
Wyszedłem z tamtego domu, myśląc: Świat jest jednak okropny.

*

Dotarłem do torów kolejowych i ruszyłem wzdłuż nich, aż doszedłem do Hoeryöngu. Przypomniał mi się znajomy, który mieszkał – ze wszystkich miejsc na świecie – w szkole kulinarnej. Roilo się tam od byłych żołnierzy, którzy trafiali tam po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej. Odwiedzałem go już wcześniej i zawsze cieszył się, że mnie widzi: pozwalał mi korzystać ze swojego karnetu żywnościowego, żebym mógł zjeść coś w stołówce. Żarcie było tam paskudne: makaron, który tak długo stał w wodzie, że się rozpadał, ale lepszy rydz niż nic.

Skończyły mi się kontakty rodzinne i przyjacielskie, więc jeśli chciałem dalej żyć, musiałem polegać na dalszych znajomych. Pomyślałem o płomyku świecy drgającym na dnie biedaszybu. Gdzie znajdzie się dla mnie dość tlenu – dość jedzenia i schronienie – żebym przeżył?

Do szkoły kulinarnej dotarłem po wielu godzinach marszu. Przy poprzednich wizytach, kiedy wartownicy przy głównej bramie pytali, do kogo idę, mówiłem zawsze, że w odwiedziny do „wujka Lee”, a oni mnie przepuszczali. Tym razem jednak strażnicy kazali mi odejść. Zdziwiło mnie to, ale później przypomniałem sobie, że to tydzień urodzin Kim Dzong Ila. W połowie lutego w Korei Północnej zawsze wprowadzano wzmożone środki bezpieczeństwa. Wtedy nawet najbardziej pewni siebie złodzieje woleli zostać w domach, ponieważ wiedzieli, że na ulicach będzie się roilo od policji i żołnierzy.

To jakaś granda, pomyślałem. Gdzie ja dzisiaj przenocuję?

Skierowałem się na południe i ruszyłem znowu wzdłuż torów do miasta. Był zimny, ponury dzień, koło południa. Najzwyczajniejszy dzień na świecie. Nie miałem pojęcia, że wkrótce stanę przed najważniejszą decyzją swojego życia.

Rozdział 46

Po drodze przypomniałem sobie znajomego, Dong Hyuka, którego nie widziałem od dłuższego czasu. Mieszkał w pobliżu miejscowego szpitala położniczego, w budynku wzniesionym nieopodal pięknego łańcucha górskiego. Poznałem go, gdy podczas pobytu w poprawczaku pracowałem w gospodarstwie rolnym. Skaleczyłem sobie ramię podczas żniw, a on opatrywał mi ranę tak, że przestała ropieć. Wciąż miałem bliznę, a patrząc na nią, przypomniałem sobie, jaką okazał mi życzliwość.

Gdyby i tym razem nie udało mi się znaleźć gościny, musiałbym spać przy torach kolejowych.

Wreszcie szczęście się do mnie uśmiechnęło. Znajomy był w domu i bardzo się ucieszył z moich odwiedzin. Kiedy poprosi, żebym sobie poszedł? – pomyślałem. Wspólnie ugotowaliśmy na jego palniku elektrycznym makaron. Miał też flaszkę whisky kukurydzianej, więc wypiliśmy po kilka drinków, żeby uczcić moją wizytę. Tamtej nocy położyłem się spać ze świadomością, że to tylko jeszcze jedno tymczasowe rozwiązanie mojego odwiecznego problemu: braku domu. Nie mogłem zostać tu na święto. Mimo że głodowałem, wstydziłem się nawet o to zapytać.

Nazajutrz rano, zanim zdążyłby mnie poprosić o odejście, pożegnałem się z Dong Hyukiem i wróciłem na tory. Jest coś szczególnie smutnego w bezcelowej włóczędze podczas największego święta w roku. To znak, że twoje życie zmierza donikąd.

Znowu ruszyłem wzdłuż torów, tym razem w stronę Manyangu. Nosilem ciemny płaszcz i spodnie. Gdyby ktoś się mnie czepiał, mogłem powiedzieć, że pracuję przy naprawie torowiska, bo robotnicy kolejowi nosili uniformy tej samej barwy.

Słońce świeciło mi w twarz. Dzień był ciepły jak na ten miesiąc, a wiejskie krajobrazy urzekały urodą i świeżością. Góry, czyli ta Korea Północna, którą znałem, były przepiękne. Kiedy wiatr zmieniał kierunek, poczułem zapach sosen.

Nagle tknęła mnie pewna myśl. Jeśli będę iść dalej w tę stronę, dotrę do rzeki Tumen – gdzie cywile nie mieli wstępu – i do chińskiej granicy. A gdybym tak przeprawił się na drugą stronę? Była to taka sobie, próżna

myśl typu: Co by było, gdybym znalazł na torach sztabkę złota?

Ale szedłem dalej i zacząłem toczyć w głowie dyskusję: zostać czy uciec.

Korea Północna nadal jest moją ojczyzną. Tam nauczyłem się pływać i grać w piłkę, raczkować i biegać.

Z czym możesz ją porównać? Nigdy nie byłeś nigdzie indziej.

Wiem, czego się spodziewać. Nie spotka mnie tu rozczarowanie.

Ludzie wyrywają swoim matkom zęby obcęgami. Czy to nie jest rozczarowujące?

Znam Hoeryŏng jak własną kieszeń. Chiny są dla mnie zupełną tajemnicą.

Nie masz dzisiaj gdzie spać.

Przetrwiałem samodzielnie trzy lata!

Umrzesz i nigdy więcej nie zobaczysz Bong Sook.

Gdyby ktoś mnie tamtego dnia zatrzymał, prawdopodobnie wciąż byłbym w Korei Północnej. Myśli o ucieczce pojawiły się prawie niczym kaprys. Nigdy nie uwierzyłem, że w pojedynkę, bez niczyjej pomocy, można przekroczyć nielegalnie granicę. Wydaje mi się nawet, że zdołałbym utrzymać się przy życiu. Korea Północna nauczyła mnie, jak przetrwać. Byłem niezłym złodziejem. Ale wiedziałem też, że nigdy by mi się jakoś szczególnie nie powiodło i że nigdy nie byłbym szczęśliwy, a jedna długa choroba oznaczałaby dla mnie śmierć.

Mimo tej świadomości to coś innego pchało mnie raczej naprzód: poczucie, że utraciłem wszystkie znaczące więzi z ludźmi. Był też powód praktyczny. Chciałem zarobić dość pieniędzy, żeby przekupić jakiegoś wysokiego urzędnika i wydostać matkę z więzienia, sprawić, żeby nasza rodzina znowu była razem.

Bong Sook zniknęła w Chinach jak kamień w wodę. Została mi tylko matka. Chciałem ją ocalić.

Rozdział 47

Kiedy tak szedłem wzdłuż torów, zacząłem układać sobie w głowie wszystko, co kiedykolwiek usłyszałem o ludziach, którzy uciekli z Korei Północnej. Większość uchodźców, wiedziałem, starała się przekroczyć granicę po zmroku, kiedy ciemność osłaniała ich przed wzrokiem koreańskiej straży granicznej. Miałem świadomość, że strażnicy często strzelają do uciekinierów, którzy zignorują ich ostrzeżenia. Byli z tego znani. A chińscy żołnierze często patrolowali drugi brzeg rzeki i odsyłali uciekinierów, których złapali, z powrotem. Słyszałem, że niektórzy zbiegowie woleli popełnić samobójstwo, niż wrócić.

Mało osób próbowało przekroczyć granicę w Hoeryöngu: była zbyt dobrze strzeżona. Większość przechodziła na drugą stronę dalej na północy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy też tak nie zrobić, ale oznaczałoby to zbyt długą podróż i wiązałoby się ze zbyt wielkim ryzykiem. Nie chciałem też przeprowiać się przez Tumen nocą. Wciąż bałem się ciemności. Inną rzeczą, która mnie niepokoiła, była plotka, którą słyszałem wielokrotnie jako dziecko, a mianowicie, że sama rzeka jest pod napięciem 30 000 woltów. Nie wiedziałem, czy to możliwe – moja znajomość fizyki była niestety nikła – ale zastanawiałem się też, czy przejście po rzece skutej lodem nie byłoby nadmiernie niebezpieczne.

Słońce świeciło wysoko na niebie. Może nikt nie spodziewa się, że człowiek spróbuje uciec za granicę o pierwszej po południu w pogodny zimowy dzień, zwłaszcza w tygodniu urodzinowym Kim Dzong Ila.

Im dalej szedłem, tym bardziej zbliżałem się do rzeki. Wkrótce widziałem już Chiny, szarą smugę za taflą lodu na lewo ode mnie. Teraz w mojej głowie zamiast dalszej dyskusji pojawiały się już tylko argumenty na korzyść ucieczki: Matka potrzebuje pieniędzy, żeby wydostać się z więzienia. Nie mam już u kogo zanoćwać dłużej niż jedną noc. Czemu nie zaryzykować życia dla czegoś więcej? Zdobędę pieniądze, wrócę do domu i kupię matce wolność.

Wolałem nie przyglądać się swoim motywom zbyt wnikliwie. Dla kogo tak naprawdę uciekałem, dla matki czy dla siebie? Gdybym zastanawiał się nad tym zbyt długo, mógłbym odkryć w sobie coś zimnego jak lód i twardego jak

kamień.

Powiedziałem sobie po prostu: Nie mam innego wyjścia.

W pewnym momencie podczas marszu zobaczyłem po prawej autostradę. Sto metrów dalej przy tej szosie znajdowało się przejście graniczne pilnowane przez żołnierzy Korei Północnej – „tygrysie skóry” – uzbrojonych w karabiny maszynowe. Legitymowali wszystkich zmotoryzowanych i nielicznych pieszych, którzy tam docierali. Spodziewałem się, że mnie zatrzymają i moja przygoda się skończy. Będę musiał zrobić w tył zwrot – wrócić do głodu i samotności.

Maszerowałem dalej, stawiając nogi na drewnianych podkładach kolejowych. Nikt mnie nie zatrzymywał. Nie widziałem też żadnych żołnierzy kręcących się przy torach. Gdzie oni wszyscy się podziewali? Pobiegli, goniąc kogoś, do lasu? Z każdym krokiem serce drżało mi trochę mocniej. Gdybym znał wtedy Pismo Święte, pewnie pomyślałbym o Mojżeszu i rozstępującym się Morzu Czerwonym. Ale mogłem myśleć tylko o kulce w plecy.

Dwadzieścia metrów dalej. Serce dudniło coraz głośniejsze. A tu nic. Nikogo.

Znalazłem się dziesięć metrów od miejsca, gdzie tory skręcały w prawo, biegnąc dalej wzdłuż zakrzywiającego się brzegu rzeki. Na obrzeżach pola widzenia majaczyło mi przejście graniczne. Widziałem teraz ludzkie postaci, ale nikt do mnie nie wołał. Zamiast iść dalej wzdłuż linii kolejowej, zboczyłem szybko w lewo i zbiegłem po zboczu w kierunku rzeki, która przepływała dwadzieścia metrów dalej. Łód pokrywający wodę skrywały wysokie krzaki i drzewa.

Dotarłem do kępy drzew i zacząłem się przeciskać w głąb przez zarośla. Na skraju rzeki zanurzyłem buty w mulistej ziemi, żeby nie ślizgać się podszwami po lodzie. Jako dziecko często bawiłem się na rzeczonym lodzie. Umiałem po nim chodzić.

Ja to naprawdę robię? – pomyślałem. Dyszałem ciężko z podniecenia. Nieobecność żołnierzy zdawała się zaproszeniem do ucieczki, tak jakby wszechświat ustawił się na te pięć konkretnych minut tak, by pozostawić mi wolną drogę przez granicę.

Ale i tak miałem paranoidalne myśli. A co, jeśli to była pułapka? Jeśli żołnierze schowali się w krzakach, żeby nakłonić mnie do ucieczki, a potem złapać na gorącym uczynku? O mało nie przewróciłem się z pośpiechu.

Przedarłem się przez ostatnią linię trzciny i wszedłem na lód. Chiny były

siedemdziesiąt metrów dalej. Wiedziałem, że lód jest w niektórych miejscach cienki. Słyszałem o ludziach, pod którymi się załamał, i zamiast uciec za granicę, zamarzali na śmierć. Ich ciała znajdowano potem wiosną w dole rzeki, nabrzmiące i zgniłe.

Za mną dał się słyszeć przeciągły okrzyk. Straż graniczna! Obejrzałem się z trwogą przez ramię. Ale to nie były „tygrysie skóry”, tylko ludzie jadący autostradą. Zobaczyli mnie i wołali: „Uuuuuuuuuuu!”. Próbują powiadomić wojsko? – pomyślałem. Ale nie, po prostu nigdy nie widzieli, żeby ktoś próbował zwać za granicę w ciągu dnia. Okrzyki były wyrazem zaskoczenia.

Wybiegłem na środek rzeki, piach na moich podszewkach zgrzytał o lód. Obraz przeciwległego brzegu skakał przed oczami w rytm moich kroków. Trząsałem się ze strachu, ale posuwałem się szybko do przodu. Lód, jestem tego pewien, jęczał pod moim ciężarem, ale w uszach słyszałem tylko łomot własnego serca. Oby się tylko udało, myślałem. Oby się tylko udało tam dostać, a wreszcie zacznę żyć jak człowiek.

Ślizgałem się i biegłem po lodzie, poły mojego płaszcza łopotały na wietrze. Krzyki ludzi na autostradzie stawały się coraz cichsze. Dotarłem do brzegu i dałem susa w wysokie trzciny wyrastające z podmokłej ziemi. Musiałem złapać oddech. Czułem się, jakbym ośmielił się zrobić coś, co przedtem wydawało się niemożliwe, a jednak teraz mi się udało. Byłem w Chinach. Dygotałem, cały w nerwach i euforii.

Rozdział 48

Nie byłem jeszcze bezpieczny. Wiedziałem, że chińscy żołnierze i straż graniczna patrolują brzeg. A jakieś trzysta metrów w dół rzeki znajdował się most, którym jeździły ciężarówki nielicznych Koreańczyków, którzy mieli pozwolenie na wjazd do Chin i wozili w tę i z powrotem rozmaite towary. Most był pilnie strzeżony. W oddali, na tle błękitnego nieba, widziałem niewyraźnie jego wrzecionowaty kształt. Jeżeli ja widziałem ich, to i oni mogli zobaczyć mnie.

Nagle czarny ptak wylądował na grubej trzcinie nad moją głową i zaczął krakać. Serce zamarło mi w piersi. Kruk! W Korei Północnej kruk jest symbolem śmierci, znanym z tego, że siada na zwłokach. Nerwy miałem tak napięte, że zdawało mi się, jakby ptak wołał do chińskich żołnierzy: „Tutaj! Tutaj! Zbieg z Korei! Zbieg z Korei!”. Było to absurdalne, ale nie mogłem nawet schylić się i rzucić w niego kamieniem. Jego krzyk rozbrzmiewał w trzcinach tak głośno.

Przekradłem się dalej w głąb zarośli. Kiedy odgarnąłem na boki ostatnią kępę trzciny, ujrzałem wysoki brzeg, a potem śnieg i sosny, i wijącą się między nimi ścieżkę.

Kruk nie przestawał krakać. Pobiegłem w stronę ścieżki. Dotarłem tam i nadal nikogo nie widziałem. Słyszałem tylko szum wiatru w gałęziach sosen.

Było około wpół do trzeciej. Burczało mi w brzuchu. Musiałem znaleźć jedzenie i miejsce na nocny odpoczynek. Nie mogłem pójść wzdłuż autostrady, która – jak wiedziałem – biegła około półtora kilometra dalej. Ryzyko, że ktoś mnie zobaczy, byłoby zbyt duże, a kierowcy zorientowaliby się po mojej twarzy i ubraniu, że jestem północnokoreańskim uchodźcą. Postanowiłem pójść przez góry.

Wdrapałem się na brzeg i w skrzypiącym śniegu ruszyłem dalej pod górkę. Po dziesięciu minutach zaczęły pojawiać się zabudowania, jedne małe i zapuszczone, inne duże i wystawne. Domy ludzi z pieniędzmi.

Idź do tych bogatych, pomyślałem. Oni będą mogli lepiej się tobą zaopiekować.

Bicie serca nadal dudniło mi w uszach, ale byłem przekonany, że znajdę

pomoc. Większość mieszkańców terenów nadrzecznych była pochodzenia koreańskiego. Zнали język, wiedzieli, co dzieje się w moim kraju. Moja matka znalazła tu w końcu drugą mamę.

Zapukałem do jednych drzwi. Otworzyły się prawie natychmiast. Mężczyzna, może czterdziestopięcioletni, twarz owalna, koreańskie rysy.

– Zastanawiałem się, czy nie mógłby mi pan dać resztek jedzenia.

Obrzucił mnie wzrokiem. Moje ubranie. Moją brudną twarz.

– Wynoś się stąd! – wykrzyknął. Jego wpatrzone we mnie oczy były szeroko otwarte. Co mu się stało?

– Jestem głodny, proszę...

Zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Odszedłem wstrząśnięty.

W głowie kłębiło mi się od splątanych myśli. Mogłem się czegoś takiego spodziewać w Korei Północnej, ale to przez głód. Ludzie zrobili się samolubni, bo musieli – żeby przetrwać. Ale tutaj było jedzenia w bród! Zupełnie tego nie rozumiałem.

Przez głowę przebiegła mi straszna myśl: A może ludzie są okrutni nie za sprawą okoliczności, tylko z natury? Nie chciało mi się w to wierzyć.

Ale następna godzina potwierdziła moje obawy. Chodziłem od domu do domu, a każdy z nich był duży i zadbany. Na niektórych podjazdach stały nowe auta lub półciężarówki – luksusy, o jakich w Korei Północnej nikomu się nawet nie śniło. Czasami gospodarz tylko uchylał drzwi. Widziałem czarne oko, kępkę ciemnych włosów, żółtawą cerę. Nie wiedziałem nawet, czy to twarz kobiety, czy mężczyzny.

– Błagam, jestem z Korei Północnej. Czy bylibyście tak dobrzy...

Rzadko udawało mi się powiedzieć więcej. Jedna kobieta dostała wręcz spazmów.

– Wynoś się do diabła! – wrzasnęła.

Na odcinku rzeki Tumen w pobliżu Hoeryöngu rzadko kto próbował uciekać do Chin: patroli granicznych było za dużo. Więc może ci ludzie nie spotykali się z Koreańczykami z Północy takimi jak ja.

Pomoc zbiegowi z Korei wiązała się oczywiście z ryzykiem. Wiedziałem, że Chińczyk złapany na takim czynie musi się liczyć z karą grzywny w wysokości kilku tysięcy juanów. Nie była to drobna suma, ale też nie pluton egzekucyjny. Rozumiałem, czemu mieszkańcy Korei Północnej mi nie pomagali, ale nie mogłem pojąć, czemu pomocy odmawiają mi także Chińczycy, którzy mają po temu środki.

W tamtej chwili zwątpiłem w świat. Pomyślałem: Ludzie są źli i samolubni. Czy dostałem się do Chin tylko po to, żeby umrzeć z głodu?

*

W końcu dotarłem do opuszczonej chatki bez drzwi wejściowych, które broniłyby mi wstępu do środka. Wewnątrz znalazłem potraskane sprzęty – rozbite naczynia, połamane krzesła. Poszedłem prosto do kuchni, a gdy odsunąłem szufladę, usłyszałem przeciągły łoskot, jakby w środku coś się przeturlało. Batat, powiedziałem do siebie. Mały, ze skorupą ziemi na skórcie, ale to mi nie przeszkadzało. Wzięłem go do ręki, otarłem rękawem brud, ugryzłem, przeżułem czym prędzej i przełknąłem.

Żołądek ścisnął mi się gwałtownie. Wnętrznosci rozpałił ogień. To nie był batat, uświadomiłem sobie poniewczasie, tylko korzeń imbiru. Chciało mi się rzygać. Żołądek zawiązał mi się w supeł. Wybiegłem z chatki w poszukiwaniu wody, ale w pobliżu nie było żadnego potoku ani strumyka. Od tamtej pory nie jestem w stanie przełknąć imbiru w żadnej postaci.

Poszedłem kamienistą dróżką, która owijała się wokół niedużej góry aż na ścięty szczyt. Zobaczyłem przed sobą drzewa, ale nie sosny, do których przywykłem. To były drzewka owocowe, posadzone w równych rządkach. Sad.

Zaczęła mi lecieć ślinka. Zastanawiałem się, jakie to egzotyczne owoce się tu uprawia, może gruszki albo jabłka. Jakiś mężczyzna przycinał gałązki nagiego drzewa. Ominąłem go z daleka – mógł być właścicielem, a ja miałem już dość bogatych ludzi.

Skierowałem się ku innemu gospodarstwu czterysta metrów dalej. Wyglądało na mocno zapuszczone, wzdłuż muru z pustaków walały się brudne kawałki szyby i zepsute narzędzia ogrodnicze. To mi wygląda jak dom Koreańczyka z Północy, pomyślałem. Mieszka tu ktoś ubogi. Brzuch bolał mnie i burczał od imbiru.

Zapukałem do drzwi. Otworzył mi mężczyzna odziany w brudne łachmany z dziurami na kolanach i łokciach.

Powiedziałem mu, skąd i po co przychodzę. Jego oczy się rozpromieniły.

– Oczywiście, że ci pomogę. Muszę! Jesteśmy krajanami.

Zaprosił mnie do środka. W chacie panował niewiarygodny bałagan. Nigdy

nie widziałem takiego domu, nawet w Korei. Mój drugi mit dotyczący Chin legł w gruzach. Nie wszyscy byli tu bogaci.

Mężczyzna zaprowadził mnie do kuchni i posadził przy stole. Mówił po koreańsku, gęba mu się nie zamykała i tryskał wręcz entuzjazmem. Przekonałem się, że ma dobre serce.

Postawił jedzenie na stół: biały ryż i coś czerwonego, co cuchnęło jak diabli. Rozpoznałem tę potrawę: sfermentowane tofu, tradycyjny chiński specjał tego regionu. Nie o takich smakołykach marzyłem, ale wziąłem pałeczki i zabrałem się do jedzenia. Następne było danie z bakłażana. Pochłonałem je całe w kilka minut. Byłem wygłodniały i nie przejmowałem się dobrymi manierami.

Mój talerz był pusty. Mogłem jeszcze zjeść drugi raz to samo, ale byłem zbyt nieśmiały i zbyt rozczarowany przyjęciem, jakie mnie w Chinach spotkało, żeby prosić o dokładkę. Zdołałem za to poprosić o papierosa. Mężczyzna uśmiechnął się i podał mi kilka sztuk luzem. Przyjąłem je, a on podał mi ogień z plastikowej zapalniczki, którą następnie również mi wręczył. Podziękowałem lekkim skinieniem głowy i schowałem zapalniczkę razem z pozostałymi papierosami do kieszeni. Na koniec mężczyzna wydobyl z kieszeni i podał mi kilka banknotów. Mało wiedziałem o chińskich pieniądzach i nie byłem nawet pewien, jak odczytać nominał. Czy to osiemnaście juanów, czy sto osiemdziesiąt? Wreszcie udało mi się rozgryźć ten problem. Osiemnaście juanów. Podziękowałem swemu dobroczyńcy.

Tak bardzo ucieszyłem się z tych pieniędzy, że pomyślałem nawet o tym, żeby wrócić z nimi od razu do Korei. Mógłbym przekupić za nie kławiszę w więzieniu matki. Ale była to równowartość niecałego dolara. Za mało, by cokolwiek zdziałać.

Zostałem u mojego gospodarza pół godziny. Kiedy opuszczałem jego chatę, postanowiłem pójść do pagody w stylu japońskim, którą zawsze widziałem z podwórza szkoły. Musiałem poukładać sobie w głowie wiele spraw.

Czterdzieści minut później dotarłem do podnóży wzgórza, na którym stała świątynia, i wdrapałem się na szczyt. Kiedy się tam znalazłem, odwróciłem się na wschód i zobaczyłem swoją ojczyznę. Była tak blisko! Dostrzegłem boisko, gdzie jako dziecko godzinami kopałem piłkę. Zobaczyłem rzekę, w której kąpałem się latem. I swoją starą szkołę, i sylwetki uczniów, którzy wchodzili do budynku lub z niego wychodzili. Odszukałem wzrokiem dom,

gdzie mieszkałem z mamą, tatą i Bong Sook. Łzy zakręciły mi się w oczach.

Nie było mnie tylko kilka godzin, a już w serce wkradła mi się tęsknota. Zorientowałem się już, że Chiny nie są rajem, jaki sobie wyobrażałem. Ale przede wszystkim ogarnęła mnie nostalgia związana z rzeczami i ludźmi, z narożnikami ulic, gdzie kiedyś żebrałem, włącznie. Opuściłem was na zawsze? – zastanawiałem się.

Otarłem łzy. Nie mogłem wrócić do domu z pustymi rękami, to by był wstyd. Postanowiłem pójść do Kai Sanu, miasta, gdzie matka pokazała mi dom, w którym zatrzymała się z chińskim pośrednikiem. A za jego domem stał ten, w którym mieszkała jej druga matka, Cho Hee. Ona na pewno będzie miała resztę pieniędzy za Bong Sook. Z nimi mógłbym wrócić do Korei i spróbować uwolnić matkę.

Maszerowałem kilometr za kilometrem, żeby jak najbardziej zbliżyć się do Kai Sanu. Ale po kilku godzinach poczułem, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Zapadł zmrok. Idąc przez wsie i góry po ciemku, mogłem tylko zabłądzić. Musiałem znaleźć sobie miejsce do spania. Ruszyłem w dół wzgórza i zapukałem do drzwi dwóch domostw. Znow ta sama reakcja. Krzyki, podejrzliwość i gniew.

Zerwał się wiatr. Wdrapałem się na pagórek i znalazłem wyżłobienie, gdzie pomiędzy dwiema ścianami skalnymi leżała gruba warstwa liści, tworząc głębokie posłanie. Uznałem, że lepszego miejsca nie znajdę. Zszedłem na dół i położyłem się na plecach, zanurzając się w listowiu, które prawie zakryło mi twarz. Poczułem wyrazisty, przyjemny zapach roślinnej próchnicy.

Dziesięć minut później już spałem.

Rozdział 49

Zbudziłem się o drugiej lub trzeciej nad ranem, czując, że stopy prawie mi odmarzły. Wysoko nad moją głową świecił księżyc, jego krawędzie ostro odcinały się od czerni nieba. Miałem zmarznięte nogi. Gdyby nie zimno, pomyślałem gderliwie, przespałbym bez przeszkód do rana. Wydawało mi się, jakbym drzemał tylko kilka minut. Zmęczony i wypluty wstałem. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio czułem się aż tak podle.

Musiałem zrobić sobie obozowisko i rozpalić ogień.

Ale co by było, gdybym podpalił stertę gałęzi, a potem zasnął? Gdybym po prostu nie upiekł się we własnym ognisku, na pewno zaalarmowałbym lokalną policję: macie tu włóczęgę, chodźcie po mnie, jestem tutaj! Wdrapałem się po stromym zboczu, a potem zszedłem w dół, szukając miejsca, gdzie nie wywołałbym przez przypadek pożaru lasu. Wreszcie znalazłem część żlebu osłoniętą od wiatru. Pośrodku był krąg, gdzie nie leżał śnieg. Rozejrzałem się i zebrałem trochę patyków, gałęzi i suchego mchu. Ułożyłem z tego wszystkiego ognisko pośrodku kręgu. Ręce dygotały mi teraz z zimna. Miałem zapalniczkę, którą dostałem od gospodarza o dobrym sercu, i za jej pomocą podpaliłem suchy mech. Wkrótce języki ognia lizały już gałęzie, a mnie po raz pierwszy od wielu godzin zrobiło się ciepło.

Kiedy się już ogrzałem, wypaliłem parę papierosów, przysypiając przy ognisku, po czym wróciłem na swoje liściaste legowisko i znowu zasnąłem.

Po dwóch godzinach obudziłem się, wygrzebałem z listowia i zacząłem przebierać nogami, tupiąc o skałę, żeby się rozgrzać. Ognisko zgasło, więc znowu je zapaliłem, przyglądając się dziwnym kształtom w lesie i nieznanym górcom dookoła. Wkrótce ogień znów huczał. Ogarnęła mnie jeszcze większa tęsknota za domem, gdy uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie czeka mnie kolejny dzień włóczęgi i żebraniny. Nastrój jeszcze mi się pogorszył, kiedy spomiędzy sosen zaczęły dolatywać do mnie dziwne dźwięki: głosy, głosy mówiące po koreańsku.

Wstałem, zaskoczony i przestraszony. Czyżby to byli agenci Korei Północnej, którzy szukają mnie w tym lesie? Ale nie, głosy nie rozmawiały, tylko śpiewały. Odetchnąłem z ulgą. Poznawałem te dźwięki. Słyszałem głosy, które płynęły do mnie zza rzeki, głosy żołnierzy podczas porannej

musztry w bazie w Hoeryŏngu. W przeszłości zdarzało mi się już je słyszeć, kiedy nie mogłem spać. Musiała więc być piąta rano.

Wsluchiwałem się w te głosy, napawając się każdym słowem. Czułem się tak, jakbym samotnie spędzał Wigilię i słuchał, jak ktoś daleko śpiewa kolędy. Gdybym był w domu, znalazłbym jakąś rodzinę i uczcił z nią razem święto. Ale byłem na górskim zboczu i marzłem na kość. Znajdowałem się dosyć wysoko i za doliną widziałem iskierki świateł po koreańskiej stronie. Ludzie wstawali i włączali lampy w domach. Zastanawiałem się, kim są i czy ich znam. Tęsknota stała się na jakiś czas silniejsza od głodu, lecz wkrótce i ten ból powrócił.

Wypaliłem jeszcze kilka papierosów, odpłynąłem w sen, a potem zbudziłem się gwałtownie. Wreszcie wstałem i ruszyłem w dalszą drogę, idąc wzdłuż rzeki, która płynęła dwadzieścia metrów dalej, pluskając i szumiąc w swoim korycie. Wiedziałem, że jeśli będę miał rzekę cały czas po prawej, w końcu dojdę do Kai Sanu. Wzdłuż rzeki biegła autostrada i w półmroku widziałem śmigające nią samochody. Bałem się policji, więc za każdym razem, gdy ujrzałem blask przednich świateł, wskakiwałem do rowu, żeby się ukryć. Ale po czterech czy pięciu takich akcjach zdałem sobie sprawę, że nikt mnie nie szuka. Zacząłem ignorować nadjeżdżające auta.

Po drodze postanowiłem zapukać do następnego wiejskiego domu. O dziwo, gospodarze okazali się mili. Więcej niż mili. Bez żadnych pytań zaprosili mnie do środka, dali mi kurczaka z ryżem i kapustą.

– Musisz być z Book Jo Sun – powiedział pan domu, przez co rozumiał Koreę Północną.

Pokiwałem głową. Zauważyłem młodą kobietę, chyba pod trzydziestkę, która przyglądała mi się zza drzwi. Z zaskoczenia przestałem na chwilę przeżuwać ryż.

Kobieta była przepiękna. I wtedy zdałem sobie sprawę z tego, dlaczego tak się we mnie wpatruje: spędziłem noc zakopany w suchych liściach, a niektóre z nich zostały mi na ubraniu i we włosach. Twarz miałem czarną od sadzy i pozeralem jedzenie niczym wygłodniały zwierz. Musiałem też okropnie cuchnąć. Zawstydzony, spuściłem wzrok. Kobieta wycofała się w głąb swojego pokoju.

Miała brata, który też okazał się miły. Kiedy najadłem się do syta i wypłem tyle wody, ile tylko mogłem, wyprowadził mnie na dwór.

– Dokąd chcesz dotrzeć? – zapytał.

– Do Kai Sanu.

Pokiwał głową, wskazując trakt, który wił się po górskim zboczu.

– Jeżeli pójdziesz tędy, nadłożysz cały dzień drogi. Ale jest skrót przez góry. Widzisz, o tam?

Odwrociłem się i podążyłem wzrokiem w kierunku, który wskazywał palcem. Zobaczyłem wycięcie między stromymi skalnymi zboczami. Zdawało się, że nie da się tamtędy przejść, ale chłopak zapewnił mnie, że jest inaczej.

– Ale stracę z oczu rzekę – powiedziałem.

– To prawda, ale czy naprawdę chcesz iść cały dzień dłużej?

Popatrzył na mnie z troską.

Postanowiłem pójść za jego radą. Podziękowałem gospodarzom za gościnę i ruszyłem dalej. Bałem się. Szedłem przez zupełnie obcą krainę i nie miałem żadnego punktu odniesienia, który by mnie poprowadził. Maszerowałem przez pola uprawne i skaliste pagórki. Na ziemi leżało coraz więcej śniegu, sięgał mi teraz do kolan. Dyszałem ciężko, gdy wyjmowałem nogę z jednej okolonej warstewką lodu dziury i zagłębiałem ją w białej pokrywie kilkadziesiąt centymetrów dalej. Mój lęk narastał. Czułem, że pod śniegiem jest glina. Pod wpływem słońca glina robiła się śliska. Im bardziej była wilgotna, tym trudniej było mi wyciągnąć z niej stopy tak, by nie pogubić butów. Za każdym razem, gdy podnosiłem nogę, słyszałem głośne młaśnięcie.

Po godzinie wyczerpującego marszu przystanąłem. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem wiejski dom, z którego wyruszyłem. Jeżeli teraz zawrócę, pomyślałem, będę mógł jeszcze pójść wzdłuż rzeki.

Szedłem jednak dalej naprzód. Po czterech godzinach dotarłem do niedużego miasta. Kiedy zszedłem ze zbocza i ujrzałem zabudowania przed sobą, zdumiałem się, jak wszystko jest duże. Znalazłem się w Kai Sanie, tylko że nie miałem pojęcia, gdzie jestem i gdzie szukać domu przyjaciółki mojej matki.

Przyśpieszyłem kroku. Spostrzegłem jakiegoś człowieka na spacerze, miał na głowie kapelusz typu fedora. Zapytałem go, czy zna dwóch starszych mężczyzn, o których opowiadała mi matka.

Tamten popatrzył na mnie jakoś dziwnie.

– Przychodzisz na pogrzeb?

– Jaki pogrzeb?

Potrząsnął głową i się odwrócił.

– Skręć w drugą przecznicę po prawej, a potem idź prosto, aż zobaczysz czerwony dom na rogu. Wtedy skręć w lewo. Ich dom będzie drugi po prawej.

Pomyślałem, że starszy z tych mężczyzn, osiemdziesięciolatek, musiał umrzeć. Podziękowałem panu w kapeluszu i po dziesięciu minutach stałem już przed właściwymi drzwiami. Byłem podekscytowany i zdenerwowany. Wreszcie dotarłem do celu. Teraz dowiem się, gdzie jest Bong Sook. Przed oczami stanęła mi znowu jej twarz odcinająca się od ciemnej czerwieni sweterka.

Zapukałem i otworzyła mi stara kobieta. Prawdopodobnie jakaś krewna, która przybyła na pogrzeb. W głębi zauważyłem starego mężczyznę o prostych siwych włosach, który patrzył prosto na mnie. Zapytałem kobietę, czy drugi z mężczyzn, ten pięćdziesięciolatek, jest w domu.

Ta przyjrzała mi się oczami zasnutymi kataraktą.

– Zmarł dwa dni temu.

Kolana się pode mną ugięły.

– Moja matka i siostra, Bong Sook, przyszły tutaj tuż po tym, jak uciekły z Korei Północnej. Wie pani, gdzie jest moja siostra? – powiedziałem to na tyle głośno, by usłyszał mnie również starzec. Ale jego twarz pozostała obojętna i nieruchoma.

Kobieta pokręciła głową.

– Soon Ryul, ten, który umarł, sam się tym wszystkim zajmował. Nic nam nie mówił.

Kobieta zamknęła drzwi. Kręciło mi się w głowie, zrobiło mi się niedobrze. Spóźniłem się o dwa dni. Straciłem nieodwołalnie ostatnią osobę, która mogła mi pomóc w odnalezieniu Bong Sook.

*

Skoro nie mogłem znaleźć Bong Sook, musiałem zdobyć dość pieniędzy, by wrócić i wykupić matkę z więzienia. Poszedłem za dom i ruszyłem wąską uliczką, która zaprowadziła mnie przed następny budynek. Musiał należeć do Cho Hee, starej kobiety, która przechowywała resztę naszych pieniędzy. Zapukałem do drewnianych drzwi.

Matka opisywała mi swoją drugą mamę z taką tkliwością, że spodziewałem się, że otworzy mi nieomal anioł, ktoś o pięknych, łagodnych rysach, otoczony świetlistym nimbem. Miałem piętnaście lat, czasem wciąż brałem to, co usłyszałem, zbyt dosłownie.

Drzwi się rozchyliły i stanęła w nich kobieta. Nie była zła czy brzydka, lecz po prostu zwyczajna: stara Chinka w czerwonym rozpinanym swetrze.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jestem Maczek, syn Sook Hee Kim.

Przez jej twarz przebiegł lekki skurcz czy może cień myśli, ale nie pokiwała głową i z początku w ogóle się nie odezwała.

Po dłuższej ciszy zapytała:

– Kto?

Próbowałem się uspokoić. Chciałem się upewnić, czy dobrze ją usłyszałem.

– Czy mam przyjemność z Cho Hee, matką Bae Sung Il?

W Chinach mówi się o innych „ojciec tej lub tego” lub „matka tego to a tego”.

– Tak, to ja – potwierdziła.

Nie posiadałem się ze zdumienia.

– Nie pamięta pani mojej matki? Robiła z panią interesy, wielokrotnie się u pani zatrzymywała. I zostawiła tu pieniądze.

Jej twarz stężała. Zorientowałem się, że popełniłem jakiś straszny błąd. Może powinienem był zapytać o Bong Sook. Wtedy może potrafiłbym w jej sercu czuć strunę. Zamiast tego zacząłem od pieniędzy, a ona od razu się najeżyła.

Cho Hee spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Nie znałam nigdy żadnej Sook Hee.

Zatkało mnie. Co miałem teraz zrobić? Nie mogłem przecież zgłosić niczego na policję. Nie mogłem też okraść tej kobiety – nie byłem do tego zdolny. Pokręciłem głową i odszedłem, czując, że cały świat jest ciemny i zły.

Rozdział 50

Matka opowiedziała mi o jeszcze jednym domu w Kai Sanie, gdzie mieszkali jej znajomi. Tam właśnie skierowałem swoje kroki. Ten budynek był znacznie okazalszy od poprzednich. Kiedy zapukałem do drzwi, otworzyła mi ładna, dobrze ubrana kobieta. Miała umalowaną twarz, kruczoczarne włosy i życzliwe oczy. Za nią zobaczyłem eleganckie, lśniące mahoniem meble w salonie.

Zapytałem ją o swoją matkę.

– Och, tak – powiedziała. – Została aresztowana w Hoeryöngu. Bardzo ci współczuję.

To wskazywało, że istniał dobry obieg informacji między Koreą Północną i Chinami. Więc Cho Hee musiała była wiedzieć, że moja matka trafiła do więzienia. Prawdopodobnie przygotowała się na dzień, gdy ktoś zjawi się u jej drzwi, i dlatego właśnie potraktowała mnie tak chłodno.

Chciałem dostać pieniądze, które pozwoliłyby mi uwolnić matkę. Ale zamożna kobieta niczego mi nie zaproponowała. Odszedłem więc od jej drzwi z niczym.

Co teraz począć? W sąsiedniej dzielnicy mieszkała Koreanka, która знаła moją matkę i Bong Sook. Mama opowiedziała mi o tym, zanim pierwszy raz z Bong Sook przepравиła się przez rzekę. Spodziewałem się, że mogłaby mi pomóc, ale nie znałem jej adresu. Ruszyłem więc przez Kai San na zachód. Może wpadnę na nią po prostu na ulicy.

Chodziłem tak przez dobre dwie godziny, szukając kobiety, która wyglądałaby bardziej koreańsko niż reszta przechodniów, a jednocześnie starałem się wytypować miejsca, gdzie mógłbym przenocować. Wreszcie znalazłem opuszczony dom na obrzeżach miasta. Zapadł zmrok i na ulicach zrobiło się ciemno. Wziąłem zapasowe ubrania, które ze sobą niosłem, i ułożyłem je w dużej szufladzie komody, aby powstało posłanie. Ustawiłem szufladę na podłodze i wgramoliłem się do niej. To lepsze niż spanie w górach, pomyślałem skulony. Przynajmniej mam dach nad głową.

Zostałem w tym domu przez tydzień. Rano i wczesnym wieczorem chodziłem żebrac o jedzenie. Popołudniami siadałem sobie i zastanawiałem się, co dalej począć. Moje pole działania było mocno ograniczone. Sprawy

nie układały się po mojej myśli.

Trochę pomagała mi wiedza, jaką zdobyłem, kradnąc w stowarzyszeniu. Kiedy zebrałem w jakimś domu, oznaczałem chodnik przed wejściem kredą na znak, że już tu byłem. Zawsze znaczyliśmy tak domy, które już okradliśmy. Jeśli skończyła mi się kreda, zapamiętywałem kolor drzwi wejściowych lub bramy albo rozmieszczenie anten telewizyjnych na dachu. Jeżeli każde miejsce odwiedzałem tylko raz, mieszkańcy powinni uznać, że przechodziłem tylko tędy w podróży. Gdybym zapukał do tych samych drzwi po raz drugi, poczuliby się nagabywani i prawdopodobnie zawiadomiliby służby porządkowe. Koreańczycy z Północy, którzy wrócili z Chin, wielokrotnie mi mówili: „Nie zagrzewaj nigdzie miejsca. Jeśli zostaniesz gdzieś na dłużej, to cię złapią”.

Z chodzenia od drzwi do drzwi miałem tyle jedzenia, żeby nie głodować. Choć ledwo, ledwo. Nigdy jednak nie opuszczał mnie lęk, że trafię za kraty.

Szóstego dnia zapukałem do drzwi i otworzyła mi kobieta. Natychmiast zorientowałem się, że już tu byłem. Właściwie był to pierwszy dom, gdzie zacząłem zbierać.

– Wróciłeś – zauważyła kobieta.

– Przepraszam – powiedziałem. – Proszę na mnie nie donosić. – Odwróciłem się, żeby czym prędzej odejść.

– Nie! – zawołała. – Jeżeli nadal tu jesteś, to musisz mieć naprawdę kłopoty. Zaczekaj tu.

Kobieta zniknęła w głębi mieszkania i wróciła po trzech czy czterech minutach z torebką, w którą zapakowała mi jedzenie.

– Musisz iść do chrześcijańskiego kościoła – powiedziała.

Wtedy przypomniało mi się słowo „chrześcijanin”, lato na polu kukurydzy i w namiocie małego dziadka. Wtedy słyszałem je po raz pierwszy i jedyny z ust byłego więźnia, który pilnował gospodarstwa swojego brata: napomknął mi o nich, ale potem nie umiał wyjaśnić, czemu są tacy, a nie inni.

– Jak znaleźć taki kościół? – zapytałem.

– Szukaj krzyża.

– Krzyża? – spytałem zagubiony.

Kobieta spojrzała na mnie z zaskoczeniem. Schyliła się i narysowała krzyż na ziemi.

– Widziałeś kiedyś taki znak?

– Och, tak – odparłem. – Na murach szpitali.

W Korei Północnej krzyżem oznaczało się budynki służby zdrowia.

– Ale to nie będzie szpital. Szukaj krzyża.

Podziękowałem kobiecie i odszedłem w kierunku targu, rozglądając się za krzyżem. Na próżno. Na żadnej ze ścian ani bram nie zobaczyłem tego prostego symbolu. Wreszcie zatrzymałem na ulicy staruszka.

– Wie pan, gdzie mogę znaleźć krzyż?

– Spójrz w górę!

– W górę?

Wskazał niebo.

– Spójrz w górę.

I wtedy go zobaczyłem, rozświetlony na tle ciemnoszarych chmur. Poszedłem tam i zapukałem do drzwi. Ktoś mi otworzył, a w głębi sali zobaczyłem mężczyzn, którzy musieli mieć po dwadzieścia kilka lat, schylonych nad dziwnymi płaskimi pudełkami, w które bębniłi palcami. Wtedy właśnie pierwszy raz zobaczyłem komputer.

Powiedziałem człowiekowi przy drzwiach, że jestem Koreańczykiem i że koczuję w górach, bo miałem nadzieję, że wzbudzę tym większą litość. Potrzebowałem jedzenia i pieniędzy i wcale nie owijałem w bawełnę. Chyba przez to, co opowiadał mi były więzień, uważałem po prostu, że muszą mi pomóc.

– A co to? Myślisz, że to bank? – obruszył się mój rozmówca, marszcząc brwi.

Zamurowało mnie. Czułem, że powiedziałem coś nie tak, ale nie wiedziałem co. Ze strachu w ogóle zaniemówiłem.

Mężczyzna westchnął i zniknął za drzwiami. Po kilku minutach wrócił z niedużą torebką.

– Masz – powiedział. – Przyjdź jutro.

W torebce znalazłem trochę ryżu i chińskich warzyw. Zjadłem wszystko czym prędzej na chodniku przed kościołem, a potem wróciłem do opuszczonego domu, w którym sypiałem.

Rozdział 51

Następnego dnia, jak tylko wzeszło słońce, stawilem się znowu przed bramą kościoła. Tym razem mężczyzna dał mi dwadzieścia juanów, równowartość około trzech dolarów.

Więc to prawda, pomyślałem. Chrześcijanie rzeczywiście istnieją.

Członkowie Kościoła dali mi nawet nowe ubranie. Wziąłem tam prysznic – cenniejszy niż jedzenie – i szorowałem każdą część ciała tak długo, aż zacząłem zdzierać sobie skórę. Inni przychodzili do kościoła, żeby narodzić się na nowo, ja zaś odrodziłem się w postaci fizycznej. Byłem chodzącą kupą śmieci, a zmieniłem się w schludnego młodego człowieka, który mógłby uchodzić za programistę lub urzędnika banku. Chrześcijanie nie tknęli jeszcze mojej duszy, ale moje ciało było teraz bez skazy. Wyglądałem jak prawdziwy chiński nastolatek, od czubka głowy po nowe lśniące białą adidas. Zapytałem członków Kościoła, gdzie mogę kupić bilet na autokar do Yanji, największego miasta w okolicy.

Wciąż rozumowałem jak uliczny cwaniaczek. Powiedziałem sobie: Skoro w jednym kościele dali mi dwadzieścia juanów, to odwiedzę każdy kościół, jaki zobaczę. Dziesięć kościołów oznaczało dwieście juanów. Fortunę!

Pojechałem do Yanji. Kiedy wysiadłem na dworcu, to, co przed sobą ujrzałem, mnie przytłoczyło – strzeliste drapacze chmur, wir trąbiących aut, światła błyskające wszelkimi wyobrażalnymi kolorami, ludzie na chodnikach ubrani w ciuchy tak modne i dobrze skrojone, że aż w głowie mi się kręciło. Czułem się tak, jakbym wylądował na innej planecie, obca była nawet sygnalizacja świetlna, z którą nigdy wcześniej nie musiałem sobie radzić (w Korei Północnej samochodów było tak mało, że piesi nie musieli się przejmować czerwonym światłem). Aby ukoić nerwy, kupiłem od ulicznego sprzedawcy paczkę papierosów. Podałem mu pięć juanów w nadziei, że to wystarczy. Sprzedawca wręczył mi resztę, a ja z wielką ulgą schowałem ją głęboko do kieszeni.

Błąkałem się po ulicach przez całe przedpołudnie, aż wreszcie natrafiłem na kościół z koreańskim wyrazem od frontu. Widok słowa zapisanego znajomym pismem sprawił, że poczułem się, jakbym wracał do domu. W środku był nieduży hol, gdzie kilku wiernych siedziało wokół stolika

karcianego. Zbliżyłem się do nich i wyłożyłem swoją historię. Jeden z mężczyzn odwrócił się do mnie i powiedział:

– Potrzebujesz pieniędzy? Mój syn nie może nawet znaleźć pracy!

Byłem tak wstrząśnięty, że myślałem, że się przesłyszałem. Ale miny reszty obecnych nie pozostawiały wątpliwości. To byli moi krajanie, a mimo to mną pogardzali. Odszedłem od stolika, osunąłem się na kanapę i rozpłakałem się cicho, dając upust skłębionym emocjom – zawiści, złości i zagubieniu. W końcu członek Kościoła przyniósł mi cztery bułki gotowane na parze i niechętnie wręczył mi jeszcze dwadzieścia juanów. Zjadłem jedną bułkę, a potem wyszedłem – nie chciałem zostawać tam ani chwili dłużej.

Włączyłem się po mieście jeszcze kilka godzin. Kiedy słońce zaczęło chować się za dachami domów, poczułem zmęczenie. Stałem pod ogromnym mostem, który zdawał się wznosić do samego nieba. Po prawej ode mnie, za barierką, płynęła rzeka, po lewej chodnikiem sunęły tłumy przechodniów. Zazdrościłem im, bo szli do określonego celu, podczas gdy ja błąkałem się samotny i zagubiony w tym ogromnym, hałaśliwym mieście.

Zaczął padać. Musiałem znaleźć sobie schronienie na noc. Dotarłem do dzielnicy ubogich, gdzie znalazłem blok mieszkalny z powybijanymi oknami. Wszedłem do środka, znalazłem pokój, gdzie nie było niczego poza leżącym na podłodze starym materacem. Padłem na niego i zamknąłem oczy, stopy miałem całe obolałe. Wkrótce usłyszałem ciche metaliczne grzechotanie, które mnie przeraziło – bałem się, że ktoś idzie. Dziwne brzęczenie nie dawało mi spokoju przez kilka godzin. Dopiero w porannym świetle zobaczyłem puszkę po diet coli i zdałem sobie sprawę, że myszy turlały ją po podłodze, robiąc taki hałas. Trzy pozostałe bułki z kościoła zamarzły i zrobiły się twarde jak kamień: żałowałem, że nie zjadłem ich poprzedniego dnia. Zmęczony i stęskniony za domem, wróciłem do Kai Sanu.

Poszedłem do rudery, w której nocowałem przez ostatni tydzień, i obmyśliłem nową strategię. Zapytałem chińską Koreankę, która handlowała na ulicy, o kościoły w mieście Tumen, a ona powiedziała, że jest jedna duża świątynia naprzeciwko samego dworca autobusowego. Zamierzałem pojechać tam, zapamiętać, gdzie znajdują się wszystkie kościoły, jakie minę po drodze, a potem na piechotę wrócić do Kai Sanu, wstępując do każdego z nich po kolei.

Kiedy dotarłem do Tumen, od razu zacząłem szukać kościoła po drugiej stronie ulicy od dworca, ale na stojącym tam budynku nie było krzyża. Dużo

później dowiedziałem się, że kościół był remontowany, a msze odprawiano gdzie indziej. Myślałem, że trafiłem w niewłaściwe miejsce, i natychmiast ogarnął mnie strach. Zacząłem błąkać się po ulicach miasta, szukając krzyży. Wreszcie znalazłem i wszedłem do kościoła. Na ścianie zobaczyłem słowa z Ewangelii według św. Mateusza, 11,28: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a ja wam dam odpoczynek”. Poczułem się tak, jakby zostało to napisane specjalnie dla mnie. Słowa trafiły mi prosto do serca i tchnęły we mnie nadzieję. Obok przechodziła schludnie ubrana kobieta w średnim wieku, a ja opowiedziałem jej swoją historię. Wysłuchała mnie życzliwie, po czym dała mi pięćdziesiąt juanów, ot tak. Nie posiadałem się ze szczęścia. Na zewnątrz kupiłem sobie tradycyjne koreańskie jedzenie, po czym spostrzegłem staruszka, który sprzedawał plastry ananasa. Ananasy były w Korei Północnej horrendalnie drogie i nie marzyłem nawet, że kiedykolwiek dane mi będzie tego owocu spróbować. Postanowiłem wydać część swych nowych bogactw na zakup jednego plasterka. Włożyłem go do ust przekonany, że przewyższy smakiem wszystko, co dotąd jadłem. Ale plasterek okazał się kwaśny i wodnisty – o mało go nie wyplułem. Rozczarowany poszedłem na dworzec kolejowy, ukradłem rower i pojechałem z powrotem do Kai Sanu.

Zapamiętałem, że po drodze jest osiem czy dziewięć kościołów, ale znowu zaczął prześladować mnie pech: wszystkie były zamknięte, najwyraźniej dlatego, że trafiłem na dzień powszedni. Dopiero nazajutrz rano znalazłem otwartą świątynię, wszedłem do środka i zastałem tam czterech Chińczyków koreańskiego pochodzenia, którzy siedzieli wokół kociołka z mięsem i jedli z niego pałeczkami, rozmawiając. Od samych drzwi obrzucili mnie podejrzliwie wzrokiem. Uraczyłem ich zmyśloną na poczekaniu historyjką o tym, że jadę do Hoon Choon, żeby znaleźć dawno zaginioną siostrę, więc czy nie mogliby mnie wspomóc jakimiś pieniędzmi, abym mógł tam dotrzeć? Mężczyźni popatrzyli po sobie z minami, w których znudzenie mieszało się z obrzydzeniem. Wreszcie jeden z nich dał mi piętnaście juanów i popedałowałem w kierunku Hoon Choon, po czym zawróciłem i pojechałem dalej zbierać pieniądze po drodze do Kai Sanu. Kiedy znowu mijałem kościół, zauważyłem, że ci sami mężczyźni stoją teraz przed budynkiem i rozmawiają z facetem, który siedzi na motocyklu. Zaczęli krzyczeć, żebym się zatrzymał.

Serce mi zamarło. Błyskawicznie oceniłem prawdopodobne konsekwencje

możliwości, jakimi dysponowałem: mogłem posłuchać rozkazu, uciec w góry lub spróbować szczęścia, uciekając na rowerze. Wiedziałem, że w wyścigu z motocyklem nie mam żadnych szans, więc zeskoczyłem z roweru jakiś metr przed mężczyznami. Ci zaczęli mnie szorstko przepytawać i kazali mi wywrócić kieszenie. Na ziemię posypały się banknoty o różnych nominałach, a jeden z mężczyzn ryknął:

– Wiedziałem, że facet kłamie!

Dwaj inni zaczęli mnie bić, rozbijając mi wargę i nos. Kiedy się na mnie wyżyli, mężczyzna, który trzymał moje pieniądze, oddał mi je i kazał mi się wynosić.

– Masz szczęście, że jesteśmy chrześcijanami – powiedział.

Z twarzą pulsującą bólem jeździłem na rowerze po górzystej okolicy, zastanawiając się, co teraz zrobić, a potem wróciłem do Kai Sanu, do tego samego zrujnowanego domu, co na początku, i spróbowałem zasnąć. Kiedy zdjąłem buty i skarpetki, z przerażeniem spojrzałem na swoje stopy. Minęły tygodnie, odkąd spałem gdzieś bez butów na nogach. Stopy były spuchnięte, zimne i wilgotne, i tak blade jak u topielca. Wiedziałem, że jeśli nie znajdę sobie jakiegoś ciepłego, suchego lokum, ich stan się pogorszy. Następnego dnia wróciłem więc do kościoła w Tumenie, jedyne, gdzie spotkałem się z prawdziwą życzliwością i zrozumieniem. Członkowie kongregacji powitali mnie z otwartymi ramionami i zaoferowali pokój w kościele, żebym miał gdzie spać. Później wrócili z talerzem białego ryżu i grubej, słodkiej chińskiej kiełbasy, a ja szybko to wszystko pożarłem. Nie spodziewałem się takiego przyjęcia, myślałem, że może dadzą mi znowu pięćdziesiąt juanów i wyślą w dalszą drogę.

Choć miałem teraz miejsce do spania, przerażała mnie myśl o następnym spotkaniu z dobroduszną kobietą. Do tego czasu musiały już do niej dotrzeć wieści, że opowiadałem tę samą bajeczkę w całej okolicy i wyłudzałem od chrześcijan tyle gotówki, ile się dało. Kiedy jednak zobaczyłem ją znowu, kobieta uśmiechnęła się do mnie z oczami pełnymi ciepła i zupełnie pozbawionymi podejrzeń. Dowiedziałem się, że jest żoną pastora.

Pewnego wieczoru, kilka dni po moim przybyciu, przysypiałem sobie w kościelnym holu, gdy usłyszałem rozmowę wiernych. Zebrali się razem i czekali na rozpoczęcie nabożeństwa.

– Pastor ma takie kiepskie zęby – usłyszałem słowa jednego z nich. – Bolało tak bardzo, że nie może w nocy spać. Ale przy trójce dzieci kogo stać na

dentystę?

Poczułem, jakby mnie coś przeszło – jakby ostry miecz. Rodzina pastora była biedna! A on sam miał kłopoty ze zdrowiem. Mimo to jego żona dała mi pięćdziesiąt juanów, jakby te pieniądze nic dla niej nie znaczyły. Zaczęło mnie interesować, kim właściwie są ci ludzie i co sprawia, że tak bardzo różnią się od mężczyzn i kobiet, którzy tylko mnie wyganiali.

Zapamiętałem apostolski symbol wiary i czytałem Biblię, gdy tylko nadarzała się okazja. Żona pastora i wierni przyjmowali to z wielką radością, do tego stopnia, że zacząłem wertować kartki Pisma za każdym razem, gdy zobaczyłem któregoś z członków kongregacji, nie rozumiejąc nawet tego, co czytam. Zainteresowanie Pismem Świętym było jedynym sposobem, jakim mogłem odpłacić się tym miłym ludziom za ich miłość i troskę. Ale świat biblijny pozostawał dla mnie kompletnie niezrozumiały.

*

Nie mogłem mieszkać w kościele tumeńskim nie wiadomo jak długo. Pastor Wang, który stał na czele kongregacji, zaczął więc szukać kogoś, kto by mnie przygarnął. W końcu znalazł pewną babcie Koreankę, siedemdziesięciokilkuletnią, silną w wierze chrześcijankę bardzo młodą duchem, która szukała północnokoreańskiej nastolatki, która pomogłaby w zmywaniu naczyń i sprzątaniu domu.

– Nie szukam chłopca – powiedziała staruszka pastorowi. – Chłopcy są zbyt niebezpieczni. Proszę znaleźć mi dziewczynę.

Pastor Wang nie dawał jednak za wygraną. Wszyscy w tym rejonie Chin mieli nadzieję, że znajdą młodą koreańską uciekinierkę, która pomogłaby im w domu, ponieważ dziewczyny takie były słabe, bezbronne i grzeczne, więc łatwe do wykorzystania. Cieszyły się jednak takim wzięciem, że były wielką rzadkością. Pastor Wang bez ogródek wszystko to jej wyłuszczył, ale starsza pani była nieugięta.

W końcu jednak trochę ustąpiła.

– Wie wielebny co? – powiedziała babcia. – Jeśli taka będzie wola Boża, wezmę tego chłopaka.

– A skąd właściwie będziemy wiedzieć, czy to wola Boża? – spytał kapłan.

– Kiedy się z nim zobaczę, zapytam, czy ma na imię Józef. Jeśli powie, że

tak, to znaczy, że Bóg tak chciał.

Staruszka i pastor zawarli więc potajemną umowę. Jeśli okaże się, że mam na imię Józef, zyskam opiekunkę i własny kąt, na co bardzo niewielu chłopców z Korei Północnej mogło liczyć. Pastor Wang przyszedł do mnie i wbrew słowu danemu kobiecie opowiedział mi, co się wydarzyło.

Wszyscy zwracali się do mnie, używając mojego starego przezwiska Maczek. Nikt nie wiedział, jak naprawdę się nazywam.

– Musisz powiedzieć, że jesteś Józef – rzekł pastor Wang. – To jedyne wyjście.

Poczułem się zraniony i urażony. Imię było wszystkim, co zostało mi po ojcu, wszystkim, co zostało z mojego dzieciństwa. Wszystko inne sprzedałem albo mi odebrano. Oddanie imienia za miskę gorącego jada i dach nad głową było dla mnie nie do przyjęcia.

– Nie zrobię tego – oświadczyłem stanowczo.

Ale pastor Wang, który był człowiekiem bardzo upartym, nie ustępował.

– Musisz – powiedział. Nie dawał za wygraną i wałkował ze mną temat bez przerwy, nie zważając na to, ile łez wypłakałem. Nie mogłem zostać dłużej w kościele, a staruszka dawała mi jedyną szansę bezpiecznego życia w Chinach.

Ostatecznie zgodziłem się chociaż z nią spotkać. Przyszła do kościoła i zastała mnie w moim pokoju. Usiadła i się przywitała. Ukłoniłem się jej.

– Jesteś Józef? – spytała staruszka ze zwykłą dla siebie bezpośredniością i rzeczowością.

Popatrzyłem w jej pomarszczoną, życzliwą twarz, napiętą teraz w oczekiwaniu.

– Tak – powiedziałem.

Staruszka otworzyła szeroko oczy i ścisnęła w rękach moją dłoń. Poczułem, jak drży. Starucho, pomyślałem, powiem ci, co teraz będzie. Pozwolę, żebyś mówiła mi Józef, i pójdę do twojego domu, a potem ukradnę wszystkie twoje pieniądze i cenne przedmioty. Zabiorę je i wrócę do Korei, i będę żył pod swoim prawdziwym imieniem. Wykupię matkę z więzienia i będziemy żyli długo i szczęśliwie, i nigdy więcej nie zobaczę ani ciebie, ani Chin.

Taki miałem plan. Przepęniała mnie gorycz.

Staruszka mieszkała w bloku w Yanji, czyli na terytorium prefektury autonomicznej Yanbian, około pięćdziesięciu kilometrów od miasta Tumen. Pojechaliśmy tam autokarem. Poszedłem z nią z własnej woli, ale wcale

staruszce nie ufałem. Kiedy dotarliśmy do jej domu, zacząłem zwracać się do niej per „babciu”, ale nie stało za tym żadne uczucie.

*

Korea Północna i moja matka zdawały się oddalać coraz bardziej z każdą kolejną godziną, którą spędzałem w Chinach. Przesiadywałem w swoim pokoju, z dala od oczu policji. Obserwowałem ludzi na ulicy, gimnastykowałem się i sprzątałem mieszkanie. Byłem zawieszony w próżni, ale możliwość nowego życia zdawała się czekać tuż za rogiem.

Babcia nie była zwyczajną siedemdziesięcioletnią chińską starowinką. Mieszkała ze swoim synem – miłym i milczącym człowiekiem, którego nazywałem wujkiem – ale wykazywała się dużą niezależnością. Babcia miała nawet swoją sympatię, pana, który nazywał się Lee, miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i młeczne włosy. Był około ośmiu lat młodszy od babci i przystojny. Pan Lee mówił trochę po angielsku i po rosyjsku. To właśnie ten starszy dżentelmen, gdy tylko mnie poznał i zobaczył moje łachmany, poszedł do sklepu i kupił mi czerwoną kurtkę, kilka par dżinsów i buty sportowe – ubranie, jakie mógł nosić każdy chiński nastolatek z odrobiną pieniędzy.

Byłem bardzo wzruszony jego gestem, siedziałem na swoim łóżku z dżinsami w dłoniach, wciąż gładko zaprasowanymi i pachnącymi świeżością, i usiłowałem się nie rozplakać. Uznałem to za kolejną fazę mojego powrotu do bycia człowiekiem. Wszystkie nastolatki chcą fajnie wyglądać; pan Lee, o dziwo, to rozumiał. Szybko zrzuciłem stare łachy i przymierzyłem nowe ciuchy, obracając się to w jedną, to w drugą stronę, gdy przeglądałem się w lustrze. Po kilku minutach moja radość przygasła. Uświadomiłem sobie, że nie mogę nosić swoich nowych dżinsów na zewnątrz, bo tkwią zamknięty w mieszkaniu babci. Posmutniałem. Rozebrałem się i założyłem z powrotem stare ubranie.

Wciąż byłem daleko od chwili, kiedy mógłbym normalnie funkcjonować w społeczeństwie. Nie byłem wolny, nie miałem prawdziwego domu, zupełnie zatraciłem pewność siebie. Kiedy odwiedziła nas wnuczka babci, dziewczyna okazała się urocza i bardzo słodka. Przyniosła banany, a ja przyznałem się wcześniej babci, że nigdy w życiu ich nie jadłem. Były

najwyraźniej prezentem dla mnie.

– Cześć, Józefie, jak się masz? – powiedziała.

Babcia uśmiechnęła się i wyszła z pokoju.

Pokręciłem głową. Rozmawiać z tą olśniewającą istotą – to było nie do pomyślenia. Ona nigdy nie widziała upodlenia, które tak dobrze znałem, nigdy nie zmieniała się w wygłodniałe, węszące za resztkami jedzenia zwierzę, którym do niedawna byłem. Czułem się tak, jakbym należał niemal do innego gatunku. Nie mogłem rozmawiać z nią o błahostkach, nie mogłem żartować i się z nią droczyć.

– Cześć – powiedziałem nieśmiało, po czym odwróciłem się i uciekłem do swojego pokoju. Chodziło nie tylko o niewiarygodne różnice w naszych życiorysach i wychowaniu, ale także o moją tajemnicę: o to, że opuściłem Koreę Północną po części po to, żeby pomóc matce, a wciąż po nią nie wróciłem. Poczucie winy z tego powodu narastało we mnie każdego dnia, coraz bardziej mi ciężąc.

Przez pierwszy tydzień w ogóle nie wychodziłem z mieszkania. Babcia bardzo na to nalegała. Wcześniej już raz udzieliła schronienia uchodźcy z Korei Północnej i całe doświadczenie głęboko ją zraniło. Powiedziała mi o nim tylko tyle, że był po trzydziestce, bardzo religijny, bardzo dużo palił i był dobrym i wrażliwym człowiekiem. (Ja też paliłem, ale starałem się to przed nią ukryć, bo wiedziałem, że tego nie pochwała). Tajemniczy uchodźca został zgarnięty z ulicy przez chińską policję, a babcia nigdy więcej już go nie zobaczyła. Teraz bała się, że ze mną stanie się to samo.

Babcia współpracowała z pewną południowokoreańską organizacją kościelną, która płaciła za nią część czynszu i wynagradzała ją za każdego uchodźcę z Korei Północnej, którego przygarniała. Mimo wszystko gdyby została przyłapana, musiałaby zapłacić grzywnę w wysokości pięciu tysięcy juanów. To były dla niej duże pieniądze. Podejmowała ryzyko, nawet przyjmując mnie w swoim domu.

Byłem bezpieczny i miałem w bród jedzenia, więc według standardów północnokoreańskich wiodło mi się wspaniale. Ale mój stan umysłu był bardzo zaburzony. W marzeniach na jawie ciągle nawiedzała mnie matka. Zastanawiałem się, czy spodziewa się, że odwiedzę ją z dostateczną ilością pieniędzy, by kupić jej wolność. Czy mówiła do siebie: „Maczek jutro wróci”? Ta myśl przez wiele nocy nie dawała mi zasnąć.

Myślałem również o Bong Sook. Teraz, gdy znalazłem się w Chinach,

byłem bliżej swojej siostry. Ale nie miałem pojęcia, jak ją znaleźć. Nie wiedziałem, czy przybrała nowe nazwisko ani w jakiej prefekturze mieszka. Nie miałem jeszcze sił i środków, żeby jej szukać. Rozpytywanie o zaginioną koreańską dziewczynę byłoby w moim przypadku szalenie ryzykowne.

Żeby znaleźć Bong Sook, musiałem najpierw sam wybić się na wolność.

Rozdział 52

Pewnego wieczoru babcia zawołała do mnie, że wychodzi. Usłyszałem trzask zamykających się drzwi i odczekałem kilka minut, nadstawiając uszu na wypadek, gdyby cofnęła się, bo zapomniała torebki czy czegoś takiego. Kiedy upewniłem się, że wyszła na dobre, wstałem ze swojego łóżka, przemierzyłem korytarz i wszedłem do jej pokoju. Kilka dni wcześniej widziałem z przedpokoju, jak wpychała coś pod swój materac. Wiedziałem, co to było: pieniądze. Podobnie jak wielu innych Chińczyków starej daty babcia nie ufała bankom i sporą ilość gotówki trzymała w domu.

Jej pokój był schludny i zwyczajny, z krzyżem na ścianie i elektrycznym kocem na łóżku, pościelonym różową kołdrą w drobne kwiatki. Uniosłem materac i ujrzałem trzysta lub czterysta juanów (około pięćdziesięciu dolarów amerykańskich). Wołałem nie brać banknotów i ich nie przeliczać, na wypadek gdyby babcia miała jakiś system układania pieniędzy w określonym porządku, żeby mogła się zorientować, czy ktoś je ruszał. Byłem podejrzliwy w stosunku do wszystkich i zakładałem, że babcia też taka jest.

Stałem więc tam i wpatrywałem się w stos pogniecionych banknotów. Czy powinienem zabrać je i wrócić do Hoeryŏngu? Czy było ich dość, żeby wykupić matkę? Nie miałem pojęcia. Trzysta juanów stanowiło w Korei Północnej małą fortunę, ale nie wiedziałem, jak wysoką łapówkę trzeba by wręczyć strażnikowi więziennemu. (Później zdałem sobie sprawę, że tych pieniędzy było znacznie za mało na cel, na który chciałem je spożytkować).

Ramię rozboleło mnie od podtrzymywania materaca, ale prawie tego nie czułem. W głowie przelatywały mi rozmaite myśli. Matka i Korea Północna, ojczyzna, którą wciąż kochałem, rywalizowały z tym innym światem, który odkrywałem, światem o niesłychanym bogactwie różnorodnych potraw, które widywałem każdego dnia, potraw, które mogłem jeść, gdy tylko naszła mnie ochota. Jedzenie naprawdę dużo dla mnie znaczyło.

Gdybym zabrał pieniądze i zniknął, babcia byłaby załamana. Nie chciałem jej skrzywdzić. Była dla mnie dobra. Urządziła nawet małe przyjęcie na moje urodziny. Przyszli pan Lee i wujek i wspólnie zjedliśmy kimchi, kurczaka i smażoną wieprzowinę, a ja wypłem trzy kieliszki wina. Choć od tej ilości alkoholu ledwie zaszumiało mi w głowie, ku uciesze babci udawałem, że

jestem niezłe wstawiony. Na koniec posiłku poszła do kuchni i wróciła z tortem waniliowym udekorowanym plastrami ananasa i częstkami pomarańczy, na którym paliły się świece. To był pierwszy prawdziwy tort, jakiego spróbowałem.

Jak mógłbym więc nadużyć jej zaufania?

Głos w mojej głowie powiedział: Nie możesz wrócić. Nie uda ci się, złapią cię i znowu zaczną się gehenna.

Ale wiedziałem, że to tylko wymówki. Nie mogłem przyznać się do prawdy: chciałem zostać. Miałem tu mnóstwo jedzenia i ludzi, którzy się o mnie troszczyli. Istniała nawet szansa, że uzyskam chińskie obywatelstwo – babcia mi o tym mówiła. Zetknąłem się z nową rzeczywistością, której pragnąłem głębiej doświadczyć: bezwarunkowej miłości, etyki, chrześcijaństwa.

Opuściłem materac z powrotem na łóżko, nie ruszając pieniędzy. Poczekam i zobaczę, co będzie dalej, pomyślałem.

Czy każdy dzień, gdy opierałem się kradzieży pieniędzy, równał się kolejnemu dniowi, który przybliżał moją matkę do śmierci? Wolałem się nad tym nie zastanawiać. Stałem się mistrzem w unikaniu myślenia o takich sprawach.

Powoli przekonywałem się, że babci naprawdę zależy na mnie z głębi serca. Traktowała mnie jak krew ze swojej krwi, jak własnego wnuka. W końcu imię Józef przestało budzić we mnie gorzki sprzeciw. Przyjąłem je jako własne, w hołdzie dla swojego nowego życia i miłości babci. Józef, czyli Joseph, Kim. To właśnie ja.

*

Pewnego dnia babcia przyszła do mnie i powiedziała:

– Załóż swoje nowe ubranie, Józefie. Idziemy na zakupy.

– Tak, babciu – odrzekłem spokojnie. Ale byłem bardzo podekscytowany. Po raz pierwszy miałem się wydostać z mieszkania.

Wyjąłem swoje nowe dzinsy, które leżały w szafie na samym wierzchu, założyłem świeżą białą koszulę i czerwoną kurtkę. No i moje buty sportowe, zawiązane idealnie na kokardki z pętlami równej wielkości. Babcia oznajmiła, że idziemy do spożywczaka.

Zaobserwowałem, że zbiegowie z Korei Północnej, którzy od dłuższego czasu przebywali w Chinach, zmieniali się z wyglądu. Ich twarze były inne. Gładsze. Nawilżone. Północni Koreańczycy chodzą zwykle przygarbieni i sztywni, ale po jakimś miesiącu w Chinach zaczynają chodzić szybciej, a jednocześnie sprawiają wrażenie bardziej rozluźnionych. Plecy im się prostują, cała postawa się poprawia. Ich ubrania, oczywiście, wyglądają szykownie i nowocześnie.

Bałem się, że mimo czerwonej kurtki i nakłóć twarz i ciało i tak zdradzą moje pochodzenie. Nie miałem żadnego kremu, ale nałożyłem na włosy trochę żelu pana Lee, aby nadać im ładny połysk, w nadziei, że dzięki temu lepiej wtopię się w tłum. Mimo wszystko prawie dygotałem ze zdenerwowania.

Policjanci mogą nadejść zewsząd, pomyślałem. Ta ściana, przy której śpię, nie jest w stanie mnie przed nimi ochronić. Równie dobrze mogę wyjść na miasto i być normalnym człowiekiem.

Wyszliśmy z mieszkania, po schodach i na ulicę. Była wiosna i roiło się od ludzi. Tak długo ukrywałem się w swoim pokoju, że gwar zdawał się głośny jak trąbienie statku. Trzymałem babcię pod rękę, jakbym prowadził staruszkę chodnikiem, ale było to tylko na pokaz. Tak naprawdę to mnie trzeba było prowadzić.

Dotarliśmy na przystanek autobusowy i stanęliśmy w kolejce. Nagle jakaś kobieta odwróciła się do mnie i zaczęła się gapić. Zdrętwiałem. Zaczęło dudnić mi w uszach. Babcia spojrzała na kobietę, a ta powiedziała coś do niej, cały czas nie odrywając ode mnie wzroku.

Babcia odpowiedziała kilkoma słowami, po czym zwróciła się do mnie.

– Pani mówi, że mam bardzo ładnego wnuka.

Poczułem się urażony.

– Ładnego?

Ale uśmiechnąłem się do kobiety. Babcia pokiwała głową i popatrzyła na mnie znacząco. Była ze mnie dumna.

Obok kobiety stała atrakcyjna dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Kobieta zaczęła do niej coś szeptać.

O Boże, tylko niech mnie nie swata, pomyślałem.

Wsiadliśmy do autobusu. Babcia zapłaciła za przejazd i znalazła nam wolne fotele. Kiedy później wsiadł starszy pan, niski i przygarbiony, wstałem i ustąpiłem mu miejsca. Staruszek podziękował mi wylewnie, a babcia pękała

ze szczęścia.

Sklep spożywczy okazał się kolejnym cudem. Spacerowaliśmy alejkami i przystawaliśmy, żeby pomacać niektóre towary. Zafascynowały mnie brokuły. Miękkie miniaturowe drzewka. Białe brokuły kosztowały więcej niż zielone. Dlaczego? Babcia też nie wiedziała.

– Co byś zjadł? – zapytała.

Ale wszystkiego było za dużo: czułem się przytłoczony. Pokazałem palcem kilka rzeczy – pomidory, krewetki – a ona wzięła je do koszyka, razem z towarami, które miała wypisane na kartce. Skąd wiedziała, które produkty wybrać z tysięcy innych ułożonych na półkach? Czy zapamiętała, gdzie leżą, w którym miejscu niekończących się alejek? Myślałem, że sam nigdy nie opanuję sztuki robienia zakupów w takim wielkim sklepie.

Wróciliśmy autobusem do domu, a gdy zamknęły się za nami drzwi od mieszkania, poczułem ulgę. Ale wiedziałem, że niedługo znowu wybiorę się na miasto.

*

Jadłem prawie bez przerwy. Od śniadania mijało dwadzieścia minut, a ja już gryzłem banana lub wrzucałem do ust kilka winogron. Chciałem wiedzieć, że jedzenie wciąż jest pod ręką, zawsze dostępne. To tak, jakbyście zgubili w parku młodszego brata i o mało nie utracili go na zawsze. Potem co rusz zaglądacie do jego pokoju, żeby sprawdzić, co robi.

Dwa dni później zapytałem:

– Kiedy znowu wyjdziemy na miasto?

Babcia zabrała mnie do swojego kościoła. Był organizacją podziemną, to znaczy, że działał bez zezwolenia władz, w przeciwieństwie do tych związków wyznaniowych, które płaciły łapówki urzędnikom państwowym. Na nabożeństwie zjawili się tylko trzydziścioro wiernych. Pastor pochodził z Korei Południowej i przedstawił mi swoim trzem córkami. Każda z nich była oślepiająco piękna. Ja z kolei byłem tak rozmowny jak kamień.

– Przywitaj się z nimi – zachęcała mnie babcia.

Nie mogłem nawet spojrzeć im w oczy. Nie rozumiałem, na czym polega flirtowanie w stylu zachodnim, bo to wykraczało poza zakres moich doświadczeń. Nie miałem pojęcia, czego ode mnie chcą, i byłem pewien, że

gdybym się odezwał, palnąłbym najgorszą możliwą głupotę. Dlatego milczałem jak zakłęty.

Tydzień później wybraliśmy się do zboru nadrzędnej organizacji kościelnej, największej w prowincji. W ogromnym budynku tłoczyło się co najmniej tysiąc osób. To było nabożeństwo wieczorne, a chór młodzieżowy śpiewał ze sceny hymny.

Zauważyłem młodego mężczyznę, który szedł nawą odziany w olśniewająco biały garnitur, do którego nosił białe buty. Nigdy wcześniej nie widziałem nikogo ubranego całkiem na biało. W Korei Północnej byłoby to nie do pomyślenia: po półgodzinie taki śmiałek byłby cały utyłany błotem. Cera mężczyzny wyglądała tak świeżo i gładko na tle bieli. Gapiłem się jak zahipnotyzowany.

– Podoba ci się jego garnitur? – szepnęła do mnie babcia.

Pokiwałem głową.

– Pewnego dnia dam ci dokładnie taki sam – powiedziała. – I pewnego dnia przyjdiesz tu i będziesz rozmawiał z każdym, z kim zechcesz.

Ten dzień nigdy nie nadejdzie, pomyślałem. Być takim jak ten młody mężczyzna? Niemożliwe.

W miarę upływu czasu babcia utwierdzała się w przekonaniu, że nie zostaną spostrzeżony na ulicy i wywieziony z powrotem do Korei. Zgadzała się teraz, żeby sam wychodził z domu, i dawała dwa juany na przejazd autobusem. Czasami oszczędzałem te pieniądze, a potem kupowałem papierosy i szedłem tam, gdzie oczy poniosły. Kiedy jeździłem autobusem, siadałem z tyłu i do nikogo się nie odzywałem, ale bardzo ceniłem sobie te chwile samotności i samodzielności. Z początku nie miałem pojęcia, jak do jasnej cholery, dać kierowcy do zrozumienia, gdzie chcę wysiąść. Jechałem na pętlę i obserwując innych pasażerów, czekałem, aż autobus ruszy w trasę powrotną. Wreszcie załapałem, co takiego mówią: *Xiàchē*, czyli „Chcę wysiąść”.

Każde z takich małych odkryć bardzo mnie cieszyło. Człowieczeństwa nie odzyskuje się od razu, w jednej chwili. To raczej jak wdrapywanie się na górę z głębokiego dołu: wszystko dzieje się pomału i łatwo osunąć się znowu w dół.

Rozdział 53

Każdego wieczoru babcia i ja czytaliśmy fragmenty z wysłużonej koreańskiej Biblii w podrapanej i poprzecieranej miejscami, czarnej skórzanej oprawie. Siadaliśmy razem w salonie, który miał duże okna wychodzące na ruchliwą ulicę. Śpiewaliśmy wspólnie hymny i dyskutowaliśmy o znaczeniu przysłów. W głowie wciąż miałem mętlik. Na początku w ogóle nie rozumiałem, o co chodzi z tą dziwną chronologią, z latami przed Chrystusem i po Chrystusie – samo pojęcie było mi obce i trudne do ogarnięcia. Nie znałem jeszcze historii Jezusa, więc nie wiedziałem, co te terminy właściwie znaczą. Byłem zupełnie skołowany.

Babcia załatwiła, żeby młody mężczyzna z kościoła przychodził i czytał ze mną Pismo Święte. Przerabialiśmy liczne fragmenty, a ja starałem się wyjaśnić, co znaczą. Wszystkie te dziwne imiona: Jozue, Mojżesz, Noe. Były to dla mnie postaci z jakiejś obcej mitologii. Samo zrozumienie tego, co właściwie takiego zrobili, wymagało ogromnego wysiłku. A ogarnięcie tego, co to wszystko znaczy, było ponad moje siły.

Tamten młody człowiek powiedział mi jednak coś, czego nigdy nie zapomniałem:

– Jeżeli będziesz modlił się do Boga o coś samolubnego – powiedział – On cię nie wysłucha. Jeżeli poprosisz Go o mercedesa, żebyś mógł nim pędzić po szosach i podrywać dziewczyny, nigdy nie będziesz go miał. Ale jeśli chcesz mieć samochód po to, żeby wozić starszych ludzi do lekarza, jeśli chcesz czynić dobro, twoje modlitwy zostaną wysłuchane.

W chrześcijaństwie wszystko było na odwrót. Z dotychczasowego życia wyniosłem naukę, że jeśli nie będziesz myśleć przede wszystkim o sobie, to umrzesz.

Teraz miałem jedzenie i dach nad głową, ale mijały kolejne dni, a ja popadałem w coraz większe przygnębienie. Czułem się samotny i przerażony do tego stopnia, że poważnie zastanawiałem się nad tym, żeby ukradkiem wrócić do Korei Północnej, mimo że narażałbym się w ten sposób na śmierć głodową. Postanowiłem, że zacznę zbierać pieniądze, tak dużo, jak się da, na podróż do kraju. Można tęsknić nawet za więzieniem, o ile znajdują się w nim ludzie i miejsca, które się kocha.

Pewnego wieczoru babcia otworzyła Biblię na samym końcu i wybrała hymn. Zaczęliśmy wspólnie śpiewać, ona głosem słabym i skrzekliwym, a ja urywanym, ilekroć nie udało mi się nadążyć za słowami. Był to hymn *Father, I Stretch My Hands to Thee*, „Ojcze, ku Tobie wyciągam ramiona”^{*}.

*Ku Tobie, Ojcze, wyciągam ramiona,
Nigdzie pomocy innej nie znajduję,
Jeśli się wzdrygniesz i cofniesz przede mną,
Gdzież powędruję?*

Poczułem, jak coś przeszło mi serce. Bo to rozumiałem – to było moje życie. Rzecz, która mnie prześladowała, poczucie, że jestem ściganą zwierzyną, której koniec już się zbliża, znowu mnie naszło. Zacisnąłem mocno powieki i po raz pierwszy spróbowałem przemówić do Boga.

– Nie wiem, kim jesteś – powiedziałem. – Nie rozumiem Pisma Świętego. Ale uciekam się pod twoją opiekę. Jeśli mi jej wzbronisz, nie zostanie mi już nic. Błagam cię, pomóż mi. Proszę, wskaż mi drogę.

Czy to była modlitwa? Nie wiedziałem. Wyczerpany, skuliłem się otulony wełnianym kocem, który służył mi za materac, i szybko zasnąłem.

Przez kilka następnych tygodni czytałem coraz więcej Biblii i stało się coś dziwnego. Moje obawy i wyobcowanie zaczęły topnieć. Poczułem w duszy ożywczą świeżość. Co się ze mną dzieje? – zastanawiałem się. Trudno było mi uwierzyć, że historie biblijne, których słuchałem w kościołach, są prawdą.

Świat zmieniał się dla mnie. Słońce, które świeciło przez szyby, było tym samym słońcem. Drzewa za moim oknem były tymi samymi drzewami, jedzenie było takie samo, jakie jadłem od tygodni. Ale patrzyłem teraz na to wszystko nowymi oczami. Świat przestał budzić lęk, czułem się jak dziecko, które wróciło po długiej, bolesnej podróży do domu.

Schwytanie i osadzenie w obozie pracy nie groziło mi wcale mniej niż przedtem. Ale czułem, że teraz Bóg kroczy obok mnie. Jego miłość okrywała mnie niczym gruba, ciepła peleryna. Wiedziałem, że On nigdy mnie nie opuści.

Wtedy nie rozumiałem w pełni intelektualnej warstwy Biblii. (Z pojęciem Trójcy Świętej borykałem się jeszcze przez wiele miesięcy). Ale w duchu nie byłem już zbiegiem. Bóg pokazał mi, że jest wszędzie na świecie i że mnie

kocha.

Pierwszy raz doświadczyłem Go jako głębokiej i przemieniającej miłości.

* Hymn autorstwa Charlesa Wesleya (1707–1788), współtwórcy ruchu metodystów (przyp. tłum.).

Rozdział 54

Wszystkie babcine kluski, ryż i wołowina z pomarańczami nie pozostały na mnie bez wpływu: robiłem się grubawy. Wujek zaprowadził mnie jednego popołudnia do koreańskiej sauny i zauważył cienki wałek tłuszczu wokół mojego brzucha. Wskoczyłem na wagę. Dwa kilogramy więcej niż tydzień wcześniej.

Zacząłem skakać w swoim pokoju na skakance o czwartej nad ranem. Na dole był sklep, więc nikomu nie przeszkadzałem. Przywiązałem sznurek na bieliznę do klamki drzwi z jednej strony i do gałki komody z drugiej i skakałem przez niego wte i wewte. Biegałem po ulicach – trzy, siedem, dwanaście kilometrów. Przeskakiwałem przez kosze na śmieci, a ludzie zatrzymywali się i patrzyli na mnie ze zdziwieniem. Nabierałem tężyzny.

Jednym z miejsc, do których biegałem, był Uniwersytet Nauki i Technologii w Yanbian. Znajdował się za mocnym żeliwnym ogrodzeniem. Pierwszy raz, gdy tam trafiłem, popatrzyłem przez poręcz na soczyście zielone trawniki i wszystkich tych studentów, którzy tam grali, uczyli się i gadali. Wyglądali tak idealnie, że sprawiali wrażenie plastikowej podróbki. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś może żyć w ten sposób, uczyć się i flirtować w tym pięknym świecie. Zwykle kończyłem codzienne przebieżki właśnie przy tym ogrodzeniu i przez pięć, dziesięć minut gapiałem się na studentów. Dlaczego ich życie tak bardzo różniło się od mojego? Czy zawsze tak już będzie? Bałem się z nimi porozmawiać, bałem się, że odkryłbym w nich coś takiego, przez co pomyślałbym: Więc dlatego nie wpuszczają mnie za ogrodzenie.

Później biegłem do domu.

To dziwne, ale mierzyłem postęp w rzeczach materialnych: nowa koszula, okulary przeciwsłoneczne, własne papierosy. Bardzo pragnąłem mieć telefon komórkowy. Bez niego było się w Chinach nikim. Miałem nawet wytypowany wymarzony model: nokię z przesuwaną pokrywą. Ilekroć widziałem, jak ktoś wyciąga taki telefon, myślałem sobie: Kiedy będę miał taką komórkę, będę szczęśliwy. Fascynował mnie nie tyle sam namacalny przedmiot, ile raczej myśl, że mogę porozmawiać z każdym, z kim i kiedy chcę. Nie przyszło mi nigdy do głowy, że tak naprawdę nie mam do kogo

zadzwoń.

Wciąż byłem zamknięty w sobie. Nie wiedziałem, jak bardzo wpłynęły na mnie doświadczenia wyniesione z Korei Północnej, ale daleko mi było teraz do tego pewnego siebie łobuziaka, jakim byłem na targu.

*

Po jakimś czasie poznałem jednego z kaznodziejów kościelnych, który pewnego wieczoru objął mnie ramieniem i powiedział:

– Józefie, wiesz, jakie to niesamowite, że przeżyłeś? Musisz modlić się do Boga, podziękować Mu i zapytać, jakie ma wobec ciebie plany po tak wielkim cudzie.

Rzeczywiście mnie to zastanawiało i pytałem Boga: „Czemu ja?”. Żadna odpowiedź nie nadchodziła, ale czułem się zobowiązany, by przeżyć to nowe życie jak najlepiej.

Mój pastor opowiedział mi o misjonarce, która odwiedzi mnie u babci. Chciała przynieść mi pokrzepienie i zapomogę dla uchodźcy. Kiedy przyszła, jej wygląd bardzo mnie zdziwił. Była średniego wzrostu i bardzo otyła. Jej ubranie i okulary nie były modne. Już po kilku tygodniach w Chinach wiedziałem, co jest modne, a co nie. Pomyślałem sobie: Czemu się tak ubierasz?

Usiedliśmy w salonie, a ona zapytała:

– Czego chcesz?

Wcześniej w ogóle o tym nie myślałem. Miałem już nowe buty i kurtkę. Wszystkie moje potrzeby były zaspokajane, może oprócz telefonu komórkowego. Ale to byłoby zbyt wygórowane żądanie.

Zaległa długa cisza. Po trzech minutach powiedziała:

– Józefie?

Było lato. Podniosłem na nią wzrok.

– Piłkę nożną? – powiedziałem.

Kobieta zaśmiała się głośno, a potem w oczach stanęły jej łzy. Zupełnie tego nie rozumiałem. Myślałem, że ją uraziłem. Misjonarka pokiwała głową i wkrótce potem wyszła.

Dwa tygodnie później przyjechała po mnie swoją furgonetką. Wybieraliśmy się do galerii handlowej, żeby kupić mi piłkę i trochę ubrań.

Byłem szczęśliwy, że ktoś zabiera mnie na przejazdżkę autostradą w tak piękny, słoneczny dzień. Poczułem się wyjątkowy. Po zakupach ruszyliśmy z powrotem do domu. Po drodze misjonarka wyjaśniła mi, dlaczego poprzednim razem się rozpląkała. Powiedziała, że kiedy odwiedza uchodźców z Korei, ci natychmiast proszą ją o jedno: o pieniądze. W przeciwieństwie do mnie ludzie ci nie mieli zwykle opiekuna i żyli z dnia na dzień, ukrywając się w górach. Prosilili o pieniądze na przeżycie – i wcale nie były to drobne sumy.

Kiedy więc poprosiłem misjonarkę o piłkę, bardzo się wzruszyła. Może uderzyło ją również to, że moi rówieśnicy w Korei Południowej zdawali egzaminy i przygotowywali się do studiów, planując swoje życiowe kariery, podczas gdy ja pomyślałem tylko o prostej zabawce. Właściwie wcale nie przyszło mi do głowy poprosić o pieniądze czy o coś nadmiernie drogiego – byłoby to niegrzeczne, a szczerze mówiąc, niczego takiego wtedy nie potrzebowałem. Wszystkie moje potrzeby były zaspokajane.

Potem misjonarka spojrzała na mnie i zapytała, czy chciałbym pojechać do Ameryki. Zareagowałem odruchowo.

– Nie – powiedziałem.

Sprawiła wrażenie wstrząśniętej i trochę zagniewanej.

– Czemu jesteś aż tak inny, Józefie? Wiesz, że to jedna szansa na tysiąc? Jest mnóstwo uchodźców, którzy daliby się pokroić, żeby polecieć do Ameryki. Czemu mówisz „nie”?

Ameryka była ogromna, nieznana i daleka, tysiące kilometrów od mojej matki i siostry. Poza tym zawsze uczono mnie, że to wrogi kraj, pełen długonosych, wielkookich i nikczemnych ludzi, którzy zabili mnóstwo moich pobratymców. Mój umysł wciąż był spaczony przez lata partyjnej propagandy i prania mózgow.

– Czuję, że jesteś wyjątkowy, Józefie. Nie jesteś taki jak inni chłopcy. Proszę, zastanów się jeszcze.

Powiedziała, że odwiedzi mnie za tydzień i żebym do tego czasu podjął decyzję.

Rozdział 55

Kiedy wróciłem do mieszkania, pochwaliłem się babci swoimi nowymi butami i piłką. Przemilczałem jednak sprawę ewentualnego wyjazdu do Ameryki. Pomysł był tak nowy i zaskakujący, jak przejście na stronę wroga, że nie wiedziałbym nawet, co powiedzieć. Poza tym bałem się, że zraniłbym ją, gdybym oświadczył, że może opuścić Chiny.

Tamtego wieczoru, zagubiony i nieszczęśliwy, otworzyłem swoją Biblię. Zacząłem czytać Mateusza, jedną z moich ulubionych Ewangelii, i wkrótce dotarłem do wiersza 39 rozdziału 26, który opowiada o Jezusie w Ogrójcu: „A odszedłszy trochę dalej, upadł na twarz i modlił się, mówiąc (...) niech się stanie nie jak ja chcę, ale jak ty”. Zamknąłem oczy. Wiedziałem dokładnie, co czuł w tamtym momencie Jezus. Jest wyczerpany fizycznie, pozbawiony nadziei i przepelniony czarną rozpaczą. Ciało odmawia mu posłuszeństwa, nie jest w stanie postawić następnego kroku. I dlatego oddaje się w ręce Ojca.

Na swój sposób musiałem zrobić to samo.

– Boże – wyszeptałem – nie wiem, co robić. Czy zostać z babcią, czy jechać do Ameryki? Nie mam siły podjąć decyzji. Oddaję się w twoje ręce.

Kiedy leżałem tamtej nocy w łóżku, nie naszła mnie żadna wizja, nie usłyszałem żadnego głosu. Ale moje zagubienie stopniowo się roztopiło, a w jego miejsce pojawiło się stanowcze przekonanie, że droga mojego życia prowadzi przez Amerykę. Stało się dla mnie jasne, że muszę jechać. Ogarnęła mnie ulga i radość. Odłożyłem Biblię na biurko obok materaca i wreszcie zasnąłem.

*

Nie wiedziałem o Ameryce nic oprócz tego, że jest tam pełno ludzi o dużych oczach, którzy nienawidzą Korei Północnej i jej mieszkańców. Starąłem się wyobrazić sobie typowe amerykańskie miasto, ale nie umiałem: byłem w stanie jedynie multiplikować to, co widziałem za oknem: centra handlowe wielokrotnie większe, ulice wielokrotnie bardziej ruchliwe. (Nawet wtedy jakimś sposobem wiedziałem, że Ameryka jest duża). Postanowiłem

dowiedzieć się o Stanach Zjednoczonych więcej poprzez oglądanie mnóstwa filmów. Telewizor u babci miał kilkadziesiąt kanałów, a ja skakałem z programu na program godzinami, szukając w nich filmów z białymi ludźmi.

Pewnego dnia wujek zastał mnie przy oglądaniu jednego z takich filmów.

– Co robisz? – zapytał, gdy usiadł obok mnie na kanapie.

– Uczę się o Ameryce. – Na pewne tematy wolałem rozmawiać z nim niż z babcią, która bała się, że ją opuszczę.

Spojrzał na ekran ze zdziwieniem.

– O Ameryce? – powiedział. – To jest niemiecki film!

– Ale są w nim biali ludzie! – zaprotestowałem. Był to jakiś film akcji, a ja gapiłem się zafascynowany na widoczne w nim domy. Nie mogłem uwierzyć, że ludzie mogą tak mieszkać.

Wujek się roześmiał.

– W wielu krajach są biali ludzie – stwierdził. – Nie wiedziałeś?

Pokręciłem głową. Wujek wziął pilota i zaczął szukać amerykańskich filmów. W pierwszym, na jaki trafił, grał Sylvester Stallone. Jedna ze scen blisko początku zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Właściwie nic się w niej nie działo. Stallone budzi się pewnego ranka, bierze prysznic, zakłada czarny skórzany płaszcz i czarne skórzane rękawiczki. Otwiera lodówkę i wyciąga chleb oraz butelkę wina. Je chleb, wypija trochę wina, wstaje i wychodzi.

To było niesamowite. Ameryka była tak zaawansowana, że Stallone nie musiał nawet zmywać własnych naczyń. U babci robiłem zmywanie trzy razy dziennie. Trzy razy dziennie, po śniadaniu, obiedzie i kolacji, było kilka dużych talerzy, talerzyki na przystawki, miski do zupy, szklanki – stałem przy zlewie całymi godzinami. Byłem pewien, że gdybym pojechał do Ameryki, nie musiałbym już zmyć ani spodeczka.

Korea Północna nauczyła mnie myśleć o konkretach. Oczywista przepaść cywilizacyjna pod względem zmywania między życiem amerykańskim i chińskim zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

Obejrzałem więcej filmów ze Stallone'em. Czarny charakter zawsze w nich przegrywał, a ten dobry zwyciężał. Zawsze. Znałem to z północnokoreańskich filmów szpiegowskich i bardzo mi się to podobało. Inną rzeczą, która mi imponowała, było to, że kiedy ci dobrzy strzelali, pociski przebijały ściany na wylot. Amerykanie umieją strzelać przez cegły? Muszą mieć naprawdę potężne sploty. Wszystko w Ameryce wydawało

się „bardziej”. Oczywiście kiedy zamieszkałem w Stanach, dowiedziałem się, że ściany były nie z cegieł, tylko z płyt gipsowo-kartonowych i drewna – to wiele wyjaśniało.

I jeszcze jedno imponowało mi w Stallonie. Naprawdę podobały mi się jego skórzane rękawiczki.

*

Poszedłem do naszego podziemnego kościoła i porozmawiałem z pastorem. Po nabożeństwie wybraliśmy się na przechadzkę. Kiedy szliśmy, trzymał rękę na moich barkach. Zapytałem go, czy powinienem pojechać do Ameryki.

– Tak, myślę, że powinieneś. Możesz się tam uczyć.

To mnie jakoś nie poruszyło. Nauka nigdy specjalnie mnie nie interesowała.

– Poza tym w Ameryce możesz iść do sklepu dwadzieścia cztery godziny na dobę, kiedy tylko masz ochotę. Tam zawsze coś się dzieje, nawet w nocy.

Zastanowiłem się nad tym. To nie był abstrakt, tylko konkret. Życie w Stanach toczy się dwadzieścia cztery godziny na dobę. W chwili, gdy to powiedział, poczułem, jak rośnie we mnie pragnienie tego rodzaju nieograniczonej wolności.

Ameryka była bez granic, uznałem. Chciałem zobaczyć, jak to jest.

Misjonarka nie wróciła ani po tygodniu, ani po dwóch. Pomyślałem sobie: Zapomniała o tobie, Józefie. Straciłeś swoją szansę.

Zacząłem się modlić.

– Jezu – powiedziałem – nie jestem pewny, czy chcę jechać, czy to tylko ciekawość. Jeśli taka twoja wola, to ją przyjmę. Ale proszę, wskaż mi właściwą drogę.

Tym, co trzymało mnie w Chinach, była więź z babcią. Wyjazd do Ameryki by mi ją odebrał, a wiedziałem, że przeżyłaby to bardzo boleśnie. Byłem drugim uchodźcą, którym się opiekowała, duchem innego Koreańczyka z Północy, którego utraciła.

– Gdyby cię tu nie było – wyznała mi raz – nie wiem, jak bym sobie radziła.

Świadomość ta bardzo mi ciążyła. Czułem, że tracę jedną bliską osobę po

drugiej: ojca, Bong Sook, matkę, a teraz przypuszczalnie również babcię. Czy to we mnie było coś takiego, że nie mogłem zostać z ukochanymi osobami?

Mijały tygodnie, a pragnienie wyjazdu płonęło we mnie coraz mocniej. Ale misjonarka się nie odzywała.

*

Wreszcie zadzwoniła do babci i umówiła się ze mną na spotkanie. Poszliśmy na miasto coś zjeść. Przy jedzeniu powiedziała:

– Józefie, przepraszam, że tak długo nie dawałam znaku życia. Jest tylu uchodźców, którzy potrzebują mojej pomocy. Ale nie zapomniałam o tobie ani o swojej propozycji. Otworzyła się też inna możliwość.

– Tak?

– Znasz Shenyang? To miasto położone o dzień jazdy pociągiem stąd. Mają tam chrześcijańską szkołę, przeznaczoną wyłącznie dla Chińczyków. Jeśli nie chcesz wyjeżdżać do Ameryki, spróbuję wyrobić ci chińskie dokumenty, żebyś mógł się uczyć w tej szkole.

Pomyślałem o uczelni za ogrodzeniem, o studentach uczących się na trawniku. To do mnie przemawiało.

– Chętnie do tej szkoły pójde – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze, Józefie.

– Ale tylko jeśli mogę zabrać ze sobą babcię.

Kobieta popatrzyła na mnie uważnie.

– Dobrze. Ale żeby dostać się do tej szkoły, musisz poćwiczyć swój mandaryński w ośrodku, który znam. Nie mówisz jeszcze dość dobrze.

Powiedziałem, że w porządku, jeżeli babcię też tam przyjmą. Stanowiliśmy zespół.

Wróciłem do domu i opowiedziałem o wszystkim babci. To był dla niej duży krok. Musiałaby wypowiedzieć umowę najmu swojego mieszkania, zostawić wujka, zostawić pana Lee i innych bliskich po to, by wprowadzić się ze mną do ośrodka znajdującego się o godzinę drogi od miasta.

Przytuliła mnie i powiedziała, że jest gotowa pojechać.

Rozdział 56

Ośrodek w Yanji został założony przez amerykańską organizację charytatywną Liberty in North Korea, w skrócie LiNK. Podczas gdy pracownicy ośrodka szukali rodziny, u której moglibyśmy zamieszkać, ja uczyłem się i poznawałem miasto, a babcia gotowała i zawierała nowe znajomości.

LiNK nie było organizacją chrześcijańską, ale ludzie, którzy prowadzili ośrodek, byli mocno wierzący. Codziennie ja i pozostali uchodźcy czytaliśmy Biblię od czwartej rano do dziewiątej trzydzieści wieczorem, z krótkimi przerwami na posiłki. Nigdy w życiu nie uczyłem się tak intensywnie. Ale miałem motywację. Wierzyłem, że ci, którzy będą się uczyć najgorliwiej, zostaną wytypowani na wyjazd do Ameryki. Taki był system w szkołach Korei Północnej – tych z najlepszymi stopniami wysyłało na studia i traktowano w uprzywilejowany sposób. W związku z tym o dziewiątej trzydzieści, kiedy wreszcie dawano nam odpocząć, siedziałem nadal przy biurku i przy zapalanej lampce czytałem jeszcze przez półtorej godziny. Wybierzcie mnie, mówiłem.

Zapamiętywałem księgę po księdze Starego Testamentu. Pewnego wieczoru, gdy pisałem rozprawkę o Księdze Rodzaju, zacząłem krwawić z nosa. Pracownicy ośrodka zaniepokoiли się i powiedzieli, że za dużo się uczę.

– Potrzebujesz odpoczynku – powiedział jeden z nich.

Ja tylko się uśmiechnąłem. Chciałem zostać uznany za najlepszego i najbardziej sumiennego ucznia, a krwawienie z nosa dowodziło, że tak właśnie jest.

Nasze życie było trudne, codziennie jedliśmy to samo i albo uczyliśmy się, albo spaliśmy. Nie mogliśmy wyjść na zewnątrz ze względu na obawę, że zostaniemy aresztowani przez chińską policję. Czułem się, jakbym był na arce Noego, zamknięty przez wszystkie te miesiące po potopie, gdy stworzenia na arce nie widziały słońca i nie mogły oddychać świeżym powietrzem.

*

Czasami mnie i innych uchodźców odwiedzali amerykańscy i kanadyjscy działacze. Oni nie mówili po koreańsku, a my nie mówiliśmy po angielsku, więc tylko gapili się na nas i rozmawiali między sobą. Przynosili smaczne ciasteczka i mnóstwo coca-coli, ale tak naprawdę na tym nasze kontakty się kończyły.

Kiedy zjawiali się goście, czułem się jak za szklaną szybą. Byliśmy gatunkiem zagrożonym – kiedy nas zobaczyli, ich oczy robiły się okrągłe. „Oto ci uchodźcy z Korei Północnej, o których tyle słyszeliście”. Wiedziałem, że ci ludzie przyjechali nam pomóc, ale coś we mnie buntowało się przeciw ich spojrzeniom. Zwłaszcza że niektórzy byli Azjatami, ale mówili tylko po angielsku. To był dla mnie szok.

Pewnego dnia odwiedziła nas kolejna grupa obcokrajowców. Jeden facet zwrócił moją uwagę. Był młody, modnie ostrzyżony i ubrany w fajne amerykańskie ciuchy. W ogóle cały był *cool*. Przyjechał do ośrodka z dwojgiem innych amerykańskich aktywistów, Sarah i Johnem.

– Jak się macie? – powiedział po koreańsku.

– Dobrze – odpowiedziałem.

Młody mężczyzna się uśmiechnął. Powiedział nam, że ma na imię Adrian, i zaczął wypytywać mnie i innych uchodźców o nasze życie w Korei Północnej. Czułem się dobrze w jego towarzystwie i wkrótce opisałem mu swoje przeżycia w Korei Północnej i jak trafiłem do Chin.

Kiedy skończyłem, Adrian spojrzał na mnie z ciepłym i przyjaznym uśmiechem.

– Więc – zapytał – chcesz pojechać do Ameryki?

Nie mogłem uwierzyć, że to było takie łatwe. Facet nie wiedział nawet, że jestem najlepszym uczniem w ośrodku!

Zastanowiłem się nad tym, o co zapytał. Przebywałem w ośrodku od dwóch miesięcy. Nic się nie działo. Zdawało się, jakby moje życie utknęło w ślepym zaułku.

– Tak – odpowiedziałem. Serce zabiło mi mocniej, gdy to mówiłem. Wreszcie przyznałem się do tego, czego pragnę.

Adrian wybrał jeszcze dwóch chłopaków, Danny’ego – który okazał się siostrzeńcem Sung Mina, mojego „ojczyrna” z Hoeryŏngu – i Johna, a także

jedną dziewczynę – wszyscy oni mieli pojechać do Stanów Zjednoczonych razem ze mną. Danny był wysoki i przynajmniej w moich oczach bardzo wykształcony jak na uchodźcę z Korei Północnej: znał podstawy angielskiego, umiał wymienić kilka gwiazd południowokoreańskiej muzyki pop i sprawiał wrażenie, że czuje się dobrze w swojej skórze. Mieszkał w ośrodku razem ze swoją matką, która miała zostać w Chinach. Jego mama odnosiła się do mnie z dużą sympatią, ciągle martwiła się, czy dobrze się odżywiam, pytała, czy mam dość jedzenia albo dlaczego jestem smutny.

John z kolei był bardziej podobny do mnie, wciąż próbował się jeszcze odnaleźć w świecie poza Koreą Północną. Lubił się wygłupiać, zawsze szukał okazji, żeby nas rozśmieszyć.

Przypadek dziewczyny był szczególnie nagły. Uchodźcy-kobiety, zwłaszcza nastolatki, są bardzo narażone na to, że zostaną sprzedane jako niewolnice seksualne. Ale matka dziewczyny, mieszkająca dziesięć godzin dalej, w ostatniej chwili zabroniła jej jechać. Wiele miesięcy później dowiedziałem się, że dziewczyna trafiła do północnokoreańskiego obozu pracy.

*

Wszystko toczyło się błyskawicznie. Adrian zaczął przygotowywać nas do długiej podróży do nieznanego miasta, skąd mieliśmy wyruszyć do Ameryki. Uważał, że nawet po miesiącach pobytu w Chinach wyglądamy i zachowujemy się za bardzo jak Koreańczycy z Północy. Zabrał nas więc na targ i kazał zachowywać się tak, jakbyśmy byli rozpieszczonymi amerykańskimi nastolatkami koreańskiego pochodzenia, którzy umierają z nudów.

– Panie Adrianie, jak mamy to zrobić? – zapytałem.

– Popychajcie i poszturchujcie się trochę nawzajem. Zachowujcie się trochę niegrzecznie i hałaśliwie.

Wszyscy trzej popatrzyliśmy po sobie. Wahaliśmy się, bo właściwie prawie się nie znaliśmy. A poza tym popychanie i szturchanie kogoś w Korei Północnej to poważna sprawa. Coś takiego musiało się skończyć bójką.

Przechodnie gapili się na nas, gdy tak staliśmy na chodniku i nie mogliśmy znaleźć sobie miejsca.

Adrian westchnął.

– Józefie, zarzuć Danny’emu rękę na kark i ściśnij.

Uśmiechnąłem się szeroko. To rozumiałem. Błyskawicznie ścisnąłem Danny’ego za kark, a on zaczął krzyczeć, żebym go puścił. Ale trzymałem mocno.

John odepchnął mnie do tyłu i wypuściłem Danny’ego z uścisku. Zobaczyłem dezaprobatę w oczach mijających nas ludzi. Uwierzyli, że jesteście rozpieszczonymi małolatami z bogatych domów!

Robiliśmy to jeszcze przez jakiś czas, wygłupiając się i zachowując jak... totalne palanty.

– Dobrze – pochwalił Adrian. – Ale musicie popracować nad swoimi głosami. Chcę, żebyście wszyscy mówili „taaa”, jakbyście mieli do wszystkich pretensje.

Pomysł był tak obcy, ten pełen pretensji głos, który wydobywa się z ust amerykańskiego nastolatka. „Taaaaa?”. Ćwiczyliśmy tak długo, aż wszyscy pękaliśmy ze śmiechu.

Na obiad Adrian zabrał nas do fast foodu. Kiedy czekaliśmy na zamówienie, uważnie przyjrzał się naszym ubraniom. Miałem na sobie swój ulubiony zestaw: marynarkę i parę bawełnianych spodni. Adrian zrobił kwaśną minę.

– Wiesz, jak wyglądasz, Józefie?

– Modnie – odrzekłem.

– Nie, wyglądasz jak uchodźca z Korei Północnej.

Szok! To był mój najlepszy, najfajniejszy strój!

– Będziemy musieli zdobyć dla was jakieś inne ciuchy – stwierdził Adrian.

Zanim wyszliśmy z restauracji, poradził nam, żebyśmy przestali udawać w przestrzeni publicznej niewidzialnych. „Kiedy kulicie ramiona i garbicie się, powiedział, jest jasne, że próbujecie wydawać się mniejsi, próbujecie zniknąć”. Musieliśmy robić odwrotnie: być hałaśliwi, roześmiani, pełni energii i szpanerscy. Takie były amerykańskie dzieciaki.

Adrian zawiózł nas taksówką do hotelu. Kiedy przybyliśmy, powitał nas szpaler ubranych w eleganckie mundury pracowników, którzy lekko skłonili przed nami głowy. Nikt nigdy nie zachował się wobec mnie w ten sposób. Za nimi wznosił się budynek – miał pewnie ze dwadzieścia pięter, ale mnie zdawało się, jakby piął się do samych chmur i wyżej. Mieliśmy się tu zatrzymać, więc byłem bardzo podekscytowany.

Nasz pokój hotelowy okazał się ogromny i niesamowicie luksusowy. Adrian zostawił nas tam, by pozatapiać jakieś sprawy, a John i ja zaczęliśmy skakać z jednego łóżka na drugie. Było tam tak pięknie, łóżka, poduszki i kołdry takie miękkie, że nie mogłem uwierzyć, że będę tu spał.

Potem zauważyliśmy barek, gdzie stały puszki z napojami gazowanymi i buteleczki whisky i koniaku. Kiedy Adrian wrócił, zapytaliśmy, czy możemy się czegoś stamtąd napić, a on się zgodził. (Później okazało się, że miał na myśli napoje, a nie alkohol). Czuliśmy się jak na imprezie. Adrian zadzwonił do recepcji i poprosił o dodatkowe koce. Jeden telefon, pomyślałem, i przynoszą ci koce. To inny świat.

Adrian włączył telewizor i zmieniał kanały tak długo, aż znalazł mecz futbolu amerykańskiego. Siedzieliśmy na brzegach łóżek i oglądaliśmy, podczas gdy Adrian próbował nam wyjaśnić reguły gry. Ale byliśmy zbyt podekscytowani i po prostu wariowaliśmy ze szczęścia. W końcu dał za wygraną i walczyliśmy ze sobą na niby, udając mistrzów sztuk walki, na dywanie. Kiedy pierwszy raz zostałem powalony, w ogóle nie chciałem wstawać, bo jeszcze nigdy nie leżałem na niczym tak miękkim jak ten dywan.

Adrian uparł się, że sam prześpi się tej nocy na podłodze. Nie udało nam się go przekonać, żeby tego nie robił. Kiedy spałem w miękkiej pościeli, czułem, że moje życie ulegnie drastycznej odmianie. Niosła mnie fala, nie wiedziałem, co zdarzy się za chwilę. Ale nie stawiałem oporu.

*

Adrian zabrał nas do sklepu odzieżowego w galerii handlowej. Chciał, żebyśmy wyglądali jak modni amerykańscy nastolatki. John stał się typem surfera, w ubraniu usianym znakami amerykańskich producentów desek i sprzętu do surfingu. Danny został hiphopowcem, w workowatych spodniach i bluzie z twarzą rapera na przodzie. Ja byłem skejtem: nosiłem bejsbolówkę z daszkiem na bok, barwną i jaskrawą koszulkę i spodnie z wąskimi nogawkami. Przejrzałem się w sklepowym lustrze. Jakoś nie byłem przekonany, czy wyglądam autentycznie, ale Adrian robił to już wcześniej, więc mu ufałem. Danny roześmiał się i pchnął mnie w stronę lustra. Odwróciłem się i zacząłem go ganiać po całej galerii. Czuliśmy się, jakbyśmy narodziли się na nowo.

Nazajutrz czekała nas podróż koleją: dwadzieścia godzin w pociągu, z chińskimi urzędnikami bezpieczeństwa wielokrotnie sprawdzającymi bilety. Wszyscy bardzo się denerwowaliśmy.

– Jeśli o coś zapytają, pokręćcie tylko głową – poradził Adrian – jakbyście mieli pretensję, że jakiś podrzędny urzędniczyna śmie zawracać wam głowę. A potem wskażcie na mnie. Pamiętajcie, jesteście rozpieszczonymi, śpiącymi amerykańskimi nastolatkami. Nie zachowujcie się tak, jakbyście byli znowu w Korei Północnej.

Babcia cały czas odwiedzała jakichś krewnych. Musiałem podjąć decyzję.

– Możesz wyruszyć w podróż teraz, a z babcią zobaczysz się później – powiedziała jedna ze współpracowniczek Adriana. Czułem, że jeśli nie opuszczę Chin teraz, to nie uda mi się to już nigdy. Nigdy nie zobaczyłbym Ameryki i nie zakosztował amerykańskich swobód.

Zadzwoiłem do niej przez telefon.

– Babciu, to ja – powiedziałem.

Tak jej ulżyło, kiedy mnie usłyszała. Zapewniłem ją, że aktywiści dali mi do zrozumienia, że będę mógł się z nią zobaczyć następnego dnia, zanim wyjadę do Ameryki. Była bardzo wzruszona, ale zdołała stłumić łzy. Kiedy się rozłączyłem, postanowiłem nauczyć się jej numeru telefonu na pamięć.

Następnego dnia miałem się zobaczyć z babcią po raz ostatni. Wiedziałem, że oboje się popłaczemy. Ale ten jeden raz w moim życiu będą to łzy nie tylko smutku, ale i nadziei.

Taka jest cena, jaką musisz zapłacić, jeśli chcesz zobaczyć Amerykę, powiedziałem sobie. Jestem teraz tak blisko, nie mogę się wycofać.

Rozdział 57

Nazajutrz pojechaliśmy na stację w Yanji. To był istny koszmar, a sam dworzec był ogromny. Miał wysokie przeszklone ściany, za którymi rozciągało się miasto. Czułem się, jakbym stał przed rabatkami świetlistych roślin, każdy podświetlony dom i każde mieszkanie wyglądało jak osobny kwiat lub pąk. Magiczny widok. Wpatrywałem się w niego, kiedy podszedł do mnie Adrian i szepnął:

– Przyjrzyj się dobrze, Józefie. Możliwe, że nigdy więcej tego nie zobaczysz.

To zrobiło na mnie ogromne wrażenie. „Możliwe, że nigdy więcej tego nie zobaczysz”. To była prawda. Ale nie dość, że Yanji, to przede wszystkim może nigdy więcej nie zobaczyłbym babci, Bong Sook czy mojej matki. Zdawało się, jakby każde światełko tam w dole, w ciemności, było osobą, miejscem, jakimś moim wspomnieniem i muszę wszystkim im się dobrze teraz przyjrzeć, bo już nigdy nie będą tak blisko. Rozpłakałem się. Opuszczam kraj, w którym jest gdzieś Bong Sook.

Czy podjąłem słuszną decyzję? Czemu chciałem zostawić za sobą wszystko, co znałem i kochałem? Nie umiałem sobie odpowiedzieć.

Danny dołączył do nas na dworcu. Wkrótce trzeba było wsiąść do pociągu. Adrian znowu udzielił nam odpowiednich instrukcji.

– Jeśli ktoś zacznie was zagadywać, nic nie mówcie. Podejdźcie po prostu do mnie i powiedzcie: „Hej”. Wtedy będę wiedział, że coś się dzieje. A przede wszystkim nie rozmawiajcie z nikim oprócz mnie.

Poszedł odebrać bilety, a ja, John i Danny popatrzyliśmy po sobie.

– Hej – powiedziałem do Johna.

Roześmiał się.

– He-ej.

– Nie tak – powiedziałem po koreańsku. – Jak Adrian. Hej.

Ćwiczyliśmy dalej. Ci, którzy nas mijali, musieli brać nas za idiotów, bo w kółko powtarzaliśmy to samo. Ale nawet to jedno słowo – tak zwyczajne, tak krótkie, tak amerykańskie – sprawiało, że czuliśmy się nieswojo. Nie umieliśmy powtórzyć go tak, jak należy.

Pozostało nam tylko jedno. Postanowiliśmy udawać głuchoniemych.

Znaleźliśmy swoje miejsca w przedziale. Para w średnim wieku siedząca naprzeciwko przywitała się z nami po chińsku. Kiwnęliśmy głowami. Kiedy zaczęli między sobą rozmawiać, zorientowaliśmy się, że to Koreańczycy. Niedobrze. Danny, John i ja wiedzieliśmy, że gdyby usłyszeli, jak mówimy, narobiliśmy sobie kłopotów. Wskazaliśmy na swoje usta i uszy. Myślę, że para zrozumiała.

Podróż była długa i w końcu zasnąłem na jednym z rozkładanych łóżek naprzeciwko pary. Danny leżał pode mną. Parę godzin później, kiedy mocno spałem, pociąg nagle się zatrzymał, a ja wyrznąłem głową o ścianę.

Natychmiast się zbudziłem.

– Co się dzieje? – zawołałem. Nie rozpoznawałem niczego naokoło. Spojrzałem w dół, zobaczyłem przerażoną twarz Danny’ego i zdałem sobie sprawę, że odezwałem się po koreańsku. Przeniósłem wzrok na parę naprzeciwko. Oboje czytali gazety, przez co nie widziałem ich twarzy. Nie wiedziałem, czy mnie usłyszeli. Danny, John i ja wpatrywaliśmy się w płachty gazet z niepokojem. Wpadliśmy w panikę. Czy powinniśmy uciekać i znaleźć Adriana? Ale po prostu skamienieliśmy. Nie mieliśmy odwagi się ruszyć.

Czuwaliśmy przez trzy następne godziny, podczas gdy wagon kołysał się, a koła stukotały o szyny. Nie mogłem znowu zasnąć. Czułem, że wszystkich nas naraziłem na ogromne niebezpieczeństwo. Ale para Koreańczyków naprzeciwko ani razu nie wstała ze swoich miejsc.

*

Pociąg dotarł na miejsce o ósmej rano. Dworzec w „nieznanym mieście” – w rzeczywistości był to Shenyang – okazał się jeszcze większy niż ten, z którego wyjechaliśmy. Wstąpiliśmy do sieciowego fast foodu na szybki posiłek i zamówiłem sobie burgera z sałatą. Z jakiegoś powodu ubrdałem sobie, że Amerykanie jedzą wyłącznie wołowinę, pieczywo i masło, więc pomyślałem: To moja ostatnia okazja, żeby zjeść jakąś zieleninę. Burger był paskudny, więc pogryzałem leniwie frytki i wytrzeszczonymi oczami obserwowałem przechodniów. Każdy z tych ludzi zdawał się mieć własne poczucie stylu. Nie zdarzyło się, aby dwie osoby miały walizki tego samego koloru. Zdumiewające, nie wyobrażałem sobie, że można mieć

pomarańczową walizkę.

Z pośpiechem przeszliśmy przez dworzec na postój taksówek. Adrian chciał, żebyśmy pojechali w dwa samochody. On, Danny i ja wskoczyliśmy do pierwszej taryfy, podczas gdy Sarah i John Koreańczyk do drugiej. Zrobiłem się nerwowy: nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy, a fakt, że się rozdzieliliśmy, zdawał się złowróżbny.

Dotarliśmy do zapuszczonego hoteliku – duże rozczarowanie w porównaniu z luksusami poprzedniego dnia. Spojrzałem na stęchłą pościel na cienkich łózkach i pomyślałem, że to nie jest dobry znak.

Zapytałem Adriana, kiedy będę mógł zobaczyć się z babcią.

– O czym ty gadasz?

Zrobiło mi się przykro. Okazało się, że Adrian nie wiedział o babci i nie zdawał sobie sprawy, że bardzo zależy mi na tym, żeby ostatni raz się z nią zobaczyć. Za bardzo pochłaniało go zorganizowanie podróży tak, żeby bezpiecznie wydostać nas z Chin. Nie było teraz możliwości, żebym spotkał się z babcią przed wyjazdem.

Poczułem się, jakby z płuc ulotniło mi się powietrze, ale nic go nie zastąpiło. Spuściłem głowę. Znowu nie pożegnałem się z kimś, kogo kochałem. Z kimś, kto ryzykował dla mnie życie.

– Ja ją widziałem – odezwał się Danny.

Spojrzałem na niego z zaskoczeniem.

– Tak?

– Tak. Było jej bardzo żal, że nie mogła się z tobą pożegnać.

Kiedy to usłyszałem, poczułem bolesne ukłucie w sercu.

Usiadłem i napisałem babci wiersz zainspirowany filmem, który uwielbiałem jako dziecko, o okupacji Korei. W filmie Koreańczycy idą do pracy u okupantów i stają się bardziej japońscy niż sami Japończycy. Ale inni poświęcają swoje życie w walce o niepodległość. Wiersz mówił, że nawet gdy spali się bambus, popiół układa się w prostą linię. To znaczy bambus zachowuje swój kształt, nawet gdy pożarł go ogień. To samo z białym ryżem: można zgnieść go na papkę, ale zawsze jest biały.

Był to wiersz o prawości, o wierności swoim wartościom pomimo wszystko. Uważałem, że babcia taka właśnie była. Poświęciła dla mnie tak dużo. Chciałem, żeby wiedziała, że zawsze będę o tym pamiętał. Dałem wiersz i list, który naprędce napisałem, jednej ze współpracowniczek Adriana i poprosiłem, żeby wysłała jedno i drugie do ośrodka.

Adrian wyszedł z hotelu, żeby zatelefonować, a ja zostałem sam z Dannym i Johnem. Nasz niepokój się potęgował jak u wystraszonych szczeniąt pozostawionych w tekturowym pudełku. Chcieliśmy się upewnić, że gdyby trzeba było uciekać, będziemy w stanie wydostać się z pokoju. Kiedy majdrowaliśmy przy gałce drzwi, jeden z nas nieświadomie zaryglował zamek. Nie mogliśmy ponownie go otworzyć. Wszyscy trzej robiliśmy się coraz bardziej nerwowi, szepcząc:

– Czemu nie chce się otworzyć?

– Co robimy? – zapytał Danny.

Czy mechanizm zamka był sterowany z recepcji? Czy ktoś szedł właśnie na górę, żeby nas aresztować? W tamtym momencie uwierzyłbym prawie we wszystko. Wreszcie udało nam się otworzyć zamek, a dwie minuty później wrócił Adrian z napiętym wyrazem twarzy. Przyniósł nam ciasteczka i ciasto czekoladowe, ale byliśmy tak zdenerwowani, że nie mogliśmy nic przełknąć.

– Pora jechać.

Zebraлиśmy swoje bagaże. Wsiądziemy do samolotu, pomyślałem, a jedzenie na pokładzie będzie przepyszne. Wszyscy byliśmy tak podekscytowani, że zostawiliśmy ciastka na stole.

Wsiedliśmy do taksówek. Myślałem, że jedziemy na lotnisko i że za kilka chwil będę wolny. Chiny łączyły z Koreą Północną stosunki sąsiedzkie, ale od Ameryki dzielił nas ocean. Tam można było zacząć życie od nowa. Bardzo tego pragnąłem. Tak wiele pozostawiłem za sobą.

Oczywiście wcale nie pojechaliśmy na lotnisko. Zamiast tego po jakichś piętnastu minutach zatrzymaliśmy się przed gmachem otoczonym czarnym ogrodzeniem, a przed jego bramą stali na warcie chińscy policjanci. Adrian kazał nam wysiąść z taksówek. Stańliśmy na chodniku, przyglądając się przechodniom. Gdzie był samolot? Co tu robiliśmy?

Adrian zatelefonował. Wkrótce zjawiała się młoda Azjatka w eleganckim garniturze. Kiwnęła głową do Adriana, a ten skinął ręką, żebyśmy wszyscy za nią poszli. John, Danny i ja ustawiliśmy się jeden za drugim i weszliśmy gęsiego za furtkę.

To był konsul Stanów Zjednoczonych. Szybko pomaszerowaliśmy do drzwi i weszliśmy do budynku. Adrian został od nas oddzielony. Mężczyźni z czarnymi różdżkami – nie miałem pojęcia, co to są wykrywacze metalu – zbliżyli się do nas i zaczęli machać nimi dookoła naszych ciał. Adrian podniósł ręce do góry, gdy mężczyźni otoczyli go ciasno. Aresztują nas?

Serce kołatało mi jak spłoszonemu zającowi, nasze twarze lśniły od potu.

Pomyślałem o ucieczce. Odwróciłem się, spoglądając na drzwi i znajdującą się dalej furtkę. Gdybym zdołał się tamtędy wydostać, znalazłbym dworzec kolejowy. Mogłem wrócić do babci.

Byłem już gotowy zwać. Adrian spostrzegł moją zatrwożoną minę. Ręce wciąż trzymał w górze. Zaczął energicznie kręcić głową.

– Jesteś bezpieczny! – zawołał po koreańsku. – Jesteś bezpieczny!

Epilog

Teraz mieszkam przy spokojnej ulicy na Brooklynie, w jednopiętrowym domu z żółtym aluminiowym sidingiem, gdzie wynajmuję kawalerkę. Kiedy rano wychodzę do pracy, skręcam w lewo i idę na stację metra, jakieś piętnaście minut dalej. Mijam indyjskie restauracje, piekarnie z bajglami i sklepik z rękodziełem tybetańskim. Na ulicy przemykam się między ludźmi o wszelkich kolorach skóry idącymi w padających ukośnie promieniach letniego słońca, w większości są młodzi i wyglądają na zabieganych, w drodze do pracy lub do szkoły, lub w jakieś bardziej zagadkowe miejsce. Niektórzy z nich, jestem tego pewien, są tu nowi, tak jak ja.

Mam dwadzieścia cztery lata, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ważę niecałe sześćdziesiąt dwa kilo. Pracuję w prywatnej firmie edukacyjnej, gdzie pomagam rozwijać program oferowanych zajęć. Studiuję na publicznej uczelni Borough of Manhattan Community College, na drugim roku handlu międzynarodowego. Na wiosnę złożę wnioski o przyjęcie na moje wymarzone uczelnie: Yale (gdzie Adrian założył pierwszą komórkę LiNK), Princeton i Amherst, a także na kilka innych uniwersytetów. Wreszcie mam swój telefon – starszy model iPhone’a, a nie nokię, której tak pragnąłem w Chinach – a lista kontaktów jest w nim zaskakująco pełna ludzi, którym na mnie zależy i na których zależy mnie.

Mam przyjaciół i znajomych, z którymi mogę zjeść kolację. Biorę urlopy i przejmuję się, jak zapłacę swoje rachunki. Byłem w Europie. Innymi słowy, jestem dosyć typowym obywatelem Stanów Zjednoczonych.

Są sprawy, które po dziewięciu latach od opuszczenia Korei Północnej wciąż mnie w Ameryce dziwią. Czasami tęsknię za prostotą życia, jakie tam prowadziłem. W Korei Północnej, jeżeli masz coś do jedzenia i miejsce do spania, to już jesteś do przodu i możesz być zadowolony ze swojego życia. W Ameryce między czernią i bielą koreańskiego życia istnieje tak wiele pośrednich odcieni szarości. Minięcie na ulicy bezdomnej osoby lub odrzucenie zaproszenia na kolację wiąże się ze złożonymi rozważaniami moralnymi, które – choć większość Amerykanów może tego prawie nie dostrzegać – dla mnie są wciąż bardzo realne. Czyje uczucia zranisz, jaka ilość egoizmu jest w życiu dopuszczalna? O takich sprawach nigdy nie

myślałem, kiedy byłem na targu w Hoeryõngu.

Jestem teraz znacznie szczęśliwszym człowiekiem niż wtedy, gdy przybyłem do tego kraju. Ale moja podróż na Zachód i przez Zachód okazała się daleko dziwniejsza, niż mogłem sobie wyobrazić.

*

Spędziłem cztery miesiące w placówce dyplomatycznej w Shenyangu. To był trudny okres. Danny, John i ja zostaliśmy ulokowani w sali z dwiema parami, które także uciekły z Korei Północnej. Nikt z nas nie rozumiał procesu zrzeczenia się obywatelstwa i wszyscy niecierpliwie czekaliśmy na podróż do Stanów. Podobnie jak na początku mojego pobytu w Chinach, teraz też nie mogłem wyjść na zewnątrz i pozostawałem kimś w rodzaju więźnia.

Mnóstwo czasu spędziłem, zastanawiając się nad Adrianem i innymi, którzy mi pomagali. Czemu robili coś takiego, czemu podejmowali takie ryzyko dla ludzi, których nie znali? Wydawało mi się ważne, żeby to zrozumieć, bo dałoby mi to wskazówkę do zrozumienia świata, do którego się wybierałem. Ostatecznie uznałem, że Adrian musi być najbogatszym człowiekiem w Ameryce i na pewno mieszka w najwyższym drapaczu chmur w Nowym Jorku. Musi mieć mnóstwo forsy i czasu, w związku z czym lubi podróżować po świecie i robić dobre uczynki po to, żeby się rozerwać czy jakoś tak. Nie mogłem się doczekać, aż odwiedzę go w domu. Zastanawiałem się, czy gdy wyjrzę przez okna, zobaczę obłoki przepływające obok na poziomie wzroku.

Sporo czasu spędzałem też na podziwianiu limuzyny ambasadora amerykańskiego, nowego czarnego forda. Myślałem, że wszystkie samochody w Stanach Zjednoczonych są tak eleganckie, potężne i czarne i że pewnego dnia sam będę taki miał. No i myślałem o Bong Sook.

Po czterech miesiącach dostaliśmy nowe białe koszule wizytowe, czarne spodnie, czarne buty i nowe okulary przeciwsłoneczne. Poleciliśmy do Tokio – gdzie Danny i ja przeżyliśmy w toalecie wstrząsające spotkanie z suszarką do rąk, która zaskoczyła nas swoim rykiem – potem zaś wsiedliśmy na pokład samolotu do Los Angeles. Byłem tak podniecony, że aż mnie nosiło.

Po długim, szesnastogodzinnym locie zniżyliśmy się pod pułap chmur i ujrzałem domy i samochody w dole. Kiedy zbliżyliśmy się do lotniska, zauważyłem sznur żółtych aut, które nie były jednak czarne, tylko żółte (były to oczywiście taksówki). Samochód moich marzeń nie jest jednak czymś zwyczajnym w Ameryce, pomyślałem smutno. Nadal jednak chciałem taki mieć.

Na lotnisku w Los Angeles czekała nas przykra niespodzianka. Zostaliśmy rozdzieleni. Danny miał polecieć do Salt Lake City, John do Seattle, a dwie północnokoreańskie pary – z którymi zdążyliśmy się zżyć w konsulacie – do Lexington w Kentucky. Byłem przerażony. Znałem może cztery słowa po angielsku i wybierałem się zupełnie sam do Richmond w Wirginii. Jeden z naszych przewodników zaopatrzył mnie w tabliczkę z napisem „Nieletni” i po obfitującym we łzy pożegnaniu wsiadłem do następnego samolotu.

Kiedy wylądowałem, czekała na mnie Carolina Velez, moja opiekunka społeczna. Była Kolumbijką, bardzo emocjonalną i pełną współczucia – wciąż się przyjaźnimy, co w przypadku pracowników socjalnych nie zawsze się zdarza. Otworzyła ramiona, żeby mnie przytulić, ale ja cofnąłem się z trwogą. Właściwie nigdy wcześniej mnie nie obejmowano – w Korei Północnej nie ma kultury przytulania się – i nie wiedziałem, o co jej chodzi. Pojechaliśmy do domu mojej rodziny zastępczej, który znajdował się w wiejskiej okolicy okolonej lasami, gdzie od czasu do czasu wśród roślinności migą sylwetka jelenia.

Nie była to Ameryka, jaką wyobrażałem sobie na podstawie filmów. Zastanawiałem się, czy zrobiłem coś złego, że mnie tu zesłano, ale byłem za bardzo wystraszony, by o to zapytać. Moi rodzice zastępczy byli małżeństwem Afroamerykanów, które opiekowało się jeszcze dwójką amerykańskich dzieci. Dostałem własny pokój i przesiedziałem w nim tę pierwszą noc, obserwując wiewiórki przemykające po trawniku za oknem. Nie umiałem porozumiewać się ze swoimi nowymi rodzicami. Bałem się, byłem samotny i zagubiony.

Mój ojciec zastępczy był dobrym człowiekiem (i facetem tak wysokim, że musiałem zadzierać głowę, by na niego spojrzeć). Mama, która prowadziła gospodarstwo domowe, musiała wykazywać się dużymi umiejętnościami strategicznymi, aby dopiąć budżet. Lodówka i zamrażarka świeciły pustkami, a dzieci pod jej opieką miały zakaz jedzenia poza porami posiłków. Żywność, oprócz przypraw, trzymano pod kluczem. Wydało mi się to dziwne, ale

byłem zbyt nieśmiały, by prosić o więcej. Później zdałem sobie sprawę, że mama zastępcza musiała nakarmić czterech głodnych nastolatków, dlatego tak bardzo liczyła się z każdym groszem.

Trzy dni po moim przybyciu Carolina powiedziała, że muszę pójść do szkoły średniej.

– Ale nie skończyłem nawet gimnazjum! – powiedziałem przez tłumacza. – Poza tym nie mówię po angielsku. – I w Korei Północnej nigdy się nie uczyłem, dodałem w duchu. Więc czemu teraz miałbym się zmieniać?

Przepisy jednak jasno mówiły, że mam obowiązek się uczyć, więc rodzice zastępczy zawieźli mnie do sklepu, żeby kupić ubrania do szkoły. Nic w dziale męskim na mnie nie pasowało, więc poszliśmy do działu dziecięcego, gdzie wybrali mi kilka koszul i płóciennych spodni. Ubrania były zupełnie obciachowe, ale nie narzekałem.

Szkoła okazała się koszmarem. Warunki były trudne. Na dodatek dziewięćdziesiąt procent uczniów stanowili Afroamerykanie, więc jeszcze bardziej rzucałem się w oczy. Niektórzy z kolegów na wuefie próbowali namówić mnie do przeklinania, podczas gdy inni pokazywali mnie sobie palcami i się śmiali. Jeden chłopak usiłował nauczyć mnie grać w koszykówkę, ale kiedy rozpoczął się mecz, po prostu złapałem piłkę i pobiegłem przed siebie, czym rozwścieczyłem wszystkich na boisku.

Bardzo zależało mi na tym, żeby się dopasować. Adrian przyjechał do mnie z wizytą, ale organizacja charytatywna Catholic Charities, która prowadziła program rodzin zastępczych, zezwoliła nam na tylko dziesięć minut rozmowy – może z nadmiernej ostrożności. Adrian przywiózł mi paczkę drażetek Reese's Pieces, które były dla mnie cenne jako prezent od niego, ale także dlatego, że nie dojadłem. Nie pożarłem ich jednak na poczekaniu. Zamiast tego następnego dnia wziąłem je do szkoły, podszedłem do dwóch czy trzech dzieciaków na korytarzu, zupełnie mi nieznanym, i zacząłem ich częstować. „Chcesz się zaprzyjaźnić?” – pytałem łamaną angielszczyzną i spotykałem się z dziwnymi reakcjami.

Zaprzyjaźniłem się z chłopakiem o imieniu Chen, który pochodził z Chin. Chen był miły i lepiej zorientowany niż ja i wkrótce stał się moją podporą, jeszcze jedną w całym łańcuchu osób, które pojawiły się w moim życiu i okazały mi pomoc, kiedy najbardziej tego potrzebowałem. Ale nie miałem zielonego pojęcia, jak poznać prawdziwych Amerykanów.

W domu czułem się obco. W angielszczyźnie nadal miałem spore braki.

Ale najbardziej dziwiło mnie to, że cały czas chodzę głodny. Może moi rodzice zastępczy myśleli, że otrzymuję dostateczną ilość pożywienia, bo nigdy się nie skarżyłem. Nie mogłem jednak zrozumieć, jak to jest, że przyleciałem aż z Chin, gdzie babcia napychała mnie egzotycznymi frykasami, tylko po to, by głodować w Ameryce. Zacząłem zgłaszać się na ochotnika do zmywania wieczorem naczyń, bo gdy wszyscy pozostali wychodzili z kuchni, wyciągałem z szafki butelkę keczupu i wysysałem zawartość.

Po miesiącu w Richmond zadzwonił Adrian zaniepokojony, że się do niego nie odezwałem. Powiedziałem mu, że nie umiem używać telefonu i boję się z nim eksperymentować, żeby nie rozzłościć rodziców zastępczych. Podczas drugiej wizyty Adrian i Hannah Song, koleżanka z LiNK, zabrali mnie i zawieźli do swojej siedziby w Waszyngtonie. Pomyślałem: Teraz wreszcie zobaczę, jak mieszka najbogatszy człowiek w Ameryce. Dotarliśmy do skromnego jednopiętrowego budynku pełnego dwudziestoparolatków stukających w klawiatury laptopów. Pomyślałem, że to musi być dom któregoś z jego kumpli, ale okazało się, że to biuro LiNK. Dowiedziałem się, że niektórzy z ochotników pracują na część etatu gdzie indziej tylko po to, by móc pomagać uchodźcom z Korei Północnej, mimo że pokonczyli takie uczelnie jak Yale i Harvard. Z trudem wiąźali koniec z końcem.

Byłem zdumiony. Ci ludzie poświęcali „amerykański sen” po to, by pomagać osobom takim jak ja. Bardzo mnie to wzruszyło.

Podczas tej wycieczki poznałem chłopaka Hannah, Johna, i wspólnie wybraliśmy się do centrum handlowego, żeby kupić mi trochę ubrań. Na miejscu okazało się, że nie ma żadnych szortów męskich o rozmiarze dwadzieścia siedem w pasie, co bardzo zasmuciło Johna. Wyciągnął ze swojego portfela sto dolarów i dał mi je.

– Jak zobaczymy się następnym razem – powiedział – masz nosić numer trzydzieści dwa.

Po raz pierwszy w życiu trzymałem w dłoni tak dużo pieniędzy. Byłem tak bardzo wdzięczny. Te sto dolarów starczyło na mnóstwo kawałków pizzy w szkolnym sklepiku.

Zainspirowany ich przykładem, wróciłem do Wirginii, ale wciąż nie radziłem sobie z większą częścią swojego życia. W maju wystawiono mi oceny na koniec semestru: same mierne, z wyjątkiem oceny bardzo dobrej z historii światowej (gdzie niczego od uczniów nie wymagano)

i niedostatecznej z matmy. Właściwie mnie to nie obchodziło.

*

Pewnego wieczoru, po typowo napiętym dniu w szkole, matka zastępcza przygotowała na kolację skrzydełka kurczaka. Konałem z głodu i szybko zjadłem swoją porcję. Naprawdę chciałem dokładkę, ale jedzenia było za mało dla pozostałych członków rodziny. Zostawiłem więc ostatnie skrzydełko dla innych i szybko ktoś je wziął. Zamknąłem oczy, myśląc o kolejnej długiej nocy w swoim pokoju, z brzuchem bolącym z głodu – ledwie cienia tego, czego doświadczyłem w Korei Północnej, ale jednak głodu.

Otworzyłem oczy i spojrzałem w dół. Na moim talerzu leżało skrzydełko kurczaka. Ktoś po cichu zostawił mi ostatnie. Podniosłem wzrok. Mój ojciec zastępczy patrzył na mnie oczami przepełnionymi... współczuciem, jak przypuszczam. Uśmiechnąłem się do niego. Nic nie powiedzieliśmy, ale byłem głęboko wzruszony. Ten człowiek odjął sobie od ust ostatni kawałek jedzenia, żeby oddać go mnie.

Tamtego wieczoru leżałem w łóżku i przypomniał mi się wieczór w Hoeryŏngu, w domu w Manyangu. Ojciec i siostra wybrali się w góry poszukać chrustu na opał, a ja zostałem sam. Miałem osiem, może dziewięć lat. Uznałem, że pokażę, jaki jestem dorosły, i przygotuję rodzinie coś ciepłego, żeby mogli coś zjeść od razu po powrocie. Wsypałem do kociołka z wodą trochę ryżu i rozpałiłem ogień. Mieszałem w kociołku, czując opór, jaki ryż stawiał łyżce, lepki i mokry.

Otworzyły się drzwi i do domu wkroczył ojciec z naręczem gałęzi, a tuż za nim weszła Bong Sook. Rozmawiali o czymś. Wzrok ojca padł na kociołek i na mnie. Wtedy pierwszy raz spróbowałem mu coś ugotować i jego oczy rozbłyły, jakbym zaskoczył go jakimś cudownym i niespodziewanym prezentem.

Nałożyłem ryż do trzech miseczek. Tata i siostra rzucili chrust w kąć i usiedli do posiłku. Przy pierwszym kęsie zorientowałem się, że ryż gotował się za krótko. Smakował paskudnie. Ale ojciec nie przestawał się uśmiechać i zajadał się nim z wielką przyjemnością.

Pomyślałem teraz, w łóżku w swoim zastępczym domu, o tamtym

wieczorze. Od tamtej pory nabrałem sporej wprawy w gotowaniu ryżu i innych potraw. Ojciec, pomyślałem, szkoda, że nie mogę znowu ugotować ci ryżu. Jestem teraz znacznie lepszym kucharzem, a ty byłbyś taki szczęśliwy. Zacząłem płakać w poduszkę.

Nigdy, ojciec, nie byłem dla ciebie dobrym synem. Ale od dzisiaj się zmienię. Przestaną kłamać – ojciec zawsze tego nienawidził – i kłócić się z innymi. Będę się przykładał do nauki i dostawał dobre stopnie, i zrobię coś dla naszych, dla Koreańczyków z Północy. Pomogę im przez pamięć dla ciebie. W ten sposób oddam hołd twojej ofierze.

Zawsze odnosiłem się sceptycznie do tych wielkich chwil, które odmieniają ludzkie życie. Poprawa jest bolesna i powolna; własne doświadczenie podpowiada mi, że nie ma żadnych gromów z jasnego nieba. Ale od tamtego momentu rzeczywiście stałem się inną osobą, przynajmniej w szkole. Zacząłem sumiennie się uczyć, pracując zwłaszcza nad matematyką i angielskim.

Czułem jednak, że muszę się wyprowadzić z domu swoich rodziców zastępczych. Pewnego ranka zszedłem do kuchni i zobaczyłem na talerzu zimnego hamburgera i garść frytek, resztki z wczorajszego wieczoru. Zacząłem jeść. Zdałem sobie sprawę, że dom jest pusty, wszyscy pozostali wyszli, nie powiedziawszy mi dokąd. To było więc wszystko, co miałem zjeść tego dnia aż do wieczora, kiedy rodzina wróci do domu. Zdarzyło się to tylko raz i nie jestem pewien, z jakiego powodu. Moja mama zastępcza myślała może, że za mało rozumiem po angielsku – w każdym razie nigdy nie próbowała mi tego wyjaśnić. Jakoś wyczułem jednak, że czas opuścić to miejsce.

Przez całą noc zastanawiałem się niespokojnie, jak powiedzieć o tym Carolinie. Wreszcie, nazajutrz rano, zadzwoniłem do niej i opowiedziałem, co się dzieje. Rozpłakała się.

– Nie mogę uwierzyć – powiedziała. – Przyjechać do Ameryki i głodować!

W ciągu tygodnia znalazła mi nową rodzinę. Wiem, że moi pierwsi rodzice zastępczy starali się, jak umieli najlepiej, ale jedzenie było dla mnie czymś tak ważnym, że musiałem ich opuścić. Było im smutno, kiedy odchodziłem. Wiem.

Moja nowa mama, Sharron, była samotnym rodzicem i kochającą osobą. Pierwszego dnia przytuliła mnie, a potem zaprowadziła do kuchni. Otworzyła lodówkę i powiedziała:

– Joseph, to jest twój dom i możesz jeść, kiedy tylko i jak dużo chcesz.

Carolina musiała jej była powiedzieć o mojej poprzedniej rodzinie.

Tamtego roku we wrześniu poszedłem do nowej szkoły, zajmującej drugie miejsce wśród wszystkich szkół w całym stanie, gdzie znalazłem się na liście najlepszych uczniów i nie wypadłem z niej przez sześć następných semestrów. I zdobyłem nagrodę za wybitne osiągnięcia w nauce trzy razy z rzędu. Mój ojciec by nie uwierzył.

*

Nie wszystko w moim życiu było takie różowe. Wciąż nie umiałem znaleźć swojego miejsca w szkole. Z „tego dziwnego Azjaty” stałem się „tym świrem Azjata”. Nauczyłem się przeklinać, co niesłychanie bawiło moich kolegów z klasy, i błaznowałem, zwłaszcza w obecności dziewczyn. W pewnym momencie ufarbowałem sobie włosy na żółto, zapuściłem je tak, że sięgały do podbródka, przekłułem sobie uszy i nosiłem superobcisłe spodnie rurki i jaskrawe T-shirty. Adrian o mało nie przestał ze mną rozmawiać, kiedy pojawiły się kolczyki.

Najgorzej było podczas przerwy obiadowej. Nie miałem z kim siedzieć przez czterdzieści pięć upiornie długich minut, więc sam przy stole pośpiesznie pożerałem swój lunch, po czym brałem książki, jakbym bardzo się śpieszył na jakieś ważne zebranie lub sesję nauki w grupie. Oczywiście na nic takiego nie chodziłem. Robiłem tylko okrążenie po szkole, po czym wracałem do swojego pustego stolika w nadziei, że nikt nie zauważy. Oczywiście wszyscy zauważali.

Zdarzały się jednak także jaśniejsze punkty. Grywałem w koszykówkę i czasami zaliczałem pięć koszy z rzędu. Zacząłem grać w piłkę nożną i opanowałem kopnięcie z przewrotką, dzięki czemu kumple z drużyny patrzyli na mnie jak na jakiegoś kung-fu Beckhama. Zawałem kilka bliższych znajomości, chociaż nigdy nie przyznałem się, że jestem z Korei Północnej. Bałem się, że Kim Dzong Il naśle swoich agentów, żeby mnie porwali, tak jak robił to w przypadku zbiegów w Japonii.

W sumie jakoś przetrwałem.

*

Po szkole średniej, w lipcu 2011 roku, przeprowadziłem się do Nowego Jorku. Mieszkałem w małym mieszkanku razem z kolegą, zacząłem pracować, studiować i korzystać z uroków wielkiego miasta. Moje życie wreszcie przypominało to, na co miałem nadzieję. Ale po kilku miesiącach popadłem w depresję. Po raz pierwszy w Ameryce byłem zupełnie samodzielny, często przesiadywałem sam w swoim pokoju i rozmyślałem o przeszłości i rodzinie. W dni powszednie zajmowały mnie zajęcia na uczelni i praca, ale w weekendy puste godziny zdawały się dłużyć bez końca. Brałem na wynos jedzenie z koreańskiej lub tajskiej restauracji, wykładałem je na stół, patrzyłem na nie i mówiłem do siebie: Jak możesz to jeść, kiedy twoja matka może głoduje? Jak możesz cieszyć się smakiem pad thai, kiedy nie wiesz nawet, czy twoja rodzona matka żyje, czy nie?

Jedzenie stawało mi w gardle i wtedy otwierałem butelkę whisky. Często wypijałem ją przed nadejściem dnia. Potem leżałem w łóżku zamroczony i ogłupiały, wreszcie stłumiwszy nienawiść do samego siebie. Ale nazajutrz nienawiść wracała. Zabijałem czas, oglądając filmy, ale robiłem się jeszcze bardziej ponury i zgorzkniały, aż czułem się czasami przykuty do łóżka. Nigdy nie nauczyłem się wyrażać swoich najgłębszych emocji. Byłem jednym ze szczęściarzy, mój los ułożył się znacznie lepiej niż mojemu ojcu, matce czy siostrze. Jak mogłem narzekać?

Przypuszczam, że cierpiałem na jakąś formę syndromu ocalonych, dodatkowo skomplikowaną przez rolę, jaką odegrałem we własnej ucieczce. Cały czas dręczyły mnie pytania: Co by było, gdybym był wrócił do Korei? Gdybym spróbował pomóc jednak matce? Moje wyrzuty sumienia i depresja nasilały się do tego stopnia, że czasami całymi dniami nie wychodziłem z domu.

W końcu zacząłem wyznaczać sobie drobne obowiązki, na przykład wyniesienie śmieci. Zdarzało się, że tylko to jedno udawało mi się zrobić przez całą sobotę. Później obarczałem się trochę bardziej ambitnymi zadaniami, na przykład napisaniem mejli do pięciu różnych osób i wybraniem się na długi spacer po parku. W końcu zdobyłem się na odwagę, by jeździć na konferencje na temat Korei Północnej, gdzie opowiadałem o swoim życiu. Na początku dawało mi to kopa i podnosiło moją samoocenę. „Jesteś taki dzielny – mówili mi ludzie. – To, że przeżyłeś, to istny cud”. Sprawiało mi to przyjemność. Lubiłem być w centrum zainteresowania, lubiłem być doceniany po tylu latach bycia niewidzialnym *Kkodzebi*.

Czułem, że jestem samolubny, i robiłem sobie z tego powodu wyrzuty. Chcesz naśladować Martina Luthera Kinga, ale jesteś tylko showmanem, występujesz dla własnej korzyści. Po części rzeczywiście tak było. Ale czułem, że pomagam także innym ludziom, tym tysiącom bezdomnych chłopców i dziewcząt, którzy padają ofiarami reżimu w Korei Północnej i władz w Chinach. Nie jestem Martinem Lutherem Kingiem, powiedziałem sobie po pewnym czasie. Nie jestem ideałem, ale staram się, jak umiem najlepiej, opowiedzieć światu, że ci ludzie istnieją i cierpią.

Czasami trudno mi opowiadać swoją historię na forum publicznym. Moje cierpienia skończyły się, gdy dotarłem do Stanów Zjednoczonych, ale wiem, że miliony Koreańczyków cierpią nawet w tej chwili. Że są chłopcy tacy jak ja, których ojcowie umierają z głodu, i dziewczyny, które sprzedaje się w Chinach, i matki, które trafiają do obozów pracy, z których nigdy nie wyjdą żywe. Te dzieci nie są wyrzutkami, są otoczone miłością, tak jak ja.

Kiedy śpię w swoim wygodnym łóżku, okryty ciepłym kocem, bezdomni chłopcy w Korei Północnej głodują lub śpią gdzieś pod mostem i marzną. Dzisiaj w nocy rozpaczliwie będą marzyć o tym, żeby jutrzejszy dzień okazał się lepszy. Ale tak się nie stanie, jeżeli my wszyscy nie pomożemy stworzyć miejsca, gdzie ci niewinni ludzie będą mogli żyć bez strachu i głodu.

Mocno wierzę, że wszyscy mieszkańcy Korei Północnej mają prawo do życia takiego, jakie teraz jest moim udziałem. Mam nadzieję, że pewnego dnia moi rodacy poznają smak wolności. To właśnie daje mi siłę do podróżowania po świecie, zabierania głosu i opowiadania o tym, co widziałem w miejscach takich jak Hoeryŏng. Nie dam rady zrobić tego sam. Tylko wspólnie możemy przynieść Koreańczykom wolność i sprawiedliwość.

Mają do tego prawo jako istoty ludzkie. I nie spocznę, póki nie będą mogli cieszyć się taką samą sprawiedliwością i wolnością jak ja.

*

Po wystąpieniu na Światowej Konferencji TED w Szkocji, która odbyła się w czerwcu 2013 roku, pojechałem na lotnisko w Edynburgu. Mój samolot do Nowego Jorku miał odlecieć dopiero rano, ale zamiast zamówić pokój w hotelu, postanowiłem przemocować w hali dworca lotniczego. Nie jestem

pewien, co mnie do tego popchnęło: po tylu minutach opowiadania o bezdomności ogarnął mnie dziwny nastrój. Jakiś rodzaj nostalgii. Wróciłem pamięcią do nocy, które spędziłem w dużej, ciepłej lokomotywie parowej, która stała porzucona na bocznych torach w Hoeryöngu. Szkocki terminal był znacznie bardziej luksusowy – z głośników sączyła się muzyka, można było kupić coś do jedzenia – ale w tamtych samotnych nocach było coś, za czym zatęskniłem.

Z obitego szarym skajem fotela, w którym spałem, przez ogromne szklane tafle okien widziałem nocne niebo. Terminal zaczął się wyludniać i wkrótce nie został już nikt oprócz ekipy sprzątającej i kilku podróżnych, którzy utknęli tu tak jak ja. Poczułem, jak przez żyły sączy mi się jakiś rodzaj przyjemnej melancholii. Wspomnienia Korei Północnej były dla mnie drogie, a gwiazdy i księżyc przybliżyły mnie do nich bardziej niż zwykle.

Patrzyłem w wieczorne niebo i rozmawiałem z Bong Sook.

Właśnie opowiedziałem naszą historię siedmiuset osobom, oznajmiłem. Wszyscy mówili, że to było wspaniałe wystąpienie i jaki ze mnie bohater. To oczywiście nieprawda. Jeżeli ktoś jest tu bohaterem, to ty.

Opowiedziałem Bong Sook o swoich planach, żeby ją odnaleźć. Rozmawiałem z wieloma różnymi ludźmi, a oni powiedzieli mi o koreańskich i chińskich pośrednikach, którzy specjalizują się w szukaniu Koreańczyków z Północy w przygranicznych prowincjach Chin. Zgodziliśmy się, że to będzie najlepsze podejście w trudnej misji znalezienia mojej siostry.

Teraz, pomyślałem, łączą nas tylko gwiazdy. Ale mogę spojrzeć w nocy w niebo z przekonaniem, że jesteśmy oboje pod jednym niebem. To musi mi wystarczyć, póki jej nie odnajdę.

Skupiłem się na jednej szczególnej gwiazdzie. Czemu nie znam ich nazw? Muszę się ich nauczyć.

– Zastanawiam się, gdzie teraz jesteś, Bong Sook – powiedziałem cicho. – Czy jest ci ciepło i czy jesteś bezpieczna tak jak ja? Od tak dawna czekam już na twój powrót, marząc, jak to młodszy brat, o pysznościach, które na pewno mi przyniesiesz. Ale teraz chcę ci tylko podziękować za bycie moją siostrą, za twoją miłość i za to, że zawsze o mnie pamiętasz. Nigdy o tobie nie zapomnę, tak jak ty nigdy nie zapomniałaś o mnie. – Powiedziałem jeszcze kilka słów o swoim mieszkaniu na Brooklynie i o swoim codziennym życiu. Potem odpłynąłem w sen.

Spałem tamtej nocy spokojnie. Rano wsiadłem na pokład samolotu

leżącego na lotnisko Kennedy'ego. Maszyna wzbiła się powoli w niebo, gdy
czułem w wibracjach fotela stłumiony ryk silników. Gwiazdy teraz zniknęły,
zastąpiły je jasny błękit i długie wstęgi obłoków.

Zabierzcie mi wszystko, pomyślałem, a wciąż będę miał te konstelacje.
Ukryte gwiazdy przyciągające mnie do tych, których kocham.

Podziękowania

Jestem niezwykle wdzięczny za to, że miałem możliwość podzielenia się swoją historią. To przywilej, ale i ciężar, ponieważ nie jest to historia tylko i wyłącznie moja, lecz także milionów innych mieszkańców dzisiejszej Korei Północnej. Rudyard Kipling powiedział kiedyś: „Gdyby historii nauczano w postaci opowieści, ludzie nigdy by o niej nie zapominali”. Mam nadzieję, że dzięki opowiedzeniu mojej historii, naszej historii, życie mieszkańców Korei Północnej nie zostanie zapomniane. Zaciągnąłem dług wdzięczności wobec mnóstwa osób, które liczą się w moim życiu i pomogły mi zejść tak daleko, wpływając na to, kim dzisiaj jestem.

Przede wszystkim chciałbym podziękować mamie i tacie za to, że sprowadzili mnie na ten świat. Tato, tak bardzo poświęcałeś się dla naszej rodziny, w stopniu, do jakiego sam prawdopodobnie nie byłbym zdolny. Mamo, czasami trudno mi się było pogodzić z tym, co robiłaś. Zastanawiałem się, jak potoczyłyby się nasze losy, gdybyśmy podjęli inne decyzje. Ale kocham cię i czekam, aż ty i Bong Sook będziecie znowu ze mną.

Adrianie Hong, dziękuję, że pomogłeś sprowadzić mnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie przekonałem się, co oznacza prawdziwa wolność. Przez te wszystkie lata pozostałeś wspaniałym nauczycielem i przyjacielem, okazując mi wsparcie i troskę. Angelo Hong, dziękuję, że zawsze o wszystkim myślisz i pamiętasz. Całej rodzinie Hongów dziękuję za gościnę: lato 2008 roku, które spędziłem w waszym domu, było jednym z najszcześniejszych okresów w moim życiu. Szczególne podziękowania należą się tutaj mojej przybranej mamie, Sharron Rose: Jesteś uosobieniem dobroci i szczodrości. Carolino Velez, byłaś moim kołem ratunkowym na początku mojego pobytu w Stanach, pomagając mi się odnaleźć i zadomowić jako moja opiekunka socjalna. Hannah *noona* (Hannah Song): Tak bardzo ci dziękuję za to, że jesteś moją siostrą i zawsze wierzysz we mnie bardziej niż ja w siebie, i za to, że kochasz mnie tak samo, jak pewnie kochałaby mnie Bong Sook, gdyby los nas nie rozłączył.

Chciałbym też bardzo podziękować wielkodusznych osobom, które poprzez swoje wsparcie umożliwiły mi naukę i mieszkanie w Nowym Jorku:

Terry'emu i Gregorowi Hongom, Bernardowi i Christine Moonom, Dave'owi Parkowi, PJ Kimowi, Peterowi Kangowi i Seiwook Lee, Eliotowi i Jen Kangom, Jensenowi i Juhee Ko, Cathy Danchik, Edie Weiner i Julii Rhee.

Eddie *hyung* i Pan D (Eddie Song i Damon Adams): Może nie daję tego do zrozumienia zbyt często, ale obaj jesteście dla mnie wielkimi autorytetami i dzięki wam niesamowicie rozwinąłem się nie tylko w pracy, ale też jako człowiek. Eddie, jestem ci wdzięczny za to, że zawsze oczekiwałeś ode mnie perfekcji. Twoja „wymagająca miłość” i wiara w moje możliwości zawsze motywowała mnie do jeszcze bardziej wyęźonej pracy. Panie D, dziękuję za pokazanie mi, co to znaczy nie tracić optymizmu nawet w najtrudniejszych chwilach. Nie spotkałem chyba nigdy człowieka tak niezłomnego jak pan.

Meghan Song i rodzinie Saulsbury dziękuję za to, że zawsze przyjmowali mnie w swoim domu i traktowali jak członka rodziny. Panie Song, kiedy słucham pana mądrych rad, przypomina mi pan mojego ojca. Zastanawiam się wtedy, jak by to było, gdyby wciąż żył i gdybym mógł z nim teraz rozmawiać. Pani Song, jestem szczęściarzem, że mam panią w swoim życiu – zawsze karmi mnie pani do syta, martwi się o moje zdrowie i naprawdę traktuje mnie jak własnego syna.

Moje siostry w LiNK, Jimin Oh, Jane Chung, Lori Kim i Carrol Chang: tak wspaniale powitałyście mnie w Ameryce i nigdy nie zapomnę miłości i troski, jaką mi okazałyście. Dziękuję za to, że zawsze mnie wspierałyście i trzymałyście za mnie kciuki. Eunice *noona* (Eunice Lim), nie mogę się doczekać, żeby pewnego dnia powiedzieć Bong Sook, jak bardzo ty i Sam *hyung* się mną opiekowaliście, zupełnie jakbym był waszym bratem. Zawsze się za mnie modlicie i przypominacie mi o miłości Bożej. Dziękuję, że nie dajecie mi o tym zapomnieć.

Moim dwóm najlepszym kumplom, Aseinowi Ta i Mingowi Zhengowi, dziękuję za to, że wytrwali przy mnie wtedy, gdy inni na pewno by mnie opuścili. Johnie *hyung* (Johnie Park), twoja szczodrość i pokora są dla mnie inspiracją. W dniu, kiedy się poznaliśmy, zapewniłeś, że zawsze mogę na ciebie liczyć. Dziękuję za to, że zawsze pomagasz mi jak brat bratu, tak jak obiecałeś. PJ Kim, od wspólnych podróży i wywiadów po pomoc w wygłaszaniu przemówień, jestem wdzięczny za twoje ciągłe wsparcie i mądrość. Justinie Wheeler, jesteś moim wspaniałym przyjacielem i bratem i z cichą pokorą przyjmuję twoje poświęcenie i pracę, jaką wkładasz w to, by młode pokolenie interesowało się losem mojego narodu. Sokeel Park, nie

dość często ci to mówię, ale naprawdę doceniam twoją ciężką pracę i miłość do narodu północnokoreańskiego. Dziękuję za to, że pomagasz mi, ilekroć czegoś potrzebuję, za to, że mnie rozśmieszasz i traktujesz mnie jak brata, *hyung*.

Dziękuję moim wyjątkowym siostrzom z Korei Południowej, Jamie Hong i Hailey Lee: nigdy nie zapomnę lata 2009 roku, które spędziliśmy wspólnie w Kalifornii, ani pierwszego *dong geu rang ddeng*, które mi ugotowałyście. Dziękuję, że zawsze o mnie pamiętacie i że nasze kontakty się nie urwały. Jennifer Welsch i Mattowi Woodowi, nigdy nie zapomnę naszej wycieczki w góry Yosemite i wspólnych podróży do Westside Ministries, UIUC i na inne wydarzenia i konferencje. Jenn, zawsze byłaś dla mnie wspaniałą siostrą, a ty, Matt, zawsze wspierałeś mnie dobrym słowem.

Elliocie Lee, udzieliłeś mi pomocnych rad w tylu sprawach, o których w przeciwnym razie nie miałbym bladego pojęcia. Dzięki za nasze wspólne podróże, pomaganie mi w kupowaniu garniturów i nauczenie mnie tak wielu rzeczy. Williamie Kim, dziękuję, że zawsze odbierasz moje telefony, kiedy tego potrzebuję. Przez te wszystkie lata zawsze udzielałeś mi świetnych rad, dzieliłeś się swoimi odczuciami i okazywałeś mi wsparcie. Davidzie Park, jestem wdzięczny za twoje niezawodne wsparcie i pierwszy mecz europejskiej piłki nożnej na żywo, na Yankee Stadium – to było niezapomniane przeżycie! Ji Un Kim, dziękuję za pilnowanie, żebym nigdy nie chodził głodny. Paulu Suk Jae, kiedy pierwszy raz przyjechałem do Nowego Jorku, odebrałeś mnie w Chinatown i obwiozłeś po całym mieście, a potem spędziłeś ze mną jeszcze kilka dni. Dziękuję za twoją gościnność i pomoc w przygotowaniu do egzaminu. Andy Kim, zawsze będę wdzięczny za twoje telefony ni stąd, ni zowąd z pytaniem, czy niczego mi nie potrzeba. Danielu Pincus, La Wang: jestem wdzięczny za waszą przyjaźń i za te wszystkie przyjazne i wpływowe osoby, którym mnie przedstawiliście.

Chciałbym podziękować wszystkim byłym, obecnym i przyszłym stażystom, nomadom i pracownikom LiNK (Liberty in North Korea), którzy poświęcają życie dla ludzi w Korei Północnej. Dziękuję za to, że w nas wierzycie. Wasze oddanie dla sprawy sprawiedliwości, pokoju i wolności w Korei Północnej jest dla mnie inspiracją. Proszę, pracujcie nadal tak ciężko – jesteście nadzieją dla mnóstwa Koreańczyków na Północy, którzy porzucili wszelką nadzieję.

Mariannie Tu i Bryanowi Garcii z America Needs You dziękuję za całe

mnóstwo telefonów i mejli, za to, że ciągle sprawdzają, co u mnie słychać, i dodają mi otuchy. Zawsze zachęcacie mnie do spełniania moich marzeń i wierzę, że jeśli mi się to kiedyś uda, to właśnie dzięki wam.

Przyjaciołom, którzy pomagali mi przez te wszystkie lata, Andrew Lovely'emu, Kennethowi Hau, Hannah Ryu, June Park i Stephanie Cho, składam gorące podziękowania za to, że modlą się o mnie i nie tracą ze mną kontaktu. Pragnę również wspomnieć o tych, którzy bardzo wspierali mnie w różnych momentach mego życia i zawsze przyjmowali mnie takim, jakim jestem – to Robert Young, Sung Kook Oh, Danny Lee, Yeon Jeong Kim, Cameron Lee, Julie Han, John Kim, Scott Yang, Lyn Kim, Edward Cheng, Julie Lam, Morgan Porter, Hwang Bin Im, Jason Oh, Harim Lee i Gabe Cruciani.

Ogromne dzięki dla wszystkich, którzy umożliwili mi napisanie tej książki: dla Terry'ego Honga za wprowadzenie, Scotta Waxmana za ciągłe zachęty i dodawanie otuchy, Bruce'a Nicholasa za niezmordowaną pomoc podczas redakcji oraz Joan Cho za korektę i poprawienie pisowni imion koreańskich i nazw geograficznych.

Do współautora mojej książki, Stephana Talty'ego: nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się wyrazić w pełni całą swoją wdzięczność. Dzięki tobie moja historia i historie milionów innych Koreańczyków z Północy nie zostaną zapomniane. Dziękuję za twoją przyjaźń i cierpliwość, jaką okazywałeś mi na wszystkich etapach pisania, i za zaangażowanie w to, żeby pomóc mi opowiedzieć moją historię tak dokładnie i starannie, jak to możliwe. Mam nadzieję, że dzięki twojemu talentowi pisarskiemu czytelnicy będą myśleć o mieszkańcach Korei Północnej z większym zrozumieniem i współczuciem.

Wszystkich tych, o których zapomniałem lub o których nie wspomniałem w tym miejscu, chciałbym przeprosić i zapewnić, że jestem niesłychanie wdzięczny każdej osobie, która mi pomogła. Bez was ta historia nie byłaby możliwa.

I wreszcie podziękowania dla mojej siostry, Bong Sook. *Noona*, minęło ponad dziesięć lat, odkąd się rozstaliśmy i odkąd widziałem cię po raz ostatni. Żałuję, że nie ma cię teraz ze mną – byłabyś zaskoczona, jak bardzo wyrosłem. Robię teraz tyle rzeczy, których nie umiałem robić przedtem. Gotuję własne posiłki, piorę ubrania, a nawet samodzielnie prasuję sobie koszule. Nie mogę się doczekać, żeby robić niektóre z tych rzeczy dla ciebie

tak, jak ty robiłaś je dla mnie. *Noona*, pewnie o tym nie wiesz, ale przedostałem się do Chin, żeby cię odszukać. Czasami zastanawiam się, czy udałooby mi się ciebie znaleźć, gdybym uciekł z Korei zaledwie kilka dni wcześniej. Czy nasze życie ułożyłoby się inaczej i bylibyśmy razem? Sung Ryul zmarł na dwa dni, zanim dotarłem do jego domu – poczułem wtedy, jakby cały świat zawalił mi się na głowę. Dlaczego wydawało mi się, że zawsze spóźniam się o kilka dni? Po ucieczce z Korei Północnej było mi bardzo trudno, ale spotkałem po drodze wielu dobrych ludzi, którzy mi pomogli. Jak potoczyło się twoje życie, czy też spotkałaś kogoś, kto ci pomógł? Odkąd trafiłem do Stanów Zjednoczonych, starałem się znaleźć sposób, by uczcić pamięć naszego Ojca, dlatego uczyłem się wytrwale i zastanawiałem się nad tym, co mogę zrobić, żeby nie dopuścić do tego, by historie takie jak nasza stawały się udziałem innych rodzin w Korei Północnej. Wciąż muszę się wiele nauczyć, ale stanowczo i wytrwale dążę do wyznaczonego celu w nadziei, że uda mi się wpłynąć na poprawę losu naszych rodaków. *Noona*, zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek będziemy razem. Czy dane nam będzie nadrobić stracony czas? Czasami tracę nadzieję i mam ochotę się poddać, ale jeszcze się nie poddałem. I nie poddam się nigdy. Jestem przekonany, że się jeszcze odnajdziemy, i będę robił wszystko po to, by stało się to jak najprędzej. Czekał na mnie, proszę. Kocham cię.

Spis treści

[Prolog: Funkcyjny](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)